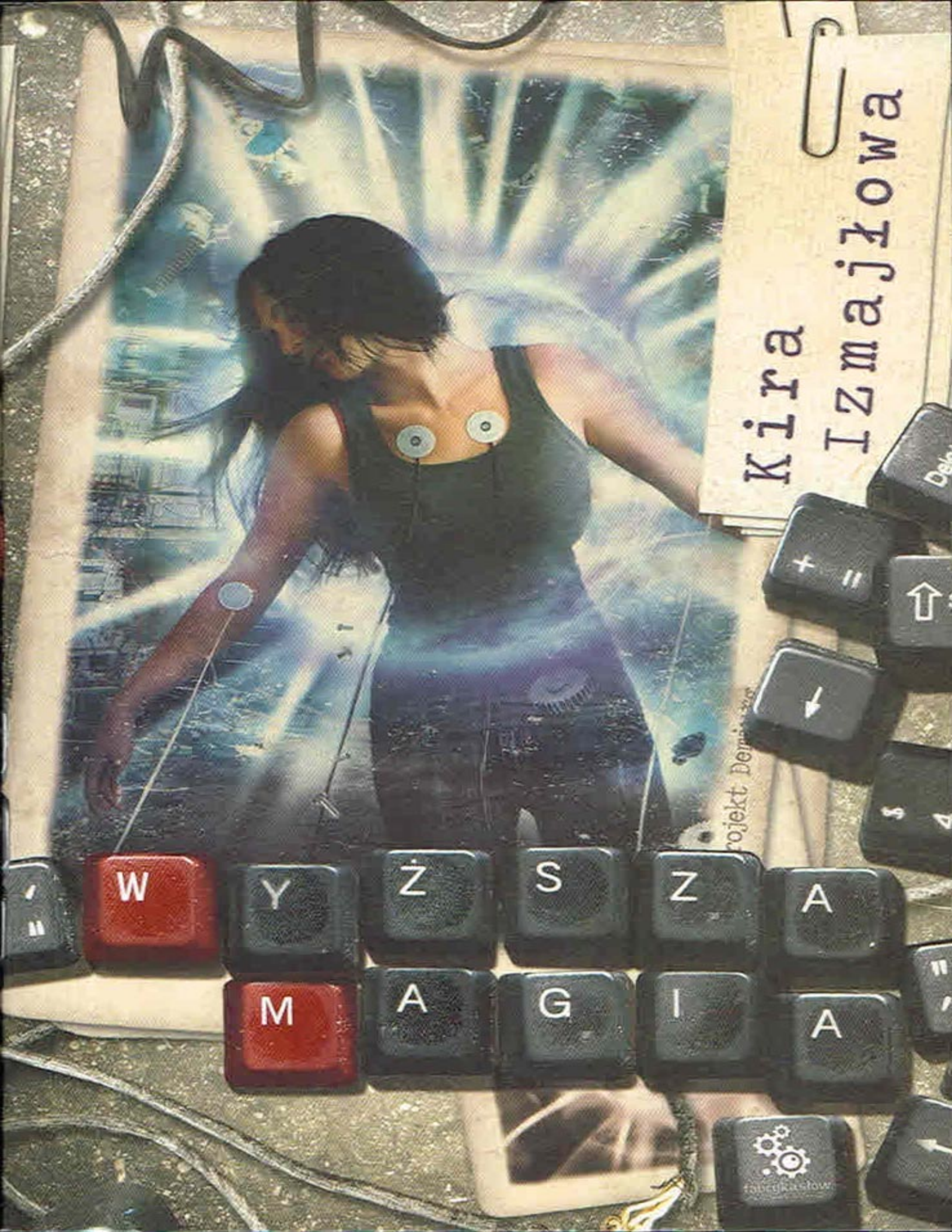


Kira
Izmajłowa

projekt Demis.org

fabryka słów



Kira Izmajłowa

WYŻSZA

MAGIA

(Городская Магия)

Przełożyła Agnieszka Chodkowska-Gyurics



Wydawnictwo: Fabryka Słów 2008

Spis treści

Karta tytułowa

Podziękowania

CZĘŚĆ PIERWSZA ZALICZENIE Z WYŻSZEJ MAGII

CZĘŚĆ DRUGA PRACA DYPLOMOWA

CZĘŚĆ TRZECIA ZMIANA

CZĘŚĆ CZWARTA MAG BOJOWY

EPILOG

*Autorka gorąco dziękuje
Ewie Białoleckiej
za cierpliwość i ogrom wykonanej pracy*

CZĘŚĆ PIERWSZA

ZALICZENIE Z WYŻSZEJ MAGII

Kolejny rok akademicki – dla mnie czwarty – zaczął się zadziwiająco spokojnie. Dziekanat nie prześladował naszej grupy za kiepską frekwencję, nikt nie łowił na korytarzu niesfornych palaczy, a wykładowcy wprost emanowali uprzejmością. Jednym słowem: panowała niewiarygodna nuda.

Mówiąc szczerze, dopiero teraz zaczęłam poważnie zastanawiać się nad tym, co będę robić po zakończeniu studiów. Muszę zaznaczyć, że jestem prymuską, a wykładowcy niejednokrotnie mówili mi, że mogę liczyć na dyplom z wyróżnieniem. Wszystko to oczywiście cudnie, ale... Co dalej? Zasadniczo nie miałam wielkiego wyboru – mogłam zająć się pracą badawczą w jakimś laboratorium, co jest dość nudną perspektywą, albo zostać na uczelni i wykładać. Wszystkie miejsca, gdzie można by się zająć czymś praktycznym, dawno już rozdrapano i bardzo rzadko coś się zwalnia. Cóż robić, taka jest specyfika tego zawodu.

Studiuje na PUM – Państwowym Uniwersytecie Magii. Nazwa brzmi dość głupio, ale przedtem nasza *alma mater* nazywała się ZTM – Zakład Teorii Magii – i wtedy ciągle mylono nas z zajezdnią autobusową. Złożyłam tu papiery zwabiona romantyką nazwy. Dostałam się zresztą bez kłopotu – a przecież od kandydatów wymagano jednak jakichś zdolności. Ale wybrany zawód nader szybko mnie rozczarował. Przez pierwsze dwa lata wykładano nam tylko przedmioty ogólne: historię, matematykę, język obcy, filozofię, kulturoznawstwo, logikę, retorykę i takie tam inne michałki. Na trzecim roku zaczęła się specjalizacja – tylko dwa przedmioty: historia magii i teoria zaklęć. Na czwartym roku doszły zajęcia praktyczne. Jak

stworzyć iluzję, jak szybko zapoznać się z dowolnym mechanizmem, jak przyśpieszyć wzrost doświadczalnego kaktusa... Bzdety nieprawdopodobne, do tego kompletnie nieprzydatne w praktyce.

W końcu byłam zupełnie zrezygnowana. Czyżby niczego więcej nie zamierzali nas nauczyć? Żadnego przechodzenia przez ściany, żadnych zakłęb bojowych, czy chociażby porządnego leczenia...? Z takim samym skutkiem mogłam kształcić się na każdej innej wyższej uczelni. Może, póki nie jest za późno, przenieść się na wydział magii stosowanej? Uczą się tam choćby studenci z dużymi talentami do tworzenia iluzji. Absolwenci tego wydziału często znajdują pracę w kinematografii – produkują naprawdę wstrząsające efekty specjalne. Trudno wyjaśnić, jak to działa, musiałabym streścić kilka opasłych tomów poświęconych teorii i praktyce kreowania iluzji oraz ich zastosowaniom w życiu codziennym. Mam poważne podejrzenia, że panowie reżyserzy, producenci i cała reszta tego tałatajstwa zajmującego się produkcją filmów w ogóle nie zastanawiają się nad teoretyczną stroną zagadnienia. Wystarczy im, że iluzje wyglądają lepiej niż grafika komputerowa, są tańsze i nie mają praktycznie żadnych ograniczeń poza fantazją scenarzysty. A w jaki sposób wszystko to udaje się zapisać na taśmie filmowej...? Prawdę mówiąc, sama nie rozumiem tego do końca i zadowolam się prostą analogią: przecież miraż też można utrwalić na taśmie, a w czym iluzja jest gorsza od mirażu?

Zresztą w kinematografii konkurencja też jest ostra, więc wielu absolwentów tego wydziału znajdowało pracę przy organizacji różnych imprez. Kto by nie chciał, aby z okazji urodzin złożyła mu życzenia sławna modelka albo ziejący ogniem smok? I czy nie byłoby fajnie zmienić smętną salę, wynajętą na służbową imprezę, w stary zamek lub plażę na wybrzeżu Oceanu Spokojnego? I to z kompletem wrażeń – także zapachowych i

dotykowych. Tak czy siak, iluzjoniści zarabiają nieźle, a to, musicie przyznać, nie jest bez znaczenia.

Jednak na wydział magii stosowanej nie przyjęto mnie, motywując odmowę tym, że we wszystkich grupach jest już komplet studentów. Oceny mam bardzo dobre, ale nie wyróżniam się wybitnymi zdolnościami w jakiejś dziedzinie, więc nie mam co pchać się na prestiżową specjalizację. Wszystko to prawda, dlatego nawet niespecjalnie się zmartwiłam: iluzjonista rzeczywiście byłby ze mnie marny. Magowie iluzjoniści muszą mieć bogatą plastyczną wyobraźnię, a ja mam z tym problemy – przerabianie myśli na mirażę wychodzi mi kiepsko.

Na wydziale magii medycznej też nie było miejsc, a kryteria były jeszcze ostrzejsze, niż podczas naboru studentów na wydział magii stosowanej. Prosta motywacja: „Chcę leczyć ludzi” to o wiele za mało, żeby nawet myśleć o tej specjalności. Na tym wydziale uczyli się przede wszystkim ludzie, którzy ukończyli już zwykłą medycynę albo przynajmniej technikum medyczne, czyli tacy, którzy dobrze wiedzieli, jakim problemom będą musieli stawić czoła.

Był jeszcze jeden kierunek, potocznie zwany „magią wiejską”, ale tam zupełnie mnie nie ciągnęło. „Wsioki” zajmowały się weterynarią i zagadnieniami magicznego wspomaganie hodowli roślin w trudnych warunkach klimatycznych. Ze zwierzętami nie radziłam sobie jakoś szczególnie dobrze, no i oczywiście nie miałam za sobą nauki w technikum weterynaryjnym. A wyjechać po ukończeniu studiów gdzieś na Kamczatkę, by bohatercko próbować uprawiać tam pomarańcze – o, piękne dzięki!

Na mój nie do końca bezstronny rozum, tylko te wydziały zajmowały się czymś rozsądnym i ani myślałam przenosić się na inne – zamieniłby stryjek siekierkę na kijek. Nie pójdę przecież na historyczny, żeby potem przez całe życie badać wpływy magii na rozwój światowej cywilizacji i spekulować,

co by było, a co by nie było, jakby jej nie było. Znaczą się, magii. Zajęcie równie fascynujące jak odkurzanie obrazów w muzeum. Byli też jeszcze „łącznościowcy”, „chemicy”, „fizycy”, „przemysłowcy” i inne naukowo-techniczne dziwolągi, ale do takich zajęć zawsze wykazywałam zapał zerowy.

Sporą rolę w tym wszystkim odgrywał fakt, że na zewnątrz nasz uniwersytet prawie niczym nie różnił się od pierwszej lepszej uczelni tego typu. Po korytarzach nie łążyły tajemnicze istoty, nikt – nawet najwybitniejsi magowie (a wiedziałam z całą pewnością, że w PUM było ich sporo) – nie demonstrował swoich zdolności poza ścianami specjalnych laboratoriów, nie rozpływał się w powietrzu, nie lewitował, a już tym bardziej nie zmieniał w coś paskudnego studentów łamiących regulamin.

Idzie sobie na ten przykład korytarzem siwiutki staruszek, jakich na ulicy można spotkać co krok – i za nic nie zgadniesz, że jest to najbardziej znany w kraju magomedyk, którego ktoś cudem namówił na cykl wykładów!

O ile było mi wiadomo, bezpośredniego zakazu stosowania magii w życiu codziennym nie było, ale za to istniało coś na kształt niepisanego prawa, etyki zawodowej. W każdym razie, ani razu nie widziałam, żeby na przykład palący na półpiętrze wykładowcy zapalali papierosa w sposób inny niż przy użyciu zapalniczki. Pewnie był w tym jakiś sens... W roztargnieniu ten czy ów mógłby się zapomnieć gdzieś na ulicy i śmiertelnie wystraszyć jakiegoś biednego przechodnia.

Być może problem polegał nie na tym, że na moim wydziale magii ogólnej uczono źle, ani nawet nie na tym, że uczelniana rzeczywistość nie spełniła do końca moich oczekiwań. Najprawdopodobniej problemem byłam ja sama. W żaden sposób nie mogłam znaleźć niczego, co by mi pasowało, czym rzeczywiście chciałabym się zajmować. I to nieprawda, że

winne było moje lenistwo; jak zwykli powtarzać moi rodzice, tego, co mnie interesowało uczyłam się bez trudu i z przyjemnością. Zresztą tego, co mnie nudziło też się uczyłam, chociaż na siłę, i całkiem przyzwoicie zdawałam egzaminy, za to wykute informacje utrzymywały mi się w głowie nie dłużej niż tydzień. W końcu doszłam do wniosku, że najwidoczniej źle wybrałam uczelnię. No cóż, pouczę się tu jeszcze chociażby do końca roku, a potem zobaczę. Całkiem prawdopodobne, że będzie ze mnie, podobnie jak z mojej matki, niezła księgowka albo ekonomistka, a na naukę tego zawodu nigdy nie jest za późno.

I tak uspokoiłam się na pewien czas, pogodziłam z losem, ale zapał do nauki straciłam prawie całkiem.

Pewnego pięknego dnia trafił mi się referat z historii magii. Zawsze nienawidziłam wygłaszania referatów: nie cierpię sterczeć na środku audytorium i w rytm potakujących kiwnięć głowy wykładowcy wygłaszać wcześniej przygotowany tekst, gdy w tym samym czasie koledzy z grupy zabawiają się, jak który może: jedni katują komórki grami, tradycjoniści rzną w statki i w karty, inni czytają książki. Gdybym choć temat dostała ciekawy, nie byłoby aż tak źle. Niestety, nasz rocznik nie miał szczęścia do wykładowców, nawet całkiem ciekawe fragmenty historii magii omawiali tak, że na zajęciach można było zapaść w letarg.

Niemniej jednak zupełnie nie miałam ochoty zdawać egzaminu, a za wygłoszenie iluś tam referatów pozytywną ocenę wystawiano „automatycznie”. Tak więc, choć o owe referaty się nie napraszałam, to i nie wykręcałam się od ich przygotowania. W rezultacie musiałam iść do biblioteki i tkwić parę dni w czytelni. Temat trafił mi się tak obszerny, że na jego przygotowanie straciłam mnóstwo czasu. Książki, jak na złość, były grube, zakurzone i potwornie nudne. Z trudem przekopywałam się przez

meandry pustostłowa w poszukiwaniu przydatnych informacji i co chwila biegałam napić się kawy, żeby nie zasnąć.

Jedna z pracownic biblioteki, młodziutka Lenoczka, także nie paliła się do grzania krzesła między regałami i równie często odwiedzała bufet. Tam właśnie się poznałyśmy i prawie zaprzyjaźniłyśmy.

Lenoczka Śliwina kiedyś także próbowała studiować na naszym PUM, na tym samym wydziale magii ogólnej co ja, ale nie dała rady – wyrzucili ją na drugim roku. Moim zdaniem, żeby zostać wyrzuconym, trzeba było albo bardzo się o to starać, albo nie robić kompletnie nic. O dziwo, Lenoczka wyglądała na sumienną i staranną dziewczynę, a do wizerunku mąciwody było jej równie daleko jak Ułan Bator do Vegas. Jednak po kilku dniach kontaktów z nią zrozumiałam, że Lenoczka jest po prostu niewiarygodnie głupia. Bywają tacy ludzie, w zasadzie dość przyzwoici i fajni, ale zupełnie nieprzystosowani do nauki. W szkole często jadą na trójkach tylko dlatego, że nauczycielom przykro jest stawiać „pały” dobrym dzieciakom, które nigdy nie wykręcają się od dyżuru w klasie czy, powiedzmy, przygotowania gazetki ściennej. Ale na wyższą uczelnię tacy ludzie mogą dostać się tylko cudem. Skądinąd cud często ma postać bogatych rodziców – wtedy takie dzieciaki lądują na płatnym wydziale i przez następne pięć lat oddają się słodkiemu lenistwu, po czym ci sami rodzice lokują obarczone dyplomem cudo na jakiejś ciepłej posadce.

Ale Lenoczka nie miała bogatych rodziców. Jej stara i niezbyt zdrowa matka pracowała jako internistka w przychodni rejonowej, a jak tam płacą, nie trzeba wyjaśniać – nie da się nawet uciuć na łapówkę za przyjęcie na uczelnię. Pozostaje więc dla mnie tajemnicą, jak Lenoczce udało się dostać na uniwersytet. Być może zadbał o to ten sam opiekun, który potem załatwił jej pracę w bibliotece, gdy Lenoczkę mimo wszystko skreślili z listy studentów.

Prawdę mówiąc, mimo głupoty i całkowitego braku zdolności, Lenoczka była czarującym stworzeniem. Mogła godzinami opowiadać o rozmaitych bzdurkach i sądzę, że była lubiana. Myślę, że ów nieznany protektor wybrał Lenoczkę nie tylko ze względu na urodę, dobroć i troskliwość, ale także za to, że dobrze wiedziała, kiedy można dać czadu, a kiedy lepiej nie męczyć rozmówcy i milczeć. Wydaje mi się, że to wyczucie bardzo pomagało Lenoczce radzić sobie w życiu.

Gdy znowu przysypiałam w czytelni, gdzie oprócz mnie nikogo nie było (!), podeszła do mnie i zapytała: – Dużo ci jeszcze zostało?

W milczeniu wskazałam stertę grubych tomów.

– No tak... – Lenoczka zasmuciła się. – Myślałam, że mi pomożesz...

– A co się stało? – zapytałam, przypuszczając, że znowu zawiesił się komputer z elektronicznym katalogiem. Lenoczka nie umiała poradzić sobie samodzielnie z takim nieszczęściem, bo cierpiała, jak to delikatnie określił jeden z doktorantów, na kompletny debilizm techniczny. Nie umiała nawet poruszać się bez pomocy po Internecie i to, że udało jej się opanować pracę z katalogiem elektronicznym, osobiście uznawałam za naprawdę ogromne osiągnięcie.

– Rozstawić książki na miejsce – odpowiedziała Lenoczka. – Makrela wyszła wcześniej, odebrać wnuka ze szkoły, a mnie kazała to zrobić. Przyjdzie jutro rano i jak nic się przyczepi...

„Makrelą” Lenoczka nazywała swoją kierowniczkę, Emmę Germanównę Sztolc, i trzeba powiedzieć, że przyzwisko było udane – profil Emmy Germanowny zadziwiająco wręcz przypominał tę rybę. Makrela była człowiekiem wielkiej dobroci, Lenoczkę bardzo lubiła, jednak bez wzajemności. Rzecz w tym, że Makrela uwielbiała wygłaszać umoralniające przemowy i pouczać wszystkich dookoła. Każdego dnia smędziła Lenoczce, że najwyższa pora zmądrzeć i nauczyć się jakiegoś

zawodu, chociażby tego bibliotekarstwa. Rozumie się, że biedna dziewczyna miała jej wyżej kokardek, ale nie mogła powiedzieć tego wprost z powodu wrodzonej delikatności.

– No dobrze, pomogę... – westchnęłam, przeciągając się. – Chociaż kości rozprostuję.

We dwie szybko rozstawiłyśmy książki na regałach i postanowiłyśmy napić się kawy. Muszę dodać, że po raz pierwszy byłam w środku w bibliotece, to znaczy w magazynie, a nie w czytelni czy punkcie wydawania książek. Naprawdę nie miałam pojęcia, jaki jest wielki! Szkoda tylko, że większa część zbioru miała wartość zwykłej makulatury.

– A co tam jest? – Wskazałam metalowe drzwi znajdujące się na końcu wąskiego korytarza. – Szczególnie cenne egzemplarze?

Lenoczka nagle spoważniała i powiedziała ściszym głosem: – Tak jakby. Tam chodzą tylko ci z szóstego piętra, nikt więcej.

Szóste piętro naszej uczelni było owiane tajemnicą. Teoretycznie mieściły się tam siedziby wydziałów, sale konferencyjne, gabinety rektora i jego zastępców, ale... Kiedyś, gdy nie miałam nic lepszego do roboty, obesłam całą uczelnię i przyjrzałam się tabliczkom na drzwiach. Wszystkie siedziby wydziałów znajdowały się na niższych piętrach. Gabinety rektora i jego zastępców też. Nie pozostało nic, co mogłoby znaleźć się na szóstym. Chodziły słuchy, że prowadzi się tam jakieś tajemnicze eksperymenty, że są tam tajne laboratoria albo też katedra magii bojowej, chociaż kierownictwo uczelni zaklinało się, że PUM nie zajmuje się magią bojową, gdyż do tego celu powołane są specjalne służby rządowe. Mówiąc krótko, każdy plótl, co mu ślina na język przyniosła. Jakie znowu tajne laboratoria, jeśli nie ma tam nawet zwykłej ochrony! Osobiście przez długi czas traktowałam bajki o szóstym piętrze jako element uniwersyteckiego folkloru, podobnie jak opowieści o „czarnej wołdze” i

dziwiłam się, że ludzie mogą być tak łatwowierni. Przecież na szóste piętro można bez przeszkód wejść! Tylko, nie wiadomo dlaczego, nikt tego nie robił, nawet najbardziej niesforne egzemplarze z braci studenckiej.

Ale teraz byłam gotowa zmienić zdanie. Najwyraźniej plotki nie biorą się znikąd, a na szóstym piętrze rzeczywiście zajmują się czymś poważnym, jeśli ich księgozbiór ukryty jest za stalowymi drzwiami!

– Tam nawet nie ma okien – dodała Lenoczka szeptem pełnym grozy. – A do tego powiedzieli mi, że jeśli zgubię klucz, to oddadzą mnie pod sąd. Dlatego klucz trzymam w sejfie!

Jak to nie ma okien? Gdy patrzy się z zewnątrz, to na drugim piętrze, gdzie znajduje się biblioteka, nie ma ślepej ściany! Czyli... czyli jest to iluzja i, trzeba przyznać, mistrzowska: a to na szybie pojawi się pęknięcie, a to lufcik jest otwarty, a to zasłony zmieniają położenie... Nieźle! Wychodzi na to, że tam przechowywane jest coś naprawdę ważnego!

Poczułam, że zamknięta część magazynu książek jest miejscem, do którego chcę się dostać naj–najbardziej na świecie. A do tego nie było to znowu takie trudne... Jaki bym z tego miała pożytek? Opanował mnie nieprzeparaty głód wiedzy, czy co? Wtedy się nad tym nie zastanawiałam, a teraz po prostu nie wiem, co powiedzieć. Zdarza się czasem, że wbiję sobie coś do głowy na amen. Na przykład jak wtedy, gdy mimo ogromnej rodzinnej awantury odmówiłam złożenia papierów na uczelnię ekonomiczną i zdawałam na PUM – w takiej sytuacji zawsze dopnę swego. Co prawda, upragniony cel często już po fakcie okazuje się niewart takich wysiłków, ale to już zupełnie inna sprawa. I mój odwieczny problem. Gdybym zadała sobie nieco trudu i zastanowiła się, po co mi to wszystko, co tak strasznie chcę osiągnąć, na pewno uniknęłabym wielu kłopotów. Ale cóż, jestem jaka jestem...

I tak, zaczęłam od oznajmienia wszem i wobec, że jutro nie przyjdę na zajęcia. Ostatnimi czasy często opuszczałam wykłady, więc nikogo to specjalnie nie zdziwiło, tylko przewodniczący samorządu jęknął, że na seminarium z literatury ezoterycznej znowu będzie nie więcej niż pięć osób, a to przekracza już wszelkie granice przyzwoitości, szczególnie, jeśli wziąć pod uwagę, że w grupie jest osiemnastu studentów! Ale inni szybko go zakrzyczeli, proponując, żeby zamiast się rządzić, sam poszedł na to całe seminarium, i to wyczerpało temat.

Rodzinę uprzedziłam, że zostanę na noc u szkolnej koleżanki, co też nie wywołało żadnych podejrzeń, bo dziewczyna, w przeciwieństwie do mnie, była poważna i konsekwentna. Rodzice uważali, że ma na mnie dobry wpływ, więc nie sprzeciwiali się naszym kontaktom. Katarzyna też ciągle miała nadzieję, że sprowadzi mnie na dobrą drogę, dlatego dawała mi schronienie (jako że mieszkała sama w dwupokojowym mieszkaniu; jej starzy mogli sobie na to pozwolić), gdy miałam już zupełnie dosyć wysłuchiwania rodzicielskich kazań. Z kolei Katarzynie naplotłam coś o organizowanej w akademiku imprezie z okazji urodzin kolegi z roku, na którą rodzice nigdy w życiu by mnie nie puścili. Katarzyna westchnęła ze zrozumieniem i obiecała zapewnić mi alibi. Tak oto zdobyłam wolność na najbliższą noc.

Kolejnym krokiem była niezbyt skomplikowana operacja, w wyniku której w kawie Lenoczki znalazły się pewne w sumie zupełnie nieszkodliwe zioła. Lenoczka kawę piła na okrągło i chętnie częstowała nią wszystkich odwiedzających bibliotekę, w tym mnie, z czego skwapliwie skorzystałam. Po półgodzinie Lenoczka poczuła nieodpartą potrzebę odwiedzenia damskiej toalety, a wkrótce potem doszła do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli wróci do domu, żeby nie latać w tę i z powrotem po korytarzu.

– Idź do domu – poradziłam jej. – Pewnie zjadłś coś nieświeżego. Znowu kupiłaś sałatkę w stołówce?

– Aha... – odpowiedziała Lenoczka z miną męczennicy. – Dobrze, pójdę... Tylko uprzedzę Makrełę.

– Idź już... – westchnęłam. – Sama jej powiem. Niech ci na jutro da wolne.

– Może lepiej ja sama... – Lenoczka wahała się, ale ja byłam niezłomna.

– A ty co, chcesz, żeby Makreła przez godzinę ci tłumaczyła, dlaczego nie należy kupować sałatki w naszej stołówce? – zapytałam. Lenoczka pokręciła głową. Na jej twarzy odmalowało się szczere przerażenie. – Idź już do siebie. Ja zajdę do Emmy.

Oczywiście iść do bibliotekarki nie miałam najmniejszego zamiaru.

Mój plan opierał się na bardzo prostym założeniu: Emma Germanowna, mimo że pracowała na PUM, byk całkowitym laikiem w dziedzinie magii. A przynajmniej nie była w stanie rozpoznać iluzji. Przekonałam się o tym kiedyś, gdy pilnie potrzebowałam podręcznika, a nie mogłam wypożyczyć dodatkowych książek – i tak miałam ich na karcie więcej, niż przewidywał regulamin. Wzięłam wtedy legitymację biblioteczną od koleżanki z roku, „założyłam” jej postać i bez najmniejszego trudu dostałam to, czego potrzebowałam. Emma Germanowna niczego się nie domyśliła, chociaż znała twarze wszystkich studentów – pamięć miała fenomenalną.

Wczesnym rankiem zjawiłam się w bibliotece pod postacią Lenoczki. Na początek wysłuchałam nagany za to, że wczoraj tak lekkomyślnie opuściłam miejsce pracy, nie czekając na koniec zmiany. Musiałam prosić o wybaczenie i wysłuchać długiego kazania, po którym zaczęłam znacznie lepiej rozumieć niechęć, jaką Lenoczka darzyła pocziwą, ale diabelnie marudną starszą panią. Całe szczęście, że zahartowały mnie rodzicielskie pouczenia – dzięki temu umiałam odłączyć się od wygłaszanego

przemówienia, zachowując na twarzy wyraz skruchy i kiwając głową w odpowiednich momentach. W końcu Emma Germanowna nagadała się do woli i dała mi spokój.

Siedziałam w punkcie wydawania książek. Praca była łatwa, Lenoczka nieraz opowiadała mi, według jakiego systemu książki są rozłożone i jak można szybko odszukać tę, która jest właśnie potrzebna. Oczywiście nie zapomniałam od czasu do czasu wychodzić do bufetu po drożdżówki i cały czas dolewać sobie kawy. W porze obiadu ta nieszczęsna kawa prawie już wylewała mi się uszami i zaczęłam się zastanawiać, jak można codziennie pić to świństwo w takich ilościach. Najwyraźniej organizm Lenoczki był zbudowany jakoś inaczej; mnie po nesce zwyczajnie mdliło.

Po przerwie obiadowej nastąpiła cisza. Pierwsza zmiana już skończyła zajęcia, a nikt nie poczuwał się do siedzenia w bibliotece po godzinach.

– Lenoczko – Emma Germanowna znowu zaczęła mówić. Po całym dniu spędzonym w jej towarzystwie jeszcze lepiej zrozumiałam Lenoczkę. Dziewczynie należał się dodatek za szkodliwe warunki pracy. – Dlaczego nie chcesz się uczyć? Siedzisz, czytasz jakąś głupią gazetę...

Fakt, studiowałam w udawanym skupieniu „Cosmopolitan”, od którego mdliło mnie jeszcze gorzej niż od tej kawy rozpuszczalnej. Ale przecież nie mogłam wypadać z roli!

– Masz, przejrzyj. – Emma Germanowna podsunęła mi opasły tom. – Bardzo ciekawe!

Westchnęłam i pokornie otworzyłam książkę. Hmm... *Zielnik*? No proszę, jakie stare wydanie! Nie widziałam takiego w katalogu.

– Przynieśli dzisiaj z szóstego piętra, nie zdążyłam odnieść do magazynu. – Emma Germanowna potwierdziła moje podejrzenia. – Przejrzyj i odniesiesz, dobrze?

– Oczywiście, Emmo Germanowna – uśmiechnęłam się smętnie. – Tylko...

– Znowu zapomniałaś kodu do sejfu? – Załamała ręce. – Lenoczko, tak nie można!

Westchnęłam ze skruchą, robiąc nieszczęśliwą minę.

– Zapisuję ci kod tutaj, na kartce – powiedziała Emma Germanowna. – Uważaj, nie zgub!

Podziękowałam i zajęłam się książką. To rzeczywiście był zielnik, ale jaki! Żadnych nudnych pouczeń ani lirycznych wstawek, wszystko wyjaśnione jasno i prosto, rośliny narysowane bez stylizacji, nie mogło być żadnych kłopotów z rozpoznawaniem, szczegółowe instrukcje dotyczące użycia tej czy innej rośliny, dozowanie... Zamyśliłam się. Czy nasza profesorka od medycyny ludowej miała tę książkę chociaż raz w ręku? Biorąc pod uwagę brednie, jakie nam opowiadała, raczej nie.

Rozejrzałam się dookoła jak złodziej, ale nie dostrzegłam nigdzie Emmy Germanowny, więc wyjęłam z torebki malutki aparat cyfrowy, który dostałam od rodziców na urodziny i sfotografowałam kilka najciekawszych stron. A po krótkim namyśle cyknęłam jeszcze kilkadziesiąt.

Nie wiadomo, czy uda mi się dostać do magazynu, a taki zielnik jest rzeczą przydatną również na co dzień.

Wieczorem, jak to miała w zwyczaju prawdziwa Lenoczka, zaczęłam zbierać się do domu na godzinę przed końcem pracy. Emma Germanowna miłościwie mnie zwolniła, ucieszona moim nieoczekiwanym zainteresowaniem medycyną ludową i nawet nie wspomniała o tym, że kazała mi zanieść zielnik do magazynu. Oczywiście nigdzie nie poszłam, tylko postarałam się zlać ze ścianą w korytarzu. Niebawem obok przemaszerowała Emma Germanowna, spojrzała na mnie, wymamrotała

coś w rodzaju: „Dawno już trzeba było tu odmalować”, zamknęła drzwi i wyszła.

Zostałam w bibliotece sama. Było ciemno, cicho i jakoś tak strasznie.

Wyjęłam z torby latarkę – bałam się zapalać górne światło, żeby nie przyciągnąć czyjejs uwagi. Nigdy nie wiadomo, kto po zmroku może kręcić się po uczelni, a nuż stróż się zainteresuje...? Znalazłam sejf, wystukałam na panelu kod, który tak uprzejmie podała mi Makrela i wyjęłam klucz. A dokładnie cały pęk kluczy, w tym jeden elektroniczny, służący do wyłączenia alarmu.

Otwierając drzwi magazynu, czułam się jak jedna z żon Sinobrodego. W zasadzie nie jestem tchórzem, ale tym razem coś w środku mnie trzęsło się, a do tego czułam dziwną słabość w nogach. Chociaż mogły to być efekty uboczne przesycenia organizmu kofeiną.

Sam magazyn okazał się niezbyt interesujący. Duże pomieszczenie było ciasno zastawione regałami, do granic możliwości nabitymi książkami. Pomiedzy nimi zostawiono przejścia tak wąskie, że dwie osoby nie dałyby rady się wyminąć. Pospacerowałam między półkami i znalazłam jeszcze kilka innych starych zielników. Potem dotarłam do działu... magii bojowej! Przynajmniej tak głosił napis na tabliczce. No proszę, tyle są warte zapewnienia kierownictwa, że PUM nie ma nic wspólnego z bojową magią! Zdjęłam z półki jeden foliał, drugi, przekartkowałam... ale nie zrozumiałam ani słowa. Nie chodziło nawet o to, że opisana tam była jakaś abrakadabra – ostatecznie wszystkie zaklęcia tak brzmią – ale w tych książkach nie byłam w stanie rozpoznać nawet jednej litery!

Zdusiłam w sobie uczucie gorzkiego rozczarowania, rozejrzałam się po magazynie i wzięłam do ręki czerwony tom pod tytułem *Flora i fauna Gór Północnych: mity i rzeczywistość*. Gdzie znajdowały się te całe Góry Północne, nie miałam pojęcia, ale książka okazała się nadzwyczaj ciekawa.

Zużyłam na nią resztę pamięci cyfrówki, a potem wyszłam z magazynu. Zamknęłam drzwi, włączyłam system alarmowy, schowałam klucze do sejfu i zaczęłam szykować sobie nocleg.

Legowisko na stole było niezbyt wygodne, a do tego kawa (niech będzie przeklęta) zdrowo mnie rozbudziła, pograżyłam się więc w rozmyślaniach. No cóż, teraz przynajmniej wiedziałam, że nie wszyscy w tych ścianach zajmują się głupotami. Na szóstym piętrze najwyraźniej robią coś poważnego, ale kto i co? I jak by się można tego dowiedzieć? Długo jeszcze snułam fantastyczne plany odkrycia tajemnic szóstego piętra, ale w końcu, mimo wszystko, usnęłam.

Emma Germanowna przyszła, jak zwykle, bardzo wcześnie. Udało mi się zgrabnie wyślizgnąć z biblioteki, nie korzystając nawet z iluzji. Mam nadzieję, że Lenoczka nie zdziwi się za bardzo, gdy Emma Germanowna zacznie wychwalać jej wczorajszy pęd do wiedzy. Pewnie dojdzie do wniosku, że staruszce coś się w głowie poprzestawiało, ale głośno tego nie powie, jest zbyt dobrze wychowana. Co najwyżej wygada studentom. To też nieciekawie... A nuż się rozniesie i ktoś zacznie zadawać niewygodne pytania! Szkoda, że nie zastanowiłam się nad tym wcześniej. Ze mną zawsze tak jest, najpierw robię, a rozsądek działa z opóźnionym zapłonem. Ale mimo wszystko, tym razem było warto...

Na wszelki wypadek przez kilka dni nie pojawiałam się w bibliotece. A na trzeci dzień, podczas jednego z seminariów, do audytorium zajrzała laborantka Masza i powiedziała: – Czernowa! Natychmiast do rektora!

Poczułam, jak serce podchodzi mi do gardła. Czyżby dowiedzieli się o moich wyczynach? Ale co takiego straszego zrobiłam, żeby zaraz wzywać mnie do samego rektora? Dlaczego nie do kierownika wydziału albo dziekana?

Wszyscy gapili się na mnie z niezdrową ciekawością. Wyszłam z sali na miękkich nogach i zapytałam: – Do którego gabinetu?

– Sześćset dziewięćdziesiąt sześć – odpowiedziała zalekniona Masza. – Na szóstym piętrze...

– Domyśliłam się – fuknęłam i ruszyłam do windy.

W głowie miałam kompletną pustkę, ale jednego byłam pewna: najgorsze, co mi mogą zrobić, to skreślić z listy studentów. I wreszcie przyszło mi na myśl: jeśli w magazynie jest system alarmowy, to w środku mogły być także i kamery! Pewnie szukali mnie kilka dni – porównywali moją niczym niewyróżniającą się fizjonomię ze zdjęciami studentów. Chociaż możliwe, że poszukiwania prowadzono jakimiś nowocześniejszymi metodami. Jeśli prawdą jest to, co słyszałam o magach poszukiwaczach, i jeśli chociaż jeden taki jest u nas na PUM, to dla niego znaleźć mnie to tyle, co splunąć. „No tak, Czernowa, taki z ciebie tajny agent jak z koziego tyłka waltornia!”, pomyślałam, nie wiadomo dlaczego, radośnie. Ciekawe, co mi mogą przypiąć? Włamanie? To się samo przez się rozumie. Dobrze chociaż, że nic stamtąd nie wyniosłam. Sfotografowałam kilka stron, ale jeśli są to tajne dane, to za to też mnie nikt po głowie nie pogłaszcze...

Dotarłam na szóste piętro i ruszyłam wzdłuż korytarza, sprawdzając numery gabinetów. Ma być 696... Dobrze, że nie 666... Stop! Jaki znowu pokój 696?! Na piątym piętrze ostatni miał numer 518! Korytarz tam kończy się ścianą z oknem, przez które wspaniale widać jedynie zagracone podwórko.

Poczułam, jak mi drżą nogi, tym razem na pewno nie z powodu kawy. W ogóle na szóstym piętrze było nieprzyjemnie. Lampy świeciły słabo, ciemnoczerwony chodnik tłumił odgłosy kroków, więc w korytarzu panowała nienaturalna cisza.

„Nie ma co myśleć o głupotach”, nakazałam sobie stanowczo. W końcu zobaczyłam drzwi gabinetu, którego szukałam.

Spojrzałam w prawo – korytarz ciągnął się w nieskończoność, najwyraźniej nie chcąc podporządkować się prawom architektury i konfiguracji nudnego budynku PUM. Zebrałam się w sobie i drżącą ręką zastukałam do drzwi.

– Proszę – usłyszałam.

Nacisnęłam klamkę, pociągnęłam ciężkie drzwi i ostrożnie przekroczyłam próg.

W gabinecie było mroczno, grube zasłony nie wpuszczały dziennego światła, tylko niewielka lampka paliła się na ogromnym biurku. Siedzącego za nim człowieka nie mogłam dojrzeć, w kręgu światła wyraźnie widziałam tylko jego ręce złożone na stercie papierów.

– Czernowa? – zapytał człowiek siedzący za biurkiem. Nagle zrozumiałam, że w żadnym wypadku nie może to być nasz rektor, którego nieraz widziałam – tamten był posuniętym w latach tęgawym dziadkiem, no i głos miał całkiem inny. W takim razie kto to jest? W co wdepnęłam?

– Tak – wykrztusiłam.

– Sądzę, że domyśla się pani, dlaczego panią wezwałem – powiedział mężczyzna.

Milczałam, patrząc na jego dłonie. Na serdecznym palcu lewej ręki nosił pierścień ze sporym, matowoczarnym owalnym kamieniem. Kamień przecinał pionowy złoty pasek, przez co przypominał oko z kocią źrenicą. Mężczyzna rozplótł ręce – miałam wrażenie, że oko sygnetu mrugnęło do mnie – i zaczął stukać palcami w stół.

– Za zaniedbanie znane pani Śliwina i Sztolc zostaną zwolnione – oznajmił. – Bez względu na to, że tę pierwszą popiera ktoś liczący się na tej uczelni.

„Ciekawe, czy nie ty?”, pomyślałam, ale nie powiedziałam tego głośno.

– Nie wstawi się pani za nimi, ani nie weźmie na siebie ich winy? – spytał.

– A czy to coś zmieni? – zapytałam ponuro.

– Nie – odpowiedział mężczyzna. – Zwolnienia zostały już podpisane. A pani zostanie skreślona z listy studentów za zachowanie niegodne studenta PUM.

„No i do diabła z tobą”, pomyślałam. „Pójdę na ekonomię”.

– Chociaż... – Mężczyzna wstał, opierając się lekko koniuszkami palców o blat. – Mogłaby pani zostać na uczelni, tyle tylko, że straciłaby pani rok.

„Jeszcze raz mam słuchać tych bzdur, którymi męczyli nas w zeszłym roku?”, przeraziłam się.

– Będzie pani także musiała zmienić specjalność – dodał.

– Na jaką? – spytałam.

– Potem się pani dowie – odparł szorstko. – Oczywiście, tylko jeśli się pani zgodzi. Jeśli nie, drzwi są tam. Dokumenty odbierze pani w dziekanacie.

– Ja... zgadzam się – wydukałam, wyobrażając sobie, jaki skandal wybuchłby w domu na wieść, że wyleciałam z uczelni. Gdybym chociaż sama odeszła! Może gdyby przedstawić to tak, że pod wpływem rodzicielskiej mądrości postanowiłam zmienić kierunek studiów... Nie, to nie przejdzie. Starzy nie są głupi.

– Dobrze. – Mężczyzna znowu usiadł za biurkiem i przysunął sobie jakiś formularz. Wziął długopis, ale natychmiast go odłożył. – Najpierw musi pani odpowiedzieć na kilka pytań.

Kiwnęłam głową. Zupełnie nie miałam ochoty dyskutować z tym typem. W jego głosie było coś takiego, co kazało mi się podporządkować.

– Po co zakradła się pani nocą do magazynu książek? – zapytał.

– No... – Nie wiedziałam od czego zacząć, byłam całkiem zbita z tropu, czując na sobie skupiony wzrok obserwatora. – Myślałam...

– Ten proces wciąż jeszcze występuje u współczesnych studentów? – rzucił mężczyzna ironicznie.

Odetchnęłam głęboko i wypaliłam:

– Chciałam dowiedzieć się czegoś naprawdę wartościowego. Dość mam tych bzdur, które nam tu wciskają!

– Będzie pani jeszcze miała taką możliwość – powiedział i napisał coś na formularzu. Podał mi kartkę i dodał: – Proszę być jutro o ósmej rano w sali sześćset osiemnaście. W przypadku spóźnienia może pani uważać się za skreśloną z listy studentów.

Przyciskając papier do piersi, wyskoczyłam na korytarz. Po ciemności panującej w gabinecie, blade światło lamp wydawało mi się oślepiające. Spojrzałam na kartkę. Wyrazistym charakterem pisma skreślono na niej tylko kilka słów. Czy muszę dodawać, że nic z tego nie zrozumiałam?



Następnego dnia zjawiłam się na uczelni za piętnaście ósma. Ileż trudu kosztowało mnie wstanie o szóstej rano, to przekracza granice ludzkiej wyobraźni!

Wjechałam na szóste piętro, piorunem przebiegłam przez korytarz... i znalazłam się w ślepych zaułku. Ciekawostka! Korytarz kończył się, tak samo jak na piątym, salą o numerze z końcówką 18, a przez okno na jego końcu widać było podwórko. Ciekawe, może korytarz wydłuża się w nieskończoność tylko czasami? A może ta ślepa ściana to iluzja? A może sam korytarz to iluzja? Zgadywać można w nieskończoność – takimi rozmyślaniami skróciłam sobie czas oczekiwania. Sala była zamknięta, musiałam więc stać pod drzwiami.

Stopniowo nadeszli inni – trzech chłopaków i dwie dziewczyny. Żadne z nich nie spróbowało zagadać do mnie ani do kogoś z pozostałych, a spojrzenia, którymi się wymieniali, trudno nazwać przyjaznymi.

Nareszcie pojawiła się woźna w niebieskim fartuchu i otworzyła drzwi. Weszliśmy do sali.

Na pierwszy rzut oka nie było tam nic ciekawego. Tylko po co te kraty w oknach? Pewnie, żeby nikt nie wypadł przypadkiem. Albo nie wyskoczył ze strachu.

Zajęłam swój ulubiony kącik – pierwszą ławkę w rzędzie pod ścianą. O dziwo, na to właśnie miejsce wykładowcy na ogół nie zwracają uwagi, śledząc uważnie ostatnie stoliki.

Jedna z dziewcząt usiadła w drugiej ławce w środkowym rzędzie, a druga, po chwili zastanowienia, tuż za nią. Chłopcy usadowili się w rzędzie pod oknem, też pojedynczo. Wszedł z tego taki dziwny trójką.

Gdzieś w oddali zadźwięczał dzwonek. Spojrzałam na zegarek – była dokładnie ósma. W tej samej chwili drzwi otworzyły się i do sali wszedł nieznajomy mężczyzna, na oko w wieku koło trzydziestki. Nie było w nim nic ciekawego – pospolita twarz, bladozielone oczy i starannie przystrzyżone rudawe włosy. Gdzie nie splunąć, na takiego trafisz.

Stanął przed nami, przebiegł wzrokiem po sali i położył na stole jakąś teczkę.

– Wszyscy są – stwierdził, a pierścień na serdecznym palcu jego lewej ręki błysnął złotą iskierką.

Ale już wcześniej, zanim zauważyłam pierścień, rozpoznałam głos – był to ten straszny typ, z którym miałam wczoraj raczej nieprzyjemną pogawędkę! Jeśli będzie nam coś wykładać, to może lepiej od razu zrezygnować, póki jeszcze nie jest za późno?

– Pozwolą państwo, że się przedstawię – powiedział. – Igor Georgiewicz Dawletiarow. Opiekun tej grupy.

Ależ ma nazwisko! Język można połamać. Trzeba przyznać, że głos ma znacznie bardziej interesujący, niż powierzchowność, a już z pewnością bardziej wyrazisty.

– Wykładowca nieco się spóźni – kontynuował Dawletiarow. – Mamy więc trochę czasu na omówienie zagadnień organizacyjnych. Zaczniemy od sprawdzenia listy obecności.

Wyjął z teczki arkusz i wyczytał pierwsze nazwisko: – Bałaszowa Małgorzata.

– To ja – powiedziała wysoka brunetka, ta, która zajęła pierwszą ławkę w środkowym rzędzie. Wyglądała na niezłą zarazę, a odstawiona była jak modelka. Inna sprawa, że ostatnio trudno kogoś tym zadziwić. Na naszym uniwerku trafiają się tak egzotycznie ubrane osobniki, że nieraz ma się ochotę zrobić zdjęcie na pamiątkę. Jedno było jasne – z tą ślicznotką się nie zaprzyjaźnię.

Chociaż nie wyróżniam się oszałamiającą urodą, a na tle takich piękności wyglądam jak szara myszka, to jednak, nie wiadomo dlaczego, strasznie je irytuję. Najwyraźniej z powodu paskudnego charakteru.

– Nie nauczono pani, że należy wstawać, gdy wykładowca wyczytuje nazwiska? – zapytał Dawletiarow pieszczotliwym tonem.

Małgorzata lekko się zarumieniła i wstała.

– Proszę usiąść – powiedział do niej Dawletiarow po jakiś dwóch minutach, gdy dziewczyna oblewała się już siódmym potem pod jego spojrzeniem. – Gorenko Swietłana.

– Jestem! – poderwała się druga dziewczyna, sympatyczna kędzierzawa blondynka. Nie mogłam na razie nic o niej powiedzieć. Może okaże się przyzwoita, a może nie.

– Proszę usiąść. Jewdokimow Aleksander.

– Jestem. – Jewdokimow był mizernym szatynem robiącym wrażenie zmęczonego.

– Kowalow Aleksy.

– Jestem. – Kowalow też był szatynem, tyle że niewysokim, o dziecinnej twarzy małego geniuszka.

– Fiodorenko Siergiej.

– Jestem! – Ten był brunetem i to dość przystojnym. Swietłana natychmiast zaczęła robić do niego słodkie oczy, a ja doszłam do wniosku, że nasza grupa nie ma szczęścia do mężczyzn. To znaczy, ja nie mam szczęścia. Małgorzata już się postara, żeby tańczyli, jak im zagra. No i Bóg z nimi...

– Czernowa Naina.

– Jestem – powiedziałam, wyłaząc z ławki. Spojrzało na mnie sześć par oczu. Pięć ciekawskich i jedna obojętna.

– Tak więc, wszyscy są – stwierdził Dawletiarow. – Następny punkt. Proszę położyć ręce na stole.

Z pewnym zdumieniem wszyscy położyli dłonie na ławkach. Swietłana z wyraźnym skrępowaniem. Nie bez powodu – dostrzegłam, że dziewczuszka ma paznokcie obgryzione do krwi. Ale Dawletiarow nie zwrócił na to uwagi. Mnie też zaszczycił tylko krótkim spojrzeniem. Akurat rąk nie muszę się wstydzić. Paznokcie mam łamliwe, więc nie hoduję ich nadmiernie, i nie używam żadnego wymyślnego lakieru. Po prostu złazi już na drugi dzień, a nie mam ochoty użerać się z nim codziennie.

Za to przy ławce Małgorzaty Dawletiarow zatrzymał się. Dziewczyna położyła ręce na ławce z niesamowicie zadowoloną miną. Nic dziwnego. Takich długich paznokci – i to nie tipsów, a wyraźnie naturalnych – w życiu nie widziałam! Wyglądało na to, że panienska Bałaszowa nigdy w życiu nie

musiała zmywać naczyn. Ale Dawletiarow nie docenił tego arcydzieła manikiurzystki. Rzucił na nie okiem i oznajmił lodowato: – Nie chcę jutro widzieć tych szponów.

– Ale dlaczego?! – oburzyła się Małgorzata.

Dawletiarow mocno złapał ją za nadgarstek i, nieoczekiwanie przychodząc na „ty”, rzucił z pasją: – Dlatego, że jeśli niezręcznie rzucisz bojowe zakłęcie z takich palców, to w najlepszym wypadku zostaniesz bez ręki. Czy wyrażam się jasno?

Małgorzata pokornie kiwnęła głową i zrobiła się jakby mniejsza. Ja odwrotnie, najpierw się ucieszyłam, a potem zaczęłam intensywnie myśleć. Bojowe zakłęcie! Czyli jednak się nie pomyliłam, będziemy tutaj zajmować się czymś poważniejszym niż dotąd. Ciekawe tylko, w czym tkwi haczyk...

– Dajcie mi teraz wasze legitymacje studenckie – nakazał Dawletiarow, siadając za stołem. Gdy otrzymał to, czego żądał, zaznaczył w legitymacjach coś długopisem. – Teraz będziecie wchodzić do budynku nie przez główne wejście, a od zaplecza. Są tam stalowe drzwi. Legitymację studencką wykorzystajcie jak magnetyczną kartę sieciową.

– A jeśli ją zgubię? – spytał Kowalow, ten podobny do genialnego dziecka.

– Zostaniesz skreślony z listy studentów – odpowiedział mu Dawletiarow bez mrugnięcia okiem. Najwyraźniej, po odprawieniu rytuału sprawdzania listy, nie uznał za stosowne zwracać sobie dalej głowę konwenansami. Mnie osobiście to odpowiadało, nie wiem dlaczego, ale nie czuję się dobrze, gdy ktoś zwraca się do mnie na „pani”. Wydaje mi się, że to kpina, chociaż najczęściej jest to rzeczywiście przejaw uprzejmości.

– Dzień dobry – rozległ się kobiecy głos i do sali weszła starsza pani. Pod lodowatym spojrzeniem Dawletiarowa natychmiast zerwaliśmy się z miejsc, żeby przywitać ją na stojąco.

– Proszę mi wybaczyć spóźnienie – powiedziała dama, wymieniając z Dawletiarowem powitalne skinienia głowy. – Nazywam się Larysa Romanowna, będę wykładać podstawy magii stosowanej.

– Zostawiam was w takim razie – powiedział Dawletiarow.

– Miłego dnia. – Larysa Romanowna schyliła głowę królewskim gestem.

Gdy Dawletiarow znikł za drzwiami, obdarzywszy nas na pożegnanie spojrzeniem śniętej ryby, kobieta rozejrzała się po sali.

– A więc zaczynamy. Nie będziemy tracić czasu na uprzejmości. Zajmiemy się poważną pracą. Zakładam, że skoro Igor Georgiewicz zdecydował o przeniesieniu was na ten wydział, to posiadacie zdolności niezbędne do tego, czym się teraz zajmiemy. Zaczniemy od prostego zaklęcia materializacji. Słuchajcie uważnie i postarajcie się zapamiętać...

To, co usłyszałam, nie miało ani krzty sensu. Dopiero za drugim razem udało mi się rozróżnić poszczególne słowa, a potem jakoś zapamiętałam całość.

– Teraz patrzcie uważnie na moje ręce – nakazała Larysa Romanowna, gdy upewniła się, że wszyscy opanowali formułę. – Zaklęciu materializacji powinny towarzyszyć określone gesty. Przynajmniej dopóki nie opanujecie zaklęcia na mistrzowskim poziomie.

Z gestami było trudniej. Jewdokimow, na przykład, nie mógł sobie w żaden sposób poradzić z finalnym pasażem. W końcu udało mu się wykręcić palce pod odpowiednim kątem, a wtedy nasza profesorka oznajmiła: – A teraz najważniejsze: połączenie gestów i słów. Powtórzcie zaklęcie w myślach, wykonując jednocześnie odpowiednie gesty. Na razie nie trzeba nic mówić na głos!

Sumiennie robiliśmy to, co nam kazano. Muszę przyznać, że czułam się dość głupio. Zupełnie jak przedszkolna gimnastyka poranna: „A teraz,

drogie dzieci, weźcie do ręki skakanki!”. Ale przecież to materializacja przedmiotów! Dotychczas o tym tylko słyszałam.

– Dobrze – powiedziała Larysa Romanowna. – Teraz przejdziemy do praktycznego wykorzystania formuły. Ćwiczyć będziemy na zapałkach. A więc uwaga, pokazuję...

Wypowiedziała formułę, wykonując jednocześnie odpowiednie ruchy rękami i – nie mogłam uwierzyć własnym oczom – przed nią na stole rzeczywiście pojawiła się zapałka!

– Możecie spróbować zapalić nią papierosa, jeśli ktoś z was wątpi w jej realność – zaproponowała nasza nauczycielka. – Nie ma niedowiarków? A może nikt nie pali? – Zaśmialiśmy się nieco nerwowo. – A więc zaczynamy. Zaczniemy od... – Spojrzała na listę. – Czernowa Naina?

– To ja – powiedziałam, wstając i czując, jak serce ucieka mi w pięty. A jeśli nic mi nie wyjdzie?

– Świetnie. Kolejność czynności pani zapamiętała, teraz pozostało tylko włączyć wyobraźnię. Gdy będzie pani kończyć formułę i wykonywać ostatni gest, proszę wyobrazić sobie, najlepiej jak tylko pani potrafi, przedmiot, który chce pani otrzymać. A więc...?

Postarałam wziąć się w garść i zaczęłam recytować zaklęcie. Moje ręce automatycznie wykonywały odpowiednie gesty... Aha, zapałka? Co to takiego? Taka drewniana pałeczka z kolorowym łebkiem z siarki. Nagle przypomniały mi się zapałki, które widywałam tylko w dzieciństwie, nie z brązowymi łebkami, a z jasnozielonymi. Strasznie mi się podobały, lubiłam sklejać z nich domki...

Wymówiłam ostatnie zdanie formuły. Miałam wrażenie, jakby w moim wnętrzu coś się naprężyło, a potem natychmiast opadło.

Opuściłam wzrok: przede mną leżała zapałka. Dokładnie taka, jaką sobie wyobraziłam, z zielonym łebkiem.

– Bardzo dobrze. – Larysa Romanowna z zadowoleniem pokiwała głową. – Widzę, że chociaż jedna osoba opanowała lekcję. Teraz pan...

Gdy pozostali z wysiłkiem wyciągali zapałki z powietrza, ja starałam się dobrać do siebie. To jest coś! Czyżby mi się poszczęściło? Czyżbym nareszcie miała nauczyć się czegoś pożytecznego? „Tak, a potem pójde pracować w fabryce zapałek”, dodał wewnętrzny głos z sarkazmem.

– Uwaga! – Larysa Romanowna zastukała w biurko. – Brawo, pierwsze doświadczenie zakończyło się sukcesem. Kontynuujemy...

No i kontynuowaliśmy... Bicie trzy godziny ćwiczyliśmy na tych przeklętych zapałkach, aby nauczyć się lekko i bez wysiłku tworzyć je najpierw bez pomocy rąk, potem bez pomocy głosu, samym tylko gestem, a na koniec wyłącznie siłą woli.

Pod koniec zajęć czułam się jak wyciśnięta cytryna. Pozostali również wyglądali nietęgo, ale nikt się nie buntował. Najwyraźniej nie mieli ochoty na skreślenie z listy studentów. Zastanawiałam się, za jakież to przestępstwa dostała się na ten wydział reszta ludzi z mojej grupy? Też chcieli poznać ukrytą przed wszystkimi wiedzę, czy może przyczyny były inne? I cóż za wygodny przypadek sprawił, że znaleźliśmy się tu jednocześnie, czyli na samym początku roku akademickiego?

– A więc – przerwała moje rozmyślenia Larysa Romanowna – jeszcze jeden wysiłek, moi kochani, i puszcze was. Czego od was chce? Żebyście stworzyli jakiś złożony przedmiot. Oczywiście nie zapałkę, mamy ich tu pod dostatkiem. Ograniczeniem jest tylko wielkość: przedmiot nie powinien być większy niż piłka tenisowa. Wszyscy wiedzą, jak wygląda piłka do tenisa? Świetnie. Zaczynajcie. Macie pięć minut.

Profesorka wyszła z sali, a my czuliśmy się nieco zagubieni. Zamknęłam oczy, żeby się nie dekoncentrować i wyobraziłam sobie jabłko. Jabłko to przecież złożony przedmiot, nieprawdaż? Do tego byłam bardzo głodna.

Gdy się zdenerwuję, zawsze chce mi się jeść. Dobrze chociaż, że niezbyt często aż tak się nakręcam, bo inaczej roztyłabym się do niewyobrażalnych rozmiarów.

A więc... (Przyczepiło się do mnie ulubione słówko Larysy Romanowny!). Jabłko... Powiedzmy Lobo – nie są zbyt duże. Takie zielone, z czerwonym rumieńcem, błyszczące... Gdy się je ugryzie, sok pryska na wszystkie strony, miąższ mają miękki, kwaśnosłodki, skórka trochę cierpka, jakby gorzkawa...

Otwarłam oczy. A niech mnie, udało się! Jabłko aż się prosiło, żeby je zjeść!

Rozejrzałam się, żeby zobaczyć osiągnięcia innych. Jewdokimow poszedł po linii najmniejszego oporu i zrobił pudełko zapalek. Przed Kowalowem leżał nóż, przed Fiodorenką – breloczek z logo Mercedesa. Swietłana obracała w dłoniach spinkę do włosów, Małgorzata – ołówek.

– Wszyscy gotowi? – Larysa Romanowna wróciła do sali. – A więc, co macie? Hmm...

Małgorzata bazgrała coś swoim ołówkiem na kartce, a potem nachyliła się w moją stronę i złośliwie wyszeptwała: – Ołówek chociaż pisze, a czy twoje jabłko jest jadalne?

Z niewiadomego powodu zrobiło mi się tak przykro, że o mało się nie rozplakałam. Nie namyślając się długo, złapałam jabłko i odgryzłam prawie połowę. Jabłko jak jabłko. W zeszłym roku zebraliśmy na działce prawie dwa worki takich samych.

– No cóż – wesoło powiedziała Larysa Romanowna, obserwując mnie z zainteresowaniem. – Jeśli wynik eksperymentu magicznego można zjeść, dowodzi to powodzenia owegoż eksperymentu! Dobrze dziś pracowaliście, moi drodzy! Czekam na was jutro o wpół do dziewiątej. Ósma to, moim zdaniem, za wcześnie.

– Wpół do dziewiątej to też za wcześnie – burknął Kowalow pod nosem.
– Dojazd zajmuje mi dwie godziny.

– Trudno, nic na to nie poradzę – odpowiedziała Larysa Romanowna, dowodząc tym samym, że ma świetny słuch. – Plan zajęć układał Igor Georgiewicz, a on, na wasze nieszczęście, mało tego, że sam jest rannym ptaszkiem, to jeszcze sądzi, że pozostali są takimi samymi skowroneczkami. A tak, o mało co nie zapomniałam. Praca domowa: spróbujcie przeprowadzić materializację przedmiotu o złożonej konstrukcji, wynik pokażecie jutro. Do widzenia!

Wybiegliśmy na korytarz i ruszyliśmy w stronę schodów. Na chwilę obejrzałam się przez ramię. Korytarz znowu dążył do nieskończoności. Nie, to nie jest piętro, a jedna wielka fizyczna anomalia.

O dziwo, następnego ranka nikt się nie spóźnił. Larysa Romanowna weszła do audytorium idealnie o ósmej trzydzieści, przywitała się i kazała nam rozpocząć prezentację prac domowych. Tym razem, dla urozmaicenia, zaczęła odliczanie od drugiej strony listy.

Małgorzata, pozbawiona już swych imponujących paznokci, zademonstrowała bogaty zestaw do manikiuru. Po tej prezentacji długo nie mogliśmy przestać się śmiać, a ja doszłam do wniosku, że dziewczyna przynajmniej ma poczucie humoru. Ale mimo to nie nabrałam ochoty do bliższych kontaktów. Swietłana stworzyła koronkową serwetkę o skomplikowanym wzorze. Jewdokimow nie zrobił na nikim wrażenia, pokazując notatnik na sprężynce, Fiodorenko przygotował samochodzik zabawkę, a Kowalow – telefon komórkowy. Ostatni przedmiot bardzo zainteresował Larysę Romanownę.

– Aloszka, skarbie, czy to działa? – zapytała słodkim głosem.

– N–nie... – wyjąkał „skarb”.

– A dlaczego?

– Nie wiem... – odpowiedział, obracając telefon w rękach. – W domu działał.

– Jakoś nie chce mi się w to wierzyć. – Nasza nauczycielka pokiwała głową. – Alosza, czy wiesz dokładnie, jak działa taki aparat?

Nasz młody geniusz zmieszał się jeszcze bardziej, a Małgorzata rzuciła wesolutko: – Z ciebie jest po prostu istny stary Merlin!

– Dlaczego? – obraził się Alosza na wszelki wypadek.

– Gdyby Merlin zrobił aparat telefoniczny, pewnie by działał tak samo jak i twój. Tylko pewnie jego byłby z brązu... ze złoceniami – rzekła kpiąco.

– I celtyckim ornamentem – dodał ktoś z sali.

– Małgorzata ma rację. Jeśli nie wie się szczegółowo, jak zbudowana jest dana rzecz, nie uda się jej stworzyć. To jedno z ograniczeń magii, wynikające z samej natury przedmiotów – wyjaśniła profesorka.

Aha. Teraz w końcu zrozumiałam, dlaczego przemysł ma się dobrze w świecie, w którym istnieje magia! Spróbujcie stworzyć od razu na przykład traktor... Co tam traktor, weźmy kolorowy telewizor! Po pierwsze, magów zdolnych do czegoś takiego można pewnie policzyć na palcach jednej ręki. Po drugie, poznanie wszystkich elementów zajęłoby mnóstwo czasu, i nie sądzę, żebym na przykład ja była w stanie pojąć zasadę działania odtwarzacza DVD czy chociażby zwykłego kalkulatora. A jeśli tworzyć go część po części... To byłoby, wybaczenie, zwykłe marnowanie potencjału! Nie sądzę, by ktokolwiek zdecydował się postawić nawet kiepskiego maga przy taśmie produkcyjnej z odlewami jakichś śrubek. Dużo prościej i taniej wyjdzie zrobić je maszynowo.

Więc to dlatego w niewielu dziedzinach magia jest na porządku dziennym. Oczywiście, istnieją „medycy”, „iluzjoniści”, „wsioki” – całkiem pokojowe zawody, pożyteczne dla społeczeństwa... A co ma zrobić cała reszta? Powiedzmy, że ktoś pracuje dla służb specjalnych albo po

prostu jakichś bogaczy, tak od zawsze było. Różnie się zdarza, czasem trzeba podsłuchać czyjeś rozmowy albo na odwrót, dopilnować, żeby nikt nie podsłuchał twoich. Ktoś działa w prywatnych firmach o podobnym profilu... A kto inny bawi szarych obywateli przepowiedniami. Jedną taką firmę sama znam, mają na jedną parę prawdziwych magów wieszczów dziesięciu szarlatanów! Ale to tyle.

Tak więc w przypadku braku jakichś nadzwyczajnych zdolności nie można też niczego nadzwyczajnego oczekiwać od życia. W najlepszym razie – kariery teoretyka, ale i tutaj są pewne przeszkody. Magia to nie jest żadna chemia ani fizyka, tak więc w celu przeprowadzania doświadczeń należy mieć odpowiedni potencjał. Oczywiście, zawsze można wymodelować proces na komputerze, ale będzie to model bardzo toporny, ponieważ wyniki doświadczenia zależą tu od zdolności i osobowości prowadzącego. Zgadza się, zawsze można ćwiczyć na innych, ale w tym celu należy najpierw pozyskać wystarczający prestiż w społeczności naukowej, wpływy, znajomości... A jeżeli jesteś średniakiem, to ci, rzecz jasna, nie grozi. Błędne koło...

– No cóż, została tylko Czernowa – powiedziała Larysa Romanowna, przerywając moje rozmyślenia.

Westchnęłam i skoncentrowałam się. Wybrałam statuetkę z brązu przedstawiającą jeźdźca. W domu ćwiczyłam na malutkich figurkach, a teraz postanowiłam zrobić większą.

– Dobrze. – Profesorka pochwaliła moją pracę, obserwując, jak staram się złapać oddech. Potem schyliła się i szepnęła: – Czy wiesz, dlaczego tak się zmęczyłaś?

– Nie. – Pokręciłam głową. – Rzeźba nie jest przecież duża...

– Jest niewielka – potwierdziła. – Ale ma sporą masę. W przyszłości bardziej uważaj, żeby się nie przeciążyć.

Larysa Romanowna odeszła ode mnie i zwróciła się do całej grupy: – A teraz chcę was o coś spytać. I postarajcie się odpowiedzieć uczciwie. Kto z was próbował w domu stworzyć pieniądze?

Poczułam, że się czerwienię i kątem oka zauważyłam, że Swieta zrobiła się purpurowa, a Małgorzata zaczęła gwałtownie szukać czegoś w torbie.

– Próbowaliście – skostatowała Larysa Romanowna. – Nie ma się czego wstydzić. I co, udało się?

– Nie. – Kowalow odpowiedział za wszystkich.

– Chcecie wiedzieć, dlaczego? – Nie doczekawszy się od nikogo odpowiedzi, nauczycielka ciągnęła dalej: – Chodzi o to, że w zaklęcie wbudowane są ograniczenia. Ten, kto je stworzył, podjął kroki, żeby magowie nie ulegli pokusie wzbogacenia się w ten sposób. A że zaklęcie nie jest specjalnie skomplikowane, sami rozumiecie, że taka pokusa pojawiła się u wielu!

– No dobrze – Kowalow przerwał jej nieuprzejmie. – Założmy, że nie możemy stworzyć banknotu, bo jest w nim wiele zabezpieczeń, o których po prostu nie wiemy, więc pieniądze, tak czy siak, wyszłyby fałszywe. Ale, na przykład, złota moneta albo brylant? Dlaczego też nie wychodzą?

– A dlatego, mój drogi – odpowiedziała Larysa Romanowna – że zaklęcie powstało w czasach, gdy w obiegu były właśnie złote monety i drogie kamienie, a nie współczesne papierki. – Milczała chwilę, a potem dodała: – Dziwne, że nie dowiedzieliście się o tym na wykładach z historii magii... Zdaje się, że to zakres materiału jeszcze z trzeciego roku.

Na wszelki wypadek wbiłam wzrok w ławkę. Wykłady z historii najczęściej bezczelnie opuszczałam, dlatego nie mogłam powiedzieć, czy mówiono tam coś o zagadnieniu tworzenia cennych metali czy nie. Sądząc po zachowaniu pozostałych, oni także nie żywili głębszych uczuć do wspomnianego przedmiotu.

– Czy to ograniczenie można jakoś ominąć? – rozległ się głos Jewdokimowa.

– No cóż, przynajmniej dla was jest to niewykonalne – odpowiedziała Larysa Romanowna. – Dla mnie zresztą też. Obecnie nie ma magów tak potężnych, by mogli zmienić ograniczenie zaklęcia bazowego. Być może w przyszłości...

Westchnęła, rozłożyła ręce, a ja odniosłam wrażenie, że czegoś nie dopowiedziała. Chociaż o tym, że z biegiem lat pojawia się coraz mniej magów o wysokim potencjale, już gdzieś słyszałam. Wtedy nie przywiązałam do sprawy większej wagi, a przecież zagadnienie było dosyć ciekawe... Ale profesorka już zmieniła temat: – Coś się zagadaliśmy. Zaczniemy zajęcia. Dzisiaj zajmiemy się dematerializacją.

– A co, trzeba poprzednie zaklęcie wypowiedzieć od tyłu? – zapytał Fiodorenko, a ja zrozumiałam, że już próbował. Na pewno stworzył coś kompletnie odjechanego i chciał się tego jakoś pozbyć.

– Nie, gołąbeczku – odpowiedziała Larysa Romanowna. – Słuchajcie i zapamiętujcie...

Gdy opanowaliśmy teorię, zaczęła tradycyjnie ode mnie. Zrobiłam wszystko jak należy, żeby zniszczyć figurkę (choć było mi jej żal). Znikła, ale za to w blacie stolika z niewiadomych powodów powstała okrągła dziura wielkości sporego talerza.

– Nic się nie stało – szybko uspokoiła mnie Larysa Romanowna, przeciągnęła ręką nad ławką i blat znowu był cały. – Wysłałaś zbyt silny impuls. Postaraj się lepiej kontrolować. Spróbuj jeszcze raz.

Spróbowałam jeszcze raz i jeszcze... Pod koniec zajęć tak dokładnie przestudiowałam swoją ławkę, że mogłabym pracować w fabryce mebli. Kilka razy znikła razem z kawałkiem podłogi, ale w końcu nauczyłam się dobrze oceniać użytą siłę. Pozostali otwarcie śmiali się ze mnie, ale Larysa

Romanowna wcale nie wyglądała na rozczarowaną moimi niepowodzeniami. Zaciekawilo mnie to, ale nie moglam dojsc, o co chodzi, a spytac wprost nie mialam odwagi.

Zadajac prace domowa, profesorka uprzedzila nas: – Zaklecie, ktorego sie dzisiaj nauczyliscie, nadaje sie tylko do niszczenia materii nieozywionej, a i to o ograniczonych rozmiarach. Ciężarówka nie uda sie wam zdematerializowac, i nie chodzi tu o wasze zdolnosci.

– Znowu ograniczenie? – zapytal Kowalow.

– Tak, jest to konieczne – westchnela Larysa Romanowna. – Szczerze wierze, ze jesteście rozsądnymi mlodymi ludźmi i można wam zaufac, ale Igor Georgiewicz, niestety, nie podziela tego przekonania, dlatego na bardziej zlozone zaklęcia bedziecie musieli poczekac. Do jutra, moi drodzy. Proszę sie porzadnie przygotowac.

No i zaczela sie nauka. Wlasciwie nie bylo szczegolnie ciezko, pod warunkiem, ze czlowiek sie nie lenil i nie opuszczal zajec. Wspominalam juz, ze ciekawych rzeczy ucze sie latwo, a tu nie sposob bylo sie nudzic, wiec wszystko szlo mi niemal calkiem bezproblemowo.

Nieco nas zmartwilo, ze zaliczenia bedziemy zdawac nie, jak to jest wszedzie przyjete, na zakonczenie semestru, ale co miesiac. I to calkiem powazne zaliczenia! Larysa Romanowna, choc wydawala sie taka lagodna, na zaliczeniach tak nas maglowala, ze potem czulismy sie jak przepuszczeni przez prawdziwa wyzmaczke! Na szczescie material podstawowego kursu okazal sie niezbyt obszerny. Nauczylismy sie materializacji, dematerializacji, telekinezy i teleportacji niewielkich przedmiotow, po czym Larysa Romanowna przekazala nas innemu wykladowcy.

Postawny Lew Andriejewicz uczyl nas pracy z materia ozywiona. Nie bylo to specjalnie trudne, ale za to nudne i zmudne – trzeba bylo wyobrazic

sobie cykl życiowy zwierzęcia ze wszystkimi szczegółami, a do tego nieustannie pamiętać o dziesiątkach aksjomatów i zasad. Po raz kolejny przekonałam się, że ta dziedzina nauki absolutnie mnie nie pociąga i ostatecznie pożegnałam się z myślą o magii leczniczej i weterynaryjnej.

Ale od czasu do czasu trafiały się wesołe chwile nawet podczas „studiowania zwierzątek”. Nigdy nie zapomnę dnia, gdy pracowaliśmy ze ślimakami! Najlepiej z żywą materią radził sobie Alosza Kowalow: ameby wychodziły mu nadzwyczaj energiczne, kaktusy i muchomory rosły jak na drożdżach, więc i jego ślimak bardzo szybko zaczął pełzać po ławce. Mnie ślimak udał się dopiero za osiemnastym razem. Jak zwykle o czymś zapomniałam i muszelka wyszła mi niebieściutka jak bukiet niezapominajek. Musiałam udawać, że tak miało być, z tak zwanych powodów estetycznych. Swietłanie natomiast wyraźnie nie szło. To znaczy, szło jej jeszcze gorzej niż mnie, a to mówi samo za siebie. W końcu Lew Andriejewicz nie wytrzymał i zaczął jej podpowiadać. Ale czy rady były przeznaczone dla osobników zdolniejszych, czy może to Swieta coś pomyliła... W rezultacie, sekundę po końcowym *passé*, salą wstrząsnął najpierw dziki pisk Swietłany, a potem równie dziki powszechny śmiech.

Na ławce Swietłany leżał ślimak, ale jaki! Biedne stworzenie było wielkości wyrośniętego barana. Końce ślimaczego ciała zwisały z obu stron ławki. Nie zdążyliśmy się opanować, gdy ślimak pacnął na podłogę i zaczął rażno pełzać po audytorium, a Swietłana zemdłała, z przemęczenia lub szoku.

Zanim wspólnym wysiłkiem udało nam się pozbyć potwora, zdążył pół sali wymazać lepkiem śluzem i wszyscy przyklejali się do podłogi. Jednym słowem, dostało nam się jeszcze za uniemożliwienie prowadzenia zajęć.

Oberwaliśmy, naturalnie, od Dawletiarowa, który zawsze zjawiał się w najbardziej nieodpowiednim momencie, jak zły duch. Oczywiście

przyniosło go do audytorium akurat wtedy, chociaż nie zaglądał do nas przez cały tydzień! Jakoś by nam się upiekło, gdyż ubawiony Lew Andriejewicz obiecał, że nas nie wyda, ale nic z tego nie wyszło. Dawletiarow miał chyba jakiś szósty zmysł reagujący na nieprzyjemności, więc i tym razem stanął w progu akurat wtedy, gdy we trójkę – Lew Andriejewicz, ja i Kowalow – staraliśmy się usunąć ostatnie ślady ślimaczej inwazji, pozostali chłopcy myli ręcznie ławki, a Małgorzata cuciała Swietę. Najpierw nastąpiła niema scena, a potem posypały się gromy i błyskawice. Dostało się nawet wykładowcy, choć, co prawda, w bardziej delikatnej formie. Natomiast zwykli śmiertelnicy zostali obsypani niezliczoną liczbą (cenzuralnych z punktu widzenia formy, ale skrajnie obraźliwych pod względem treści) epitetów, wypowiedzianych w bardzo emocjonalny sposób. Dawletiarow umiał przeklinać niezwykle kunsztownie i była to, według mnie, jedyna jego zaleta. Czasem wręcz miałam ochotę notować niektóre określenia z jego repertuaru.

Niemniej jednak incydent minął, nikt nie został wyrzucony, i wszystko wróciło do normy.

Na szczęście nie zajmowaliśmy się bardziej rozwiniętymi zwierzętami, ograniczając się do skorupiaków i różnego robactwa. Nigdy w życiu nie przypuszczałam, że dżdżownica ma tak skomplikowaną budowę! Co prawda zaliczenie udało mi się zdobyć już za pierwszym razem, w przeciwieństwie do Swietłany, ale tylko dlatego, że Lew Andriejewicz wyraźnie darzył mnie sympatią.

W międzyczasie nadeszła zima, a my zajęliśmy się medycyną. Takie tam zielarstwo, uroki i inne magomedyczne dyrdymałki. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie wysłano nas na praktykę do szpitala, oczywiście pod nadzorem wykładowcy. Na szczęście mam mocne nerwy i nie mdleję na widok krwi, ale taka Małgorzata cały czas była bladozielona i co chwila

uciekała do toalety. W każdym razie było to może niezbyt przyjemne zajęcie, ale przynajmniej konkretne. A ja konkrety lubiłam, więc nie migałam się zbytnio od pomocy przy różnych zabiegach przeprowadzanych na pacjentach. Do prawdziwych magów lekarzy było nam daleko, ale podstawy jednak na naszym uniwerku wykładano, mogliśmy więc udzielić fachowej pomocy przynajmniej na tyle, by poszkodowany mózg doczekać przybycia zespołu specjalistów.

Być może kogoś zdziwi to, że tak mało mówię o stosunkach między studentami. No cóż... Takich stosunków praktycznie nie było. Może z powodu ogromnego obciążenia nauką, a może z powodu specyficznych cech charakteru, nikt nie kwapił się do nawiązywania bliższych kontaktów. Ograniczaliśmy się do standardowego powitania i rozmów na ogólne tematy podczas przerw. Jewdokimow był nieprawdopodobnym odludkiem, Kowalow z miejsca ucinał wszystkie próby kierowania rozmowy na tematy osobiste, a Małgorzata potrafiła powiedzieć w oczy coś takiego, że potem przez tydzień nie można było dojść do siebie. Swieta również nie wykazywała chęci zaprzyjaźniania się z kimkolwiek. Ja natomiast zawsze wolałam przyglądać się innym z boku, wyrobić sobie zdanie na ich temat (zazwyczaj nie mylę się w ocenach) i czekać aż ktoś zrobi pierwszy krok. Niestety, jedyną osobą, która pewnego razu postarała się zainicjować bliższą znajomość, był Fiodorenko. Pewnego razu przysiadł się do mnie na przerwie i zagaił rozmowę o jakiś głupotach.

– Coś nie najlepiej wyglądasz – powiedziałam. – Przesadzasz z nauką, czy co? Uważaj, nie przepracuj się!

– Nie. – Sierioża pokręcił głową. Rzeczywiście był jakiś blady. – Ja, no wiesz...

Nachylił się ku mnie i wyszeptał:

– Robię samochód, haruję jak dziki osioł!

– Jak to: robisz? – nie zrozumiałam.

– A tak! – powiedział z dumą. – Za jednym zamachem całego nie zrobię, jest za duży, no i skomplikowany, sama rozumiesz, ale jeśli po kawałku, da się. Wczoraj zrobiłem przednią oś, żelastwo full wypas, z pięć razy musiałem przerabiać.

– A dasz radę potem go poskładać? – zapytałam, chichocząc.

Siergiej wzruszył ramionami.

– Brat pracuje w serwisie, jakby co, pomoże – odparł. – Najpierw ćwiczyłem z rowerem, nawet nieźle wyszło... Fajny rowerek, opchnąłem chłopakom z podwórka.

– Super – powiedziałam sarkastycznie. – Byle tak dalej, za rok otworzysz autosalon.

– Tak, myślałem o tym – przyznał się Sierioża. – Jeśli mnie wyrzucą, pójdę pracować do brata. Wiesz, ile można zarobić na częściach zapasowych do zachodnich marek? Ściągają setki używanych samochodów, a one się co chwila psują, to tylko taka gadka, że importowane są lepsze od naszych. Nowe może i są lepsze, ale...

Poczułam obrzydzenie. Wygląda na to, że Fiodorenko postanowił przyłączyć się do mafii samochodowej. No, no... A wyglądał na takiego fajnego chłopaka! Oczywiście nie powiedziałam tego głośno, po prostu postanowiłam jak najszybciej zakończyć rozmowę.

Nie ma co, na początkujących magów czyha wiele pokus! Sama zresztą w tym czasie wpadłam na nie mniej atrakcyjny pomysł. Istota jego była następująca: bazowe zakłęcie materializacji zawiera ograniczenie niepozwalające tworzyć pieniędzy, drogocennych metali i kamieni. Ale, jeśli się nie mylę, w owych niewyobrażalnie odległych czasach, gdy tworzono zakłęcie, nikt nie słyszał o takim metalu jak platyna. Nie mówiąc już o uranie czy plutonie. Oczywiście nie zamierzałam wplątywać się w

nielegalny handel paliwem jądrowym, zadowoliliam się platyną. Mój domysł okazał się słuszny! Udało mi się zrobić malutki pierścionek, co prawda bez kamienia, ale za to z czystej platyny, o czym poinformował mnie kompetentny pracownik działu wyceny wyrobów jubilerskich. Nie weszłam na drogę działalności przestępczej i nie zorganizowałam syndykatu zajmującego się wysyłką platyny za granicę, ale pierścionek nosiłam, czując w głębi duszy dumę. Czyżby nikt inny nie wpadł na taki pomysł, przyjmując na słowo, że nie można stworzyć żadnego cennego metalu? A może domyślano się, ale nikt nie chciał głośno o tym mówić?

Ale to wszystko małe piwo... Nim pojawił się cały „browar”, już pozbyliśmy się Fiodorenki. Trzy razy oblał zaliczenie z medycyny ludowej i nie pojawił się już na zajęciach po feriach zimowych. Z początku myśleliśmy, że zachorował, ale potem okazało się, że Fiodorenkę skreślono z listy studentów ze złe wyniki w nauce. Było to tym bardziej dziwne, że Małgorzata podchodziła do egzaminu pięć razy (dopiero za ostatnim razem udało jej się nie zemdleć na widok krwawiącej rany), a jednak została z nami. Widocznie Dawletiarow, który był obecny na wszystkich zaliczeniach, miał jakieś własne kryteria oceny studentów. Co prawda nigdy nie zadawał podchwytliwych pytań... ba, w ogóle się nie odzywał!, ale zawsze coś notował w swoich papierach. Dużo dałabym za to, żeby do nich zajrzeć! Dawletiarow był jednostką niezwykle zagadkową i nie byłam w stanie traktować go jak zwykłego człowieka. Kiedy tylko coś szło nie tak, zawsze pojawiał się dosłownie znikąd, zwał na nasze głowy istną lawinę kar i natychmiast znikał. Jednym słowem, był nieuniknionym złem, z którego istnieniem musieliśmy się pogodzić, chociaż nie było to proste.

Po Nowym Roku nie zdążyliśmy się jeszcze rozkręcić, a już wzięto nas do galopu. Do codziennych zajęć praktycznych i powtórzeniowych doszedł jeszcze kurs teorii tworzenia zaklęć. Był okropny, przede wszystkim

dlatego, że zaklęcia należało opracowywać wyłącznie w jakimś starożytnym języku, który najpierw trzeba było opanować. Jeszcze gorsze było to, że ćwiczenia prowadził osobiście Dawletiarow. Nie oszczędzał nikogo i na każdych zajęciach urządzał prawdziwą rzeźnię: a to za niewyuczone słówka, a to za błędy gramatyczne, a to znów za okropny akcent. Mnie dostawało się trochę mniej, być może dlatego, że nie miałam większych problemów z wymową. Języki obce nigdy nie sprawiały mi trudności. W szkole szło mi nieźle, a gdy na uniwersytecie dodatkowo wprowadzono niemiecki, nie mieszałam słówek, jak co poniektórzy.

O proszę, Kowalow, czytając „prościutki” tekst, w wielkich mękach przedziera się przez dziwaczne połączenia dźwięków, na których można sobie wywichnąć szczękę. Dawletiarow obserwuje jego agonię z pełną obrzydzenia ciekawością, a ja z kolei obserwuję Dawletiarowa. Bywają ludzie tak niemili, że nie znosi się ich od pierwszego wejrzenia, jakby emitowali jakieś fale! Poszczęściło się nam z wykładowcą, nie ma co...

Dawletiarow stał zwrócony do mnie bokiem, tak że doskonale widziałam jego profil. Nie było w nim nic interesującego, poza obecnym (jak zwykle) na jego twarzy wyrazem ogromnego wstrętu. Co innego Larysa Romanowna czy Lew Andriejewicz! Chociaż wyciskali z nas siódme poty, przynajmniej tłumaczyli zrozumiale i ciekawie, a do tego nie patrzyli na nas jak na beznadziejnych głupków. Nie, Dawletiarow (do tej pory mam problemy z wymawianiem jego imienia i patronimika) nigdy nikogo nie obrażał wprost, ale miał tak bogatą mimikę i tak obszerny zasób leksykalny...

Ciekawe, ile ma lat? Na oko trochę ponad trzydzieści, ale niewiele. Zresztą, równie dobrze może mieć pięćdziesiąt, bardzo trudno jest określić wiek osoby o takim wyglądzie.

– Czernowa, ogłuchłaś? – ostry głos przerwał moje rozmyślenia.

Wzdrygnęłam się gwałtownie, nerwowo poszukałam miejsca, w którym zakończył Kowalow i zaczęłam czytać dalej – niezbyt płynnie, ale bez błędów. Gdy dotarłam do końca akapitu, zrobiłam pauzę, a wtedy Dawletiarow zauważył nie bez nuty sarkazmu: – Nieźle, ale prosiłem o przetłumaczenie fragmentu przeczytanego właśnie przez Kowalowa.

Pozostali patrzyli na mnie ze współczuciem połączonym z rozbawieniem.

Poczułam, że się czerwienię. Na szczęście tekst rzeczywiście nie był trudny. Dawletiarow ani myślał mi przerywać, musiałam więc przełożyć także mój kawałek. Uporałam się z tym równo z dzwonkiem ogłaszającym koniec zajęć.

Ludzie już wyszli na korytarz, a ja, czerwona, spocona i zła, nie mogłam się jakoś pozbierać. O Boże, łatwiej rowy kopać, niż uczyć się tego diabelnego narzecza!

Dawletiarow zatrzymał mnie w drzwiach i swoim zwykłym, pozbawionym emocji tonem powiedział: – Czernowa, jeśli nudzisz się na moich zajęciach, nikt cię tu siłą nie trzyma. Czy wyrażam się jasno?

W milczeniu pokiwałam głową i, gotując się w środku ze złości, ruszyłam do domu. Ale w połowie drogi do wyjścia przypomniałam sobie, że kazano nam wypożyczyć z biblioteki jakieś książki potrzebne do przygotowania pracy domowej. Dawletiarow osobiście podpisał nam zezwolenia na korzystanie z prohibitów, wydał przepustki i nowe legitymacje biblioteczne. Spróbowałabym na dokładkę do dzisiejszej gafy jutro zjawić się bez wypracowania!

Zakląłam w duchu i skierowałam się do biblioteki. Ku swemu ogromnemu zdumieniu, w punkcie wydawania książek ujrzałam Lenoczkę Śliwinę. Zresztą ona też wybałuszyła oczy i patrzyła na mnie jak na ducha.

Wykrzyknęłyśmy jednocześnie:

– Lenka!

– Naina?!

– Przecież cię wyrzucili... – powiedziała Lenoczka, gdy w końcu udało jej się zamknąć rozdziawione usta.

– Ciebie też podobno wylali! – fuknęłam. – A ty sobie stoisz tutaj, jak gdyby nigdy nic.

Lenoczka zaczerwieniła się lekko, szybko zmieniając temat: – Co ci jest potrzebne?

Wyjęłam przepustkę, pozwolenie, legitymację biblioteczną i resztę dokumentów otwierających drogę do magazynu. Lenoczka wyraźnie pobladła i zaczęła nerwowo szukać klucza do sejfów.

– Idziemy – rzekła w końcu i poprowadziła mnie znaną już drogą.

Na miejscu długo brzęczała kluczami (zauważyłam, że kodu do sejfów, w którym przechowywano klucze, Lenoczka nauczyła się jednak na pamięć), pstrykała jakimiś przełącznikami... Tamtej pamiętnej nocy dałam sobie radę szybciej, mimo że nie miałam doświadczenia. W końcu pancerne drzwi uchyliły się i Lenoczka powiedziała: – Idź. Znasz instrukcje?

– Aha... – mruknęłam twierdząco, wchodząc do środka.

Jak bym mogła nie znać! Dawletiarow przez bitą godzinę wykladał nam zasady korzystania z biblioteki. Po moim wyczynie zainstalowano tam nowe zabezpieczenia, a teraz miałam wypróbować ich działanie na własnej skórze.

Zgodnie z procedurą położyłam dłoń na wypolerowanej metalowej płytce. Jeśli moich danych nie ma w spisie legalnych użytkowników, dostanę za swoje. Udało się jednak.

Weszłam do środka. Szybko znalazłam potrzebną książkę i ruszyłam do wyjścia, po drodze czytając tytuły na grzbietach. Teraz już rozumiałam, że

było tam napisane: *Stwory ogniowe i powietrzne oraz sposoby kierowania nimi, Krótki kurs magii bojowej. Część pierwsza: ogień, O realności...*

Nie dałam rady przeczytać realności czego – następne słowo nie występowało w moim zasobie leksykalnym.

Wypełniając formularz wypożyczenia książki, Lenoczka uparcie milczała, nie reagując na moje nieśmiałe próby zagajenia rozmowy. Nie wiadomo, ile jej się dostało za mój wybryk. Zresztą być może ja też nie miałabym ochoty rozmawiać z kimś, kto zrobiłby mi takie świństwo. Popatrzyłam na zegarek i doszłam do wniosku, że mogę zostać na uczelni jeszcze z godzinkę. Było wcześniej, w domu nikt nie będzie się denerwować – rodzice wyjechali na tydzień do babci – a wcale nie uśmiechało mi się targanie ze sobą ciężkiego tomiska. Lepiej zrobię pracę domową tutaj, oddam książkę, a jutro rano znowu ją wypożyczę.

Wróciłam na szóste piętro, weszłam prosto do pustej sali lekcyjnej i pogrzyłam się w lekturze. Zadanie okazało się trudne, że załamka. Z gramatyką jakoś dałam sobie radę, przeczytałam teksty i nawet zrozumiałam połowę. Pozostało wykuć mnóstwo słówek, napisać streszczenie i odpowiedzi na podstępne pytania, jakie podyktował nam Dawletiarow. Mały włos, a mózg by mi się zagotował, ale Dawletiarow na nasze nieśmiałe protesty zazwyczaj odpowiadał, że po prostu nie umiemy myśleć, a jeśli nawet próbujemy to robić, to nie tym organem, który jest do tego celu przeznaczony, a jakimś zupełnie innym.

Siedziałam z nosem w książce i nawet nie zauważyłam, kiedy zgasło światło na korytarzu. A już zupełnie nie wiem, kiedy zasnęłam z głową opartą na rękach.

Obudziłam się, czując, że ktoś dość niedelikatnie szarpie mnie za ramię. Gdy już udało mi się rozkleić powieki, ujrzałam przed sobą niezbyt miłą

fizjonomię Dawletiarowa. Nie był to widok, który pragnęłam podziwiać tuż po przebudzeniu, zapewniam!

– Wiesz, która jest godzina? – zapytał tonem pogawędki.

Zerknęłam na zegarek. Wpół do drugiej nad ranem!!!

– O kurczę... – wyrwało mi się. Nawet gdybym chciała pojechać teraz do domu, nic by z tego nie wyszło: metro już nie chodziło! I w ogóle nie miało to sensu: musiałabym jechać półtorej godziny, a potem wrócić na uczelnię na wpół do dziewiątej. No cóż, raz już tu nocowałam...

Dawletiarow z niejakim zainteresowaniem obserwował, jak zmienia się mój wyraz twarzy, a potem rzekł sucho: – Chodźmy.

Zgarnęłam byle jak swoje rzeczy i smętnie poczłapałam za nim. Ciekawe, co on robi w nocy na uczelni?

Zrobiliśmy niezły kawałek drogi. Korytarzyk na naszym piętrze jest dziwnie długi. W końcu Dawletiarow zatrzymał się przed jakimiś drzwiami, otworzył je i powiedział: – Wchodź.

Weszłam za nim do niewielkiego pokoiku. Ciasno, rzeczy niewiele i jakoś bezosobowo. Biurko, krzesło, na biurku komputer, kilka teczek z dokumentami, pod ścianą wąska sofa.

– Rozgość się. – Dawletiarow wskazał mi kanapę. – Drzwi zamknę od zewnątrz.

– Dziękuję, Igorze Georgiewiczu – pisnęłam, ze strachu wymawiając poprawnie jego imię. Sens zdania o drzwiach dotarł do mnie dopiero wtedy, gdy klucz obrócił się w zamku.

No, naprawdę super...! Przeszłam się po pokoju. Z boku, za wąskimi drzwiami znalazłam niewielką łazienkę. Dobrze, że chociaż mogłam się umyć.

Nagle z zewnątrz dobiegły czyjeś głosy. Jeden bez wątplenia należał do Dawletiarowa, drugi, dziwnie znajomy, do kobiety. Przyłgnęłam uchem do

drzwi, zamieniając się w słuch.

– Dobranoc – powiedział Dawletiarow. – Porozmawiamy o tym jutro.

– Igorze, zrozum, zabijesz się – odparła kobieta. – Tak nie można! Ile nocy nie spałeś?

– Nie pamiętam – odpowiedział Dawletiarow sucho. – Wydaje mi się, że to moja prywatna sprawa.

– Igorze...!

– Dobranoc.

Usłyszałam oddalające się kroki, potem kobieta zakłęła pod nosem, i chyba walnęła pięścią w ścianę. To głupie – osądziłam – można sobie uszkodzić rękę. Zastukały obcasy i wszystko ucichło na dobre.

Baaaardzo ciekawe! Okazuje się, że na uczelni kipi burzliwe nocne życie! Szkoda, że pewnie nigdy się nie dowiem, o co chodziło.

W pokoju było zimno. Pod głowę wsunęłam torbę, na której wcześniej ułożyłam zwinięty szalik, przykryłam się kurtką – dobrze, że nie oddałam jej do szatni! – i usnęłam. Nie dręczyły mnie żadne koszmary. Obudziłam się, jak zwykle, za piętnaście siódma. Spróbowałam jeszcze się zdrzemnąć, ale szybko zrozumiałam, że nic z tego nie będzie – za bardzo bałam się, że zaśpię. W końcu wstałam, umyłam się. Strasznie chciałam wyczyścić zęby, ale nie miałam czym. Dopiero po jakichś dziesięciu minutach wpadłam na pomysł, żeby stworzyć szczoteczkę do zębów. Pasta mi się nie udała, musiałam użyć mydła. Jeśli nigdy nie mylicie zębów mydłem, to lepiej nie próbujcie – to bardzo specyficzna przyjemność.

Gdy opłukałam się jako tako, poczułam, że jestem głodna, więc zmaterializowałam kanapkę. Chleb mi się udał, ale kiełbasa okazała się kłęską. Musiałam zadowolić się serem, którego nie lubię, ale za to umiem go zrobić. Próba stworzenia herbaty także się nie powiodła, najwyraźniej

moje zdolności jeszcze się nie obudziły, musiałam więc zadowolić się wodą z kranu.

Co by nie mówić, bycie magiem wcale nie oznacza oszczędności na jedzeniu! Prawo zachowania energii, niech je lichy... Poza tym, do magicznego kucharzenia potrzeba szczególnego talentu. Słyszałam, że w Londynie istnieje restauracyjka prowadzona przez maga. I na stanowiskach kucharzy też pracują sami magowie. Oczywiście, ceny sięgają chmur, ale nie ma to jak prawdziwa egzotyka! Cokolwiek byś zamówił – dostaniesz prawie natychmiast. Nawet smażone ucho słonia. Pewnie przewijają się tam tłumy turystów. A do takiego „kucharza” mam do przebycia jeszcze drogę długą i ciernistą. Co tu dużo mówić, kanapka z serem...

Oszukawszy głód, usiadłam na kanapie i postanowiłam dokończyć pracę domową. Przekonałam się, że do zrobienia zostało tyle co nic, więc uporałam się ze wszystkim błyskawicznie. Dokładnie o ósmej drzwi otwały się i na progu stanął Dawletiarow. Do tej pory unikałam jego wzroku, teraz popatrzyłam na niego wprost, badawczo. Miał mocno podkrążone oczy, a poranne światło podkreślało drobne zmarszczki w ich kącikach. Dawletiarow zaczął już siwieć. Teraz wyglądał nie na trzydzieści lat, a na pięćdziesiąt z hakiem.

Przecisnęłam się koło niego, oparłam się o ścianę w korytarzu i czekałam na polecenia. Zamknął drzwi i przez ramię rzucił w moim kierunku: – Przekaż swoim, że dziś nie będzie seminarium.

W milczeniu kiwnęłam głową i spieszenie ruszyłam do audytorium.

Moje obwieszczenie zostało, oczywiście, przyjęte z entuzjazmem – okazało się, że wszyscy, jak jeden mąż, zapomnieli zajrzeć do biblioteki i czekali na sprawiedliwą karę. Wyszło na to, że niepotrzebnie się starałam.



Siedziałam na wykładzie, starannie robiąc notatki i jednocześnie rozmyślając o tym, że Dawletiarow w rzeczywistości nie jest aż tak bardzo odpychającym typem. Oczywiście, charakter ma okropny, a i poczucie własnej wartości wielkie jak Elbrus, ale... Mógł wczoraj po prostu wykopać mnie na ulicę, motywując to zakazem przebywania w nocy na terenie uczelni. A jednak nie tylko nie wyrzucił mnie, ale, co więcej, zapewnił całkiem przyzwoity nocleg. A może po prostu nie chciał, żebym zobaczyła albo usłyszała coś, czego widzieć i słyszeć nie powinnam? W wydarzeniach ostatniej nocy wyraźnie kryła się jakaś tajemnica, ale rozwiązanie jej przekraczało moje siły. Nie będę przecież śledzić Dawletiarowa! Na samą myśl o tym żołądek podrygiwał mi nerwowo. Zasadniczo czułam obawę nie przed samym szpiegowaniem, ale przerażała mnie myśl, co zrobiłby ze mną Dawletiarow, gdyby mnie przyłapał, a przyłapałby na pewno. Dziękuję, postoję...

Jeszcze jedna kwestia wymagała natychmiastowego wyjaśnienia: dlaczego Lenoczka była tak głęboko przekonana, że mnie wyrzucono? Uwierzyła komuś na słowo? Zdobyłam się na wysiłek, by odwiedzić moje stare piętro. Tam, na tablicy ogłoszeń obok dziekanatu, nadal wisiała lista osób skreślonych z listy studentów w poprzednim semestrze. Nie zdziwiłam się, gdy dostrzegłam na niej swoje nazwisko. „Usunięta za zachowanie niegodne studenta PUM”. Chrząknęłam i ruszyłam na inne piętra. W ciągu godziny wypatrzyłam na różnych wydziałach, na podobnych tablicach wszystkie znajome nazwiska: Jewdokimow, Kowalow, Fiodorenko, Bałaszowa, Gorenko, przy czym ostatnia dwójka została wyrzucona dużo wcześniej, jeszcze wiosną. Powód zawsze był ten sam: „Za zachowanie niegodne studenta PUM”. Trzeba przyznać, że to bardzo pojemne sformułowanie.

Ciekawe, jak narozrabiali pozostali? Przecież nie zapytam, a nawet gdybym pytała, to i tak nie powiedzą!

Mijał dzień za dniem. Dawletiarow tresował nas ciągle, a ja obrywałam najbardziej. Wystarczyło, że tylko raz spóźniłam się na zajęcia, a natychmiast przywalił mi zadania indywidualne i to takie, że mózg się od nich prostował. Jednak nie miałam wyjścia – na wszystkie prośby i błagania o łaskę Dawletiarow miał zawsze tę samą odpowiedź: „Nikt cię tutaj na siłę nie trzyma”.

Na szczęście po kilku tygodniach odczepił się ode mnie i przerzucił na Małgorzatę, więc mogłam odsapnąć. Swiętę w ogóle często doprowadzał do łez, a jego stosunki z chłopcami były bardzo napięte. Mówiąc szczerze, nienawidzili go. Jednym słowem, Dawletiarow był człowiekiem zdolnym zniechęcić do siebie każdego. Zawsze mnie dziwiło, dlaczego pozostali wykładowcy odnoszą się do niego niemalże z czułością, a zwłaszcza Larysa Romanowna. Mimo że nie zachowywał się wobec nich ani odrobinę lepiej niż względem nas.



Tamtego dnia jak zwykle przyjechałam na uczelnię zbyt wcześnie. Winny był idiotyczny rozkład jazdy autobusów w naszej dzielnicy: jeśli jechałam jednym, to byłam o dwadzieścia minut za wcześnie, a jeśli następnym – spóźniałam się pół godziny. Prywatne busiki zawsze jeździły zapchane do granic możliwości, a do tego boję się nimi podróżować – każdy pracujący w tej branży szofer to niespełniony kierowca wyścigowy z kompleksem niższości, taki co to pensję ma w nosie, byleby mógł przyciskać gaz do dechy. Teleportacji co prawda nas uczono, ale na razie potrafiliśmy przenosić tylko niewielkie przedmioty. Nie zaryzykowałabym przenoszenia w przestrzeni mojej drogocennej osoby. Zapewne magowie na

odpowiednim poziomie nie musieli korzystać z tradycyjnych środków transportu, ale mnie do takich umiejętności było naprawdę daleko. Ale z drugiej strony widywałam niektórych profesorów parkujących swoje wozy koło uniwersytetu. Czyli jednak pewnie nie chodziło tylko o umiejętności...

Wykładowców mamy wymagających, więc lepiej się nie spóźniać, dlatego jeżdżę wcześniejszym autobusem, a potem szwendam się pod drzwiami audytorium w dumnej samotności, czekając aż nadciągnie reszta studentów. A dzisiaj nie udało mi się nawet zdrzemnąć w metrze. Tłok był okrutny, przez całą drogę wisiałam na poręczy i z nudów przyglądałam się pasażerom. Jedni spali, inni czytali... Wielu zagłębiało się w tomach z niekończącej się sagi o Harrym Potterze. Zdaje się, że dociągnął już chyba do emerytury... Oczywiście, te książki nie mają nic wspólnego z rzeczywistością – kto widział współczesnego maga z sową na ramieniu, odzianego w czarną szatę z kabalistycznymi symbolami? W najlepszym przypadku zakładamy fartuchy laboratoryjne! A ludzie i tak to czytają. Oto jeden z dziwów natury, o których można porozmyślać, żeby nie zasnąć w metrze na stojąco.

Ziewnęłam i rozejrzałam się. Na szóstym piętrze zawsze jest pusto. Nieraz mnie to zastanawiało: przecież oprócz nas powinny być jakieś inne grupy, starsze od nas, nieprawdaż? Dlaczego nigdy ich nie spotykaliśmy? Teraz wiem sporo o zjawisku rozgradzania przestrzeni i problem sam się rozwiązał. Szóste piętro jest taką właśnie rozgrodzoną przestrzenią, gdzie nigdy nie spotykają się ci, którzy spotkać się nie powinni.

Nadal podpierałam ścianę, gdy zaczęły się zwykłe poranne metamorfozy korytarza: ślepy zaułek u jego końca nagle zafalował i otworzył się, odsłaniając rząd drzwi. W oddali pojawiła się sylwetka Dawletiarowa – poznałam go po chodzie. Wyglądał, jakby rozmawiał z kimś niewidzialnym. Jeszcze kilka miesięcy temu potraktowałabym taki widok

jako jednoznaczny symptom choroby psychicznej, ale teraz tylko westchnęłam z szacunkiem. Dawletiarow najwyraźniej komunikował się z kimś przez przegrodę. Znaczy to, że sam znajdował się w naszej przestrzeni korytarza, a rozmówca – w sąsiedniej. A do tego, jeśli wierzyć wykładowcom, zdolni byli tylko nieliczni magowie.

Rozmowa, sądząc po zewnętrznych oznakach, nie należała do przyjemnych, co sugerowało dziwne napięcie w postawie Dawletiarowa. A potem zaczęło się takie przedstawienie, że przylgnęłam do ściany, żałując, iż w ogóle przyszłam dziś na uczelnię. Najpierw Dawletiarow przystanął, zwracając się twarzą do niewidocznego rozmówcy i powiedział stanowczo coś, czego nie dosłyszałam. Potem cofnął się raptownie o kilka kroków – miałam wrażenie, że ktoś go silnie popchnął. Ale natychmiast wrócił na poprzednie miejsce, w osobliwym geście wyciągnął przed siebie dłoń jakby kogoś nią odpychał. Wymagało to chyba ogromnego wysiłku – dostrzegłam to nawet z dużej odległości.

Nieoczekiwanie dziwny pojedynek zakończył się. Dawletiarow gwałtownie poleciał do przodu – tak bywa, gdy próbujesz wyważyć drzwi, a ktoś je otwiera w ostatniej chwili. Prawdopodobnie niewidzialny oponent zrezygnował z oporu. Dawletiarow zatrzymał się na środku korytarza i opuścił nisko głowę, ciężko dysząc. Znowu ruszył w moją stronę, ale zachwiał się i musiał przystanąć. Przeszedł jeszcze kilka kroków na drżących nogach, wiodąc ręką po ścianie, ale prawie natychmiast znowu stanął, opierając się o nią plecami.

„Ciekawe, dlaczego ja zawsze muszę w coś wdepnąć?“, spytałam sama siebie i truchcikiem podbiegłam do Dawletiarowa.

Najpierw cichcem zakradłam się do biblioteki, potem usnęłam w audytorium, a teraz stałam się mimowolnym świadkiem czegoś podejrzanego... Na sto procent widok nie był przeznaczony dla moich oczu,

wolałabym więc schować się w sali i przeczekać, aż Dawletiarow sobie pójdzie, ale... najwyraźniej coś z nim było nie tak.

– Igorze Georgiewiczu? – zawołałam cicho, podchodząc bliżej. – Wszystko w porządku?

– Czernowa...? – w tonie, jakim wypowiedział pytanie nie było ani śladu zdziwienia.

Dawletiarow podniósł głowę, a ja mimowolnie się cofnęłam. Dopiero po paru sekundach zorientowałam się, że nie ma rozwalonej głowy, a po prostu leci mu krew z nosa. Wsunął rękę za pazuchę – przez moment miałam irracjonalne wrażenie, że zaraz wyjmie pistolet i pozbędzie się niewygodnego świadka.

– Co się tak gapisz? Idź, zmocz ją albo co...

Dawletiarow wyciągnął w moją stronę śnieżnobiałą chusteczkę do nosa. Nie miałam innego wyjścia, jak tylko pobiec do damskiej toalety (dobrze chociaż, że była blisko) i spełnić jego żądanie.

Dawletiarow doprowadził się do porządku, bezskutecznie próbował zmyć plamy z marynarki, w końcu zmiął chustkę i schował ją do kieszeni. Spojrzał na mnie – białka oczu pokryte miał siatką popękanych żyłek, jakby rzeczywiście ktoś zmusił go do nadnaturalnego wysiłku.

– Coś widziałaś? – zapytał nie bez ukrytej aluzji.

– Kompletnie nic – odpowiedziałam rozsądnie.

Dawletiarow pokiwał głową, odsunął się od ściany i... znikł! A dokładniej, przeszedł przez przegrodę. Przecież to... to było... Nasz wykładowca twierdził, że zrobienie czegoś takiego w dowolnym miejscu i czasie jest niemożliwe, że potrzebne są konkretne przygotowania! Jaką więc mocą dysponował Dawletiarow? Albo ten, z kim dzisiaj się kłócił?

„Jak dobrze, że Dawletiarow nie będzie więcej prowadził u nas żadnych zajęć!”, oto, co przyszło mi do głowy; chciałam jak najszybciej wyrzucić z

pamięci ostatnie zdarzenie. Tym razem, nie wiadomo dlaczego, zupełnie nie miałam chęci dochodzić do sedna sprawy.

Niezauważalnie minął drugi semestr i dosięgła nas kolejna radosna wiadomość: nie będziemy mieli wakacji.

Co prawda zajęcia będą odbywać się tylko co drugi dzień, ale to wcale nam nie poprawiło humorów. Założmy, że rodzicom wyjaśnię sytuację, tłumacząc się letnią praktyką, ale to akurat najmniejszy problem! Sama miałam ochotę odpocząć w wakacje, oddając się słodkiemu lenistwu!

Ale nie było wyjścia, więc, zaciskając zęby, przygotowałam się na dalsze próby.

Okazało się, że nasze letnie zajęcia to właśnie próba. A ściślej, próba zdolności bojowych w warunkach polowych. Gdy usłyszałam, czym będziemy się zajmować, o mało nie zemdlałam. Bardzo tego chciałam, ale przecież nie tak szybko! A poza tym... na co nam teraz magia bojowa? Z tego, co zrozumiałam ze słów naszych drogich wykładowców, wynikało, że jeśli chodzi o prawdziwą magię, to wciąż jeszcze jesteśmy całkowitymi dyletantami i długo jeszcze nic się w tym względzie nie zmieni. Uczyć nas bojowej magii to jak dać dziecku do ręki pistolet! (Nie miałam zbyt wysokiego mniemania o rozsądku moich kolegów z roku). Ale na pewno kierownictwo ma swoje powody. Żeby tak jeszcze je rozumiała...

Poczułam się jeszcze gorzej, gdy przyszedł do nas jeden z wykładowców, by zaprowadzić nas na poligon. Myślę, że nietrudno zgadnąć, kim był. Okazało się, że Dawletiarow jest specjalistą w wielu dziedzinach.

Było nadzwyczaj gorąco, więc Igor Georgiewicz rozstał się z ciemnym garniturem, wymieniając go na dżinsy i koszulkę z krótkim rękawem. Paradoksalnie, młodzieżowe ubranie go postarzało.

Poligon znajdował się za głównym budynkiem uczelni. Początkowo zdziwiło mnie to, bo jak sięgnę pamięcią, nigdy nie było tam żadnego placu, a tylko wąski trawnik tuż przy ruchliwej magistrali. Gdy jednak, stojąc już na poligonie, dobrze się przyjrzałam gmachowi naszego uniwerku, zauważyłam, że jest jakby zamglony. Wystarczyło nieco odwrócić wzrok, a zaczynał się rozpląwać na amen, przyjmując dziwne kształty. Zastosowano tu nie zwykle rozdzielenie przestrzeni, a najprawdziwsze zakrzywienie. Cały ten nieszczęsny poligon mógł leżeć setki kilometrów od uniwersytetu.

Dawletiarow ustawił nas w szeregu i palnął krótką mówkę powitalną. Wynikało z niej, że bojowa magia jest niebezpieczna – to raz. Za nasze życie odpowiada on, Dawletiarow, i wcale mu się to nie podoba – to dwa. Każdy, kto odważy się naruszyć zasady bezpieczeństwa, natychmiast wyleci z uczelni – to trzy.

Po zakończeniu przemówienia wyjaśnił nam podstawy magii bojowej. Okazały się niezbyt skomplikowane i nawet nadzwyczaj bojaźliwa Swietłana dość szybko nauczyła się produkować ogniste kule. Najpierw ciskaliśmy je w przestrzeń, a potem Dawletiarow stwierdził, że starczy tego dobrego.

– Tam jest tarcza – powiedział i w chwili, gdy mówił te słowa, w znacznej odległości od nas rzeczywiście pojawiła się tarcza. – Czy zadanie jest jasne?

I przez okrągły tydzień waliliśmy fireballami w tę jego piekielną ognioodporną tarczę... Odpocząć mogliśmy tylko wtedy, gdy udało nam się trafić co najmniej dziewięć razy na dziesięć, i to w sam środeczek.

Na dodatek Dawletiarow komentował złośliwie, że nam daje fory, bo i tak jesteśmy całkowicie beznadziejni.

Przez cały czas panował potworny upał, a ogniste kule podgrzewały nas nadprogramowo. Wieczorami byliśmy tak zmęczeni, że najchętniej zwalilibyśmy się na trawę i leżeli tak do następnego dnia. Niby nam obiecano, że zajęcia będą się odbywały co drugi dzień, ale Dawletiarow kichał na wszystkie obietnice. Ganiał nas tak, jakby na przyszły tydzień zaplanowano trzecią wojnę światową z naszym udziałem.

– A teraz utrudnię zadanie – oznajmił po jakichś dwóch tygodniach.

Jęknęliśmy cicho.

– Nauczycie się przechwytywać ładunek – powiedział. – Stańcie w kręgu...

Dalsze zajęcia przypominały zabawę piłką, tylko zamiast nią rzucaliśmy ognistymi kulami. Było to nawet dość zabawne, tylko Małgorzata przypiekła sobie włosy, a ja wypaliłam dziurę w koszulce.

Potem zadanie skomplikowało się jeszcze bardziej.

– Łapcie ładunek – rozkazał Dawletiarow – wzmocniacie go odrobinę i przekazujecie dalej. Wszyscy słyszeli, odrobinę! Zaczynamy!

To nie było jakoś szczególnie skomplikowane, więc radziłam sobie śpiewając i zupełnie nie mogłam zrozumieć, dlaczego Sasza za każdym razem coraz dłużej zbiera siły przed wzmocnieniem ładunku, a Swieta marszczy się boleśnie, otrzymując ode mnie kulę.

– Stop! – rozkazał Dawletiarow, gdy szykowałam się do przekazania Swietłanie kuli, która zdążyła już osiągnąć całkiem imponujące rozmiary.

Znieruchomiałam, w mojej ręce słabo pulsowało niewielkie słońce, szczypało palce i łaskotało dłoni.

– Gorenko, wyjdź z szeregu, ale już – nakazał Dawletiarow.

– Dlaczego? – zdziwiła się Swieta.

– Masz dosyć – zawyrokował Dawletiarow bez owijania w bawełnę. Swieta odeszła na bok z wyrazem ulgi na twarzy. – Proszę dalej!

Gra trwała jeszcze jakieś dziesięć minut. W tym czasie wykruszyli się Małgorzata i Jewdokimow. W końcu zostałam tylko ja i Alosza. Jeszcze trochę przerzucaliśmy kulę, aż zauważyłam, że Loszka zrobił się podejrzanie blady. Zrozumiałam, że nie ma już siły, ale za nic na świecie się do tego nie przyzna, tak bardzo nie chce przegrać z dziewczyną. Mogłabym pierwsza zrezygnować z gry, udając, że jestem zmęczona – tak, jak to zrobiła Małgorzata – ale obudziła się we mnie sportowa ambicja. W końcu nie wstydziłam się przyznać, że kiepsko mi idzie z ożywioną materią, Losza zawsze chwalił się swoimi sukcesami. Więc niby dlaczego miałabym teraz ustąpić?

– Dość – powiedział Dawletiarow i znowu zostałam z ognistą kulą w ręku. – Daj to mnie.

Posłusznie rzuciłam mu kulę. Ogień potulnie ułożył się na dłoni Dawletiarowa, zamigotał przez chwilę... i zgasł.

– Nieźle – powiedział, mierząc wzrokiem ciężko dyszącego Aloszę. – Teraz nieco zmienimy zadanie. Zasady zostaną prawie takie same. Łapiecie ładunek, ale nie przekazujecie go od razu, tylko pochłaniacie. Potem generujecie nowy, trochę silniejszy. Czernowa, to dotyczy ciebie! Trochę, a nie pięć razy silniejszy! I przekazujecie dalej. Zrozumieście? W takim razie zaczynamy.

Było to nieco trudniejsze, tym bardziej że Dawletiarow nadał nieźle tempo. Pochłaniany ładunek nieprzyjemnie łaskotał, a do tego musiałam uważać, żeby nie przesadzić z mocą tworzonej kuli.

Z koła odpadaliśmy prawie w tej samej kolejności, z tą tylko różnicą, że tym razem Swieta utrzymała się zadziwiająco długo. Odeszli Małgorzata, Losza, Sasza, a my cały czas się bawiłyśmy. Pewnie chodziło o to, że w tej „zabawie” nie tylko oddawaliśmy energię, ale i otrzymywaliśmy ją, co

ułatwiało zadanie. Już myślałam, że Swieta ze mną wygra, kiedy Dawletiarow wydał polecenie: – Stop. Czernowa, ładunek do mnie!

Wypełniłam polecenie, z czystej złośliwości dodając jeszcze trochę energii.

– Ale dlaczego? – jęknęła rozczarowana Swieta. – Jeszcze dam radę...

– Czernowa! – warknął Dawletiarow, nie zwracając na nią uwagi. – Specjalnie puszczasz mimo uszu moje wskazówki? Mogłaś ją zabić takim ładunkiem!

Swietka lekko zbladła, a ja obruszyłam się w myślach. A to świnią! Co on sobie myśli, że jestem całkiem głupia i posłałabym Swietłanie tak silny ładunek? Przecież widzę, że nie dałaby rady go odebrać!

– Koniec zabawy! – rzucił Dawletiarow gwałtownie. Wyglądało na to, że był dzisiaj w wyjątkowo parszywym nastroju. – Tarczę wszyscy widzą?

Tarcza stała na poprzednim miejscu.

– Wyjaśnię tylko raz – powiedział Dawletiarow. – Zasada jest taka sama. Posyłacie ładunek do tarczy, on wraca, ale znacznie silniejszy. Waszym zadaniem jest przechwycić go, pochłonąć i przeżyć. Dlatego nie przesadzajcie. Czernowa, zrozumiałaś?

– Zrozumiałam – odburknęłam. Czego się do mnie przyczepił? Ma mnie za kompletną idiotkę, czy co?

Zaczął Losza. Dodatkowe utrudnienie polegało na tym, że trzeba było stać tyłem do tarczy, a generować i rzucać ładunek wyłącznie na rozkaz Dawletiarowa. Losza trafił w tarczę za piątym razem, ale trzeba mu przyznać, że skutecznie przechwycił ładunek. Małgorzata nie starała się zbyt, i skończyła w try miga, ustawiając „miotacz ognia” na minimum. Sasza Jewdokimow poradził sobie całkiem znośnie, a Swieta, mimo że trafiała w tarczę, w żaden sposób nie mogła zmusić się do pochwycenia wracającego ładunku. Wreszcie nadeszła moja kolej. Odwróciłam się

plecami do tarczy, skoncentrowałam, ale rozkaz i tak rozległ się niespodziewanie. Odwróciłam się, odszukałam wzrokiem tarczę, generując jednocześnie ładunek i posłałam go precyzyjnie w cel. Po sekundzie zrozumiałam, że coś zrobiłam nie tak, ale kiedy zorientowałam się, jaka jest moc wracającego do mnie ładunku, po prostu skamieniałam.

– Padnij!! – Silne uderzenie przewróciło mnie na trawę, a zaraz potem nad moją głowę przeleciała ognista burza. Kątem oka zobaczyłam Dawletiarowa przyjmującego na siebie cały ten potworny potok energii.

Po kilku sekundach odważyłam się podnieść głowę i rozejrzeć. Poligon przecinał szeroki pas spalenizny, tarczy w ogóle nie było, studenci ostrożnie podnosili się z ziemi, a Dawletiarow stał nade mną, otrząsając się z sadzy i popiołu, i kłął przy tym tak artystycznie, że mimowolnie poczułam podziw.

Złapał mnie za kołnierz i szarpnięciem postawił na nogi, mocno potrząsnął i ryknął wprost w moją twarz: – Co ty wyrabiasz?! Gdzie masz głowę?!!

– To... to... to niechący – ze strachu zaczęłam się jąkać. Przecież naprawdę zrobiłam to niechący! Nie jestem idiotką, żeby robić sobie takie żarty!

– Żeby do jutra nawet ślad tu po tobie nie został!!! – Dawletiarow nadal się wściekał.

– Igorze Georgiewiczu... – udało mi się wtrącić. – Krwawi pan...

Dawletiarow od razu się uspokoił, puścił mnie, i przyciskając do nosa szybko nasiąkającą czerwienią chusteczkę, zarządził powrót na uczelnię.



Na drugi dzień nie mieliśmy ćwiczeń na poligonie, więc poszłam do biblioteki. Po drodze dopadła mnie Larysa Romanowna. Zdziwiłam się –

dawno już nie prowadziła z nami żadnych zajęć, więc czego mogła ode mnie chcieć?

– Dzień dobry, Naino – przywitała mnie.

– Dzień dobry – odpowiedziałam, lekko zdezorientowana.

– Naina, chciałabym z tobą porozmawiać... – zaczęła Larysa Romanowna, wyraźnie zbierając siły. Czy to aby nie Dawletiarow kazał jej przekazać mi radosną nowinę o wyrzuceniu z uczelni? – O Igorze Georgiewiczu.

– Co?! – Wytrzeszczyłam oczy.

Larysa Romanowna nie zwróciła uwagi na moje zdziwienie i kontynuowała: – Wiem, że wczoraj potraktował cię niegrzecznie, w nerwach zagroził, że zostaniesz wyrzucona...

– To moja wina – wymamrotałam. – Źle oceniłam siły. Czuję się tak, jakbym nie miała bezpiecznika, pracuję od razu pełną mocą.

– To nic, z wiekiem nauczysz się panować nad sobą – pocieszyła mnie Larysa Romanowna. – Chciałam tylko przestrzec cię przed błędem... Widzisz, kilka lat temu studiowała tu pewna dziewczyna, niezwykle utalentowana, ale... zbyt delikatna. Pewnego dnia Igora tak samo poniosły nerwy, nakrzyczał na nią, a ona odeszła. Całe grono pedagogiczne przekonywało ją, żeby została, ale na próżno.

– Nie jestem księżniczką na ziarnku grochu – odparłam. – Nakrzyczał, nic wielkiego. Najważniejsze, żeby mnie nie wyrzucili.

– No co ty, ciebie nie wyrzucą – uspokoiła mnie Larysa Romanowna. – W każdym razie nie z tego powodu... Po prostu chciałam cię uprzedzić, żebyś nie brała sobie za bardzo do serca tego, co może nagadać Igor.

– Nie chcę być niemiła – nie wytrzymałam – ale rzeczywiście, mógłby być grzeczniejszy.

– Nie osądzaj go zbyt surowo – odrzekła poważnym tonem Larysa Romanowna. – Igor jest wspaniałym magiem, naprawdę utalentowanym, niewielu teraz takich. Niestety, był zmuszony porzucić działalność praktyczną i zająć się nauczaniem. Oczywiście, nie jest z tego zadowolony.

– A dlaczego porzucił praktykę? – zapytałam.

– Miał po temu powody. – Starsza dama wykręciła się od odpowiedzi. – Mogę tylko powiedzieć, że w młodości popełnił wiele błędów, za które płaci do tej pory...

Westchnęłam.

– Co takiego zbroił, chciał zmienić bazowe zaklęcie?

– Nie, ależ skąd! Świetnie rozumiał, że coś takiego przekracza nawet jego możliwości. – Larysa Romanowna uśmiechnęła się. – Naino, chętnie bym ci opowiedziała... chociażby dlatego, żebyś nie powtórzyła jego błędów, ale nie mogę. Przykro mi, ale to nie moja tajemnica.

– Ja przecież... – wymamrotałam.

– Wszystko w porządku, jesteś pewna? – spytała troskliwie.

– Tak, oczywiście! – powiedziałam. – Mówiłam przecież, nie jestem delikatną panienką, przekleństwa mnie nie przerażają.

– Świetnie. – Kiwnęła głową i rozstałyśmy się.

Następnego dnia zjawiłam się na zajęciach jakby nigdy nic. Tematem lekcji były ładunki elektryczne, co było trudniejsze niż pociski ogniowe – trzeba było ułożyć ręce w specjalny sposób. Dawletiarow prawie stracił głos, bez końca wyjaśniając nam, co i jak należy zrobić.

W końcu udało się wszystkim oprócz mnie. W żaden sposób nie mogłam przyjąć odpowiedniej postawy i czułam, że wystarczy jeszcze kilka złośliwych uwag Loszki albo pełen wyższości uśmiech Małgorzaty, a się rozplączę. Zacisnęłam zęby i spróbowałam jeszcze raz. Bez rezultatów.

– Łokieć wyżej – rozległo się tuż nad moim uchem. – Nadgarstek bardziej w prawo. Ale nie tak...

Miałam ochotę zapaść się pod ziemię, gdy Dawletiarow stanął za mną, ujął za łokcie i ułożył moje ręce w odpowiedniej pozycji.

– Spróbuj teraz – nakazał.

Posłusznie wysłałam impuls... i między napiętymi palcami przeskoczyła mi zielonkawa iskierka, pozostawiając po sobie w opuszkach nieprzyjemne kłucie. Dawletiarow poklepał mnie po ramieniu i odszedł. Daję słowo, że nie wiedziałam, gdzie się mam podziąć i dopiero po kilku minutach dotarło do mnie, że reszta patrzy na mnie z mimowolnym szacunkiem, a nawet zawiścią. Dotychczas Dawletiarow ani razu nie zaszczycił nikogo osobistą konsultacją, nie mówiąc już o pomocy! Ciekawe, czy interweniowała Larysa Romanowna, czyjego samego ukąsiło sumienie, że przedwczoraj obrugał mnie najgorszymi słowami. Stawiam na to pierwsze. Ktoś taki jak on nie miewa i z definicji nie może mieć wyrzutów sumienia! Tak czy inaczej, pomoc nadeszła na czas i szybko udało mi się nie tylko dogonić, ale i wyprzedzić „władcę piorunów”, Losze. Prawdę mówiąc, cały czas starałam się dawkować energię, więc tym razem obeszło się bez incydentów.

Na szczęście ta część szkolenia szybko dobiegła końca. Dawletiarow zostawił nas w spokoju i grupę przejął nowy wykładowca. Był to, mizerny na pierwszy rzut oka, ale nadzwyczaj energiczny dziadek Afanasij Nikitycz. Między sobą nazywaliśmy go dziadkiem Afonią i wydaje mi się, że on świetnie o tym wiedział. Dziadek Afonia wykładał nam lewitację. To było coś! Sam dziadek, podobny do starego dżinna, wesoło kołysał się w powietrzu jakieś pięć metrów nad ziemią, obserwował nasze desperackie próby oderwania się od ziemi i złośliwie komentował wydarzenia. Komuś

patrzacemu z boku mógł skojarzyć się z orłem spoglądającym z góry na stado kur niezgrabnie machających skrzydłami.

Na takich ćwiczeniach niezauważalnie minęło lato. Znowu zaczęły się zajęcia na uniwersytecie, pojawiły się nowe, jeszcze trudniejsze przedmioty. Nie będę ich wymieniać, bo nazwy te i tak zwykłym ludziom nic nie powiedzą. Dawletiarow nie pojawił się u nas więcej. O dziwo, brakowało mi jego zjadliwych pouczeń. Za to pozostali wykładowcy byli uprzedzająco grzeczni i nigdy nie podnosili głosu.



Pewnego wrześniowego poranka zjawiłam się na uniwersytecie jak zwykle wcześniej. Korytarz nie przeszedł jeszcze porannej metamorfozy, przyzwoicie kończył się ścianą z oknem na podwórko. Przy oknie, odwrócony plecami do mnie, stał Dawletiarow, palił papierosa i ponuro spoglądał w dół. Chciałam przemknąć się do sali, zanim mnie zauważy, ale wtedy zaciągnął się szczególnie głęboko, zakaszłał, z obrzydzeniem popatrzył na papierosa i zgasił go na parapecie. Zapach dymu dotarł do mojego nosa i mnie także zaczęło szczypać w gardle – nigdy w życiu nie wahałam czegoś równie okropnego. Zakaszlałam mimowolnie.

Dawletiarow szybko się odwrócił.

- Czernowa? To znowu ty? – rzucił z niezadowoleniem.
- Dzień dobry... – Nic mądrzejszego nie przyszło mi do głowy.
- Masz zadziwiający talent pojawiania się w niewłaściwych miejscach o niewłaściwym czasie – powiedział, ignorując moje powitanie. – Po kiego diabła przylazłaś tu tak wcześniej?

Zacząłam niezbornie opowiadać o niewygodnym rozkładzie jazdy autobusów, przez które przyjeżdżam albo za wcześnie, albo zdecydowanie

za późno. A ostatnio autobusy zaczęły jeździć już nawet nie według tego okropnego rozkładu, tylko po prostu kiedy im przyjdzie na to ochota.

Dawletiarow wyraźnie stracił zainteresowanie moją osobą, znowu odwrócił się w stronę okna i wyjął z kieszeni papierośnicę. To dziwne, ale nigdy wcześniej nie zauważyłam, że pali.

– Igorze Georgiewiczu... – W końcu zdecydowałam się zagaic. Dawno już chciałam to powiedzieć, ale jakoś nie było po temu okazji. A to wokół było za dużo ludzi, a to Dawletiarow był w tak podłym nastroju, że nawet z kijem nie podchodź.

– Co, Czernowa? – zapytał, nie odwracając się.

– Igorze Georgiewiczu, chciałam... – zaczęłam, ale natychmiast wyleciała mi z głowy cała przygotowana wcześniej przemowa. – Wtedy, latem... Naprawdę zrobiłam to nieumyślnie. Po prostu tak nieoczekiwanie wydał pan polecenie, a ja gdy robię coś szybko, nie nadążam z samokontrolą. Tak jakby mi się zepsuł bezpiecznik.

Dawletiarow odwrócił się w moją stronę, wydało mi się, że dostrzegam w jego wzroku zainteresowanie.

– Gdybym wiedział to wcześniej – powiedział – nigdy byś u mnie nie zaliczyła. Zresztą, nie jest jeszcze za późno, żeby naprawić tę pomyłkę.

– Teraz już umiem się kontrolować – odparłam szybko.

– Tak? – Dawletiarow ironicznie uniósł brwi. – W takim razie... może byś tak zapaliła mi papierosa?

W pierwszym odruchu chciałam się obrazić, ale potem pomyślałam, że stać go na to, by wymazać swój podpis z mojego indeksu. Faktem było, że, o dziwo, niewielki wysiłek był dla mnie zawsze trudniejszy niż działanie na fuli. Ale tym razem wszystko poszło doskonale i na koniuszku papierosa pojawił się malutki płomyczek.

– Jestem zmuszony ci uwierzyć – mruknął Dawletiarow. – Ale zapamiętaj sobie na przyszłość: mag, który nie potrafi się kontrolować jest gorszy od maga niedouczzonego.

– A Larysa Romanowna mówiła, że nie ma nic gorszego od niedouczzonego maga – nie zdołałam ugryźć się w język.

– Nasza Larysa Romanowna jest niezwykle dobrym człowiekiem – odpowiedział Dawletiarow sucho. – Idź już, Czernowa, zaraz zaczną się zajęcia.

Spojrzałam na niego zaintrygowana i zdziwiłam się. Okazało się, że w oczach nie ma wcale złości, jak mi się dotychczas wydawało, a tylko zmęczenie i nawet jakąś rezygnację. Dziwne...

Po tym spotkaniu nie widziałam już więcej Dawletiarowa.



Jakieś półtora miesiąca później, tym razem strasznie spóźniona, wpadłam na uczelnię, nie „od kuchni”, ale głównym wejściem. W oczy rzucił mi się duży plakat na tablicy ogłoszeń – kolorowa fotografia w czarnej ramce.

„Odszedł od nas... młody, utalentowany mag... profesjonalista... laureat...”. I dużymi czarnymi literami:

DAWLETIAROW IGOR GEORGIEWICZ.

Dawletiarow?! Szeroki uśmiech odsłaniający białe zęby, zielone oczy, niesforne rude włosy... To on?! Spojrzałam na datę – miał dopiero trzydzieści trzy lata!

A wyglądał na jakieś dwadzieścia więcej...!

Nie sądziłam, że ta informacja tak mnie wytrąci z równowagi. Począpałam na szóste piętro, nie przejmując się już spóźnieniem. Na szczęście wykładowca też się spóźnił.

– Słyszeliście? Umarł Igor Georgiewicz – powiedziałam do ludzi z grupy.

– Kto? Jaki Igor Georgiewicz?

– Dawletiarow – wyjaśniłam i zajęłam swoje miejsce pod ścianą.

Na chwilę wszyscy zamilkli, a potem wrócili do rozmowy. No tak, niby czemu mieliby się przejmować...

Przyszła profesorka, leciwa Anna Jegorowna. Prowadziła bardzo ciekawy przedmiot „Polityka i magia”, a do tego miała prawdziwy dar opowiadania, ale tego dnia nie mogłam w żaden sposób skupić się na wykładzie. Cały czas myślałam o Dawletiarowie.

To dziwne, ale nie mogłam go sobie wyobrazić takim, jaki był na fotografii w nekrologu. Pamiętałam go takiego, jakim zobaczyłam go podczas naszego ostatniego spotkania na korytarzu: zmęczone, smutne oczy, zapadłe policzki, siwizna na skroniach... Delikatna letnia opalenizna podkreślająca zmarszczki w kącikach oczu.

Jakie to dziwne... Co się stało, był przecież taki młody? Choroba? Tej klasy magowie nie umierają od chorób, to pewnik. Chociaż... pamiętałam, jak zakaszał, a potem patrzył na dłoń, którą zakrył usta. I te dziwne krwotoki...

– Naina, skup się. – Anna Jegorowna klepnęła mnie po ramieniu.

Spróbowałam przybrać wyraz twarzy sugerujący zainteresowanie tematem, ale ta uwaga znowu przypomniała mi Dawletiarowa i jego niekończące się: „Czernowa, to dotyczy ciebie!”, „Czernowa, śpisz?”, „Czernowa, czy wyrażam się jasno?!”. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że zawsze zwracał się tylko do mnie, jeśli nawet w nieszczególnie

uprzejmej formie. Co prawda od czasu do czasu przyczepiał się też do Małgorzaty, ale reszta grupy była dla niego tylko anonimowymi postaciami, które musiał znosić. I tylko mnie pokazał, jak należy poprawnie trzymać rękę podczas generowania ładunku...

Do końca dnia byłam w podłym nastroju. Nie dawało mi spokoju pytanie – co rzeczywiście przytrafiło się Igorowi Georgiewiczowi? Intuicja mówiła mi, że coś tu jest nie w porządku. Przypomniały mi się dziwne aluzje Larysy Romanowny, podsłuchana nocna rozmowa, zajście na korytarzu... Wszystkie te zdarzenia były bez wątpienia ze sobą powiązane, ale nie byłam w stanie połączyć ich w łańcuszek zakończony śmiercią Igora Georgiewicza. Zresztą...

Mam taką niewygodną cechę – jeśli wytyczę sobie jakiś cel, to zrobię wszystko, co możliwe i co niemożliwe, byleby tylko go osiągnąć, nawet jeśli świetnie zdaję sobie sprawę, że nie będę miała z tego nic poza bólem głowy. Nie wiem, dlaczego śmierć Igora Georgiewicza wywarła na mnie tak silne wrażenie. Może dlatego, że wszyscy zachowywali się tak, jakby nic się nie stało? I jeszcze jedna dziwna rzecz: za jego życia zawsze myśląc o nim używałam tylko nazwiska, a teraz, nie wiadomo dlaczego, używam imienia i patronimika...

Tak, bardzo chciałam się dowiedzieć, co naprawdę się wydarzyło. Co stało się z tym młodym, pełnym życia mężczyzną z fotografii? Dlaczego został tym, kim został? W pierwszej kolejności postanowiłam dowiedzieć się jak najwięcej o samym Dawletiarowie. A co jest u nas źródłem wiedzy? No właśnie, książki! Wybrałam się więc do biblioteki.

Poszłam po linii najmniejszego oporu – wzięłam roczniki „Zwiastuna magii” z ostatnich kilku lat i zagłębiłam się w lekturze. Nazwisko Dawletiarowa występowało dość często jako współautora rozmaitych ciężkostrawnych monografii, a jeszcze częściej jako krytyka lub recenzenta.

W większości przypadków „jechał po bandzie”. Nic dziwnego – ze swym ciętym językiem i złośliwymi uwagami Dawletiarow musiał narobić sobie wrogów. Inni goście w czytelni patrzyli na mnie ze zdziwieniem: z czego można się śmiać, czytając stare roczniki gazet?

Wzięłam starsze numery. Tutaj wypowiedzi Dawletiarowa były bardziej powściągliwe, chociaż w zawołowanej formie wypowiadał się o kolegach po fachu obraźliwie. Zauważyłam, że diametralna zmiana zaszła pięć lat temu: najpierw nastąpiła długa przerwa, Igor Georgiewicz przez jakiś czas nie publikował, a potem pojawił się znowu ze szczególnie zjadliwym artykułem na temat tak zwanej „ucieczki mózgów”. Że niby za granicą nasi niedorozwinięci umysłowo robią za geniuszy.

Nie miałam siły przekopywać się przez stosy papieru, zajrzałam więc do katalogu. Zazwyczaj w „Zwiastunie” z okazji jubileuszów lub innych pamiętnych dat, drukowano obszerne wywiady z wybitnymi magami. Znalazłam także wywiady z Dawletiarowem: jeden w zbiorze przygotowanym z okazji stulecia naszego uniwersytetu, drugi – z okazji trzydziestych urodzin Igora Georgiewicza. To znaczy, znalazłam w katalogu, natomiast w gazetach ich nie było. Wpierw pomyślałam, że pomyliłam numery albo strony i zaczęłam znowu kartkować czasopisma. Odkryłam coś bardzo ciekawego: kartek, na których powinny znajdować się artykuły o Igorze Georgiewiczu, po prostu nie było. Ktoś starannie wyciął je z grubych pism, słusznie sądząc, że raczej nikt nie będzie kopał w zakurzonych rocznikach z czystej ciekawości.

To odkrycie utwierdziło mnie w przekonaniu, że sprawa jest nieczysta. No tak... Gdzie jeszcze można znaleźć „Zwiastuna magii”? W dużych bibliotekach miejskich na pewno go nie ma – to czasopismo specjalistyczne, nakład ma żałośnie niski. Pozostają filie uniwersytetu. Do

jednej z nich jedzie się pociągiem ładnie dziesięć godzin. Do drugiej krócej – ale za to samolotem.

Przykre to jest i smutne, że teleportacja praktycznie leży poza moimi możliwościami. Bo zebrałabym się i po prostu udała tam, gdzie trzeba. Ale, niestety, wiedziałam już dość, żeby nie podejmować takiego ryzyka, po prostu nie wystarczy mi na to sił. W celu dokonania teleportacji należy doskonale wyobrazić sobie miejsce przeznaczenia. W przeciwnym razie można trafić w miejsce, z którego o własnych siłach się nie wydostaniesz. Choćby w sam środeczek jakiegoś głupiego pagórka. A jeszcze lepiej, żeby ktoś na ciebie czekał u celu podróży i przyciągał, tworząc „korytarz powitalny”, bo wtedy już na bank nie zabłądzisz. Myślę, że limit moich możliwości zaginania przestrzeni wynosił jakieś dwa do trzech kilometrów, a i to pod warunkiem, że ktoś czekałby po drugiej stronie teleportu! A tak... Wydaje mi się, że nawet najwybitniejszy specjalista nie zaryzykowałby teleportacji przez cały kraj w nieznanym miejscu i bez cudzej pomocy. Tym bardziej ja nie powinnam tego robić.

Ale nie pożałowałam sił ani czasu, z pomocą wiernej Katarzyny ponownie zapewniłam sobie alibi na użytek rodziców i wybrałam się do jednej z filii PUM. Spędziłam całą noc w pociągu, a sytuacja powtórzyła się tam niemal idealnie, z jedną tylko różnicą: wywiadu z Dawletiarowem nie było także w katalogu. Lot na drugi koniec kraju nie miał sensu – tam na pewno natknęłabym się na to samo. Miałam wrażenie, że ktoś przewidział takie poszukiwania jak moje i zadbał o zniszczenie informacji.

Dobrze, ale są przecież także prace wykładowców. Istnieć z pewnością istnieją, ale kto pozwoli mi do nich zajrzeć...? Znowu ślepa uliczka. Igor Georgiewicz nawet z za grobu nie chciał zdradzić swej tajemnicy.

Poszperałam w Internecie, lecz tam także czekało na mnie rozczarowanie. Nazwisko Dawletiarowa występowało w spisach

uczestników różnych konferencji, seminariów, ale nigdzie więcej. Na witrynie naszego uniwersytetu nie udało mi się znaleźć nic poza bardzo ogólnymi informacjami.

Rozzłościłam się i postanowiłam powróżyć kartami tarota. Wróżyłam niezbyt dobrze, w naszej grupie najlepiej wychodziło to Małgorzacie. Swieta też byłaby niezłą wrózką, tylko zawsze myliła kolory. A gdy doszło do kuriozalnych wróżb z wnętrzości szczurów (używaliśmy ich z braku małp), Swietę trzeba było wynieść z sali i poić kroplami na serce.

Mimo że byłam średniej jakości wrózką, to jednak dostrzegłam, że układ kart był jakiś dziwny. Wróżyłam Igorowi Georgiewiczowi, więc według wszelkich zasad karty powinny pokazać śmierć tego człowieka i być może jej przyczyny, ale wychodziły mi kompletne bzdury. Eksperymentalnie powróżyłam mojej nieżyjącej już od wielu lat prababci i karty wyraźnie pokazały, że staruszka od dawna spoczywa w mogile. Powód śmierci nie był jasny, ale to zupełnie inna historia. Bardzo dziwne...

Niezauważalnie minął tydzień. Przez śledztwo całkiem opuściłam się w nauce i musiałam nadrabiać zaległości, więc na jakiś czas zaniedbałam swoje prywatne „dochodzenie”.

W poniedziałek minęło dziewięć dni od śmierci Igora Georgiewicza. Bez trudu udało mi się ustalić, gdzie został pochowany. Kupiłam kwiaty i pojechałam na stary cmentarz na peryferiach miasta.

Na cmentarzu panowała taka cisza, że aż dzwoniło w uszach. Było dość zimno, wszystkie liście już opadły, a żółty dywan, który z nich powstał, dawno zmienił się w burą papkę. Padał wstręty drobny deszcz.

Znalazłam świeży grób z metalowym ogrodzeniem. Kilka żalosnych wieńców – *OD KOLEGÓW, OD WSPÓŁPRACOWNIKÓW* (ani jednego od rodziny) – zdążyło już całkiem zwiędnąć i stracić formę. Trochę

posprzątałam, położyłam świeże kwiaty. Na brudnoszarej ziemi dwie białe chryzantemy wyglądały jakoś tak... wyzywająco.

Na pomniku umieszczono inną fotografię niż w nekrologu. Igor Georgiewicz wyglądał tak, jak go zapamiętałam – był ponury i nieuprzejmy. Nie lubię pomników z fotografiami. Gdy są nowe, wyglądają przyzwoicie, ale potem portret się niszczy i zmienia tak, że aż nieprzyjemnie jest na niego patrzeć, a i twarzy nie można rozpoznać.

W oddali na jednej z wąskich drózek zamajaczyła znajoma sylwetka. Szybko zebrałam się i poszłam w drugą stronę. Nie miałam ochoty na żadne spotkanie.

Po wizycie na cmentarzu do głowy przyszła mi ciekawa myśl. Aż dziwne, że wcześniej o tym nie pomyślałam. Igor Georgiewicz musiał mieć jakichś krewnych, nie spadł przecież z Księżyca. Uczył się w liceum, studiował na uniwersytecie, podejrzewam, że na naszym, ewentualnie – w filii.

I tak oto moje śledztwo otrzymało nowy impuls. Zdobyłam kilka baz danych z adresami i telefonami. Dawletiarowów – w końcu jest to dość rzadkie nazwisko – znalazłam niezbyt wielu. Skrupulatnie obdzwoniłam wszystkie numery, zakładając, że szczęście uśmiechnie się do mnie, gdy dotrę do ostatniego na liście. A jednak pomyliłam się. Szczęście nie uśmiechnęło się wcale. Nikt z Dawletiarowów nie słyszał o żadnym Igorze Georgiewiczu, a w bazach danych w ogóle nie było nazwiska z jego inicjałami. Bardzo ciekawe. Może nie pochodził z naszego miasta? W takim razie szukaj wiatru w polu!

Starałam się znaleźć kolegów Igora Georgiewicza z podstawówki albo ze studiów, ale bezskutecznie. Jak szukać, gdy nie znasz ani numeru szkoły, w której się uczył, ani nazwy wydziału...? Dać ogłoszenie do gazety? A kto by czytał takie ogłoszenia?!

Śledztwo zabrnęło w ślepią uliczkę. Dawletiarow Igor Georgiewicz okazał się człowiekiem bez przodków, bezdomnym i niewymienionym w żadnym spisie. Nie wiedziałam, co dalej robić... Może warto byłoby porozmawiać z Larysą Romanowną, ale nie wiedziałam, jak zacząć. Nie mogłam przecież podejść do niej i poprosić, aby opowiedziała mi całą prawdę o Igorze Georgiewiczu. A może po prostu wywołać jego ducha i porozmawiać? Pomysł ten odrzuciłam jako niebezpieczny i nieracjonalny. Nekromancją zajmował się osobny wydział, utajniony jeszcze bardziej niż nasz, ich książki przechowywano nie w bibliotece, a na szóstym piętrze, w specjalnym pomieszczeniu, ukrytym diabli wiedzą gdzie – o dostaniu się do niego nie było nawet co marzyć.

Dopiero po tygodniu przypomniałam sobie o pokoju, w którym kiedyś przyszło mi nocować. Na stole stał tam komputer! Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałam?

Późnym wieczorem kręciłam się koło zamkniętych drzwi i z całej duszy pragnęłam, aby nałożono na nie zabezpieczenie, które nie pozwoli mi przez nie przejść. Tak, tak, do tego czasu nauczono nas już przechodzić przez ściany! Ale albo Igor Georgiewicz nie bał się nieproszonych gości, albo nie przechowywał tu niczego szczególnie cennego... Jednym słowem, bez trudu dostałam się do środka.

Włączyłam komputer i zdziwiłam się beztruską byłego właściciela – system nie zażądał nawet loginu użytkownika, nie wspominając już o hasle. Zresztą przechowywał tam przede wszystkim jakieś nudne dokumenty, które absolutnie nic mi nie powiedziały. Hmm... a może są tu jakieś ukryte foldery? Domysł okazał się słuszny: znalazłam ukryty folder i o mało nie zaczęłam krzyczeć z radości – były w nim akta osobowe studentów! W tym także moje. Poprzednie roczniki i świeżynki z młodszego mnie nie interesowały, ale w naszej dokumentacji szperałam z entuzjazmem. Każdy z

nas został scharakteryzowany niezwykle precyzyjnie i wyczerpująco. Mówiąc dokładnie, każdemu z nas przypisano pseudonim: nicpoń, mądrała, spryciara, jędza, tchórz i czarny koń. „Czarnym koniem” byłam ja. Osobliwe...

W tym samym miejscu Igor Georgiewicz umieścił notatki na nasz temat. O Jewdokimowie napisał ironicznie, że długo nie wytrzyma. O Kowalowie: „Zbyt pewny siebie. Mądry. Prawdopodobieństwo 60/40”. O Fiodorence: „Szuka łatwych dróg. Skończy w kryminale. Nedoróbka”. O Małgorzacie: „Wyrachowana jędza. Ambitna. Chytra. Prawdopodobieństwo 50/50”. O Swietłanie: „Tchórzliwa. Niepewna siebie. Słaby potencjał. Nedoróbka”. A o mnie jakoś tak dziwnie: „Ambitna. Uparta. Duży potencjał. Niezwykle przypomina R. Prawdopodobieństwo 90/10”. Nie udało mi się odgadnąć, co oznaczają te prawdopodobieństwa. Może to prawdopodobieństwo tego, czy z kogoś wyjdzie przyzwoity mag? Ciekawe, kim był... albo była R? Kiedyś Larysa Romanowna wspomniała, że jestem podobna do pewnej dziewczyny, która studiowała dwa lata wcześniej... Zajrzałam do akt sprzed trzech lat i znalazłam tam tylko jedną dziewczynę, której nazwisko zaczynało się na R – Marinę Rogaczową. Zaskakujące: jej charakterystyka była wielce pochlebna, a mimo to na końcu wpisano lakoniczną uwagę: „Skreślona z listy studentów”. Za co, dlaczego? Kolejna tajemnica!

Znalazłam jeszcze jeden plik chroniony hasłem. Męczyłam się z nim ponad godzinę, ale bez skutku. Próbowałam na różne sposoby pisać imię i nazwisko Dawletiarowa – i cyrylicą, i łacińskimi literami, i tak, i siak... – aż w końcu, zupełnie przypadkiem, wpisałam z rozpaczycy słowo „mag”. Okazało się, że plik był czymś w rodzaju dziennika Igora Georgiewicza. Niestety, nie wpisywał dat, więc trudno było się zorientować, o jakim okresie była mowa. Zorientowałam się dopiero, gdy znalazłam notatkę o naborze do naszej grupy. Określił nas krótko i treściwie: „bałaganiarze”. A

dalej, krótkimi zdaniami, zapisał wrażenia z pracy z nami. Niezbyt pochlebne. Znowu wspomniano o moim podobieństwie do tej R. Najpierw był wpis o zdarzeniu na poligonie (Dawletiarow opisał mnie tak malowniczo, że czytając czerwieniłam się co chwila), a potem taka notatka: „L.R. pomyliła się. Cz. – idiotka”. Cz. to najwyraźniej ja, Czernowa, a L.R. – Larysa Romanowna. W czym się myliła?

Potem w dzienniku był tylko jeden zapis: „L.R. miała rację. Idiota – ja”. Nie miałam pojęcia, co to mogło znaczyć.

No cóż, miałam teraz punkt zaczepienia – Marinę Rogaczową. W aktach były jej dane osobowe, więc mogłam ją znaleźć. Zresztą była jeszcze jedna kobieta – ta, z którą Dawletiarow rozmawiał wtedy w nocy. Ale nie widziałam jej, słyszałam tylko głos, nie sądziłam więc, bym mogła ją rozpoznać.

Tak czy inaczej, poszukiwania trzeba było odłożyć – nadciągnęły kolejne zaliczenia, do których musiałam się porządnie przygotować. Co prawda udało mi się zdać wszystko za pierwszym podejściem i to całkiem nieźle, ale naharowałam się okropnie.

W czterdzieści dni po śmierci Igora Georgiewicza znowu wybrałam się na cmentarz. Po mojej wizycie jeszcze ktoś tu był: obok przymarzniętych do ziemi zwiędłych chryzantem leżały czerwone goździki, stał kieliszek. Chyba wypadało coś ze sobą przynieść, ale niezbyt dobrze orientuję się w starych zwyczajach [*W Rosji istnieje do tej pory zwyczaj picia wódki na grobach, co jest dalekim echem rytuału „dziadów”*]. *Dziewiąty i czterdziesty dzień są tradycyjnymi dniami pamięci o świeżo zmarłym. Tradycyjne jest też zostawianie zmarłemu kieliszka lub talerza*]. No cóż, mam nadzieję, że Igor Georgiewicz mi wybaczy.

– Naina?

Przestraszyłam się nieco, ale nie zdziwiłam.

– Larysa Romanowa...

– Nie spodziewałam się, że cię tu spotkam. – Larysa Romanowna zupełnie nie wyglądała w tej chwili jak wykładowca i doświadczony mag. Bardziej przypominała dobrze sytuowaną emerytkę. – Wiesz, cały czas myślałam, któż to przychodzi do Igora, ale nie zgadłam, myślałam, że to...

Przerwała, a ja zapytałam obojętnym tonem: – Że to Marina?

– Skąd wiesz o Marinie? – Larysa Romanowna najeżyła się.

– Ludzie gadają – odpowiedziałam, pojmując, że głupio się wyklepałam, spróbowałam więc zmienić temat: – Ciekawe, że nikt więcej nie przyszedł. Czyżby w ogóle nie miał przyjaciół ani krewnych?

– O krewnych nic nie wiem – powiedziała Larysa Romanowna, a ja, nie wiem czemu, od razu jej uwierzyłam. – A przyjaciele... No cóż, wiesz sama, że Igor był trudnym człowiekiem. Szanowano go, ale lubiany nie był...

– Wygląda na to, że niejednemu zdążył dopiec – powiedziałam byle co.

Larysa Romanowna milczała chwilę, a potem rzekła: – To niesprawiedliwe, gdy odchodzą tacy młodzi ludzie. Chociaż...

Nie dokończyła, ale przypuszczam, że chciała chyba powiedzieć: „Chociaż dla niego było to najlepsze wyjście”. Ciekawe, dlaczego?

Jeszcze chwilę postaliśmy w milczeniu przy grobie. Byłam wdzięczna Larysie Romanownie, że nie spytała mnie, dlaczego tu przyszłam. Nie mogłabym rozsądnie odpowiedzieć. Po prostu... po prostu tak. Coś mnie przyciągnęło. Nie znałam zbyt dobrze Igora Georgiewicza, a nasze stosunki nie należały do najlepszych, a mimo to – przyciągnęło. Więc przyszłam. Było mi smutno, że jest nas tylko dwie: głupia studentka i leciwa profesorka.

– Chodźmy, Naino – cicho powiedziała Larysa Romanowna. – Zimno i zaczyna się ściemniać...

Kiwnęłam głową i wyszłyśmy na cmentarną ścieżkę. Jutro wybiorę się pod adres sprzed dwóch lat, który znalazłam w aktach osobowych Mariny Rogaczowej. Być może już tam nie mieszka, ale mimo wszystko łatwiej będzie znaleźć ją niż kogokolwiek innego z przeszłości Igora Georgiewicza – kogoś z tych, którzy nie zostawili żadnych śladów.

Marina Rogaczowa mieszkała niedaleko od centrum miasta. Nie zaryzykowałam pojawienia się od razu na jej progu, postanowiłam najpierw wypytać sąsiadów. Dom był stary, na pewno wszyscy się tu znali.

Podeszłam do wysiadujących na ławeczce starowinek i przywitałam się uprzejmie. Babcie wpatrywały się we mnie z nieukrywaną ciekawością, co znacznie ułatwiło mi zadanie – wykładano nam już podstawy hipnozy. Silne oddziaływanie nie było potrzebne, wystarczyło tylko kobietom przytępić naturalną podejrzliwość względem obcych.

– Rogaczowa? – zastanowiła się jedna z babć. – Mieszka w drugiej klatce, prawda?

– Właśnie, właśnie – potwierdziła druga. – Tylko że rok już minął jak nazywa się Astachowa.

– Racja. – Pokiwała głową pierwsza i odwróciła się z powrotem do mnie. – Nie idź teraz do niej do domu, bo jej nie ma.

– A nie wie pani, gdzie jest? Może telefon do pracy... – poprosiłam. – Gdzie mogę ją znaleźć?

– A po co szukać? – Druga babuleńka wzruszyła ramionami. – Tam jest, spaceruje z dzieckiem.

Rzeczywiście, niedaleko powoli szła młoda dziewczyna z wózkiem. Podziękowałam staruszkom i zdecydowanym krokiem ruszyłam ku niej. Akurat usiadła na ławce.

– Dzień dobry, Marino – powiedziałam.

– Dzień dobry. – Nastroszyła się nieco. – Czy my się znamy?

– Nie – odpowiedziałam, starając się ostrożnie zastosować hipnozę, ale nic z tego nie wyszło. Widać w niektórych dziedzinach Marina była znacznie silniejsza ode mnie, i z nią ta sztuczka nie przeszła. Dobrze przynajmniej, że nic nie wyczuła. Co jak co, ale ekranowanie wychodziło mi nieźle...

– Czego pani ode mnie chce? – zapytała stanowczo.

– Tak w ogóle to niczego. – Wzruszyłam ramionami. – Po prostu chciałam powiedzieć, że umarł Igor Georgiewicz.

W życiu nie widziałam, żeby ktoś tak nagle zbladł. Marina w mgnieniu oka zrobiła się biała jak ściana, potem na policzki wypełzły jej czerwone plamy.

– Jak...? – zdołała wykrztusić z trudem.

– Zwyczajnie – odpowiedziałam. – Już półtora miesiąca temu...

– No nie! – Marina aż uniosła się lekko, bezwiednie szarpiąc wózek. Dziecko rozkrzyczało się z niezadowoleniem, ale nie zwróciła na to uwagi. – Chcę wiedzieć, jak umarł!

– Nie wiem – powiedziałam niepewnie. – A po co to pani?

– Po to, że zniszczył mi życie... – Marina wycedziła przez zęby. – Mam nadzieję, że się męczył.

Aż się zakrztusiłam ze zdziwienia.

– Skąd pani o mnie wie? – zapytała nagle. – Ludzie ciągle jeszcze gadają?

Wzruszyłam ramionami.

– Tak tylko...

– Śśświnie – wysyczała.

Zrozumiałam, że nic więcej się tutaj nie dowiem, więc postanowiłam odejść.

– Proszę zaczekać! – krzyknęła za mną Marina. – Gdzie jest pochowany?

– Nie wiem – rzuciłam, nie odwracając głowy.

Coraz więcej i więcej zagadek. Jakąż to krzywdę wyrządził Marinie Igor Georgiewicz? Larysa Romanowna mówiła, że dziewczyna rzuciła uczelnię z powodu wyskoków Dawletiarowa, ale moim zdaniem Marina nie wyglądała na osobę, którą łatwo jest zranić. Kryło się za tym coś innego, ale co? Moje śledztwo utknęło w martwym punkcie. Nic więcej nie mogłam ustalić. Zresztą wygłupiłam się: nie powinnam tak otwarcie rozmawiać z Mariną. Trzeba było poznać się niby to przypadkiem, zdobyć jej zaufanie – sama by mi wszystko opowiedziała. Doprawdy, idiotka ze mnie pierwszorzędna! Ale nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem...

Zima ciągnęła się w nieskończoność. Pograżyłam się w nauce po uszy i starałam zapomnieć o sprawie Dawletiarowa. Okazała się ponad moje siły.

Pewnego wiosennego dnia musiałam iść do biblioteki. Buszując po półkach w poszukiwaniu potrzebnej książki, przypadkowo natknęłam się na nieznanego mężczyznę, który zatarasował mi drogę. Przeprosiłam, ale nie zwrócił na mnie żadnej uwagi – był zbyt pochłonięty lekturą. Zwyczaj trzymania grubego tomu na zgiętym ramieniu wydał mi się dziwnie znajomy. Mężczyzna podniósł rękę, żeby przewrócić stronę, a wtedy na jego palcu coś błysnęło – złoty pasek w oczku pierścienia.

– Igor Georgiewicz...? – Kolana mi zmiękły, aż oparłam się o regał, żeby nie upaść.

Mężczyzna wzdrygnął się tak, że o mało nie upuścił książki, poderwał głowę. Jego twarz była mi całkiem obca – szeroka, o nieco topornych rysach. Oczy miał brązowe, włosy ciemne.

– Pomyliła mnie pani z kimś – powiedział łagodnie. Głos także nie był mi znany. – Przepraszam, chciałbym przejść.

– Ale... ma pan pierścień... – wybąkałam.

– Cały nasz rocznik nosi takie pierścienie – wyjaśnił mężczyzna cierpliwie. – Studencki zwyczaj. Przepraszam...

Przecisnął się obok mnie i ruszył w stronę wyjścia. Stałam jak skamieniała. Studencki zwyczaj... A jakże, słyszałam o czymś takim. Absolwenci naszego uniwersytetu, każda grupa, mieli coś w rodzaju znaku rozpoznawczego: pierścień, breloczek albo plakietkę. Mało kto nosił je przez całe życie, ale zwyczaj istniał, więc nie było nic dziwnego w tym, że ten mężczyzna i Dawletiarow mieli takie same pierścienie. Ale przecież to...

Ruszyłam ku wyjściu. Nieznajomy już wyszedł, więc zapytałam Lenoczkę: – Lenka, kto to był?

– Kto?

– No ten, co wyszedł tuż przede mną – wyjaśniłam. – Jakiś bezczelny typ, popchnął mnie i nawet nie przeprosił...

– To Piotr Siergiejewicz Łodygin – powiedziała Lenoczka, zaglądając do formularza. – Strasznie dawno go nie było w bibliotece, pojawił się pierwszy raz od trzech lat!

Wspaniale! Znam nazwisko człowieka, który uczył się z Dawletiarowem! I co mam z tym zrobić?

Wybrałam znaną drogę: zasiadłam nad rocznikiem „Zwiastuna magii”. Łodygin publikował często, zazwyczaj upiornie długie i monotonne artykuły. *Ř propos*, co rusz był obiektem bezlitosnej krytyki Dawletiarowa. Pół roku temu ucichł, a potem nagle zmienił styl publikacji. Tematyka pozostała praktycznie taka sama, ale sposób pisania, zwroty, a nawet ulubione przykłady – wszystko bardzo przypominało artykuły świętej pamięci Dawletiarowa. No cóż, kolega w grobie, nikt nie oskarży go o bezczelny plagiat.

Wywiad z Łodyginem był na swoim miejscu. Facet okazał się dość nudnym typem: urodził się, uczył, pracował... bla, bla... (Chociaż trudno mówić o nudzie, jeśli kto ukończył specjalny wydział PUM). No cóż, Łodygin zdecydowanie nie był kreatywny. Z co i rusz rzucanych mimochodem aluzji wynikało, że w tej chwili kieruje jakimś straszliwie utajnionym projektem. Skoro teraz grzeje dyrektorski fotel, to pewnie kieruje tymi, którzy potrafią myśleć twórczo za niego.

No dobrze, zapoznałam się z krótką biografią Łodygina i co mi to dało? Absolutnie nic. Oczywiście, można wybrać się do archiwum, jakoś oczarować pracowników – chociaż tam pracują same stare pierniki, na których nie robi wrażenia nawet gwiazda filmowa! – i spróbować zdobyć dokładniejsze informacje o Łodyginie. Zdążyłam się już przekonać, że w zwykłych bazach danych nie ma ani adresów, ani telefonów znaczących magów. Więc może lepiej zacząć kopać „w głąb”: poszukać innych studentów z rocznika Dawletiarowa, być może nawet kolegów z klasy...?

Zaczęłam myśleć nad tym planem i nawet pokręciłam się koło kadr, gdzie, jak udało mi się dowiedzieć, przechowywano akta osobowe wykładowców. System ochronny był tam taki, że król hakerów by mu nie dał rady – nie to, co w bibliotece. Nie ma mowy, żebym się tam dostała w tajemnicy. Tym razem ten numer nie przejdzie.

No nie! Jestem chyba kompletnie głupia. Przeszukałam komputer Dawletiarowa, a o biurku zapomniałam! Nigdy nic nie wiadomo, a nuż został tam notes z numerami telefonów, albo kalendarz z zapisanymi adresami przyjaciół, znajomych i kto wie, co jeszcze! Tak więc znowu ruszyłam „na robotę”.

Wieczorem na szóstym piętrze jest całkiem cicho i pusto. Nie zawahałam się ani na chwilę, wchodząc do gabinetu. Weszłam... i o mało co nie padłam na zawał – przed monitorem ktoś siedział.

Ten ktoś, kto okazał się Łodyginem, moim zdaniem też o mały włos nie zemdleł na mój widok.

– P-przepraszam... – wykrztusiłam i już miałam zrejterować, ale nie udało mi się. Ni z tego, ni z owego zadziałał system ochronny i nabiłam sobie guza o ścianę.

– Czernowa, nie wydaje ci się, że robisz się coraz bardziej bezczelna? – rozległo się za moimi plecami. Głos należał do Łodygina, ale ton, jakiego użył...! – Czy pozwoliłem ci przychodzić tutaj?

– To naprawdę pan? – zapytałam cicho, odwracając się powoli.

– Jesteś strasznie namolna, Czernowa – powiedział „Łodygin”. W miarę jak mówił, tembr jego głosu zmieniał się stopniowo i, o ile „jesteś” wymówił Łodygin, to „Czernowa” powiedział już Dawletiarow.

– Igorze Georgiewiczu, po co to...? – zaczęłam, ale przerwał mi: – Po co wtykałaś nos w nie swoje sprawy?

Wzruszyłam ramionami. Ten gest wchodził mi już w nawyk.

– Sama nie wiem – w końcu odzyskałam nieco odwagi i poprosiłam: – Igorze Georgiewiczu, a czy mógłby pan... no... Tak jakoś się dziwnie z panem rozmawia w tym stanie.

– Czernowa... – Igor Georgiewicz nie dokończył, wstał i podszedł do okna. Potem odwrócił się.

Jego oczy niezauważalnie zmieniły kolor z brązowych na bladozielone, włosy pojaśniały. Tak samo szybko zmieniła się twarz, przekształcając z zadowolonego boklerskiego pyska administratora Łodygina w znajomą fizjonomie Dawletiarowa. Miałam wrażenie, że przez te pół roku schudł jeszcze bardziej.

– Powinnaś iść do szkoły policyjnej, Czernowa – powiedział. – Byłabyś świetnym detektywem. Dokopałaś się do czegoś, co wcale nie było dla ciebie przeznaczone.

Przebiegły mi mrówki po krzyżu. Wdepnąć w tajne rozgrywki magów to nic miłego!

– Igorze Georgiewiczu, co się dzieje? – zapytałam, sama dziwiąc się własnej bezczelności. – Proszę mi powiedzieć!

Dawletiarow przycupnął na parapecie, zgarbił szerokie ramiona, przez co stał się podobny do dużego, zmęczonego ptaka.

– A w zasadzie, dlaczego by nie... – powiedział w końcu.



Było sobie kiedyś dwóch chłopców, wychowywali się na tym samym podwórku, chodzili do tej samej klasy i nawet poszli na tę samą uczelnię. Historia byłaby banalna, gdyby nie to, że ci chłopcy postanowili zostać magami. Zresztą wróżono im wspaniałą karierę: obaj mieli ogromny potencjał, we właściwym czasie obu zabrano na tajemnicze szóste piętro. Tyle tylko, że jeden z nich miał zbyt niepokorny charakter, był szorstki w kontaktach z ludźmi i zupełnie nie umiał dogadywać się z kierownictwem. Drugi był bardziej zrównoważony, spokojniejszy i nade wszystko cenił zdobytą ciężką pracą pozycję w prestiżowej organizacji. Miał dobre układy z przełożonymi, chociaż nigdy nie zniżał się do prostego lizusostwa, za to w dziedzinie zakulisowych rozgrywek osiągnął mistrzostwo. O ile Pierwszy miał wielkie szanse z czasem zostać wspaniałym magiem praktykiem, o tyle Drugi wybrał drogę badań teoretycznych i w niedługim czasie zaczął kierować poważnym projektem badawczym. Był wystarczająco inteligentny, by doskonale rozumieć, że w obecnych czasach mag praktyk wcale nie ma aż tak wielu możliwości wykazania się, szczególnie jeżeli jego specjalizacja jest daleka od pokojowej. Doskonalić się, osiągać coraz to większe sukcesy po to tylko, by je osiągnąć i utrzymać zaszczytny tytuł

„Najlepszego”? Drugi uważał, że to głupie, ponieważ poza uznaniem warte uwagi są również sprawy całkowicie materialne.

Dawna przyjaźń stopniała niemal bez śladu. Pierwszy pogardzał Drugim za konformizm, Drugi uważał Pierwszego za twardogłowego waśniaka, który bez sensu trwoni siły. Szybko wzajemna niechęć przekształciła się w otwartą wrogość.

Jednakże konformista umiał pracować w zespole i, jeśli było to konieczne, dla dobra ogółu potrafił schować osobistą dumę do kieszeni. Do przeprowadzenia ważnego eksperymentu był mu potrzebny mag wysokiej klasy. Gdyby sam miał wystarczające możliwości, zrobiłby wszystko, co możliwe i co niemożliwe. Niestety, w tym czasie jego potencjał nie był już zbyt wysoki.

I wtedy Drugi poszedł z prośbą do Pierwszego.

Ten nie od razu zgodził się na eksperyment, Drugi musiał go długo i cierpliwie namawiać, prosić i poniżać się. W końcu zdobył jednak zgodę i Pierwszy, dumny ze swej wyjątkowości, oddał się do dyspozycji grupy badawczej.

– Teraz już zdaję sobie sprawę, że można to porównać z próbą zainicjowania syntezy termojądrowej gdzieś w polu, przy ognisku. – Igor Georgiewicz krzywo się uśmiechnął.

Eksperyment zakończył się potworną katastrofą. Zresztą od samego początku było wiadomo, że nie da się przewidzieć rezultatów, nawet z niewielką dozą prawdopodobieństwa. Ale to, co się zdarzyło, przeszło najgorsze oczekiwania. Niewyobrażalnie drogie oprzyrządowanie zostało całkowicie zniszczone, ale co najgorsze, bardzo ucierpiał mag uczestniczący w eksperymencie.

Czyli mniej więcej tak, o ile dobrze zrozumiałam, jakby śpiewak wziął za wysoką nutę jak na swe możliwości i na zawsze zniszczył sobie struny

głosowe.

– W ogóle nie pamiętam, co się wtedy zdarzyło – ciągnął Igor Georgiewicz. – Przytomność odzyskałem dopiero po kilku dniach...

...I prawie natychmiast zrozumiał, że nadszedł kres jego kariery. Z potencjału, który dotąd wydawał się nieograniczony, pozostały mu tylko nędzne resztki. Bardzo wolno jego stan zaczął się poprawiać, powoli regenerowały się utracone zdolności, co jakiś czas powracały utracone możliwości – choćby pokonywanie rozgraniczenia przestrzeni. A co do reszty... Za to, co niegdyś przychodziło z łatwością, teraz płacił trwającym wiele dni osłabieniem i bólem głowy.

– ...To tak, jakby się złamało kręgosłup – powiedział z niewesołym grymasem. – Być może kiedyś będziesz mógł się poruszać, ale biegać już ci nie sędzone. Ale najgorsze ze wszystkiego było poczucie własnej nieprzydatności. Nie, nie zwolniono mnie z uniwersytetu, wręcz przeciwnie, zaproponowano ciepłą posadkę i starano się zatrzeć nieprzyjemne wspomnienia.

Dawletiarow nienawidził swej nowej pracy. Ktoś inny być może z czasem pogodziłby się z sytuacją, odnalazł w niej jakieś pozytywne aspekty, a może nawet poczuł wdzięczność do kierownictwa. Ale nie on. Troskliwość kolegów, nawet jeśli była szczerą (wiele osób, szczególnie tych, które uczestniczyły w feralnym eksperymencie, miało silne poczucie winy), doprowadzała go do szału. Praca pod nadzorem tegoż Łodygina, który sprytnie odwrócił kota ogonem i zachował swoje stanowisko, była dla niego nieznośną torturą. W ten sposób niezbyt przyjemny charakter Dawletiarowa pogorszył się jeszcze bardziej. Nie raz i nie dwa wyżywał się na studentach.

– Jest taka mądra tradycja – powiedział Igor Georgiewicz, odwracając się w stronę okna. – Dobija się zajeżdżone konie. Szkoda, że człowiekowi

czasem brak odwagi, by palnąć sobie w łeb...

Postanowił zapracować się na śmierć. Umyślnie robił to, co przekraczało jego siły, z nadzieją, że wcześniej czy później nie wytrzyma serce albo jakieś naczynie w mózgu. Niestety, jak na ironię miał za silny organizm.

Szybko stało się jasne, że ambicje Łodygina rosną i nie zamierza poprzestać na tym, co udało mu się osiągnąć do tej pory. Niedokończony eksperyment nie dawał mu spokoju, rozpoczął więc poszukiwania nowych ochotników. Jednak nie mógł zwerbować nikogo na odpowiednim poziomie. Silni magowie zazwyczaj byli już nie pierwszej młodości, a do tego świetnie wiedzieli, co się stało z poprzednim ochotnikiem. Nic dziwnego, że nie kwapili się do podejmowania ryzyka. Łodygin nakazał więc Dawletiarowowi szukać odpowiedniego materiału wśród studentów, którzy pojawiali się na specjalnym wydziale. Długo nikt odpowiedni się nie trafił.

– A potem pojawiła się Marina. – Dawletiarow nadal stał odwrócony do mnie plecami. – Takiego potencjału dawno nie widziałem.

Była rzeczywiście bardzo silna i nieprawdopodobnie ambitna. Bez wątplenia zgodziłaby się na uczestnictwo w eksperymencie, idąc na lep obietnic światowej sławy i otwierających się przed nią wspaniałych perspektyw. Zachwycony Łodygin wydał polecenie rozpoczęcia przygotowań do eksperymentu – miały trwać równo rok, by Marina zdążyła nauczyć się wszystkiego, co konieczne. Niestety, dziewczyna była nie tylko skrajnie ambitna i dumna, ale także bardzo delikatna.

– Zmusiłem ją do porzucenia uczelni – oznajmił Igor Georgiewicz. – Obrażałem ją przy ludziach, mówiłem jej takie rzeczy, że musiała mnie znienawidzić.

Marina odeszła z hukiem, zapowiadając na kilometr omijać każdego maga, który znajdzie się na jej drodze. Dotrzymała słowa, mimo perswazji

Łodygina. Marina nie wróciła na PUM, zdała na medycynę, ale niedługo potem wyszła za mąż i zajęła się domem.

Bez wątpienia Łodygin świetnie zdawał sobie sprawę z tego, co było przyczyną odejścia Mariny. Jego stosunki z Dawletiarowem stały się napięte do granic możliwości, ale ani jeden, ani drugi nie mógł się wycofać. Łodygin nie mógł usunąć Dawletiarowa ze stanowiska – wywołałoby to niechęć całego zespołu i mogło bardzo źle wpłynąć na projekt. A sam Dawletiarow nie zamierzał odejść – miał teraz cel: nie pozwolić Łodyginowi skrzywdzić kolejnej ofiary.

– W zeszłym roku na nasz wydział przyjęto ciebie. Tak bardzo byłaś podobna do Mariny, że zrozumiałem od razu, Łodygin ci nie przepuści.

Wcale nie uważałam porównania z Mariną za pochlebne, ale powstrzymałam się od komentarza.

– Rzeczywiście, już po pierwszych zajęciach prowadzonych przez Larysę Romanownę Łodygin zwrócił na ciebie uwagę – ciągnął Dawletiarow.

– A co ona ma do tego? – spytałam podejrzliwie.

– Od razu zwróciła uwagę na to, że u ciebie, w przeciwieństwie do większości magów kobiet, przeważa nie potencjał twórczy, lecz destrukcyjny – wyjaśnił Igor Georgiewicz.

Przypomniałam sobie pierwsze zajęcia z dematerializacji i mimowolnie westchnęłam.

– Moim zdaniem Larysa Romanowna bardzo dobrze się do pana odnosiła – powiedziałam. I nagle olśniło mnie: – Przecież to z nią rozmawiał pan wtedy w nocy?

Dawletiarow kiwnął głową.

– Larysa Romanowna rzeczywiście czuje się za mnie odpowiedzialna – powiedział. – Kiedyś byłem jej uczniem. Ale kiedy zagłębiała się w pracę

naukową, zapominała o ludziach. Przekonywałem ją, że się nie nadajesz, ale bez skutku. Jest fanatyczną zwolenniczką projektu Łodygina.

– A cóż to za projekt? – zapytałam.

– Trudno to wyjaśnić... – Igor Georgiewicz zaczął bębnić palcami po szybie. Dźwięk był okropny. – Obecnie potrafimy rozgraniczyć przestrzeń, zaginając ją. Grupa Łodygina pracuje nad stworzeniem wydzielonej przestrzeni.

– Czyli w rzeczywistości będzie to inny wymiar? – Zdążyłam już liźnąć wiedzy na temat pracy z przestrzenią.

– Mniej więcej. Byłem przekonany, że zgodzisz się na udział w eksperymencie.

Przypomniałam sobie dziwne „prawdopodobieństwa” w zapiskach Dawletiarowa. Może było to prawdopodobieństwo wyrażenia przez nas zgody na uczestnictwo w badaniach Łodygina? Pewnie tak.

– Okazało się, że ciebie nie można pozbyć się tak łatwo jak Mariny – powiedział Igor Georgiewicz. – Złościłaś się, ale to tylko zwiększało twój upór.

Łodygin najwyraźniej śledził Dawletiarowa, bo jego próby zmuszenia mnie do odejścia nie zostały niezauważone. Konflikt zmienił się w otwarte starcie. Byłam świadkiem takiego pojedynku. Bez względu na okoliczności, Dawletiarow nadal był silniejszy od Łodygina, chociaż za przewagę musiał drogo płacić. Tym niemniej Łodygin nie zdecydował się na otwarty konflikt, przynajmniej do czasu.

Odpowiedni czas nadszedł niedługo po tym, jak zrobiłam zadymę na poligonie. Łodygin zrozumiał moją wartość i wprost oświadczył Dawletiarowowi, że nie warto nadal starać się mnie pozbyć. Nietrudno zgadnąć, co odpowiedział Dawletiarow! Nauczony gorzkim doświadczeniem z Mariną, Łodygin wysłał do mnie Larysę Romanową,

wiedząc, że cieszy się ona dużym szacunkiem i przekonał się, że nie mam najmniejszego zamiaru porzucić uczelni. Poinformował o tym Dawletiarowa, nie kryjąc satysfakcji. Właśnie po tej awanturze spotkałam Igora Georgiewicza na korytarzu.

Igor Georgiewicz nie wdawał się w szczegóły, ale i tak było jasne, że Łodygin nie przeżył kolejnej próby „dojścia do kompromisu”. Być może magiczny wysiłek był za duży dla dawno niepraktykującego maga, być może pewną rolę odegrał jego nadmierny pociąg do wysokoprocentowych napojów – nieważne, nie zmienia to końcowego efektu – Łodygin opuścił ziemski padół.

Dalej potoczyło się to niczym prawdziwa powieść gotycka. Dawletiarow, niemało ryzykując, przybrał postać Łodygina, planując widowiskowo rozwalić kolejny eksperyment albo utracić go „z powodu niedofinansowania”. Ucharakteryzowanego Łodygina pochowano jako Dawletiarowa. Ryzyko zdemaskowania było niewielkie, nawet podczas sekcji. Igor Georgiewicz wykonał kawał dobrej roboty, przekształcając ciało oponenta na podobieństwo własnego. Szczęśliwie zabieg wycięcia wyrostka przed laty przeszli obydwaj magowie. Co prawda stan wątroby Łodygina pozostawiał wiele do życzenia, ale kto mógłby podejrzewać oszustwo, skoro zdrowie Dawletiarowa tak bardzo ucierpiało podczas nieszczęśliwego wypadku?

Udawało mu się dość długo przetrwać pod postacią rywala. Na szczęście Łodygin także był samotny, dni i noce spędzał w pracy. Zabezpieczenia na wydziale to po prostu mechaniczne zaklęcia, niewiele mądrzejsze od automatycznej pralki. Wpuszczają każdego maga z odpowiednią legitymacją i aurą zanotowaną w rejestrze. A że zezwolenie nie pokrywa się z odczytem aury... tego już pralka, tfu! magiczny ochroniarz nie chwytą. Tak więc nikt niczego nie podejrzewał... aż do chwili kiedy przyplątałam

się ja, ze swoim nowym detektywistycznym hobby. Ale wszystko to i tak na nic.

– Projektem zainteresowała się góra – mruknął Dawletiarow. – Przesłano do nas komisję, więc teraz wszystkie prace są prowadzone pod nieustannym nadzorem. Twoja kandydatura została już zatwierdzona. Małgorzata jest rezerwą, ale to czysta formalność; ma za niski potencjał.

– A jeśli odmówię? – zapytałam.

– Będą cię długo i cierpliwie namawiać – odrzekł ponuro. – Mogą wywierać presję, mogą straszyć.

– Nie zgodzę się – stwierdziłam.

Dawletiarow zaczął powoli odwracać się w moją stronę, ale nagle przycisnął rękę do piersi i zrobił się blady jak ściana.

– Igorze Georgiewiczu! – Rzuciłam się ku niemu. – Co z panem? Serce...?

– Nic wielkiego – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Nie przejmuj się.

Kierowana nieoczekiwanym impulsem ujęłam jego rękę, zimną jak lód. Jakoś sam z siebie ukształtował się we mnie słaby ładunek – niemalże widziałam, jak fala gorącej energii przenika z moich palców do dłoni Dawletiarowa. Miałam przy tym bardzo dziwne wrażenie, że działam jak pompa przetaczająca energię pochodzącą nie wiadomo skąd.

– Czernowa, przestań! – Igor Georgiewicz wyrwał rękę, złapał mnie za ramiona i mocno potrząsnął. – To już przekracza wszelkie granice. Tego tylko brakowało, żebyś mi tutaj zemdląła!

– Igorze Georgiewiczu, co też pan! – broniłam się bez przekonania. – Wcale się nie zmęczyłam. To było tak, jakbym nie oddawała swojej, tylko przekazywała cudzą energię...

Dawletiarow puścił mnie. Wyraz jego oczu bardzo mi się nie podobał.

– Igorze Georgiewiczu, coś nie tak...? – zapytałam z niepokojem. – Źle się pan czuje?

Kiwnął głową i znowu odwrócił się w stronę okna.

– Jest bardzo źle, Czernowa – powiedział tonem znowu wypranym z emocji. – Wiesz, dlaczego?

Pokręciłam głową, zapominając, że stoi do mnie tyłem. Zresztą mógł zobaczyć moje odbicie w szybie.

– Dlatego, że jesteś właśnie tym, czego tak długo szukali... – powiedział głucho.



Tydzień później na naszych zajęciach zjawiała się komisja. W jej skład wchodziła także Larysa Romanowna, ale Łodygina... to znaczy Dawletiarowa nie było.

Zaproszono nas do jakiegoś laboratorium, jakoby po to, żeby sprawdzić, czy nie jesteśmy nadmiernie obciążeni. Nawet gdybym wiedziała, jak można oszukać masę chytrych urzędów i tak pewnie nie byłabym w stanie tego zrobić – wszystkie oczy były zwrócone na mnie. Nie mam pojęcia, co pokazały te wszystkie czujniki, ale członkowie komisji wyglądali na podekscytowanych. Najwyraźniej znaleźli we mnie coś, na co zupełnie nie liczyli.

Niedługo potem zdybała mnie w korytarzu Larysa Romanowna i zaprosiła do swego gabinetu. Domyśliłam się, że będziemy rozmawiały o eksperymencie. Nie pomyliłam się.

Larysa Romanowna odmalowała mi projekt w tak jasnych barwach, że gdybym nie wiedziała, jaka jest prawda, oszalałabym z zachwytu. Z jej słów wynikało, że przygotowania projektu znajdują się w ostatnim stadium i już niedługo będziemy w stanie stworzyć wydzieloną przestrzeń.

– Wyobraź sobie, jakie to otwiera przed nami perspektywy! – mówiła Larysa Romanowna z zapałem. – Na przykład, niebezpieczne obiekty można by umieszczać poza granicami realnej przestrzeni, więc w przypadku poważnej katastrofy, takiej jak w Czarnobylu, obiekt można by po prostu odizolować!

– Wstrząsające – powiedziałam. – Ale co ja mam z tym wspólnego?

Larysa Romanowna zaczęła mi wyjaśniać, do czego jestem potrzebna. Wyszło na to, że do rozpoczęcia transformacji przestrzeni niezbędny jest impuls o ogromnej mocy, który zainicjuje samopodtrzymującą się reakcję. Niestety, żaden ze współczesnych magów nie był w stanie wygenerować odpowiedniej energii. A mój potencjał – zgodnie ze słowami Larysy Romanowny – był w zupełności wystarczający.

– Zresztą Małgorzata także ma doskonałe predyspozycje, ale... – dodała pośpiesznie.

Larysa Romanowna zagłębiła się w zawile wyjaśnienia, niby to przy okazji nie zapominając napomknąć, że jeśli zgodzę się na udział w eksperymencie, zostanę zwolniona z większości egzaminów, w tym także nadciągającego nieuchronnie, budzącego przerażenie wszystkich studentów egzaminu z wyższej magii. Zamyśliłam się. Zaliczenia, w większości, miałam w nosie. Ale jeśli odmówię, wrobią w to Małgorzatę. Dawletiarow powiedział, że terminy są coraz krótsze, kierownictwo domaga się wyników, nawet jeśli będą negatywne. A Małgorzata z pewnością nie da rady, Igor Georgiewicz był tego absolutnie pewien. Dlatego może czekać ją taki sam los, jak jego. Po kolejnym niepowodzeniu projekt pewnie zostanie ostatecznie zamknięty, co niewątpliwie byłoby zwycięstwem Dawletiarowa, ale zarazem oznaczało poświęcenie na ołtarzu nauki kolejnej niewinnej ofiary. W to, że Małgorzata się zgodzi bez namysłu, nie wątpiłam ani przez

chwilę i chociaż nie lubiłam dziewczyny ani trochę, to jednak nie miałam prawa tak jej narażać.

– Zgadzam się – odpowiedziałam w końcu na nieme pytanie w spojrzeniu Larysy Romanowny. A w myślach dodałam: „Przepraszam, Igorze Georgiewiczu”.

Przygotowania do eksperymentu zajęły niewiele czasu. Moim zdaniem wszyscy byli głęboko przekonani, że się zgodzę i czekali tylko na formalne potwierdzenie, by natychmiast rzucić się do pracy.

Zresztą, „niewiele czasu” to naprawdę mało powiedziane! Ku memu ogromnemu zaskoczeniu, termin wyznaczono już na następny dzień! Cieszyło mnie tylko jedno – nie spotkałam już więcej Igora Georgiewicza. Nie wiem, jak mogłabym mu spojrzeć w oczy...

Mimo że był środek maja, ranek trafił się pochmurny i dość chłodny. Prace prowadzono w zakrzywionej przestrzeni, takiej jak ta, w której umieszczono nasz studencki poligon. Całkiem możliwe, że było to to samo miejsce.

Spory plac zastawiono jakimiś osobliwymi urządzeniami, wyglądającymi dość złowieszczo. Całość sprawiała dziwne wrażenie: pod odkrytym niebem, w pozornym bałaganie, piętrzyły się siłowniki, przyrządy o niewiadomym przeznaczeniu, a kawałki ziemi między nimi były całkowicie pokryte pentagramami i nieznanymi mi symbolami.

Nakazano mi usiąść w centrum tego całego bałaganu, gdzie było trochę wolnego miejsca. Kilku laborantów zaczęło przyczepiać do mnie jakieś czujniki, podłączać przewody do przyrządów. Co mam robić, wyjaśniono mi szczegółowo jeszcze poprzedniego dnia. O dziwo, byłam całkiem spokojna.

– Uwaga! – nad poligonem rozległ się czyjś głos. – Projekt „Demiurg” próba druga! Zaczynam odliczanie! Personel, proszę opuścić czerwoną

strefę! Powtarzam: personel, proszę opuścić czerwoną strefę! Dziesięć...
Dziewięć...

Moim zdaniem personel z chęcią opuściłby nie tylko „czerwoną strefę”, a w ogóle znalazł się jak najdalej stąd. Na „siedem” włączyły się urządzenia, więc nie od razu usłyszałam przygłuszony ich równomiernym szumem, znajomy głos: – Czernowa!

– Nieupoważniony w czerwonej strefie! – huknęło z głośników. – Łodygin Piotr Sergiejewicz proszony jest o natychmiastowe opuszczenie czerwonej strefy!

Nie mam pojęcia, jak Dawletiarowowi udało się pokonać zabezpieczenia, moim zdaniem przygnano tu więcej ochrony niż na szczyt z udziałem przywódców krajów członkowskich ONZ. Teraz stał przede mną, iluzyjna maska Łodygina rozmywała się na nim. Dawletiarow ledwie zauważalnie marszczył się z bólu – jakby szybkie pozbycie się cudzej postaci było bardzo nieprzyjemne.

– Czernowa... – Próba opisanego wyrazu twarzy jest ponad moje siły. Był jednocześnie wściekły i zaskoczony. Tak czy inaczej, poczułam się jak zdrajczynie. – Po co...?

– Igorze Georgiewiczu... – zaczęłam. – Jeśli nie ja, to wzięliby Małgorzatę, a ona na pewno by nie wytrzymała.

– Wiedziałem, że tak będzie, Czernowa – powiedział cicho.

Widzom w tym czasie minął szok spowodowany pojawieniem się żywego Dawletiarowa. W jego stronę ruszyło trzech mężczyzn, wyglądających jak bohaterowie głupich dowcipów rysunkowych. Byli to magowie ze służby bezpieczeństwa. Mieli niewielkie zdolności, ale za to potrafili świetnie pracować w grupie.

– Sześć... pięć... – wykrzykiwał tymczasem mechaniczny głos.

– Przerwać odliczanie! – wrzasnął ktoś. – Przerwać! Jeśli nie będzie impulsu, wszystko tutaj wyleci w powietrze!!!

Magowie z ochrony nie tracili czasu na rozmowy, jednocześnie podnieśli ręce i zobaczyłam, jak potrójny potok energii wbija się w plecy Dawletiarowa.

Nie zdążył zareagować. A nawet gdyby zdążył, nie dałby rady trzem ochroniarzom, którzy chyba chcieli go po prostu zabić. Zobaczyłam, jak jego oczy rozszerzają się jak gdyby w zdumieniu i rzuciłam się do przodu, zrywając czujniki.

– Igorze Georgiewiczu...!

Oczywiście był zbyt ciężki, ale mogłam chociaż próbować ochronić go przed upadkiem.

– Czernowa, wróć na miejsce, zakłóca pani proces!!! – warknął głośnik.

A mechaniczny głos odliczał nieprzerwanie: – Cztery...

W naszą stronę biegło jeszcze kilku ochroniarzy, formując po drodze ładunki, a ja świetnie rozumiałam, że są w stanie bez problemu dobić Dawletiarowa, nie raniąc przy tym mojej cennej osoby. To było głupie, ale...

Nagle poczułam, że „bezpiecznik” stworzony przeze mnie z takim trudem po wydarzeniach na poligonie dożył swych dni i na zewnątrz wyrywa się ładunek magii o niewyobrażalnej mocy. Coś głucho jęknęło, we wszystkie strony poleciały kawałki metalu, wystrzelił i zgasł snop białych iskier. Ochroniarzy rozrzuciło w różne strony, ale na pomoc już nadciągał niemalże cały oddział.

– Dwuua... jeueden... – Automat odliczania zaczął lekko bełkotać, ale można było jeszcze rozpoznać słowa. – Zeruo... Stauut...!

Akurat w tej samej chwili musiałam odeprzeć kolejne ataki. Teraz ochrona już nie zwracała uwagi, w kogo celuje... Żałośnie zawyła syrena

alarmowa, rozległ się zgrzyt, huk – w centrum poligonu pojawił się ogromny lej. W powietrze wzbily się fragmenty aparatury, kamienie, iskrzące się kawałki przewodów.

Nieoczekiwanie odkryłam, że ładunek, którym staram się odeprzeć ataki, nie ma najmniejszego zamiaru zniknąć – powtórzyła się sytuacja, jak wtedy gdy pomagałam Dawletiarowowi. Byłam zaworem, przez który do naszego wymiaru wlewał się potok energii o potwornej sile, wciąż zwiększający swą moc. Wokół mnie krążył szalony korowód pogiętego metalu, kawałków darni, kamieni – wirował coraz szybciej i szybciej, granice zakrzywionej przestrzeni ledwie się trzymały...

– Czernowa! – Dawletiarowowi w końcu udało się podnieść z kolan. Krew ciekąca z rozciętej brwi zalewała mu połowę bladej twarzy. – Przestań! Jeśli przestrzeń się zapadnie...

– Nie... nie mogę!!! – próbowałam przekrzyczeć skowyt wiatru, z przerażeniem zdając sobie sprawę z tego, że nie tylko nie mogę zatrzymać potoku przepływającej przeze mnie mocy, ale nawet nie jestem w stanie jej ustabilizować. Jej poziom wciąż rósł, a ja byłam szczeliną, przez którą do naszego świata rwał szaleńczo wodospad energii. I owa luka właśnie robiła się dla niego za wąska.

Gdy Dawletiarow złapał mnie za nadgarstki, nie od razu zrozumiałam, o co mu chodzi. A potem było już za późno. Ścisnął moje ręce jak w imadle, biorąc na siebie szalejący potok energii.

– Nie! – krzyknęłam, widząc, jak zwalnia otaczająca mnie trąba powietrzna. – Nie, Igorze Georgiewiczu! Igorze Georg...

W oddali zawyły syreny karetek pogotowia i wozów straży pożarnej.



Zajęcia na uczelni rozpoczęły się dopiero na początku jesieni: granice zakrzywionej przestrzeni jednak nie wytrzymały i fala uderzeniowa uszkodziła uniwersytet tak mocno, że do września ledwie zdążono wyremontować główny budynek [*rok akademicki w Rosji zaczyna się we wrześniu, a nie jak w Polsce, w październiku*].

Trzy miesiące spędziłam na oddziale intensywnej terapii. Nie, ze mną wszystko było w porządku, tylko z rąk długo nie chciały mi zejść siniaki, które zostały po żelaznym uścisku Dawletiarowa. To obok jego łóżka przesiedziałam całe lato.

Nie wiem, jak mu się udało zatrzymać ten potop mocy. Taki wysiłek powinien go zabić – został przewieziony do szpitala w stanie śmierci klinicznej. Pewnie rzeczywiście był nadzwyczajnie utalentowanym magiem...

Jakimś cudem lekarze wyciągnęli go śmierci spod kosy, a potem długo trzymali podłączonego do aparatury w obawie, że serce nie wytrzyma. Zresztą i teraz rokowania były mało pocieszające: lekarze wątpili, czy Dawletiarow kiedykolwiek odzyska przytomność. Z jakiegoś powodu opiekowali się nim właśnie zwyczajni lekarze, a nie magomedycy. Domyślałam się, dlaczego: martwy Dawletiarow był znacznie wygodniejszy aniżeli żywy, więc pewnie z „góry” przyszła dyskretna sugestia, by nie wkładać szczególnego wysiłku w przywracanie go do normalnej egzystencji. A ja nic nie mogłam z tym zrobić...

Tak naprawdę nie miałam absolutnie nic do roboty w szpitalu, ale w domu szaleli moi rodzice, a na uniwersytecie był istny dom wariatów. W szpitalnej sali telewizyjnej oglądałam wiadomości. Facet z ministerstwa magii, pieniąc się, demaskował sobiepaństwo PUM. Sens jego wypowiedzi był jednoznaczny: „Dyletanci... nierealne projekty... zmarnowany potencjał... tak tracimy najlepszych ludzi...”. W każdym razie wyciągnęłam

z nich wniosek, że Igor Georgiewicz został całkowicie zrehabilitowany. Ale, tak czy inaczej, lęk mnie nie opuszczał. Przemówienie ministra to jedno, a rzeczywistość – drugie. Dawletiarow miał tylu wrogów, że starczyłoby ich na obdzielenie kilku osób.

W międzyczasie na PUM poleciały głowy. Większość osób uczestniczących w eksperymencie pozostała na swych stanowiskach, ale szychom z ministerstwa, czyli całej tej „komisji” porządnie się dostało. Ale to raczej nudna historia. Nie wiedziałam tylko, co stało się z Larysą Romanową. Nie miałam o niej żadnych wieści. Wydawało mi się jednak, że podczas eksperymentu nie było ofiar śmiertelnych.

Mnie, oczywiście, też ciągnano po różnych gabinetach. Ale obawiano się zbyt mocno mnie naciskać, bo wszyscy mieli jeszcze świeżo w pamięci, co zrobiłam na poligonie. Na pytania odpowiadałam pojedynczymi słowami, wczuwając się w rolę tępego wykonawcy poleceń, czym doprowadzałam śledczych do białej gorączki. Zresztą szybko się ode mnie odczepili, kazali podpisać deklarację o zachowaniu informacji w tajemnicy i puścili do domu.

Muszę przyznać, że od krachu eksperymentu „Demiurg” nie chciałam korzystać z mego daru, obawiając się, że to coś znowu wyrwie się na zewnątrz, a obok nie będzie nikogo, kto by mógł mnie powstrzymać. Bałam się także, że wykorzystalam wszystkie zasoby i do niczego się już nie nadaję. Nawet nie miałam ochoty sprawdzać. Ale po kilku tygodniach postanowiłam poczęstować się filiżanką kawy – w nocy strasznie chciało mi się spać, a miałam tyle zaliczeń... I nic, wszystko poszło dobrze, jakbym nigdy nie uczestniczyła w żadnych strasznych zdarzeniach.



Tego pamiętnego dnia siedziałam i z uporem tworzyłam bukiet kryształowych kwiatów. Praca była żmudna i wymagała nie tyle umiejętności, co cierpliwości. Czego jak czego, ale cierpliwości mi nie brakowało.

Długo pracowałam nad melodyjnym dźwiękiem kryształowych dzwoneczków, aż w końcu doszłam do wniosku, że bukiet jest taki, jak należy i zostawiłam go w spokoju. Przespacerowałam się po korytarzu, żeby rozprostować kości. Dwóch sterczących przed drzwiami separatki młodzieńców ze służb bezpieczeństwa obrzuciło mnie nieprzychylnymi spojrzeniami. Z przyjemnością wyrzuciliby mnie stąd na zbity pysk, ale przekraczało to ich kompetencje.

Wróciłam na salę, uchyliłam okno. Padał drobny, chłodny jesienny deszcz.

Usiadłam na brzegu łóżka, popatrzyłam na spokojną twarz Igora Georgiewicza, wzięłam go za rękę. Przypomniłam mi się taki sam deszczowy, ale wiosenny dzień i spróbowałam przesłać słabiutki impuls. W końcu gorzej już być nie mogło. Dzisiaj podjęto decyzję o odłączeniu aparatury – sztuczne podtrzymywanie ledwie tłącej się iskierki życia nie miało sensu. Teraz tylko od samego Dawletiarowa zależało, czy będzie żył czy umrze.

– Igorze Georgiewiczu – powiedziałam cichutko. – Przecież dziś są pańskie urodziny... Nie wiem, czy mnie pan słyszy czy nie, ale i tak powiem. Nie chcę pana stracić. Naprawdę...

Czy wydawało mi się, czy rzeczywiście ciemne rzęsy lekko drgnęły? W końcu o co chodzi, do diabła? Czego się boję? Bardziej mu zaszkodzić już się nie da! Niech będzie, że zdaję zaliczenie. Z wyższej magii... Wzmocniłam impuls, starając się zrobić to jak najdelikatniej.

– Czernowa... – Suche wargi poruszyły się ledwie dostrzegalnie. Bardziej to zobaczyłam niż usłyszałam. – Przestań...

– Igorze Georgiewiczu...!

Zielone oczy w wychudłej twarzy wydawały się za duże.

– Czernowa... czy wyrażam się... jasno?

CZEŚĆ DRUGA

PRACA DYPLOMOWA

W autobusie dalekobieżnym było ciepło i duszno, resory boleśnie pojękiwały na wybojach, wewnątrz unosił się intensywny zapach benzyny. Wiem, że wiele osób źle znosi podróż w takim wehikule, szczególnie gdy muszą siedzieć na kole. Ale ja nawet lubię jeździć takimi międzymiastowymi potworami. W każdym razie lepsze to niż prywatny busik, w którym nie ma jak wyprostować nóg, ze wszystkich szpar wieje zimnem, a kierowca obowiązkowo słucha hip-hopu.

Podpierając podbródek ręką, bezmyślnie gapiłam się przez okno. Nie było prawie nic widać – szybę pokrywały lodowe wzory. Światła jadących z naprzeciwka samochodów i mijane latarnie oświetlały ten miniaturowy lasek fantastycznymi kolorami. Ze też musi być tak ciemno. Pochmurno, tylko patrzeć jak spadnie śnieg.

Zazwyczaj wyjeżdżam rano około dziewiątej, ale dziś mi się nie udało. Tuż przed Nowym Rokiem wszystkie starsze roczniki tradycyjnie są zajęte przygotowaniem przedstawienia, udział w nim jest traktowany jako zaliczenie praktyki dla studentów wydziału magii stosowanej, a dla pozostałych to obowiązek, taki sam jak porządkowanie uniwersytetu w ramach prac społecznych. Szczerze mówiąc, iluzjonista ze mnie żaden, do tego potrzebna jest bogata wyobraźnia i jako takie wyczucie artystyczne, a ja mam problemy i z jednym, i z drugim. Za to mam nieograniczony potencjał energetyczny, dlatego nie mogło być mowy o wykręceniu się od udziału w tym teatryku. Moje miejsce było oczywiście za kulisami, „utrzymywałam” trzech magów iluzjonistów. Mogłabym i więcej, ale

najwyraźniej kierownictwo postanowiło nie ryzykować. W ogóle starali się obchodzić ze mną na wszelki wypadek ostrożnie jak z jajkiem.

Ani trochę się nie zmęczyłam, przy okazji obejrzałam kawałki przedstawienia, skądinąd wcale niezłego – scenariusz w tym roku napisał ktoś z wyobraźnią i poczuciem humoru, iluzje były całkiem pomysłowe. Właśnie z powodu bogatego programu potrzebna była moja pomoc: na takie wyszukane efekty specjalne zużywano nieprawdopodobną ilość energii, na własnych zasobach ekipa teatralna długo by nie pociągnęła. Zza kulis nie miałam możliwości obejrzeć wszystkiego, ale sądząc z reakcji publiczności dodatkowe „zasoby” wykorzystane zostały właściwie. W tym roku wystawiano *Kopciuszka*, ale ta w sumie prościutka, znana wszystkim na pamięć bajka zmieniła się w tak magiczne przedstawienie, że można było tylko wzdychać z zachwytu! Biedaczysko księżę w poszukiwaniu narzeczonej trafił w gościnę do wspaniałego smoka filozofa, poznał całą gromadkę prześlicznych wrózek, którym prawie udało się go uwieść. Potem była przejażdżka na gryfonie i... Nie znałam nazw wszystkich bajkowych istot, które bohaterowie napotykali na swojej drodze. Księżciu udało się stłuc sławetny kryształowy pantofelek przy upadku ze skały, na którą włąził, by włożyć z powrotem do gniazda pisklę jakiegoś bajkowego ptaka. I już wszyscy myśleli, że z happy endu nici, ale, rzecz jasna, swojego Kopciuszka i tak odnalazł, rozpoznał, więc wszystko skończyło się pięknym ślubem.

W sumie nieco zazdrościłam widzom, bo chciałabym obejrzeć przedstawienie w całości. Co robić, każdy swój garb niesie... Ja robiłam to, co wychodziło mi najlepiej, a przedstawienie... Może innym razem. Ostatecznie gdzieś powinny być jakieś nagrania.

Szkoda tylko, że z miasta udało mi się wyjechać dopiero po południu, a właściwie prawie wieczorem. Na przedmieściach Moskwy utworzył się

potworny korek – coraz więcej ludzi woli witać Nowy Rok na łonie przyrody, a nie w brudnym mieście. Rano pogoda była śliczna, nie więcej niż dziesięć stopni poniżej zera, świeciło słońce, za to wieczorem bardzo się ochłodziło, jednak najwyraźniej nie powstrzymało to nikogo, bo liczba samochodów na drodze nie zmalała. A jeśli wziąć pod uwagę, że zima w tym roku tradycyjnie zaskoczyła drogowców, przez co na drogach pyszniły się spore zaspasy, nie ma się co dziwić, że samochody poruszały się w żółwym tempie.

Chuchnęłam na szybę, zrobiłam sobie małą dziurkę w czarodziejskim lodowym lesie – taką brzydką, czarną plamę... Aha, posterunek milicji, już bliżej niż dalej. I samochodów zrobiło się jakby mniej – korek się przerzedził. I dobrze, bo nogi już mi całkiem ścierpły, mimo wszystko przesiedzieć tyle czasu bez ruchu wcale nie jest przyjemnie.

Odsunęłam się od okna, naciągnęłam czapkę prawie na sam czubek nosa. Godzinę można się przespać, a potem będzie już dworzec autobusowy. Stamtąd trzy przystanki lokalnym autobusem i jeszcze mniej więcej pół godziny na piechotę (jeśli ktoś zadał sobie trud, żeby odśnieżyć drogę!) – i będę na miejscu.

I tak w każdą sobotę. Już od paru miesięcy, począwszy od września. Ponad dwie, a czasem nawet trzy godziny autobusem w jedną stronę, do tego jeszcze metro... A ja jeżdżę. Sama nie wiem, dlaczego co tydzień jeżdżę tam, gdzie tak na oko nikt się nie cieszy z mojej wizyty.

Sama nie rozumiem, w imię czego to robię, można by pomyśleć, że nie mam nic lepszego do roboty. Mam, i to ile... Już prawie od pół roku nie mieszkałam pod starym adresem, pokłóciłam się z rodzicami. Już wcześniej niespecjalnie cieszyli się z wybranego przeze mnie zawodu, a w świetle ostatnich wydarzeń, gdy przez kilka tygodni ciągnano mnie na przesłuchania, niezadowolenie rodzicieli przybrało całkiem jawną postać. Oczywiście, na

ultimatum, że mam rzucić PUM – Państwowy Uniwersytet Magii – i przenieść się na inną, spokojniejszą uczelnię, zareagowałam adekwatnie. Innymi słowy, spakowałam swoje rzeczy, a mówiąc szczerze nie było ich zbyt dużo, i raz–dwa wyprowadziłam się z domu. Nigdy nie przywiązywałam się do przedmiotów, nie miałam więc do zabrania nic oprócz ubrań i kilku ulubionych książek oraz płyt. Kilka dni przemieszkałam kątem u przyjaciółki z czasów szkolnych, Katarzyny, a potem bezczelnie poszłam do opiekuna roku i poinformowałam go o swej sytuacji. Jeszcze w tym samym tygodniu władze uczelni przydzieliły mi pokój w akademiku. Podejrzewam, że byli bardzo zadowoleni z takiego obrotu sprawy.

Nasz akademik znajdował się na terenie uniwersytetu – do głównego budynku szło się pięć minut spacerkiem. Sądzę, że chcieli mnie mieć na oku dniem i nocą. Oczywiście, o wiele łatwiej było tego dokonać, gdy mieszkałam tuż obok, a nie na drugim końcu miasta. Tak czy inaczej, w akademiku nawet mi się podobało. Miałam jednoosobowy pokój – trzeba przyznać, że władza okazała się szczodra! – sąsiedzi byli cisi, młodszy o parę lat, nie narzucali się towarzysko, a hucznych orgii w naszym akademiku nie urządzano. Musiałam tylko przewieźć swój stary komputer, pełniący rolę maszyny do pisania (bo do niczego innego się nie nadawał) i zaczęłam spokojne życie.

Oczywiście, stosunki z rodzicami stopniowo uległy poprawie. Nawet odwiedzałam ich w weekendy – ale tylko w niedziele, bo soboty zajmowały mi wspomniane wcześniej wycieczki.

Zimą w lesie jest przyjemnie. Gdybym nie wiedziała, że od ruchliwej autostrady dzieli mnie pół godziny marszu, mogłabym sobie wyobrazić, że znajduję się w dziewiczej puszczy. Co prawda nigdy nie byłam w takim miejscu, ale co szkodzi pomarzyć? A niech mnie, ścieżka jest odśnieżona,

niedawno przejechał tędy spychacz! Szłam, machając w takt kroków plastikową reklamówką, przyglądałam się ośnieżonym drzewom i myślałam, myślałam, myślałam...

Dokąd idę? To znaczy, nie tak. Wiem, dokąd idę – do brązowego sanatorium o romantycznej nazwie „Dąbki-3”; o, już widać jego solidne ogrodzenie. I dlaczego Dąbki, skoro w tutejszym lesie nie widziałam ani jednego dębu? Ale nie to jest ważne. A po co tam idę? Pytanie to zadawałam sobie już od kilku miesięcy.

Zasadniczo po nic. Nie byłam przekonana, czy mój widok ucieszy kogokolwiek, sądziłam, że raczej na odwrót. Ale nie mogłam przestać. Od chwili, gdy pojawiłam się tu po raz pierwszy, z początkiem września, gdy tutejsze brzozy pokryte były delikatnym złotem, odbijającym się od ciemnej zieleni jodeł – w tym roku jesień nastąpiła wcześniej.

Chodziło o to, że w tych nieszczęsnych Dąbkach przebywał na tak zwanym leczeniu sanatoryjnym Igor Georgiewicz Dawletiarow. Nasze ministerstwo do biednych nie należy, może sobie pozwolić na utrzymywanie tam byłego maga nawet przez kilka lat. Chociażby po to, by uniknąć komentarzy ze strony opinii publicznej: „Widzicie? Wykorzystali i wyrzucili”. Właśnie tak: „byłego”. O ile przedtem miał jeszcze jakieś zdolności, to po wypadku na poligonie nie zostało mu już nic. Wycisnął z siebie wszystko do ostatniej kropli. Nie był już magiem, a ja podejrzewałam, że opiekuje się nim nie zwykły internista, a psychiatra. Bo całkowita utrata zdolności magicznych dla maga to ogromny szok, który nie każdy jest w stanie przeżyć i zachować przy tym zdrowy rozsądek. Gdy się nad tym głębiej zastanowić, to nawet ja nie chciałabym stracić swych umiejętności. To tak, jakby zostało się bez ręki albo bez nogi, tak samo boli i tak samo odczuwa się brak czegoś potrzebnego – czegoś, co zawsze było

przy tobie. Znam taki stan tylko z opowiadań, ale usłyszałam wystarczająco dużo. Widzicie, były już precedensy...

I co mnie tam goni? Poczucie winy? To przeze mnie stracił ostatnie, co miał cennego – a trzeba przyznać, że w porównaniu z innymi magami wcale nie było tego mało! Gdyby nie ja, gdyby nie te szalone wydarzenia na poligonie... Ale z drugiej strony nikt go nie prosił, żeby rzucał mi się na ratunek i zatrzymywał ten szalony potok energii! Wiedział, na co się decyduje, a przynajmniej musiał się domyślać – był przecież doświadczonym zawodowcem. Zresztą wyglądało na to, że nie obwinia mnie o to, co się stało.

W takim razie co ja tu robię? Nigdy nikomu nie mówiłam, dokąd jeżdżę w soboty – w akademiku myślą, że odwiedzam rodziców. To prawda, że odwiedzam rodziców, ale, jak już wspominałam, w niedziele. A o moich wizytach nie mówię z prostego powodu: zaraz zaczną się plotki, zaczepki – ten wieczny odludek, Czernowa, w końcu się zabujała, i to w kim!

Gdyby wszystko było tak proste! Nie kochałam Dawletiarowa, w ogóle nigdy w nikim nie byłam zakochana. Czasami aż się boję – jak tak można, osiągnąć całkiem solidny wiek i ani razu w nikim się nie zakochać? Jak widać, można. Bywało, że spotykałam się z chłopakami, ale na dłuższą metę nic nigdy z tego nie wyszło.

Nie, to nie było żadne zakochanie. Do Dąbek zawsze jechałam z ciężkim sercem, jakbym wypełniała obowiązek względem samej siebie, wiedząc, że czeka mnie kolejna nieprzyjemna rozmowa, a do domu wracałam spokojna i wyciszona. To jakaś dziwna forma zboczenia psychicznego, nie byłam w stanie poradzić sobie z tym w pojedynkę. Ale tym bardziej nie miałam ochoty wciągać w to osób postronnych. Pozostawało liczyć na odwieczne: „A nuż” i na to, że czas wszystko leczy. Przyłapałam się na tym, że staram się sama sobie wyjaśnić motywy własnego postępowania, jakbym

tłumaczyła się przed kimś postronnym, czując przy tym lęk, że okaże się śmieszna i głupia. Wiem, że mam taki dziwny zwyczaj: nie rozmawiam po prostu sama ze sobą, ale wymyślam sobie rozmówcę, nawet odpowiadam w jego imieniu, wyobrażając sobie przy tym reakcje tej wymagowanej osoby na moje słowa. Przypomina to lekką schizofrenię, ale już do tego przywykłam.

A oto już brama i biuro ochrony.

– Cześć, Naina! – zawołał leciwy ochroniarz.

– Dzień dobry, San Sanyczu – odpowiedziałam. – Co słyhać, nie zasypało was śniegiem?

– Trzeci dzień już odśnieżamy – odrzekł. – Zobaczyłabyś jakie zasy mieliśmy, pług się o mało co nie zakopał!

Pokiwałam głową z podziwem – na tym zakończyła się wymiana uprzejmości – i poszłam dalej. Oto główny budynek sanatorium. Dlaczego zawsze, zanim wejdę do środka, denerwuję się jak przed egzaminem? Chociaż takie porównanie jest co najmniej dziwne – przed żadnym egzaminem tak się nie trzęsłam.

W holu było ciepło, jasno i wesoło – dwie pielęgniarki chichotały nad jakimś czasopismem i to tak zaraźliwie, że ja też się uśmiechnęłam.

– Dobry wieczór – powiedziałam.

– Cześć, Naina! – odezwała się jedna z dziewcząt, Annuszka. – Coś dzisiaj późno jesteś!

– Rano kazali mi pracować przy przedstawieniu noworocznym, a potem autobus utkwiał w korku. – Wzruszyłam ramionami i zdjęłam czapkę. – Ale mróz!

– Nic nie mów – westchnęła Annuszka. – Pacjentów muszą siłą wyganiać na spacer, nikt nie chce w taką pogodę wychodzić na zewnątrz!

– I słusznie – odpowiedziała druga pielęgniarka, Ira. – Poprzeziębiam się, a kto ich potem będzie leczył...? Naina, popatrz jaką mamy choinkę!

Posłusznie ruszyłam wzdłuż korytarza do dużej sali, gdzie stał ogromny telewizor. Tam właśnie zbierała się tutejsza społeczność. Kuracjusze oglądali telewizję, grali w szachy i w karty, scrabble, rozwiązywali krzyżówki, jednym słowem – szukali wszelkiej dostępnej rozrywki. Teraz na samym środku świetlicy pysznił się imponujący świerk, obficie ozdobiony srebrnym „anielskim włosem”, sztucznym śniegiem i bombkami. Telewizor dziarsko coś wykrzykiwał z kąta – racja, przecież dziś od rana nadają rozmaite koncerty i programy rozrywkowe – ludzie wesoło chichotali, słuchając dowcipów prowadzącego, widocznie dzisiaj osłabiono dyscyplinę i pozwolono „wypoczywającym” napić się po kieliszeczku.

– I–Ira, a... – zająknęłam się.

– No, jasnie pan nie zaszczycili nas swą obecnością – prychnęła Ira, wzruszając ramionami. – Siedzi u siebie, jak zwykle.

– Aha – mruknęłam. – W takim razie już pójdę.

Dziewczęta odprowadziły mnie ciekawskimi spojrzeniami. Nie mam pojęcia, co myślą sobie tutaj o mnie i o Igorze Georgiewiczu, ale na pewno wymyślili jakąś łzawą historię. Wiedziałam tylko, że swym okropnym charakterem zdążył już narazić się najcierpliwszym pielęgniarkom, a jego wyskoki tolerowano tylko dlatego, że ministerstwo szczerze za niego płaciło.

Postałam chwilę przed zamkniętymi drzwiami i jeszcze raz ciężko westchnęłam. Co ja tutaj robię? Przecież dzisiaj jest Nowy Rok! Powinnam siedzieć z rodzicami, zajądać tradycyjną sałatkę jarzynową. Nie mam nic przeciwko sałatce, a nawet bardzo ją lubię. A do tego nie znam lepszego sposobu na naprawienie stosunków z rodzicami, ale... Siedzieć przy stole,

słuchać dobiegających z telewizora kiepskich żartów „kabareciarzy”, setny raz oglądać *Kevina samego w domu...* Pić szampana przy wtórze kurantów, a pod koniec biesiady obowiązkowo się pokłócić... Nie, nie chciałam tak witać Nowego Roku. Rodzice, krewni – to wszystko było już tyle razy i będzie jeszcze nieraz. Po prostu nie dawała mi spokoju jedna myśl: „Dziś jest Nowy Rok, a on jest tam sam”. Było jasne, że Dawletiarow nie pójdzie do świetlicy! Jego pycha zawsze mnie złościła, ale teraz, nie wiadomo dlaczego, wydawało mi się, że to jedyna jego broń przed otaczającym światem.

Zastukałam do drzwi, a nie doczekawszy się odpowiedzi, weszłam do małego przedsionka. Igor Georgiewicz, jak należało oczekiwać, leżał na łóżku w ubraniu, z książką w ręce. Zauważyłam, że był to Maupassant w oryginale. Poprzednim razem czytał Dickensa. Też w oryginale. I wcale się nie popisywał – rzeczywiście znał kilka języków. Któregoś razu, gdy się rozgadał, co było dla niego bardzo nietypowe, przyznał, że dopiero teraz ma czas, aby sobie poczytać. Byłoby grzechem nie skorzystać z takiej okazji, szczególnie, że tutejsza biblioteka była bardzo dobrze zaopatrzona.

– Dobry wieczór – powiedziałam.

Jak zwykle, nie doczekałam się odpowiedzi. Książka opadła, chłodne zielone oczy obejrzały mnie od stóp do głów i zatrzymały się na reklamówce.

– Czernowa... – w głosie Igora Georgiewicza dźwięczała rezygnacja. – Znowu?

– Co znowu? – zapytałam ponuro, zdejmując kurtkę i rozplątując szalik.

– Znowu pomarańcze? – Ostre spojrzenie Dawletiarowa nadal celowało w torbę, jakby chciał przedziurawić folię.

– A co? – burknęłam jeszcze bardziej ponuro. No cóż, uczono mnie nie chodzić w gości z pustymi rękami.

– Czernowa, karmią nas tutaj jak gęsi przed świętami. – Igor Georgiewicz raczył w końcu odłożyć książkę i usiąść. – A może sądzisz, że brakuje mi... witamin?

Milczałam, rozpinając suwaki kozaczków. Na takie pytania najlepiej w ogóle nie odpowiadać.

W samych skarpetkach weszłam do pokoju. Nazywano je tutaj „apartamentami”, jak w hotelu.

– Zimno – powiedziałam. W pokoju rzeczywiście nie było zbyt ciepło, pewnie Igor Georgiewicz znowu otwierał okno. Pamiętam, że jeszcze na uniwersytecie to jego patologiczne zamiłowanie do świeżego powietrza doprowadzało nas do szału: latem, w porządku, ale zimą jak można uczyć się w lodówce?

– Ubierz się. – Dawletiarow wzruszył ramionami. – Co nowego?

– Nic – odpowiedziałam. – Od tygodnia harujemy na przedstawieniach noworocznych. A dzisiaj daliśmy taki pokaz, że nawet gościom z telewizji opadły szczęki. Na uczelni ostatnio objawiło się nam jakieś cudowne dziecko iluzji, przeniósł się z filii. Rzeczywiście, pięknie to wyszło.

Igor Georgiewicz milczał. Nic nowego. Najczęściej to ja musiałam mówić, a jeśli on łaskawie otworzył usta, to tylko po to, żeby rzucić coś złośliwego. Ukradkiem spojrzałam na zegarek. Zrobiło się późno. Nie dam rady dziś stąd odjechać. Oczywiście, na drodze zawsze jest jakiś ruch, ale wcale nie uśmiechało mi się brnąć przez ciemny las, a potem polować na okazję. Do tego kierowca z pewnością będzie mocno sfazowany z okazji świąt. Nic złego pewnie by mi nie zrobił, ale wolałam nie ryzykować, że wpadniemy na latarnię albo zaliczymy czołowe z tirem. Zresztą przemyślałam to jeszcze z rana, stojąc za kulisami i postanowiłam, że nawet nie będę próbowała wracać. Przenocuję w pokoju pielęgniarek, Annuszka i Ira mnie przygarną, a może nawet znajdzie się jakiś wolny „apartament”.

Nie sędzę, żeby ktoś się mną zainteresował – ludzie będą świętować do rana.

Nastrój, poprawiony przyjemnym spacerem po lesie, znowu mi się popsuł. Może faktycznie trzeba było zostać z rodzicami, a nie tłuc się Bóg wie gdzie, za dziesiątą górę, tylko po to, żeby oglądać czyjąś skwaszoną minę? Naturalnie, tak pospolite wydarzenie jak Nowy Rok nie spowodowało przyływu entuzjazmu u Dawletiarowa. Na pewno wolałby, żebym go zostawiła w spokoju i pozwoliła doczytać książkę do końca.

– Tak w ogóle, to dzisiaj jest Nowy Rok – rzuciłam ze złością, a Igor Georgiewicz łaskawie spojrział w moją stronę.

– I sugerujesz mi, żebym dołączył do towarzystwa w świetlicy? – Jadem z jego głosu można by obdzielić szczerze setkę kobr.

– Nie. – Postawiłam reklamówkę na krześle, aż w niej coś głośno brzęknęło. – Pomyślałam, że choinek jest w lesie pod dostatkiem...

„Świetny plan”, powiedział mi wewnętrzny głos. „Teraz pośle cię do diabła razem z twoimi idiotycznymi pomysłami i będzie miał absolutną rację. A swoją drogą powinien już dawno to zrobić”.

– Czernowa... – Dawletiarow spojrział na mnie z ukosa i ze zdziwieniem zauważyłam, że chyba się uśmiecha. – Co jeszcze wymyśliłaś?

Wzruszyłam ramionami. Prawdę mówiąc, w reklamówce miałam butelkę szampana – najzwyczajsze Sowietskoje Igristoje, które od dzieciństwa kojarzy mi się z Nowym Rokiem, a do tego koniak. Prawdziwy, ormiański. Generalnie nie na moją kieszeń, ale poszczęściło mi się – w akademiku mieszkał chłopak Ormianin, Garik Milawian, który swego czasu otwarcie się mną interesował. To od niego wycygałam butelkę szlachetnego napoju.

Milczenie trwało tak długo, że sądziłam, iż tym razem cierpliwość Dawletiarowa się wyczerpała. Ale nie, wstał i potrząsnął głową.

– W takim razie idziemy, Czernowa – powiedział nieoczekiwanie. – Poczekaj, tylko się ubiorę.

Potrzebował na to niewiele czasu – Igor Georgiewicz zawsze, nawet w najgorszy mróz, wychodził na dwór bez czapki, czym doprowadzał pielęgniarki do szału. Taki już był, sam siebie traktował byle jak.

Było dobrze po dziesiątej. Niebo, jak to poza miastem, było całkiem czarne, za to pojawiło się na nim pełno gwiazd, jasnych, jak to bywa tylko w zimie i jakichś takich kłujących. W reklamówce zdradziecko brzęczały dwie butelki. Ech, głupia jestem, nie mogłam ich w coś owinać? Chociaż w tych warunkach i tak by to nic nie dało... A zimny koniak to rzadkie święństwo.

W milczeniu szliśmy aleją. Prawie zawsze milczeliśmy – nie mieliśmy za bardzo o czym rozmawiać. Zazwyczaj wszystko ograniczało się do krótkiego: „Co na uczelni?” i równie krótkiej odpowiedzi. Czułam, że Igor Georgiewicz bynajmniej nie pragnie szczegółowych opowieści o tym, co dzieje się w ścianach *alma mater*. Zresztą nie ma się czemu dziwić. Na jego miejscu też chciałabym o wszystkim jak najszybciej zapomnieć. Tylko że zapomnieć się nie dało – ja, żywe wspomnienie, zjawiałam się tu w każdą sobotę. Może pora z tym skończyć?

– Czernowa – Dawletiarow odezwał się nieoczekiwanie. (Jakoś tak się między nami utarło, że zwracał się do mnie po nazwisku, a ja do niego oficjalnie: imieniem i patronimikiem). Spojrzałam na niego. Jak zwykle palił. Ostatnio w ogóle dużo palił, chociaż lekarze mu zabronili. Ale on miał w nosie wszystkie zakazy. – Czernowa, powiedz mi...

– Co? – zapytałam. Na terenie sanatorium świeciły latarnie, ich nienaturalny blask podkreślał cienie, deformował rysy, nie mogłam więc zorientować się, jaki jest wyraz twarzy Dawletiarowa.

– Powiedz mi w końcu, po kiego czorta tutaj przyłazisz? – pytanie zadał zupełnie obojętnym głosem, jakby chodziło o coś nieistotnego.

Zmieszana, utkwiałam wzrok w to rozpalającym się, to gasnącym ogieńku na końcu papierosa. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Mogłam powiedzieć: „Nie wiem” i byłaby to szczerą prawdą, ale czy uwierzy? Nie wymyśliłam zawczasu żadnego rozsądnego wyjaśnienia. Jak widać, mogłoby się przydać.

– Czernowa... – Papieros zapłonął wyjątkowo jasno i prawie natychmiast poleciał w zaspę jak mała kometa. Dawletiarow odwrócił się, poszedł dalej, prawie całkowicie znikając w głębokim cieniu jakiejś altanki, i rzucił przez ramię. – Widzisz... jeśli z litości, to lepiej żebyś się tu więcej nie pojawiała. Czy wyrażam się jasno?

– Jasne – odburknęłam. Do licha! A czego innego mogłam się spodziewać? Dla kogoś tak dumnego jak Dawletiarow litość jest niczym cios nożem! A ja... Czy mi go żal? Nawet jeśli tak, to tylko trochę – odpowiedziałam sobie w myślach i dodałam zupełnie nie na temat: – Za dużo pan myśli o sobie, ot co.

Szliśmy dalej, latarnie zostały gdzieś z tyłu.

– Jesteś bezczelna, Czernowa. – W mroku zgrzytnęła zapalniczka, wątyły płomynek na sekundę oświetlił twarz Dawletiarowa.

– A pan pali już trzeciego papierosa w ciągu pół godziny – odparłam kwaśno. – Co o tym mówił Lew Jewgieniewicz?

Lew Jewgieniewicz był ordynatorem – wesołym grubaskiem, który jednak rządził przydzielonym mu obiektem żelazną ręką.

– Czernowa, nie jesteś ani pielęgniarką, ani moją krewną, żeby mnie pouczać – rozległo się z ciemności.

– Wie pan co, Igorze Georgiewiczu? Nawet jakby ktoś chciał, to i tak pana nie można żałować! Nie ma obawy!

– Czernowa, ale ja się nie obawiam. – Ton Dawletiarowa, tak jak poprzednio ociekał chłodną ironią. Wyglądało na to, że Dawletiarow ma dziś przypływ energii, pamiętam, jak kiedyś cała moja grupa niemalże płakała żywymi łzami, gdy się rozkręcał na dobre. – Po prostu uprzedziłem.

Wolałam to przemilczeć. Było jasne, że nie wygram z nim w pojedynku na słowa. Zresztą, o co tu się pojedynkować, przecież wszystko jest jasne... Nie chce pan, Igorze Georgiewiczu, żebym pana żałowała, to nie będę. Wszystko jedno, mówię przecież, że i tak się nie da.

Pojaśniało – zza chmur wyrzął księżyc. Zimowy las w nocy jest piękny nie do opisanie, tylko mróz był nieznośny. W moich lekkich miejskich kozaczkach zdążyłam porządnie zmarznąć.

– Czernowa, jeśli zadowala cię ta choinka, to może nie warto iść dalej? – zaproponował Dawletiarow, zatrzymując się.

Świerk był wspaniały – wysoki, gęsty, cały w białym puchu. Co prawda, żeby się do niego dostać trzeba było brnąć w śniegu po kolana, ale był to drobiazg.

Tak... jeśli wierzyć w przesąd, że jaki pierwszy dzień Nowego Roku, taka i reszta, to będę przez cały rok tkwić zmarznięta po kolana w zaspie, pociągając nosem i złoszcząc się na Dawletiarowa. No i właściwie, czego ja od niego chcę?

– Jakoś tak nieświętecznie – odezwałam się, żeby powiedzieć cokolwiek.

Odpowiedzi nie było. Dawletiarow zadarł głowę, studiował rozgwieżdżone niebo i wyglądało na to, że nie ma zamiaru podjąć konwersacji.

Włożyłam rękę do reklamówki. Mandarynki – czym właściwie różnią się od bombek choinkowych?

Tym bardziej, że od dzieciństwa kojarzą mi się z choinką, świętem, smaczными zapachami i prezentami. W tym roku nie dostałam prezentów...

Pomarańczowa kulka poleciała do góry, zawisając na ciemnej gałęzi. Jedna, druga, trzecia... Opamiętałam się dopiero wtedy, gdy napotkałam wzrok Dawletiarowa i od razu poczułam się jak idiotka. Ileż razy obiecywałam sobie, że w jego obecności nawet nie wspomnę o magii! Nawet o zupełnie niewinnych czarach! Przed kulawym nie wypada chwalić się swoimi osiągnięciami sportowymi! A tu masz, najpierw barwnie opisałam występ iluzjonistów, teraz sama się zabrałam za demonstracje.

Ale, wbrew moim obawom, Dawletiarow nie okazywał żadnych uczuć, poza lekkim sceptycyzmem. Poczekamy, zobaczymy, jak kilogramem mandarynek ozdobić cały ogromny świerk! Mandarynek rzeczywiście starczyło tylko na dolne gałązki. Śnieg skrzył się kusząco i wtedy doznałam olśnienia. Wystarczyła chwila, a śnieżne czapy na jodłowych gałęziach błysnęły różnymi kolorami, miękko przelewającymi się w ciemności. Ślicznie to wyszło, sama po sobie bym się nie spodziewała, bo uczciwie mówiąc taki ze mnie dekorator jak z niedźwiedzia baletnica...

Teraz światła było dość, by przyjrzeć się minie Dawletiarowa. Miał niespodziewanie spokojną twarz, nawet jego typowy złośliwy uśmiezek gdzieś znikł. Po prostu stał z rękami w kieszeniach i patrzył na błyszczącą w ciemności choinkę. Po prostu stał i patrzył.

– Igorze Georgiewiczu... – odezwałam się niemalże szeptem.

– Co, Czernowa?

– Mogę o coś zapytać?

– Pytaj. – Kolejny papieros zamigotał czerwonym oczkiem żaru. A niech to diabli, przecież to jego dzienna norma! Ale właściwie... czy to moja sprawa?

– Igorze Georgiewiczu... – zacięłam się. – Dawno już chciałam... W ogóle... Co pan teraz czuje?

– Zimno – odpowiedział po krótkiej pauzie. Wiedziałam, że świetnie rozumiał, o co mi chodzi, ale jak zwykle zignorował to.

– Nie o to mi chodzi – powiedziałam, wsuwając ręce w rękawy. Rzeczywiście było pioruńsko zimno. Ze dwadzieścia pięć stopni mrozu, jak nic. A może jeszcze zimniej. – Nie rozumiał pan...

– Czernowa, odnoszę wrażenie, że spędziłeś ponad cztery lata na uczeniu i nie nauczyło cię jasno się wyrażać. Nie mam obowiązku zgadywać, co miałaś na myśli.

– Pan znowu... – Niespodziewanie obraziłam się. Obrażanie się na Dawletiarowa było pozbawione sensu i niezupełnie bezpieczne, ale ogarniał mnie buntowniczy nastrój. – Nie chce pan odpowiadać, to proszę powiedzieć wprost, po co od razu te złośliwości.

– Czernowa, ciebie nic nie zmieni – odparł Dawletiarow i nagle spoważniał. – Co czuję...? Nic nie czuję, Czernowa. Zupełnie nic. I tyle.

Milczałam, bardziej zdziwiona samym faktem uzyskania odpowiedzi niż jej treścią.

– Przedtem... – Dawletiarow zaciągnął się mocno, obłok dymu popłynął ku czarnemu, przejrzystemu niebu. – Kiedyś to przypominało złamaną rękę. Niby jest, ale nie możesz się nią posługiwać. I to męczyło bardziej niż ból fizyczny. A teraz tej ręki nie ma. Całkiem nie ma. Amputowana.

– A ból fantomowy nie dokucza? – nie wytrzymałam.

– Nie – odpowiedział i wyrzucił niedopalonego papierosa. – Wręcz przeciwnie. Teraz jestem znacznie spokojniejszy.

Wydaje mi się, że zrozumiałam. Kilka miesięcy temu, jeszcze będąc magiem, Dawletiarow nie mógł opędzić się od wspomnień o tym, kim był przedtem – naprawdę potężnym, jednym z najlepszych. I ciągle

porównywał utracone zdolności z tym, co mu z nich pozostało. Takie wspomnienia i porównania przepalają duszę jak kwas siarkowy. A teraz? Teraz nie ma z czym porównywać. Zostały tylko wspomnienia, ale wyglądało na to, że Dawletiarow pożegnał się już z magią i pogodził ze stratą. Dziwne. Nie spodziewałam się tego po nim.

– Nie wiem, co prawda, czym będę się teraz zajmował – powiedział nagle, jakby podsłuchiwał moje myśli.

– Przecież mógłby pan nadal wykładać – rzekłam nieśmiało, ale w odpowiedzi obdarzył mnie spojrzeniem pełnym takiego wstrętu, że aż wzdrygnęłam się wewnątrz.

– Czernowa, bzdury opowiadasz – oświadczył Dawletiarow swym słynnym tonem, jakim zazwyczaj sztorcował nas za brak pracy domowej. – Jeśli wykładowca nie jest praktykującym magiem, to jego wartość jest znikoma. Magia, jak każda inna nauka, nie stoi w miejscu. Nie minie pięć lat, a wszystko, co wiem, stanie się beznadziejnie przestarzałe.

– No, a powiedzmy, historia magii, teoria...? – Nie poddawałam się.

– Historię magii znam raczej kiepsko – nieoczekiwanie odpowiedział Dawletiarow, a mnie nie udało się powstrzymać prychnięcia. Nigdy nie słyszałam, żeby opowiadał dowcipy i raczej nie spodziewam się, że kiedykolwiek tego doczekam. Tak więc pozostaje uznać, że tym razem również wcale nie żartował. – A do tego jest nudna.

Zamilkłam, nie ciesząc się już wcale z tego, że udało mi się naciągnąć Dawletiarowa na szczerą rozmowę. Takich wyznań – a byłam z informacjami na bieżąco – nie słyszał nawet jego lekarz prowadzący. Szczerze mówiąc, z lekarzami w ogóle nie rozmawiał, a jeśli odpowiadał, to monosylabami: „tak” albo „nie”. Ot, i cała rozmowa. Wydaje mi się, że gdyby nie ja, nie odzywałby się całymi dniami. I... nie wiem co by wtedy

było. Już lepiej niech się nade mną poznęca, przyzwyczaiałam się w trakcie nauki, nic mi się nie stanie.

– Czernowa – powiedział Dawletiarow nagle i spojrzał na zegarek. Tarcza fosforyzowała w ciemności zielonym światłem. – Gdzie masz butelkę? Już za kwadrans północ.

– Skąd pan wie, że mam? – zdziwiłam się, wyjmując to, czego zażądał. Niesamowite, jak szybko ten czas leci!

– Brzęczy przecież – odpowiedział. – Co tam jeszcze masz? Koniak? Hmm... gdyby była wódka, zrobilibyśmy Białego Niedźwiedzia.

– A co za różnica, wódka czy koniak – burknęłam. – Też można wymieszać z szampanem. U nas, w akademiku taki drink nazywa się Józefina.

– A za moich czasów nazywali go Buratino – Dawletiarow uśmiechnął się nieoczekiwanie.

– Bo po nim ręce i nogi są jak z drewna? – wykazałam się domyślnością, ciesząc się przy tym, że odeszliśmy od nieprzyjemnego tematu. Jednak dzisiaj jest jakaś dziwna noc. Skoro nawet Igor Georgiewicz rozmawia o jakichś błahostkach...

– Czernowa, na to, żeby wziąć szklanki, oczywiście nie wpadłaś – skonstatował Dawletiarow, walcząc z korkiem. – Trzeba będzie pić z gwinta.

– Szampana, z gwinta? – przeraziłam się. Przez chwilę miałam wrażenie, że Dawletiarow próbuje zabawić się moim kosztem. Przecież szklanki mogłam po prostu stworzyć, nie ma w tym nic skomplikowanego... No ale skoro tak, to pozostajmy przy samych dekoracjach choinkowych!

– Czernowa, przecież mieszkasz w akademiku, czyżbyś się do tej pory nie nauczyła? – odparł złośliwie. – Zostały trzy minuty, pomyśl życzenie.

Popatrzyłam do góry. Pięknie... Z głównego budynku dobiegał przytłumiony wrzask telewizora. Właśnie ścichł – pewnie teraz prezydent wygłasza toast noworoczny. Wszyscy siedzą w napięciu przed telewizorem, trzymają w rękach kieliszki i czekają na dwunaste uderzenie zegara, żeby z czystym sumieniem łyknąć „wina musującego”. Albo wódki. Co kto lubi.

Jakie życzenie mam pomyśleć? Pamiętam, był kiedyś taki zwyczaj: pisaliśmy życzenia na kartkach, paliliśmy je, a popiół wsypywaliśmy do szampana i wznosiliśmy toast. Świństwo okropne, ale wszyscy wierzyli, że życzenie na pewno się spełni. Ale mnie nie spełniło się ani razu.

– Dwanaście – powiedział Dawletiarow i wyciągnął w moją stronę otwartą butelkę. Nie zdążyłam pomyśleć żadnego życzenia...

Szampan był lodowaty, z braku doświadczenia oblałam sobie nim kurtkę – będę musiała ją uprać, a mimo wszystko... Zrobiło mi się jakoś lekko. Oddałam butelkę Dawletiarowowi. On z pewnością miał za sobą intensywne treningi – czyżby burzliwa młodość w akademiku? Bardzo interesujące...

Nad lasem rozbłysły różnokolorowe petardy – to świętowali mieszkańcy położonego nieopodal osiedla willowego. Zresztą, co tam petardy, jeden za drugim poczęły wybuchać fajerwerki, aż zaczęłam się zastanawiać, czy nie wynajęli specjalnej firmy do zorganizowania pokazu! A może nawet zaprosili iluzjonistów – tak na oko sądząc, mieszkali tam niebiedni ludzie, więc byłoby ich stać.

Pięknie... Oglądać fajerwerki w zimowym lesie to coś zupełnie innego niż patrzeć na nie z okna mieszkania.

Co działo się potem, pamiętam dość kiepsko. Dopiliśmy szampana, zagryzając mandarynkami, które trzeba było zdejmować z gałęzi i – nie wiadomo, dlaczego – było to strasznie śmieszne, a pomarańczowe skórki na białym śniegu wyglądały jak karnawałowe serpentyny... A potem, gdy już

zmarzliśmy na kość, postanowiliśmy wrócić. Według mnie, było koło drugiej nad ranem, ale w oknach sanatorium ciągle paliły się światła. Widocznie ludzie bawili się jak mogli.

Na dworze było cicho, fajerwerki się skończyły, padał gęsty, puszysty śnieg. Po drodze kilka razy trafiłam w zaspę, całkiem przemoczyłam buty, ale nawet się nie zezłościłam. Było za... dobrze.

– Czernowa! – zawołał cicho Dawletiarow, gdy zbliżyliśmy się do wejścia do budynku. – Dziękuję.

Do tej pory nie jestem pewna, czy mi się to nie wydawało.

Dopiero gdy weszliśmy do ciepłego pomieszczenia zrozumiałam, jak bardzo zmarzłam. Trzęsłam się jak w febrze, dlatego natychmiast zaproponowano mi odrobinę koniaku na rozgrzewkę. Niezły pomysł, oczywiście, ale połączenie mrozu, koniaku i szampana zważyło mnie z nóg na amen.



...Gdy otworzyłam oczy, długo nie mogłam zorientować się, gdzie jestem. Nie rozpoznawałam pokoju, przez nieszczelnie zaciągnięte zasłony wdzierało się jasne światło słoneczne, było przy tym zadziwiająco cicho. Minęło jeszcze kilka chwil i odkryłam, że leżę z nosem utkwionym w poduszce pachnącej znajomą wodą kolońską, jestem okryta puszystym kocem, a na nogach nie mam butów. Wyglądało na to, że ktoś mi je zdjął, bo świetnie pamiętam, że sama tego nie zrobiłam. Szkoda, że mnie nie rozebrał, bardzo niewygodnie jest spać w džinsach... W końcu, gdy dotarło do mnie, gdzie jestem, podskoczyłam jak oparzona. Boże drogi... Nic dziwnego, że pokój wydawał mi się nieznajomy, z takiej perspektywy nigdy go nie widziałam! Bywałam u Dawletiarowa z wizytą, ale nie zdarzyło mi się wylegiwać w jego łóżku! Łańcuch wydarzeń bez trudu złożył się w

logiczną całość: zmarłam i nadużyłam alkoholu, po czym urwał mi się film. Dawletiarow z jakiegoś kompletnie niezrozumiałego powodu wykazał się szlachetnością i nie tylko nie wezwał sanitariuszy, żeby wynieśli moje pozbawione czucia ciało gdzieś do wolnej sali, lecz, co więcej, okrył mnie kocykiem i sam gdzieś znikł. Jak ja mu teraz spojrzę w oczy?

Szczęk zamka odciągnął moją uwagę od wyrzutów sumienia. Na progu stanął Dawletiarow, z jego postawy emanowały jednocześnie ironia i ciekawość. Gdy zaczynał przyglądać się człowiekowi jak rzadkiemu zwierzęciu w zoo, najlepiej było jak najszybciej zniknąć mu z oczu – już dawno się tego nauczyłam. Miałam ochotę ze wstydu wpełznąć pod łóżko, lecz było zdecydowanie za niskie, a w szkole nas jeszcze nie uczyli, jak zamienić się w jamnika. Innych opcji zniknięcia nie miałam.

– Masz kaca, Czernowa? – zatroszczył się.

Pokręciłam głową i schowałam ją w ramionach.

– Jasne, organizm młody, niezniszczony nadmiarem przeżyć – stwierdził. – Tylko pozazdrościć.

– Proszę się nade mną nie pastwić – wydukałam. – Przecież to niespecjalnie.

– Jak daleko sięgnę pamięcią, nigdy nie robiłaś niczego „specjalnie”, Czernowa – powiedział Dawletiarow, podchodząc do okna i rozsuwając zasłony. Ranek (a może było to raczej południe) był zimny i oślepiająco słoneczny. – Ale twoje „niespecjalnie” w skutkach porównywalne jest z klęską żywiołową.

Milczałam, zgnębiona. Wspaniale przywitałam Nowy Rok! Po prostu cudownie! Doprawdy, lepiej było pojechać do rodziców albo chociażby świętować w akademiku z sąsiadami, tam przynajmniej nikt by mi nie prawił kazań.

– Dam ci radę na przyszłość, Czernowa – ciągnął Dawletiarow – chociaż najpewniej i tak puścisz ją mimo uszu, jak wszystkie poprzednie.

Wykrzywiłam się w żalösnej parodii uśmiechu i udałam szczere zainteresowanie.

– Jak nie umiesz pić, to nie pij w ogóle – sucho powiedział Igor Georgiewicz. Ugryzłam się w język, by nie powiedzieć, że pić akurat umiem. Wczorajsze wydarzenia zachwiały moją wiarą. – Pomyśl chociażby o tym, że na moim miejscu mógł się znaleźć ktoś inny, młodszy i pozbawiony zasad. I to nawet niejeden. W akademiku, na przykład.

Poczułam, że za chwilę spalę się ze wstydu, potem zrozumiałam, do czego Dawletiarow pije z charakterystyczną dlań delikatnością i mimowolnie się zjeżyłam.

– Uświadomiłaś to sobie? – zapytał Dawletiarow. – W takim razie wstań i umyj się, wyglądasz jak strach na wróble. Mnie jest w zasadzie wszystko jedno, ale jakiś zawiany kuracjusz może się przestraszyć.

Ochlapałam twarz zimną wodą, nieco się uspokoiłam i doszłam do wniosku, że pora się zmywać. Ten Nowy Rok i tak zapamiętam na długo! A sprawę, z którą tu przyjechałam, można odłożyć na potem.

Ale najwyraźniej los niewystarczająco mnie jeszcze doświadczył, bo po powrocie do pokoju z łazienki zobaczyłam, że Dawletiarow trzyma w ręku i studiuje w skupieniu kartki – właśnie te, których postanowiłam mu dzisiaj nie pokazywać.

– Co to takiego, Czernowa? – zapytał, a ja, zamiast wytknąć mu, że do cudzych papierów się nie zagląda, nawet jeśli przypadkowo wypadły z torby, burknęłam niegrzecznie: – Tematy prac dyplomowych.

– Po co je ze sobą przy taszczyłaś? – Dawletiarow uniósł brwi. – Zresztą, możesz nie odpowiadać, domyślam się.

– Po prostu chciałam się poradzić – mruknęłam.

– Nie wiesz, co wybrać? – Dawletiarow wyglądał na zainteresowanego, a ja postanowiłam: raz kozie śmierć!

– Właściwie to wiem – powiedziałam, wbijając oczy w podłogę. – Zaznaczyłam na ostatniej stronie... Trzy tematy, mniej więcej podobne, tylko z materiałami krucho; już sprawdziłam. Pomyślałam, że może pan mi coś podpowie...

Dawletiarow nie rzekł ni słowa, wyciągnął z pliku ostatnią kartkę, przebiegł ją wzrokiem i spoważniał. Potem spojrzał na mnie, a ja mimowolnie zeszywniałam. Igor Georgiewicz patrzył tak tylko wtedy, gdy był bardzo zły, a to znaczyło, że za chwilę na moją głowę posypią się gromy.

– A więc, mimo wszystko magia bojowa, tak, Czernowa? – zapytał niby całkiem obojętnie, ale gdzieś w jego głosie pobrzmiwały jednak groźne nutki.

– A co by pan chciał? – zezłościłam się raptem. – Proszę mi powiedzieć, do czego innego się nadaję? Wie pan świetnie, że po tym wszystkim nie wypuszczą mnie tak po prostu z PUM. – Mimowolnie potrząsnęłam głową, przypominając sobie uczestnictwo w eksperymencie. – I co, mam się nogami zaprzeć? I tak nie mam wyjścia... Lepiej już sama zawczasu dojdę co do czego.

Tym razem, wbrew oczekiwaniom, Dawletiarow nie zaczął znęcać się nad moim subtelnym sposobem wyrażania myśli.

– Jeśli chcesz się za to brać, Czernowa, to się bierz – odparł sucho. – Twoja sprawa. A teraz zabieraj swoje papiery i won stąd. Ale już.

Oniemiałam. Takich słów, do tego wypowiedzianych tym tonem, nigdy nie słyszałam od Dawletiarowa. Byłam przygotowana na drwiny, subtelne obelgi, złośliwe uwagi na temat moich możliwości intelektualnych, ale... on

po prostu nie chciał ze mną rozmawiać! Co więcej, wyrzucał mnie za drzwi! Jak niby inaczej mam to rozumieć?

– No i dobrze – burknęłam, zabierając kurtkę, szalik i torbę. – Sama sobie dam radę. Wszystkiego najlepszego...

Nie minęło i pięć minut, a już dziarsko maszerowałam w stronę bramy, ze złości nie czując nawet mrozu.

No to się poradziłam! Czy zwróciłabym się do Dawletiarowa, gdybym miała jakieś inne wyjście? Jasne, że nie. Ale promotor dostał mi się, delikatnie rzecz ujmując, niezbyt rozgarnięty. Paweł Iwanowicz Sokołow, przez studentów zwany Pałem Iwanyczem, bynajmniej nie palił się do pomocy w przygotowaniu pracy dyplomowej. Zdobył się jedynie na niedwuznaczną aluzję, że powinnam wybrać temat z ostatniej części spisu, z rozdziału o magii bojowej i obronnej. Miałam silne podejrzenia, że taki nienadający się do niczego promotor – a wykladał albo ową osławioną historię magii, albo coś z magii stosowanej, nie byłam pewna – przypadł mi w udziale nie bez powodu. Sądziłam, że kierownictwo po prostu chciało zobaczyć, do czego tak naprawdę jestem zdolna. Właśnie dlatego okropnie chciałam napisać pracę dyplomową tak, żeby nie tylko po prostu się obronić, ale obronić się wystrzałowo. Plan był ambitny, jak na moje dość skromne możliwości (nie mam na myśli możliwości magicznych), ale czy miałam jakąś alternatywę? Myślałam o studiach doktoranckich, mogłabym wtedy mocno zaczepić się na PUM i coś osiągnąć w życiu. A w końcu co to takiego bojowa i obronna magia...? W czym niby jest gorsza od weterynarii? Dobry mag bojowy trafia się rzadko, jest więc bardzo cenny. Być może moje niebezpieczne zdolności uda się wykorzystać dla dobra społeczeństwa. Może i nie ma teraz nigdzie poważnych konfliktów zbrojnych, ale i tak rzadko które państwo nie chce oprócz wojennej techniki mieć do swojej dyspozycji porządnych bojowych magów.

O tym, żebym dała sobie radę bez pomocy, nie było mowy, bo jak już wspominałam, materiałów na wybrane przeze mnie tematy było bardzo mało, a to, co udało się znaleźć, okazało się zupełnie niestrawne. Zresztą wyszukanie informacji nie było największym problemem. Najważniejsze to wiedzieć, jaki wybrać kierunek poszukiwań. W tym akurat Pał Iwanycz nie mógł mi pomóc, a zajmując się tym samodzielnie, mogłam zmarnować mnóstwo czasu i nie osiągnąć nic. I dlatego tak bardzo liczyłam na pomoc Dawletiarowa. W końcu miał kiedyś wielkie osiągnięcia i na pewno był na bieżąco z ostatnimi opracowaniami w dziedzinie magii bojowej. Ale z jakiegoś powodu pomóc mi nie chciał... Wyglądało na to, że od czasu poligonu unikał nawet myśli o magii bojowej, co akurat mogłam zrozumieć. Ale czy nie mógł powiedzieć tego delikatniej?!

Jednym słowem rozzłościłam się do takiego stopnia, że postanowiłam całe ferie poświęcić na poszukiwanie materiałów. Na jaki temat znajdę najwięcej – ten wybiorę.

Co prawda po paru dniach musiałam przyznać, że na każdy z trzech wybranych przeze mnie tematów jest strasznie mało opracowań. O ile miałam pewne wyobrażenie na temat części praktycznej, o tyle na część teoretyczną brakowało mi pomysłu. Nie miałam ochoty przepisywać powszechnie znanych podręczników, zaczęłam więc kopać w różnych monografiach. Gdzieniegdzie wspomiano pewne ciekawe źródło, czasami trafiał się nawet krótki cytat, doszłam więc do wniosku, że jeśli uda mi się gdzieś zdobyć tę książkę, będę w stanie przygotować pierwszorzędą pracę. Uporu mi nie brakuje, więc w końcu znalazłam to, czego szukałam. I wtedy właśnie straciłam całą energię, bo w całym kraju były tylko dwa egzemplarze. Jeden z nich nawet przechowywano w naszej bibliotece, ale w niczym mi to nie pomogło, gdyż według opisu katalogowego książka napisana została w tym samym koszmarnym języku, w jakim zazwyczaj

tworzone są zaklęcia bojowe, a tłumaczenie „z magicznego na nasze” nie występowało w przyrodzie. Najwyraźniej zakładano, że jeśli mag potrzebuje takiej literatury, to znaczy, że opanował do perfekcji ten starożytny bełkot i nie ma co sobie zawracać głowy przekładem. Niestety, nie należę do grona takich magów, a czytać tę książkę mogłabym tylko, sprawdzając w słowniku niemalże każde słowo. Zresztą niektórych słów nawet w słowniku nie było, ich znaczenia trzeba było domyślać się z kontekstu, a pewne szczególnie wyszukane konstrukcje gramatyczne wpędziłyby w nerwicę nawet zawodowca.

Krótko mówiąc, mogłabym przeczytać ten bezcenny foliał, poświęcając na to około pół roku wytężonej, żmudnej pracy. A tyle czasu, oczywiście, nie miałam. Nie pozostawało mi nic innego, jak tylko zająć się kompilacją ogólnie znanych źródeł, co było zajęciem nudnym i bezsensownym, biorąc pod uwagę cel, jaki sobie postawiłam.



Siedziałam w swoim pokoju obłożona podręcznikami i notatkami, szykując się do zaliczeń. Co to za zбочony pomysł przenieść część zaliczeń na tydzień po świętach?

Mało tego, że w czasie tygodniowych ferii traci się samodyscyplinę i ciężko jest zmusić mózg do pracy, to jeszcze okazało się, że moi sąsiedzi wcale nie są takimi cichymi myszkami, jak początkowo sądziłam. I chociaż bawili się niezbyt głośno, to jednak na tyle dokuczliwie, że trudno było się skupić. Pojechać do rodziców, czy co? Dzisiaj jest niedziela, jutro idą do pracy, nikogo nie będzie w domu, cisza i spokój... Aha, i targaj wszystkie książki na własnych plecach w tę i z powrotem przez pół miasta! To już lepiej zatkać uszy słuchawkami... Nie od razu usłyszałam stukanie do drzwi.

– Kto tam? – zapytałam z niezadowoleniem. Jeśli to znowu Annuszka z trzeciego roku przyszła zapytać, czy może zanoć, bo jej sąsiadki zorganizowały cichą orgietkę, a jej nie zaprosiły, to jak Boga kocham, pogonię ją gdzie pieprz rośnie! Mam tego dość.

Przez szparę w drzwiach wsunęła się głowa „wujka” Miszy z recepcji.

– Telefon do ciebie – powiedział uroczyście. – Idź szybko, po co ludzie mają na darmo czas tracić!

Kto to może być? Rodzice albo Katarzyna zadzwoniłoby na komórkę – tylko po to ją trzymam, stara cegła, nawet gier w niej nie ma. Nikt więcej nie powinien do mnie dzwonić, może to pomyłka? Albo recepcjonista coś źle usłyszał?

– Wujku Miszo, na pewno do mnie? – upewniłam się, idąc za nim po schodach. – Może to do Niny ze sto piątki?

– Do ciebie, do ciebie – burczał recepcjonista. – Prosili Czernową, a Czernowa jest w akademiku tylko jedna. Mamy jeszcze Czernajewą, ale ona, po pierwsze ma na imię Masza, a po drugie pojechała do domu, do Tweru.

Wujek Misza słynął z fenomenalnej pamięci, znał imiona wszystkich studentów mieszkających w akademiku, nie musiał nawet pytać o przepustkę. Był też skarbnicą nieskończonej ilości plotek, a dzielenie się nimi przedkładał nad wszystkie inne przyjemności, dlatego starałam się go unikać. Rozumiem, że starszy człowiek lubi sobie pogadać, ale zupełnie nie miałam ochoty słuchać, kto się w kim zakochał i do kogo obcy wchodzi przez okno po drabinie przeciwpożarowej. Czasami dziewczęta miały ochotę zapoznać wujka Misze z bibliotekarką Emmą Germanowną, równie znaną plotkarką, niechby się nawzajem zabawiali. Ale po chwili zastanowienia z pomysłu zawsze rezygnowano: zagadaliby się na śmierć, pleciugi...

Podeszłam do recepcji, wujek Misza podał mi słuchawkę starożytnego aparatu, który na oko mógł być moim rówieśnikiem.

– Halo...? – odezwałam się w pełni przekonana, że pomyłka i ktoś chciał rozmawiać właśnie z Maszą Czerniajewą. Przecież nie wszyscy jej adoratorzy wiedzieli, że wyjechała do Tweru!

– Czernowa? – usłyszałam wśród trzasków i zakłóceń w słuchawce.

– Tak...? – odpowiedziałam ze zdziwieniem i już miałam zapytać, kto mówi, ale nieznany rozmówca nie dał mi szansy.

– Następnym razem, Czernowa, gdy postanowisz zmienić swoje zwyczaje, bądź tak miła i uprzedź, żebym mógł na ten dzień zaplanować coś pożytecznego! A charakterek to możesz prezentować swoim wielbicielom! Czy wyrażam się jasno?

Po tym właśnie zwrocie rozpoznałam natychmiast rozmówcę i na moment straciłam boski dar mowy.

– Skąd... pan dzwoni? – zapytałam oszołomiona.

– Z automatu – warknął rozmówca i z trzaskiem rzucił słuchawką.

Stałam z otwartymi ustami i wytrzeszczonymi oczyma.

– Kto to, twój kawaler? – z zainteresowaniem spytał wujek Misza, który oczywiście podsłuchiwał.

– Nnnie – wykrztusiłam, oddając mu słuchawkę. – Dziękuję...

A jednak... Co mogę powiedzieć, nie spodziewałam się czegoś takiego! Prawdę mówiąc, w sobotę nie odważyłam się pojechać jak zwykle do Dąbek. Postanowiłam przeczekać, aż Dawletiarow nieco się uspokoi i zapomni o moim dyplomie. Zapomni, akurat!

Chciałabym wiedzieć, co takiego ciekawego może sobie zaplanować? Herbatkę z młodszymi pielęgniarkami czy dodatkowy spacer po lesie? Parsknęłam mimowolnie. Najwyraźniej Dawletiarow sądzi, że próbuję mu zademonstrować, jak bardzo obraził mnie i moje uczucia, skoro opuściłam

cotygodniową wizytę, a widocznie nie wygarnął mi jeszcze wszystkiego, co mu leży na wątrobie. Co za pomysł, żeby dzwonić do akademika... na dodatek z automatu. Ciekawe, jak mu się udało? Dąbki leżą poza Moskwą, dzwonić trzeba przez ósemkę. A w sanatorium, o ile wiem, ósemka jest odblokowana tylko w gabinecie ordynatora. Pacjenci mają komórki, komu potrzebny aparat stacjonarny? A może automat też ma odblokowaną ósemkę? Jak Boga kocham, nie pamiętam – zresztą, co za różnica...?

W następną sobotę zebrałam do kupy całą odwagę i, starając się nie wyglądać jak owca prowadzona na rzeź (chyba mi to nie do końca wyszło), mimo wszystko pojechałam do Dąbek. Pogoda zrobiła kolejnego psikusa, w przeddzień temperatura podniosła się powyżej zera, a śnieg, który spadł przed Nowym Rokiem, zamienił się w obrzydliwą brudną breję. W nocy z piątku na sobotę znowu złapał mróz, ale niezbyt silny. W rezultacie pod błotem wytworzyła się warstwa lodu. Jak zwykle sprzętu do odśnieżania brakowało, środków przeciw gołoledzi także. Na śliskiej drodze wszyscy marnie sobie radzili. A do tego jeszcze kierowca naszego autobusu postanowił objechać poboczem korek spowodowany kolejnym wypadkiem. Autobus przechylał się tak, że kilka razy o mało co się nie przewrócił, miałam dość mocnych wrażeń!

I może właśnie dlatego przestałam bać się Dawletiarowa. Co mi może zrobić? Najpierw obsztorcuje, a potem może jednak powie coś rozsądnego. Najważniejsze: nie dyskutować z nim. Gdy się mu sprzeciwiać, po prostu wychodzi z siebie i wtedy lepiej nie mieć z nim do czynienia. Ludzie z mojego roku byli głęboko przekonani, że takie zachowanie świadczy o poważnych problemach z psychiką. Na ich miejscu nie wypowiadałabym się tak kategorycznie, tym bardziej że Dawletiarow zachowywał się na ogół normalnie, choć język miał cięty.

Co prawda specjalistą nie jestem. Może by tak przy okazji zapytać lekarza? Aha, na pewno mi powie...

Zaprzątnięta takimi rozmyślaniami, nie wiadomo kiedy dotarłam do bramy sanatorium, przywitałam się ze strażnikiem, odśnieżoną ścieżką doszłam do głównego wejścia budynku. Na szczęście w pobliżu nie było znajomych pielęgniarek, a w recepcji siedziała jakaś staruszka, która obojętnym tonem zapytała, do kogo idę, tak samo obojętnie wysłuchiwała odpowiedzi i wróciła do lektury powieści.

Idąc korytarzem, rzuciłam okiem na automat. Z ciekawości podeszłam nawet do niego, wsunęłam kartę telefoniczną (zawsze mam jedną przy sobie, bo moja leciwa komórka lubi rozładowywać się w najmniej odpowiednim momencie) i spróbowałam wybrać ósemkę. Nic z tego... Ten stary aparat był przystosowany tylko do miejscowych rozmów, nie miał nawet wybierania tonowego.

Dochodząc do znajomych drzwi, wzięłam głęboki oddech, zastukałam i, usłyszawszy niezadowolone: „Proszę!”, otwarałam drzwi.

– Dramatu akt drugi – skomentował moje pojawienie się Dawletiarow. Tym razem dla urozmaicenia siedział w fotelu z nogami opartymi o niewielki stolik. Dobrze, że przynajmniej tu nie palił. – Oto i nasza Czernowa.

– Też się cieszę, że pana widzę – odparłam zgryźliwie. Nastrój Igora Georgiewicza nie wróżył nic dobrego. Zresztą ja też nie byłam w najlepszym humorze, pewnie tylko dlatego odważyłam się powiedzieć to, co powiedziałam: – Ja tylko na chwilkę. Zabrać swoje papiery.

Była to szczerza prawda: poprzednim razem wyniosłam się tak, jak kazał, ale nie zabrałam kartek z tematami prac dyplomowych. Miałam je też w postaci elektronicznej, ale mimo wszystko był to dobry pretekst do odwiedzin.

– Nie denerwuj mnie, Czernowa. – Dawletiarow zamknął książkę, wstał i odstawił ją na półkę. – Zdejmij buty i wchodź.

Było to coś nowego, dlatego postarałam się nie okazywać nadmiernego zdumienia. Szybciutko zdjęłam kurtkę, kozaki i przysiadłam na brzegu fotela.

Zapanowała cisza. Nie wiedziałam, co powiedzieć ani czy w ogóle warto zaczynać rozmowę, czułam się bardzo niezręcznie. Igor Georgiewicz wyglądał przez okno jakby zobaczył tam coś niewiarygodnie wręcz ciekawego i także się nie odzywał.

– No, zaczynaj, Czernowa – rozkazał w końcu.

– Co... mam zacząć?

– Opowiadaj nowinki z ostatniego tygodnia. – Dawletiarow usiadł w fotelu naprzeciwko, eleganckim gestem podciągając nogawki. Mimochodem zauważyłam, że nigdy nie widziałam go w dresie, typowym mundurku kuracjusza sanatorium, zawsze w spodniach w kancik i koszuli lub swetrze, czasem – bardzo rzadko – w dżinsach.

– Przecież były święta – wymamrotałam onieśmielona. – Nic się nie działo.

– To znaczy, że mam szczęście – prychnął.

– Igorze Georgiewiczu – zebrałam w końcu wszystkie siły. – Chciałam powiedzieć... bo... w tamten weekend nie przyjechałam nie dlatego, żeby... jak to pan powiedział, prezentować charakterek... Ja po prostu, no... bałam się.

– Dobrze zrobiłaś, Czernowa. – Dawletiarow popatrzył na mnie bez uśmiechu. – Wtedy byłem jeszcze nieco... hmmm...

– Wkurzony – podpowiedziałam mimowolnie. – Ups...

– Jeśli kiedyś nauczysz się trzymać język za zębami, Czernowa, będziesz bezcenna – westchnął Dawletiarow z rezygnacją. – Dobrze, nieważne. W

niektórych sprawach miałaś rację.

Zmusiłam się do uśmiechu. Nie miałam pojęcia, skąd u Igora Georgiewicza napad gadulstwa, a do tego jeszcze takie oświadczenia. Najwyraźniej coś dziwnego dzieje się w przyrodzie. Pola geomagnetyczne i temu podobne rzeczy...

– Tak więc, Czernowa... – Igor Georgiewicz nieoczekiwanie wstał, podszedł do drzwi i zamknął je na klucz. – Czekaj nas krótka i nieprzyjemna rozmowa. Nie przerywaj! – podniósł głos, zauważywszy, że chcę coś powiedzieć. Znowu usiadł naprzeciwko mnie, a ja odruchowo skuliłam się, czując na sobie jego wzrok. – A więc, Czernowa, miałaś absolutną rację. Z powodu twego niszczycielskiego potencjału nie zostawię cię w spokoju, nawet jeśli postanowisz zmienić zawód i zostać, powiedzmy, kasjerką. Wpadłaś po uszy w to bagno. Ja też nie jestem tu bez winy.

– A pan co ma z tym wspólnego...? – udało mi się wtrącić.

– Co ja mam z tym wspólnego? – Dawletiarow zmrużył oczy. – A to, że trzeba było wyrzucić cię po całej tej hecy w bibliotecę, a nie przenosić na inny wydział. Niektórzy byliby przeciwni, ale wtedy mogłem jeszcze postawić na swoim.

Ach, więc to tak... I wtedy nic by się nie wydarzyło, ani poligon, ani... A ja spokojnie studiowałabym na jakiejś uczelni ekonomicznej i nie miałabym wrażenia, że ugrzęzłam jak mucha w pajęczynie.

– Dlaczego pan mnie nie wyrzucił?

– Wydawało mi się, że masz niewielki potencjał i nie sprawisz większych kłopotów. – Dawletiarow uśmiechnął się kwaśno. – Kto mógł wiedzieć, do czego jesteś zdolna! Zresztą to nieważne, stare dzieje.

– No, nie takie jeszcze stare – burknęłam. – Proszę powiedzieć...

– Jeszcze nie skończyłem – przerwał mi Igor Georgiewicz. – Sądzę, że delikatnie zasugerowano ci wybór pracy dyplomowej, czego oczywiście nie

zauważyłaś.

– Akurat zauważyłam – nie wytrzymałam i wyłożyłam wszystkie swoje podejrzenia co do Pała Iwanycza i jego roli w wyborze tematu pracy dyplomowej.

– No proszę, jeśli zechcesz, potrafisz kojarzyć fakty. – Dawletiarow ironicznie podniósł brwi. – Szkoda, że takie przebłyki świadomości zdarzają ci się niezmiernie rzadko.

Jak zwykle z trudem powstrzymałam się, by czymś w niego nie rzucić, choćby stojakiem na gazety. I tak nie miało to sensu, Dawletiarowa nie da się przerobić, za to samemu można jak nic zarobić guza.

– Tak więc zrobiłaś to, czego od ciebie oczekiwano – ciągnął Igor Georgiewicz. – Dalej masz dwie drogi do wyboru. Możesz, tak jak setki studentów, napisać przeciętną, niczym niewyróżniającą się spośród wielu innych pracę dyplomową. Jeśli nie będziesz się wychylać, zmieszasz się z tłumem, to może za jakiś czas uda ci się odejść i zająć czymś innym. Ale, Czernowa, musisz być przygotowana na to, że przez całe życie będziesz obserwowana. – Wyjął z paczki papierosa, poszukał wzrokiem popielniczki (oczywiście nie znalazł) i uchyliwszy lekko okno, mówił dalej, wydmuchując dym na zewnątrz. – Drugą drogę, jak sądzę, wyobrażasz sobie doskonale, inaczej nie zwróciłabyś się do mnie, prawda?

W milczeniu pokiwałam głową, jednocześnie podkuliłam pod siebie zmarznęte nogi – po podłodze szalał przeciąg.

– Możesz wyrobić sobie markę. Przy twoim uporze może ci się udać. Do tego kobiety zajmujące się magią bojową można policzyć na palcach jednej ręki – zawsze to jakiś atut. Ale to, Czernowa, jest droga bez powrotu, nikt ci nie pozwoli z niej zawrócić. Czy wyrażam się jasno?

– Aż za bardzo – wymamrotałam, wpatrując się we własne kolana.

– Sądzę, że wiesz, co może zrobić z człowiekiem magia bojowa – powiedział z naciskiem Dawletiarow. Znowu przytaknęłam. – A więc, który wariant wybierasz, Czernowa?

– Drugi – powiedziałam, podniosłam głowę i spojrzałam w oczy Dawletiarowowi. Nie było w nich ani śladu zdziwienia. – I tak pan wie, więc po co to pytanie?

– Pro forma, Czernowa, znasz takie wyrażenie? – Dawletiarow zamknął okno, podszedł do półki z książkami. Zdjął z niej jakieś papiery i wrócił do stolika.

Wśród kartek, które położył na stole, rozpoznałam nieszczęsny spis tematów.

– Jeśli rzeczywiście masz zamiar sama sobie założyć pętlę na szyję, lepiej zrób to pod okiem specjalisty – oświadczył ze śmiertelną powagą.

Mimowolnie zachichotałam. Zawsze wydawało mi się, że Dawletiarow jest do cna pozbawiony poczucia humoru, ale od czasu do czasu ten pogląd chwiał się w posadach.

– Dlatego właśnie, Czernowa – kontynuował Dawletiarow – jestem skłonny od czasu do czasu służyć ci radą. Pod jednym warunkiem.

– Jakim? – zapytałam, nie wierząc własnym uszom. Co mu się stało? Najpierw mnie spuścił po brzytwie, teraz postanowił pomóc... Nic nie rozumiem. Może ma zimową depresję?

– Wszystko będziesz robić tak, jak powiem – powiedział lodowatym tonem. – Bez mędrkowania. Jeśli usłyszę chociaż jedno „ale” albo „nie będę”, będzie to koniec naszej współpracy. Rozumiesz, Czernowa?

– A wysuwać rozsądne argumenty, dlaczego coś mi się nie podoba, mogę? – spytałam odważnie.

– Jeśli dasz radę, spróbuj. Chociaż wątpię. A więc?

– Zgadzam się! – powiedziałam szybko. Nie daj Boże, rozmyśli się, i co ja wtedy zrobię?! Gdybym wtedy wiedziała, na co się zgadzam...

– W takim razie, do roboty – zarządził Dawletiarow i podetknął mi pod nos kartkę. – Ze wszystkich tematów dla ciebie najbardziej odpowiedni jest ten.

„Dematerializacja dużych przedmiotów i jej zastosowanie w warunkach bojowych”, przeczytałam. Szczerze mówiąc, nie było tego tematu wśród trzech, które wybrałam.

– Ale, Igorze Georgiewiczu... – zaczęłam, ale Dawletiarow przerwał mi: – Pierwsze ostrzeżenie, Czernowa. Powiedziałem przecież, żadnych „ale”. Drugiego ostrzeżenia nie będzie.

Kierowana rozsądkiem ugryzłam się w język i uważnie słuchałam.

– Literatura. – Treść drugiej kartki, zapisanej drobnym, zdecydowanym charakterem pisma, nie rzuciła mnie na kolana. – Masz się z tym zapoznać. Większość jest w bibliotece PUM, więc nie musisz się specjalnie wysilać.

Przebiegłam wzrokiem listę. Rzeczywiście, znaczną część wymienionych prac widziałam niejednokrotnie w katalogu, a niektóre nawet trzymałam w ręku.

– Zwróć szczególną uwagę na tę książkę. – Nie wiadomo skąd w ręku Dawletiarowa pojawił się ołówek, którym wskazywał podkreślony podwójnie wers. – Nie znajdziesz nic lepszego, ani do części teoretycznej, ani praktycznej.

Tytuł wydał mi się znajomy: *Teoria i praktyka magii bojowej*. Gdzieś go już widziałam? Nagle olśniło mnie.

– Eeee... Igorze Georgiewiczu... – zaczęłam.

– Co, Czernowa?

– Taka sprawa... – zająknęłam się. – Tak w ogóle to widziałam tę książkę, u nas w bibliotece też jest.

– Więc o co chodzi? – Dawletiarow powoli, ale skutecznie zaczął się nakręcać.

– Przecież nie jest przetłumaczona! – jęknęłam. – A pan wie, jak opanowałam „magogwarę”!

– Wiem. – Dawletiarow bawił się ołówkiem. – Okropnie.

– To dlaczego „czwóry” mi pan stawiał, jeśli okropnie? – oburzyłam się. „Czwóra” u Dawletiarowa nieoficjalnie równała się piątce, więc nawet byłam z siebie dumna. W każdym razie reszta grupy zbierała same „lufy”.

– Wyłącznie przez kontrast z pozostałymi – prychnął Dawletiarow. – Niestety, nie przewidziano ocen ujemnych. Tak, Czernowa, mamy problem.

„I to jaki!”, pomyślałam, starając się całą swą postacią wyrazić, jak bardzo dręczy mnie wstyd z powodu własnej tępoty językowej.

Dawletiarow milczał, obracał ołówek w rękę, myślał o czymś intensywnie – pewnie o tym, po co w ogóle się ze mną zadawał. Milczałam, po raz kolejny czytając spis literatury.

– Dobrze, Czernowa – odezwał się nagle Igor Georgiewicz. – Bez tej książki nic rozsądnego nie napiszesz. A skoro tak...

Potrząsnął głową, jakby odganiał uporczywą myśl, uśmiechnął się, znowu podszedł do półki z książkami i zaczął czegoś tam szukać. Coś brzęknęło – okazało się, że był to pęk kluczy. Igor Georgiewicz odczepił dwa wiszące na oddzielnym kółku i podał mi. Wzięłam je, nie rozumiejąc jeszcze, o co chodzi.

– Pojedziesz pod ten adres – powiedział, pisząc coś na kartce ze spisem literatury. – Pokój z lewej strony, dolny segment biblioteczki, środkowa część – weźmiesz stamtąd czarne teczki, nie pamiętam dokładnie, ile ich tam jest. Rozumiesz, Czernowa?

– A... – Dotarło do mnie, że trzymam w ręku klucze do czyjegoś mieszkania. – A czyje to...

– Moje, Czernowa. – Igor Georgiewicz zasepił się, a ja zrozumiałam, że nie należy o nic więcej pytać. Rozmowa sprawiała mu przykrość. – Jeśli rozumiesz, to jesteś wolna. W przyszłym tygodniu przywieziesz mi szczegółowy plan pracy dyplomowej.

– Proszę otworzyć drzwi... – powiedziałam smętnie, wkładając buty. – Po co w ogóle było zamykać?

– Żeby nikt nie wpadł do środka, słysząc krzyki – odpowiedział Dawletiarow, a ja znowu nie byłam pewna czy żartuje, czy mówi poważnie.



Trzy dni zbierałam siły, żeby pojechać pod adres wskazany przez Dawletiarowa. Kiedy przeszukiwałam jego komputer, byłam tak podkręcona, że nawet mi do głowy nie przyszło, iż naruszam czyjąś prywatność. A tym razem miałam spore opory przed wejściem do cudzego domu pod nieobecność gospodarza i grzebaniem w jego rzeczach. Ale skoro sam właściciel powierzył mi klucze, to jednak całkiem co innego, nieprawdaż? Moje głupie sumienie działało zupełnie bez sensu... Och, znowu zastanawiałam się nie nad tym, co trzeba.

Musiałam jechać daleko, przez pół miasta, najpierw metrem, potem autobusem – w sumie półtorej godziny. Nic dziwnego, że Igor Georgiewicz często zostawał na noc na uniwersytecie. Komu by się chciało tłuc się taki kawał późnym wieczorem?! Tutaj nawet w ciągu dnia komunikacja chodziła rzadko i niechętnie, jakby wyświadczała komuś ogromną łaskę.

Dom był stosunkowo nowy. Widywałam już podobne – moja przyjaciółka, Katarzyna, mieszkała właśnie w takim – mieszkania w nich były duże i bynajmniej nietanie.

Poszukiwany lokal znajdował się na czwartym piętrze. Drzwi, choć dość masywne, wyglądały jednak elegancko w porównaniu ze stalowymi

potworami z panoramicznymi wizjerami, broniącymi wstępu do innych mieszkań. Na wszelki wypadek rzuciłam na siebie prościutkie zakłęcie, dzięki któremu nie zwracano na mnie uwagi. Tego tylko brakowało, żeby któryś z sąsiadów wezwał milicję, biorąc mnie za włamywaczkę.

Zamki otwierały się bez trudu, natomiast skrzydło było ciężkie, widocznie pod drewnopodobną okleiną ukryto stal. Zamknęłam je za sobą i rozejrzałam się. Mieszkanie było dwupokojowe, ale zajmowało powierzchnię znacznie większą niż trzy pokoje moich rodziców. Przestronny przedpokój, przejście zwieńczone łukiem, dalej krótki hol...

Mieszkanie naprawiało wrażenie opuszczonego, pomimo braku kurzu, a i powietrze nie było zatęchłe: dla dobrego maga to żaden problem uwolnić się od takich drobnych nieprzyjemności. A jednak nigdzie nie widziałam nawet najmniejszych oznak, po których od razu można poznać, że w mieszkaniu ktoś bywa: otwartej książki, rzuconego na kanapę pilota od telewizora, czy też niedbale spiętrzonych sterty płyt kompaktowych. Tutaj wszystko znajdowało się na swoim miejscu, jakby przedmioty rozstawiono w ustalonym porządku raz na zawsze i zakonserwowano.

Panowała tu nieprzyjemna, jakby martwa atmosfera, rozglądałam się więc krótko, i niemal od razu ruszyłam w stronę biblioteczki. A więc w dolnym segmencie, w środkowej części... Otworzyłam drzwiczki regału. Półki były wręcz nabite książkami i grubymi zeszytami. Od razu rzuciło mi się w oczy to, czego szukałam: grube czarne teczki, plastikowe, jakich już ze sto lat nie sprzedają. Rzeczywiście, nie da się ich pomylić z innymi. Raz, dwa... w sumie było ich siedem.

Wyciągnęłam jedną i delikatnie rozwiązałam. W środku znajdowała się ryza cienkich poźółkłych kartek, zapisanych po obu stronach znajomym zdecydowanym charakterem pisma. Przewróciłam jedną stronę, drugą, trzecią... Siedząc na podłodze, przekartkowałam plik do połowy – od czasu

do czasu trafiały się kartki zapisane na maszynie. Potem zamknęłam teczkę, odłożyłam ją na bok i zamyśliłam się głęboko. W teczkach kryło się nie co innego, jak tłumaczenie książki *Teoria i praktyka magii bojowej*, przygotowane niewątpliwie przez samego Dawletiarowa i to dość dawno temu. Nieistotne, dlaczego nie opublikował tego przekładu, ważne było co innego – czy mam prawo korzystać z wyników jego pracy? Przecież gdy w pracy dyplomowej cytuje się fragmenty książki, to po rosyjsku, a nie w języku oryginału – co za tym idzie, trzeba umieścić przypis: przekład autorstwa takiego to a takiego. Czyje nazwisko mam podać? Dawletiarowa? Swoje?

Łamałam sobie głowę jakieś pięć minut, a potem doszłam do wniosku, że można nad tym zastanowić się później, a najlepiej jeśli zapytam samego Igora Georgiewicza, jak mam postąpić. Teraz powinnam wziąć co trzeba i zbierać się stąd. Z sumieniem równie dobrze mogę walczyć w domu.

Podjąwszy taką decyzję, energicznie wyciągnęłam jeszcze pięć teczek, ale ostatnia uwięzła, zaczepiwszy widać o coś. Pociągnęłam mocniej, teczka nieoczekiwanie poddała się, a razem z nią na podłogę wypadła duża pękata koperta. Niepodpisana. Wzięłam ją do ręki, żeby schować z powrotem do środka, ale stary przetarty na brzegach papier rozdarł się i na kolana posypały mi się fotografie.

Jeszcze tylko tego brakowało! Zdenerwowana, zaczęłam pośpiesznie zbierać zdjęcia. Były różnej wielkości, niektóre jeszcze czarno-białe. Oczywiście bezwiednie spoglądałam na uwiecznione na fotografiach nieznanome twarze. Wyglądało na to, że były to fotografie ze studenckich czasów Dawletiarowa, przynajmniej jeśli oceniać po ubraniach i fryzurach. A oto i on... Nie wytrzymałam i przyjrzałam się uważniej. Najwyraźniej zdjęcie zrobiono podczas jesiennego czynu społecznego, albo przy podobnej okazji. W każdym razie młodzi ludzie na drugim planie trzymali

w rękach grabie i miotły, a drzewa były prawie całkowicie ogołoczone z liści. Sam Igor Georgiewicz w grubym swetrze, całkiem jeszcze młody, idiotycznie uczesany według mody z tamtych lat, z papierosem, niezadowolony wykrzywił się do obiektywu, a z tyłu za nim robiło miny kilku młodzieńców, wśród których z pewnym opóźnieniem rozpoznałam nieświętej pamięci Łodygina. Kolejne zdjęcie na dobre przykuło mą uwagę: ten sam czyn społeczny, ale tym razem Dawletiarow obejmuje śliczną dziewczynę i nawet uśmiecha się zupełnie szczerze, a w pobliżu stoi jakaś kobieta w średnim wieku. Jej twarz pod wełnianym beretem wydawała się znajoma, choć nie wiem, skąd. Na odwrocie fotografii ktoś napisał ołówkiem, okrągłym, nieznanym mi charakterem pisma: *IGOR, MAMA I JA*, i datę. Przeliczyłam w pamięci – Dawletiarow był wtedy na czwartym albo piątym roku. Dość dawno, ale jednak...

Westchnęłam i zaczęłam zbierać pozostałe zdjęcia, żeby w końcu schować je na miejsce, ale gdy zobaczyłam brzeg kolorowej fotografii, nie wytrzymałam. Lepiej, gdybym opanowała ciekawość, słowo honoru, bo było to zdjęcie ślubne. Przedstawiało tę samą ślicznotkę, tym razem w skromnej białej sukience, z bukietem chryzantem albo peonii, promieniejącą szczęściem. Nie miała welonu, tylko wianek z drobnych sztucznych kwiatków – ostatni krzyk mody w tamtych czasach, o czym opowiadała mi mama, bo w tamtym czasie wychodziła za mąż jej młodsza siostra, czyli moja ciotka. Dawletiarow z trudem powstrzymujący uśmiech. Z boku chyba świadkowie... I ta sama kobieta, tym razem oczywiście nie w berecie, a z upiętą wysoko odświętną fryzurą. Mój Boże, do kogo ona jest podobna...?

Znowu odwróciłam fotografię z nadzieją, że na rewersie znajdę odpowiedź. Na moje szczęście była tam, bo inaczej umarłabym z niezaspokojonej ciekawości. Podpis, tym razem chyba wykonany ręką

fotografa, głosił: *OD LEWEJ DO PRAWEJ: ALEKSIEJ KUDRIN, SWIETŁANA ZORKINA, IGOR DAWLETIAROW, LIDIA SMIRNOWA, NATALIA SOBENKO, PAWEŁ ZWANSKI, LARYSA SMIRNOWA*. Znowu spojrzałam na zdjęcie, zdziwiona własną tępotą. No tak, to włosy wprowadziły mnie w błąd! Takich zlanych tonami lakieru „wież” już nikt nie nosi od dawna, a ta kobieta prezentuje obecnie całkiem modną fryzurę. Larysa Smirnowa to Larysa Romanowna Smirnowa, nasza profesorka i... i najwyraźniej matka Lidii Smirnowej, jak przynajmniej wynikało z fotografii czynu społecznego. Czyli... teściowa Dawletiarowa?!

Posiedziałam jeszcze z pięć minut, kiwając się z boku na bok jak wskazówka metronomu. Pewne rzeczy stały się teraz zrozumiałe – przynajmniej zagadkowe stosunki między Dawletiarowem a Larysą Romanowna. Z drugiej strony pojawiły się nowe tajemnice. Wygląda na to, że Igor Georgiewicz był żonaty. Z tą Lidią? Ale nikt nigdy o niej nie słyszał, co jest tym bardziej dziwne, że studiowała na naszym uniwersytecie (nie miałam co do tego najmniejszych wątpliwości – z taką matką!). Ale Dawletiarow nie nosi obrączki. Zresztą w tym mieszkaniu nie ma śladu obecności kobiety! Poza tym, gdyby Dawletiarow miał jakąś żonę, czy nie pojawiłaby się na jego domniemanym pogrzebie, czy nie odwiedziłaby go choć raz w sanatorium? Miałam wrażenie, że cała ta Lidia Smirnowa była... a potem wyparowała. Może go rzuciła? Wcale by mnie to nie zdziwiło, żyć razem z Dawletiarowem mógłby tylko anioł. Każda normalna kobieta już na drugi dzień dałaby mu po łbie patelnią, zabrała swoje rzeczy i wyprowadziła się do mamy. Co prawda mówi się, że zakochani są ślepi, ale wcześniej czy później atak mija i kobieta cudownie odzyskuje wzrok.

Szybko poskładałam fotografie, zawinęłam je w resztki koperty i wsunęłam na półkę. Właściwie, co mi do tego? Czy już wcześniej nie wiedziałam, że Igor Georgiewicz kryje niejedną tajemnicę? No cóż, był

żonaty, i co z tego...? Swoją drogą, ciekawe, dlaczego Larysa Romanowna tak dobrze go traktuje, skoro zazwyczaj teściowa i zięć kochają się jak pies z kotem, czego najlepszym przykładem są układy między moim tatą i babcią. Chociaż, w życiu różnie bywa... I po co wtykałam nos w cudze fotki?

Czułam się tak, jakbym bez pytania weszła do cudzej sypialni, więc szybko wsadziłam teczki do reklamówki, którą przezornie wzięłam ze sobą, starannie zamknęłam za sobą drzwi i pojechałam do domu. Było mi ciężko na sercu.

Mimo wszystko pogrzebałam w przekładzie i napisałam plan pracy dyplomowej. Na szczęście charakter pisma Dawletiarowa był czytelny, a pisząc nie stosował skrótów. Nie to co ja – w moich notatkach z wykładów sam diabeł się pogubi, a o charakterze pisma lepiej w ogóle nie wspominać. Plan, moim zdaniem, wyszedł całkiem przyzwoity, a przynajmniej miał więcej niż trzy punkty. Lecz, jak byście zgadli, Igor Georgiewicz przestudiował moją pisaninę, z obrzydzeniem odłożył kartkę na stół i powiedział: – To się do niczego nie nadaje.

– Dlaczego? – zmartwiłam się.

– Bo to fuszerka, Czernowa. Jeśli nadal zamierzasz tak traktować pracę, to ja umyвам ręce.

– Dlaczego zaraz fuszerka, niech pan wyjaśni po ludzku! – zezłościłam się.

Igor Georgiewicz wyjaśnił. Wyjaśnił tak, że pod koniec jego monologu byłam czerwona jak burak. Nie, nie powiedział nawet jednego obelżywego słowa, nie obraził mnie osobiście w żaden sposób, ale zrobił taką wiwisekcję mego nieszczęsnego planu, że sama przyznałam – rzeczywiście, partactwo.

– Idę o zakład, że nawet nie pomyślałaś o wewnętrznej strukturze pracy
– zakończył przemówienie Dawletiarow. – Kawałek wziąć stąd, kawałek stamtąd, jakoś skleić do kupy i gotowe, nada się. Właśnie to, Czernowa, nazywam partaniną. Nie rób takiej obrażonej miny, wszyscy jesteście teraz tacy sami.

– To co mam zrobić? – zapytałam ponuro.

– Siadaj – wskazał fotel stojący obok stoliczka – i przepisuj. Od razu teraz. A ja w tym czasie pójdę zapalić. Myślę, że kwadrans powinien ci wystarczyć.

Klnąc na czym świat stoi, marząc, by Dawletiarow wraz z cholernym dyplomem zapadł się w siódmy krąg piekieł, siadłam do przepisywania planu, nanosząc poprawki, które, jak mi się wydawało, miał na myśli Dawletiarow. A gdy wrócił, rozniósł nowy wariant w proch i pył.

– Jeśli liczysz na to, że będę za ciebie pracował, Czernowa, to się grubo mylisz – oznajmił w końcu. – Nie mogę, niestety, włożyć ci do czaszki swojego mózgu. Jedyne co mogę, to spróbować nauczyć cię używać głowy, a nie bezmyślnie przestawiać kawałki tekstu. Rozumiesz, Czernowa?

– Rozumiem... – burknęłam, biorąc czystą kartkę.

Dawletiarow torturował mnie w ten sposób przez bite trzy godziny, w ciągu których zdążył kilka razy doprowadzić mnie na skraj hysterii, potem do kompletnego otępienia, gdy chciałam tylko jednego – żeby dał mi spokój. Ostatecznie wpadłam w cichą furję. Widocznie złość okazała się kreatywnym uczuciem, bo w końcu udało mi się mimo wszystko wydusić z umęczonego mózgu coś, co niemalże zadowoliło Dawletiarowa.

– No, to jest już do czegoś podobne – osądził łaskawie, przebiegając wzrokiem moje bazgroły. – Nie sap i nie patrz na mnie bykiem, Czernowa, nie jesteś w przedszkolu.

Igor Georgiewicz zamienił miejscami dwa punkty, dopisał komentarz do trzeciego i oddał mi kartkę ze słowami: – Na dzisiaj starczy. Następnym razem opisz mi szczegółowo, co zamierzasz zawrzeć w każdym z rozdziałów i z jakich źródeł skorzystasz. Może być pisemnie albo ustnie; w twoim wykonaniu zajmie to co najmniej dwa dni. Zadanie jest jasne, Czernowa?

– Tak.

Nie miałam siły, nawet żeby się odgryźć, ubrałam się w milczeniu, pozbierałam swoje papiery i ruszyłam do wyjścia. Potem coś sobie przypomniałam.

– Igorze Georgiewicz, chciałam o coś zapytać... w zasadzie...

– Jak chciałaś, to pytaj.

– Chodzi o pański przekład – wypaliłam. – Czy mogę w tekście powoływać się na pana, jako na tłumacza?

– Tylko spróbuj, Czernowa. – Igor Georgiewicz uśmiechnął się tak, że miałam ochotę zmykać, gdzie pieprz rośnie.

– To co mam w takim razie napisać? – zdziwiłam się.

– Pisz „tłumaczenie Czernowej Nainy...”, jak ci tam po ojcu? Praca z tekstem źródłowym to duży plus.

– Ale to nieprawda! – oburzyłam się. – To... nieuczciwe!

– A przepisywanie rozdziałów z podręcznika jest uczciwe, Czernowa? Jeśli męczy cię problem praw autorskich, to zapomnij o nim. Przekład zrobiłem dla siebie, z nudów i nigdy nie zamierzałem go publikować.

– A kiedy to panu się nudziło? – mruknęłam ironicznie.

– Po pierwszym projekcie „Demiurg” – odpowiedział krótko Dawletiarow. Zakrztusiłam się i zapomniałam, co chciałam powiedzieć. – Musiałem się czymś zająć, żeby nie zwariować, więc możesz się cieszyć, Czernowa, że postanowiłem przetłumaczyć akurat tę książkę.

– Ale mimo wszystko... – mamrotałam uparcie. – Nie mogę tak...

– Jako rekompensatę możesz obiecać, że opanujesz język tak, żebyś mogła bez trudu czytać teksty źródłowe – uprzejmie zaproponował Dawletiarow.

– Dobrze – powiedziałam, chociaż wiedziałam, w co się pakuję. – Niech będzie. Nauczę się.

– Wiesz, że sprawdzę, Czernowa – wycedził Dawletiarow złowieszczo.
– Szykuj się.

– Przygotuję się – burknęłam i ruszyłam w stronę drzwi. – Do widzenia.

– Nie jesteś całkiem beznadziejna, Czernowa – powiedział Dawletiarow do moich pleców. – Może jeszcze będą z ciebie ludzie.

„Dziękuję za komplement”, pomyślałam ponuro i wyszłam. Na dworze było już prawie ciemno, szłam ścieżką przez las, pociągałam nosem i użalałam się nad sobą. Dlaczego nie mogłam pójść utartym szlakiem? No, nie błysnęłabym, ale i nie męczyłabym się jak potępieniec! Po kiego czorta wciągnęłam w to Dawletiarowa? Wyciśnie mnie jak cytrynę... Na zajęciach szalał tak, że co bardziej nerwowych uczniów, takich jak Swietłana, trzeba było poić relanium. Aż strach pomyśleć, jak sobie poużywa na mnie jednej!

Zgarnęłam z rzęs zamarznięte śnieżynki. Ale jak się rzekło A, to trzeba powiedzieć B...

Z drugiej zaś strony dzisiaj Igor Georgiewicz wypowiedział więcej słów, niż w ciągu ostatnich kilku miesięcy razem wziętych. I... nie wiem jak to określić... zapalił się do pracy, czy co? Ostatnio miał taki spokojny, apatyczny wyraz oczu, a dzisiaj wydawało mi się, że zapłonął w nich niebezpieczny płomień.

Uśmiechnęłam się mimowolnie. Niezłą terapię wymyśliłam... Pomoc w pisaniu pracy dyplomowej! Od takiej pomocy powiesić się można. Dobrze, zobaczymy, co będzie dalej.



A dalej wszystko potoczyło się mniej więcej tak: przywiozłam rozbudowany plan, Dawletiarow, jak to on, w ciągu dwóch minut pokreślił wszystko i oznajmił, że zbyt pośpiesznie wyciągnął wniosek o moich możliwościach, jeśli udało mi się zepsuć nawet całkiem niezły plan. Naburmuszyłam się i zażądałam wyjaśnień, co jest nie tak. Dawletiarow wyjaśnił w charakterystyczny dla niego, zabójczo uprzejmy sposób, a ja pozwoliłam sobie nie zgodzić się z niektórymi jego uwagami. Przypomniał, że obiecałam nie dyskutować; a ja z kolei, że uzasadnione obiekcje nie są zabronione. Dawletiarow oświadczył, że jak dotąd nie usłyszał nawet jednego argumentu, więc spróbowałam użyć kilku. Igor Georgiewicz ni z tego, ni z owego rozweselił się i powiedział, że moje zdolności do logicznego myślenia zawsze go roztkliwiały. Obraziłam się, na co on poradził mi pojechać obrażać się u mamy. I tak, od słowa do słowa, Dawletiarow nawrzeszczał na mnie – mimo wszystko udało mi się wyprowadzić go z równowagi. Zresztą tego dnia ja także byłam w nie najlepszym nastroju, więc pozwoliłam sobie nawet podnieść głos. Tak go to zdziwiło, że powstrzymał się od natychmiastowego morderstwa. W rezultacie znowu nakazał mi usiąść i przepisać to, co nabazgrałam w domu. Oczywiście musiałam przepisywać nie raz i nie dwa razy, w pewnej chwili znowu się pokłóciliśmy, ale w końcu Dawletiarow przytłoczył mnie autorytetem i byłam zmuszona się podporządkować.

Strach wspominać to, co się działo, gdy zaczęłam przywozić mu brudnopisy kolejnych rozdziałów. Gdyby Dawletiarow za każdym razem przezornie nie zamykał drzwi, do pokoju bez przerwy wpadałby wystraszony personel medyczny, w przeświadczeniu, że zastanie

poćwiartowane zwłoki pośrodku dywanika tkanego we wzorek dębowych listków.

Nie wiem, czy to z powodu ciągłego stresu mózg zaczął mi pracować jak należy, czy też Dawletiarowowi jednak udało się nauczyć mnie myśleć głową, a nie „czym innym”, jak cały czas powtarzał, w każdym razie z czasem wszystko zaczęło się jakoś układać. Kilka razy doczekałam się nawet wątpliwego komplementu, że być może „twój mózg nie zanikł jeszcze całkowicie, więc jeśli będziesz go używać, być może coś wymyślisz”.

Dobrze chociaż, że o pracy dyplomowej pomyślałam zawczasu, podczas gdy większość kolegów z roku nie wybrała nawet jeszcze tematu, choć wiosna zbliżała się wielkimi krokami. Brudnopis – i to z tyłoma poprawkami! – części teoretycznej był gotowy. Co prawda Pał Iwanycz na razie o tym nie wiedział, bo udawałam, że lenię się tak samo, jak pozostali. Ale wszystko to nic, schody zaczęły się, gdy dotarłam do części praktycznej. Mało tego, że okropne zadania z dematerializacji, które ja rozwiązywałam z ogromnym trudem, a Dawletiarow robił w pamięci, to jeszcze żądał ode mnie oryginalnego podejścia. Jakim cudem mogłam mieć oryginalne podejście, jeśli ledwie dawałam radę standardową metodą! Na zajęciach omawiano tylko podstawy, pracowaliśmy jedynie z niewielkimi przedmiotami, a duże wymagają zupełnie innej postawy i rządzą się innymi prawami. Musiałam wykuć w krótkim czasie prawie cały roczny kurs dematerializacji. Nie najlepiej mi szło, mój niewytrenowany mózg, wyrażając się kolokwialnie, całkiem się zlasował, a formuły śniły mi się po nocach w postaci zębatych koszmarów.

Przekonawszy się o mej całkowitej niemocy, Dawletiarow spróbował sam wyjaśnić mi to, do czego nie mogłam dojść samodzielnie. Ostro mnie tresował – to słabo powiedziane. Przekonałam się o jednym: Igor

Georgiewicz umiał świetnie tłumaczyć, dosłownie „jak chłop krowie na miedzy”, tylko po prostu nigdy się do tego nie zniżał, uważając, że jest to uwłaczające jego godności. Co prawda, gdy raz dla mnie zrobił wyjątek i zniżył się, podrapałam się po głowie i pomyślałam: „Jak mogłam wcześniej tego nie rozumieć?!”, a potem wszystko poszło znacznie lepiej. Sęk w tym, że zagłębiłam się w szczegółach, nie rozumiejąc podstaw. I chociaż nadal nie byłam w stanie rozwiązywać zadań w pamięci, to pisemnie dawałam sobie radę całkiem nieźle. Dawletiarow zrezygnował z prób wyciśnięcia ze mnie oryginalnego podejścia, machnął ręką i powiedział, że na razie może być jak jest, a z czasem może coś się poprawi i nadal dręczył mnie zadaniami.

Spędzając czas wolny w tak fascynujący sposób, nie zauważyłam nadejścia wiosny. Sama nie wiem, jak udało mi się jeszcze po drodze zdawać zaliczenia. Większość przerobionego materiału wylatywała mi natychmiast z głowy, za co obrywało mi się wiecznie od Dawletiarowa, który utyskiwał, że teraz studenci kują tylko po to, żeby zdać zaliczenie i natychmiast wszystko zapominają. Sam miał fenomenalną pamięć, a ja mogłam tylko się czerwienić, gdy nieznoszącym sprzeciwu tonem oznajmiał coś w rodzaju: „To zagadnienie wykładali wam na drugim semestrze czwartego roku, bądź tak miła i odśwież wiedzę na następne spotkanie”.

Z resztą studentów nie utrzymywałam prawie żadnych kontaktów. Pod koniec piątego roku wytworzyło się między nimi coś w rodzaju przyjaźni i od czasu do czasu spotykali się u Małgorzaty, która mieszkała sama w wynajętym mieszkaniu, jak się przypadkiem dowiedziałam. Mnie nie zapraszano, a ja nie nalegałam. Na uczelni nasze kontakty ograniczały się do próśb o pożyczenie notatek albo ściągania na zaliczeniu. Nie odmawiałam nikomu, więc tolerowano mnie uprzejmie, ale nic ponadto.

Zresztą do szczerych rozmów miałam Katarzynę, więc szczególnie nie cierpiałam.

Z drugiej strony nawet Katarzynie nie mówiłam o wszystkim. W żaden sposób nie mogłam znaleźć pretekstu, aby opowiedzieć jej o dziwnej sytuacji, w jakiej się znalazłam, a zacząć mówić bez powodu nie potrafiłam. No, a poza tym, co niby powiedzieć? Jej reakcję mogłam bez trudu przewidzieć, więc po co otwierać usta? Do tego ostatnimi czasy Katarzyny była zafascynowana swoją kolejną miłością (miała ich zwykle po pięć w ciągu roku), więc od dawna się nie widziałyśmy.



W któryś kwietniowy weekend rodzice wyciągnęli mnie na daczę. „Daczą” odrobinę na wyrost nazywamy działkę o standardowej powierzchni sześciuset metrów kwadratowych i malutki letni domek, dobrze chociaż, że z piecem. Tak w ogóle lubię daczę, ale wolę tam jeździć, żeby pojeść truskawek, malin i innych darów natury albo poopalać się, a nie grzebać w ziemi, czego szczerze nienawidzę. Niestety, rodzice w żaden sposób nie mogą tego zrozumieć. Co więcej, od kilku lat starają się wykorzystać moje zdolności ku pożytkowi społeczeństwa. Nie zliczę, ile razy tłumaczyłam im, że praca z materią ożywioną idzie mi kiepsko i w żaden sposób nie potrafię przyspieszyć wzrostu nowalijek ani zmusić truskawek do obfitego kwitnienia, a pod względem magicznym nadaję się najwyżej do sprzątania śmieci – grochem o ścianę. Tym razem także zarzucali mi lenistwo i niechęć do wypełniania córczynyh obowiązków. Nietrudno przewidzieć, że obraziłam się, niewiele myśląc, zabrałam plecak i ruszyłam z powrotem do miasta o wiele wcześniej niż zwykle. Do kolejki trzeba było iść spory kawałek drogi, najpierw wyboistą gruntówką wiodącą do naszego towarzystwa działkowego, potem przez smętną wioskę

przytuloną do skraju dużej magistrali, a potem znowu przez las. Trasę znałam świetnie, chodziłam nią niezliczoną ilość razy, więc nie rozglądałam się na boki (i tak nie było nic ciekawego do oglądania). Patrzyłam pod nogi, żeby nie ugrzęznąć w błocie i rozmyślałam o wszystkim po trochu.

Sęka w tym, że gdy się nad czymś zamyślę, nie dostrzegam, co się dokoła mnie dzieje. A to czasem jest niezbyt bezpieczne – najwyższa pora, żebym to zapamiętała. Dawno już skończyła się gruntówka i szłam wzdłuż autostrady, starając się nie przegapić ścieżki prowadzącej na stację, gdy w końcu uświadomiłam sobie, że od jakiegoś czasu podąża za mną samochód ubabrany błotem aż po dach. Pełnie sobie tuż przy krawężniku, chociaż takie poobijane, zagraniczne auta zazwyczaj pędzą jak szalone z piskiem opon, wyciem silnika i stukiem odpadających w biegu części. Kierowca chyba zauważył, że zwróciłam uwagę na „towarzystwo”, bo pojazd odrobinę przyśpieszył i zatrzymał się obok mnie. Szyba po stronie pasażera opuściła się, na zewnątrz wyjrzała wesoła, rumiana morda, na oko *made in* Kazachstan.

– Ej, ślicznotko, chodź, podwieziemy! – zaproponowała morda.

– Dziękuję, nie trzeba, mam blisko – odpowiedziałam uprzejmie, czując, że coś tu nie pasuje. Nawet rodzona matka nigdy nie mówiła o mnie, że jestem śliczna. Oczywiście zapadał zmrok, no i facet był lekko nabuzowany. A może po prostu do wszystkich kobiet tak się zwracał...?

– Nie wygłupiaj się, szkoda nóg! – Otworzył drzwi, a jednocześnie usłyszałam jak pyknął zamek tylnych. – I to jakich nóg!

Ilu ich tam jest? Przez przyciemnione szyby nie dało się policzyć pasażerów. Jak dla mnie, nawet dwóch było za dużo. „Ale wpadłam!”, przemknęła mi przez głowę myśl, gdy chłopak gramolił się już na zewnątrz, a potem nie miałam czasu na rozmyślanie.

Nigdy nie byłam szczególnie sprawna fizycznie, a jednak bez trudu przeskoczyłam przez sięgający mi do pasa płotek. Gdyby zobaczyła to wiecznie strofująca mnie za lenistwo wuefistka, natychmiast postawiłaby mi „celująco” na semestr. Odegnałam tę durną myśl i pognałam przez krzaki w stronę lasu, ciesząc się, że mam na sobie adidas, a nie pantofle na obcasie.

Pomyślałam, że podpici młodzieńcy w wieczornej szarówce raczej nie rzucą się za mną w pogoń, pozostawiając samochód na pastwę losu, postanowiłam ukryć się jak najgłębiej w lesie. Nie mam pojęcia, jakim cudem nie połamalam nóg, przełaząc przez powalone drzewa i co chwila wpadając w jakieś dziury. Narobiłam przy tym hałasu jak stado bizonów, więc nie słyszałam nic poza chrzęstem gałązek łamiących się pod stopami.

Gdy w końcu uznałam, że dotarłam wystarczająco daleko, zatrzymałam się i zaczęłam nasłuchiwać. W lesie było cicho, tylko z oddali dobiegł stłumiony hałas kolejki podmiejskiej. Nagle dostałam napadu histerycznego śmiechu. Żeby się tak wystraszyć! Na śmierć zapomniałam, że jestem niemalże dyplomowanym magiem i mogłabym zamienić ten przeklęty samochód w puszkę po konserwach! Albo przynajmniej zrobić się niezauważalna – tak jak wtedy, w bibliotece. Ale obciach...

– To ja! – rozległo się gdzieś całkiem blisko, natychmiast przestałam chichotać. Poznałam głos rumianego chłopaka od „ślicznotki”, ale teraz wcale nie robił wrażenia podpitego. Głos miał całkiem trzeźwy i przepojony złością. – Tak... Nie ona! Przecież mówię: to nie ona!

Nadstawiłam uszu. Ciekawe, o co chodzi?

– Jaka niby fotka? – kontynuował głos, najwyraźniej chłopak rozmawiał przez komórkę. – Zwykła dziewczucha, co druga jest do niej podobna! No, pomyliłem się... Mówiłeś, że może się bronić, to przygotowaliśmy paralizator... tak... tak... – Na moment ucichł, pewnie słuchając odpowiedzi

rozmówcy. – Zrobiliśmy tak, jak było ustalone, a ona wrzasnęła jakby jej ktoś gardło podrzywał i pognała do lasu... Sam ją sobie ganiaj po krzakach! Błota tu od zaj...! Tak... zrozumiałem. Jedziemy.

Rozległy się kroki, przekleństwa, a potem wszystko ucichło.

Nie żałując dzinsów, przysiadłam na zwałonym pniu, nadal lekko wstrząśnięta. Wygląda na to, że czatowali właśnie na mnie. Ale komu i do czego mogłam być potrzebna? Chyba tchórzostwo oddało mi przysługę: gdybym nie rzuciła się do lasu – skądinąd wcale nie krzyczałam! – nie wiadomo, co by się wydarzyło. Załóżmy, że użyłabym magii w samoobronie i nawet całkiem słabej. A kto wie, może w samochodzie też był mag?! Bardzo prawdopodobne, że gdybym się zdradziła, dopiero bym oberwała...!

Po namyśle postanowiłam wrócić na główną drogę. Raczej nie czekają tam na mnie, zresztą teraz będę ostrożniejsza. Nad tym, kto to był i czego ode mnie chciał, zastanowię się w domu, bo inaczej znowu będę bujać w obłokach i stracę czujność.

Wróciłam na pobocze – tym razem przez płot przelazłam, ryzykując rozdarcie spodni i klnąc nieumiejętnie. Krytycznie obejrzałam swoją smętną postać. Dzinsy miałam mokre do kolan, a brudne jak święta ziemia! Adidasy oblepiały mi kilogramy mokrej gliny. Rękaw kurtki miałam rozdarty, pewnie zaczepiłam o jakiś wystający sęk. Na szczęście mnie samej nic się nie stało, a resztę można było naprawić.

Oczyściłam adidasy kawałkiem patyka, z grubsza wysuszyłam dzinsy – bałam się, że przesadzę i je po prostu spalę, a w końcu lepsze spodnie mokre i brudne niż zupełnie żadne – potem ostrożnie ruszyłam dalej. Zmieniłam zamiar – nie pójdę do kolejki, lepiej iść do przystanku autobusowego znajdującego się trochę dalej, przy drodze. Dalekobieżne zawsze biorą pasażerów, jeśli tylko są wolne miejsca, więc jakoś dotrę do

miasta. Pewnie nawet będzie szybciej niż kolejką, do której został mi jeszcze kawał drogi.

Jak postanowiłam, tak zrobiłam. Prawie pusty autobus otworzył przede mną drzwi, dałam kierowcy stówę, odebrałam resztę i usiadłam na samym końcu wozu. W autobusie było ciepło, momentalnie ogarnęła mnie senność, ale nie pozwoliłam sobie na utratę czujności.

Napastnik powiedział, że wyglądam zbyt zwyczajnie, i bez trudu można mnie pomylić z kimś innym. Z jednej strony to dobrze, raz mi się udało. Z drugiej strony, następnym razem się nie pomylą. Mają moje zdjęcie. Skądś wiedzieli, że trzeba na mnie czekać przy tej drodze. Skąd? Kto mógł wiedzieć, że pojedę na daczę i będę wracać w niedzielę wieczorem? Pytań było znacznie więcej niż odpowiedzi! Dobrze byłoby się kogoś poradzić, ale kogo? Komu mogę zaufać? Komu mogło zależeć, by mnie śledzono, oto pytanie!

Nie miałam kogo poprosić o radę. Rodzice przestraszą się śmiertelnie, a kierownictwo uniwersytetu najpewniej puści moje skargi mimo uszu. Też coś, zaczepili ją faceci na drodze, każdemu się może zdarzyć! Ech, od nikogo nie można oczekiwać wsparcia...

Sądząc po wyglądzie samochodu i zachowaniu moich prześladowców, były to jakieś drobne płotki z przestępczego półświatka. Mniej istotne było to, czego ode mnie chcieli, najważniejsze, że chyba nie odważą się wejść do akademika. A więc w tym tygodniu nie wytknę nosa poza teren uniwersytetu. Hmm... ale jeśli znają moje przyzwyczajenia, to z pewnością wiedzą, że w soboty jeżdżę do Dąbek i mogą się tam na mnie zacząić. Droga wiedzie przez las, mogłabym krzyczeć do woli – nikt nie usłyszy. Ale w Dąbkach muszę być obowiązkowo, chociażby dlatego, że jeśli ktokolwiek może dać mi rozsądną radę, to tylko Dawletiarow. A więc jechać trzeba w ciągu tygodnia, najlepiej wcześniej rano, a do tego warto

zmienić wygląd. Aż się zaśmiałam w duchu: do czego to doszło, Czernowa, zachciało ci się bawić w szpiega! Jeśli polują na ciebie poważni ludzie, żadna maskarada nie pomoże! Chciałam jednak uspokoić sama siebie, więc w poniedziałek przystąpiłam do dzieła. Najprościej byłoby posłużyć się iluzją, ale podtrzymywanie jej byłoby bardzo męczące, a wystarczy chwila nieuwagi i wszystko się posypie.

Chociaż potrafię się malować, zazwyczaj tego nie robię, bo szkoda mi czasu. Okazało się, że nawet delikatny makijaż nieźle zmienia wygląd, szczególnie jeśli intensywnie pomaluje się rzęsy i usta! Do tego ciemne okulary pożyczone od sąsiadki z akademika... Dobrze, ale wciąż za mało. Musiałam jeszcze się przebrać. Włożyłam walające się dotąd w walizce „przyzwoite” spodnie zamiast wytartych džinsów i kolorowy top. Do tego przydałyby się pantofle na obcasie, ale postanowiłam nie ryzykować – jeśli trzeba będzie biec, daleko nie ucieknę – w szpilkach ledwie dam radę chodzić. Musiałam odżałować i kupić kolorowe adidasy.

Zauważywszy moje próby zmiany *image'u*, jedna z dziewcząt poradziła mi, żebym zrobiła coś z włosami. Może sądziła, że postanowiłam w końcu znaleźć sobie chłopaka.

Uznałam, że to niegłupi pomysł i wstąpiłam do najbliższego fryzjera. Zawsze nosiłam włosy tuż za ramiona, wystarczy zebrać je w „koński ogon” i spokój, żadnych problemów, trzeba tylko wyrównać końce raz na kilka miesięcy. Po zakończeniu całej procedury obejrzałam się krytycznie w lustrze i doszłam do wniosku, że teraz rodzona matka mnie nie pozna. Kokieteryjny „paź” odmienił mnie nie do poznania, tylko grzywka włąziła mi w oczy. Fryzjerka przekonywała, że jest mi w tej fryzurze niezwykle do twarzy, a i sąsiadki z akademika pochwały mój nowy wygląd. Prawdę mówiąc, było mi wszystko jedno, do twarzy czy nie do twarzy, najważniejsze, że trudno było mnie teraz poznać. W przyplýwie natchnienia

i skąpstwa, zamiast drogiej farby do włosów, kupiłam w kiosku torebkę irańskiej chny i pomalowałam nią włosy, ale trochę przesadziłam. W efekcie, włosy zamiast nabrać koloru jasnokasztanowego, zrobiły się ognistorude, ale tak było nawet lepiej.

W środę, z samego rana, gdy tylko zaczęło działać metro, ruszyłam na dworzec autobusowy. O tak wczesnej porze, w dzień powszedni, autobus był prawie pusty. Rozglądałam się na boki, sprawdzając, czy nikt mnie nie śledzi. Powoli rosła we mnie złość, bo to już przypominało z lekka paranoję. Jeśli ktoś spróbuje na mnie napaść, będę się bronić i będzie, co ma być. Nie mogę przecież trząść się na widok każdego chłopaka, który zdecyduje się do mnie odezwać. A było ich całkiem sporo mimo wczesnej pory – już w metrze przyczepiło się dwóch, a w autobusie dosiadł się kolejny i przez całą drogę starał się nawiązać ze mną rozmowę. Co prawda dosyć chamsko go spławiłam, nie miałam głowy do takich rzeczy, chociaż śmieszyła mnie nagle zmiana stosunku przedstawicieli płci brzydszej. Albo w ogóle mnie nie zauważali, albo... Wystarczyło ufarbować włosy i założyć kokietyjne obcisłe rybaczki.

Spodnie te zresztą przeklełam ze sto razy, idąc leśną dróżką do Dąbek – na moje gołe łydki rzuciły się stada komarów, a ja nie wzięłam żadnego środka przeciwko krwiopijcom. Będę się teraz drapać jak zapchlony kundel...

Ale to wszystko nic, w porównaniu z tym, co czekało mnie w Dąbkach. Daję słowo, był to pierwszy i ostatni raz, gdy udało mi się zadziwić Dawletiarowa tak, że aż postradał błogosławiony dar mowy. Prawdę mówiąc, poznał mnie nie od razu, co dobrze świadczyło o skuteczności kamuflażu.

– Co to ma znaczyć, Czernowa? – zapytał, gdy już odzyskał głos. Potem nieoczekiwanie dodał: – Nie mówię, że źle wyglądasz, ale co cię tak nagle

naszło?

– Wiosna, Igorze Georgiewiczu – wzruszyłam ramionami. – Mam ochotę na zmiany.

– Chętnie bym uwierzył, gdybym cię nie znał – odburknął. – Co ci się przytrafiło tym razem, Czernowa? Przecież pojawiłaś się tu w środku tygodnia nie dlatego, że tak bardzo pragnęłaś mnie ujrzeć?

Co mogłam odpowiedzieć? Chyba tylko prawdę: – Naprawdę, właśnie dlatego. – Przez kilka chwil napawałam się niepowtarzalnym wyrazem twarzy Dawletiarowa i dodałam: – Wydaje mi się, że znowu potrzebuję pańskiej pomocy, Igorze Georgiewiczu.

– Tylko nie mów, że wyrzucono cię z uczelni za nieodpowiedni wygląd zewnętrzny i teraz mam się za tobą wstawić – uśmiechnął się. – W takim wypadku trafiłaś pod zły adres. Opowiadaj.

Opowiedziałam, patrząc, jak mina Dawletiarowa powoli zmienia się z kpiącej – „A jakież ty możesz mieć problemy?” – w poważną, a nawet ponurą.

– Jesteś mistrzynią świata w pakowaniu się w kłopoty, Czernowa – westchnął ciężko, gdy już wysłuchał do końca moją opowieść. – A czego chcesz ode mnie?

– Nie wiem... – Dopiero teraz zrozumiałam, że Dawletiarow raczej nie będzie mi w stanie pomóc, choćby nawet bardzo chciał. – Myślałam, że coś mi pan poradzi...

– Do tej pory jakoś niespecjalnie słuchałaś moich rad – powiedział Dawletiarow jadowitym tonem. – Siadaj tu i bądź cicho. Masz, poczytaj książkę.

Mogłam co prawda wymyślić jakąś ripostę, ale ugryzłam się w język.

Książka była po francusku, a w tym języku umiałam tylko policzyć do dziesięciu i powiedzieć „dzień dobry”. Albo Dawletiarow o tym nie

wiedział albo specjalnie chciał mi dokuczyć. Na szczęście książka była stara, pięknie ilustrowana, tak że od biedy miałam się czym zająć. Szkoda tylko, że ilustracji było mało, zdążyłam policzyć wszystkie kamienie w koliai jakiejś odzianej w krynolinę piękności i parę innych drobnych elementów, a Dawletiarow ciągle milczał. Nie wyglądał wcale na skoncentrowanego, wręcz przeciwnie, był zrelaksowany, jakby wcale nie szukał rozwiązania problemu, a liczył z nudów wrony za oknem.

– A więc tak, Czernowa – rzekł w końcu. – Zupełnie nie rozumiem, czego mogli chcieć od ciebie jacyś bandyci, jak utrzymujesz.

– A może wszystko sobie wymyśliłam? – powiedziałam zjadliwie. Mówiąc szczerze, po Dawletiarowie oczekiwałam jakiejś zgrabnej teorii. – Albo mi się przyśniło?

– Bądź tak miła i nie przerywaj mi. – Dawletiarow sposepniał. – Nie mogę ci w żaden sposób pomóc, przynajmniej dopóki nie zorientuję się w sytuacji. Dlatego, gdy na nich się natkniesz następnym razem – a jeśli szukają właśnie ciebie, spotkasz się z nimi niechybnie – wysłuchaj najpierw, co mają ci do powiedzenia.

Chrząknęłam. Będą ze mną rozmawiać, akurat...

– A jeśli nie zechcą rozmawiać, tylko od razu przystąpią do działania – kontynuował Dawletiarow – myślę, że nie od rzeczy będzie pokazać im, że jesteś gotowa dać kontrę. Oczywiście w granicach dopuszczalnej samoobrony. Myślę, Czernowa, że jesteś w stanie zdematerializować samochód?

– Pewnie tak – wzruszyłam ramionami. – Nigdy nie próbowałam.

– To spróbuj – pokiwał głową. – Na dzisiaj starczy już o tym. Mam nadzieję, że nie zjawiłaś się z pustymi rękami? O ile pamiętam, zamierzałaś dokończyć rozdział?

Jednym słowem, do miasta wróciłam zupełnie nieusatysfakcjonowana. Z drugiej strony, czego mogłam oczekiwać? Ze ktoś skarci niegrzecznych chłopców, którzy ośmielili się obrazić maleńką, niemądrą Czernową? A jakże... Chętni już stoją w kolejce!

Dawletiarow dał mi niegłupią radę. Na więcej nie mogłam liczyć, a mówiąc szczerze, chyba nie miałam prawa. Nawet jeśli bandytów nie wspiera mag, to czy sama sobie poradzę? A może ktoś od nas z roku...? No też coś, na serio myślę, że z mojego powodu ktoś komuś skuje dziób? Niby z jakiej racji?! Po prostu śmieszne! Musisz sobie sama dać radę, dziewczyno.

Najgorsze było to, że nie miałam bladego pojęcia, o co właściwie chodziło. Rozumiem, gdybym była kochanką jakiegoś mafijnego bossa, albo była zamieszana w przestępstwo, ale pędziłam nadzwyczaj samotniczy żywot. Nawet zwykłe wyjście do kina było wydarzeniem! Czego więc chcieli? Nie, jeśli jeszcze raz ich spotkam, nie będę uciekać, tylko najpierw posłucham, o co im biega.

Tydzień minął spokojnie. Kilka razy odważyłam się nawet wyjść poza teren PUM i śmiało spacerowałam po ulicach, ale nikt do mnie nie podszedł. Na pewno nie chcieli zwracać uwagi przechodniów w mieście.

„To znaczy, że będą na mnie polować w sobotę”, pomyślałam rozsądnie i postanowiłam na sobotnią wizytę w Dąbkach ubrać się praktycznie, na wypadek, gdybym znowu musiała biegać po krzakach. Nastąpiła gorąca wiosna, w dzinsach było, delikatnie mówiąc, nieco ciepło, ale za to nie pokaleczę nóg o sęki.

Pełna takich optymistycznych myśli szłam skrajem drogi – po niedawnym deszczu na środku były kałuże o głębokości standardowego stawu rybnego. Było cicho, jak zwykle w lesie, tylko w oddali szumiała magistrala. Nagle wydało mi się, że równomierny szum zaczął się zbliżać.

Odwróciłam się w stronę, skąd dobiegał hałas: miałam rację, po wybojach niezgrabnie toczył się zachlapany błotem samochód, wyglądający jak rodzony brat tego, który wystraszył mnie kilka tygodni temu. Czyli maskarada nikogo nie oszukała! „Na próżno zniszczyłam włosy...”, przez głowę przemknęła mi absurdalna w tej sytuacji myśl.

Co teraz? Uciekać do lasu? Jest dzień, jasno, daleko nie ucieknę, szybko mnie dopadną, tym bardziej że tutaj nie ma nawet porządných krzaków, gdzie można się ukryć. Zresztą, ile można uciekać, postanowiłam przecież, że nadszedł czas na rozmowę z tymi typami! Zatrzymałam się więc i czekałam na prześladowców. O dziwo, nie czułam strachu – wystarczyło pomyśleć, że mimo wszystko jestem magiem (nawet jeśli nieco niedouczonym) i to z bardzo niebezpieczną specjalizacją.

Samochód zatrzymał się, najwyraźniej przegrawszy z kolejną kałużą. Z drugiej strony do sanatorium prowadzi dobra droga, odwiedzający jeżdżą tamtędy, a ta nadaje się tylko dla pieszych, takich jak ja, i dla ciężarówek. No i jest krótsza.

Przednie drzwi otwarły się jednocześnie, pojawiło się dwóch krzepkich młodzieńców. Jednego natychmiast poznałam, był to ten sam czarnowłósy, rumiany typ, który zagadywał mnie poprzednio. Drugi, z okrągłym pyskiem i szerokimi barami, wyglądał jak bliźniak pierwszego, tyle że blondyn.

– Czernowa? – zapytał brunet. – Naina?

– Bo co? – warknęłam ze złością. Wiedzą, jak się nazywam, pewnie wiedzą też, gdzie mieszkam. Swoją drogą, ciekawe skąd? Na uczelni nie tak łatwo się czegoś takiego dowiedzieć. Chociaż mogli wypytać kogoś z akademika, nic prostszego. – Czego chcecie?

– Porozmawiać! – Brunet uśmiechnął się radośnie. – Cicho, spokojnie, bez nerwów, wsiadaj do samochodu, pojedziemy. A uciekać przed nami nie warto, to może tylko zaszkodzić...

– Spadaj na drzewo – odpowiedziałam uprzejmie, chociaż w środku aż się cała gotowałam ze złości. – I mi tu nie groź...!

– Słuchaj, mówię poważnie! – zniecierpliwiał się. – Wsiadaj po dobroci!

– Trzeba było wtedy zacząć uprzejmie – zeźliłam się ostatecznie – a nie próbować mnie straszyć! A teraz odczepcie się ode mnie!

– Nie podskakuj, musimy porozmawiać! – wtrącił się blondyn.

– Mówcie tutaj – zażądałam. – Słucham. Kim jesteście, czego chcecie? Dlaczego przyczepiliście się akurat do mnie?

– Na miejscu ci wyjaśnię – odpowiedział blondyn. – Ja mam proste zadanie: przywieźć i odwieźć. Ważni ludzie chcą z tobą porozmawiać.

– To niech sami przyjadą, jeśli mają ochotę i rozmawiają normalnie – parsknęłam, dochodząc do wniosku, że dyskutuję z płótkami, które same niewiele wiedzą. – Ważni...

– Ostatni raz proszę po dobroci – powiedział czarny i wsunął rękę do kieszeni.

Nie wiem, czy chciał mnie tylko nastraszyć, czy rzeczywiście miał broń, ale rozwścieczył mnie ostatecznie. Strzelać do maga nie ma sensu, kul się nie boję. Ale żeby jakieś głupki mi groziły?! Kto im dał prawo urządzać na mnie polowanie?!

– A ja ostatni raz mówię po dobroci: spadajcie stąd – wycedziłam.

– Dziewczynka nie rozumie... – pokręcił głową blondyn. – Sania, do roboty.

Obaj jednocześnie zrobili krok do przodu i wtedy moja cierpliwość wyczerpała się ostatecznie.

Dawno już nie pracowałam pełną mocą, po prostu bałam się. Zdarzenie na poligonie nauczyło mnie z dużą ostrożnością wykorzystywać swe możliwości, ale dzisiaj nie wytrzymałam. Do tego miałam ogromną ochotę nastraszyć tych chłoptasiów.

Samochód to po prostu kupa metalu. No, jest tam jeszcze plastik, być może skóra, szkło, ale to drobiazgi. A dematerializacja metalu jest najprostszą rzeczą pod słońcem, sama byłam zdziwiona, jak łatwo mi się udało: tam, gdzie stał poobijany samochód i warczał silnikiem – raptem pach! nie ma go, nawet ślad nie został.

Brunet najwyraźniej coś poczuł, bo szybko odwrócił się... i skamieniał. W ślad za nim odwrócił się blondyn. Potem obaj obejrżeli się na mnie.

– Powtórzyć? – zapytałam uprzejmym tonem.

To wystarczyło. Spojrzeli na siebie nawzajem i wydając chaotyczne, ale bez wątplenia niecenzuralne okrzyki, pognali drogą w przeciwnym kierunku. Słysząc było tylko coś w rodzaju: „Sierioża, o kur...! Niech teraz sami... A Sierioża?!”.

Popatrzyłam w ślad za nimi, a potem spokojnie ruszyłam w stronę Dąbek. Dopiero gdy przeszłam jakieś sto metrów, dotarło do mnie, co narobiłam. Poczulałam lekkie mdłości, przyśpieszyłam kroku, a potem zaczęłam biec. Ale biegam kiepsko, więc do bramy sanatorium dotarłam zdyszana i zła.

Dobrze chociaż, że nie musiałam szukać Dawletiarowa – znalazłam go, jak zwykle, w najdalszej alejce, z papierosem i kolejnym tomem francuskiej klasyki.

– A gdzie „dzień dobry”? – zapytał, gdy zwałam się obok niego na ławkę i spojrzał spod oka na moje puste ręce. – I tradycyjne pomarańcze?

– Poproszę papierosa... – wydyszałam, patrząc na swoje dłonie. Drżały.

– Od kiedy ty palisz, Czernowa? – Dawletiarow uniósł brwi.

– Poproszę papierosa, żałuje mi pan...?

Nie dyskutował dalej, wyjął paczkę papierosów i podał mi zapalniczkę. Nauczyłam się palić jeszcze na pierwszym roku, żeby nie odstawać zanadto od reszty studentów. Nigdy specjalnie mi się to nie podobało, ale teraz

musiałam się uspokoić. Papierosy Dawletiarowa były zabójcze, o mało się nie udusiłam, ale mimo wszystko jeszcze raz się zaciągnęłam. Dawletiarow patrzył na mnie badawczo.

– Znowu goście? – zapytał w końcu.

Kiwnęłam głową.

– Dogonili mnie... na drodze. – Nieoczekiwanie zatrzęśłam się tak, że o mało nie wypuściłam papierosa. – Porozmawiać... ważni ludzie, niech ich szlag! Tylko, że oni... sami nie wiedzą, o co, kto, dlaczego...

– A ty?

– Co ja... jak pan poradził, samochód... usunęłam – wychrypiałam nerwowo. – Uciekali, aż się kurzyło. Tylko... tylko, zdaje mi się... że w samochodzie ktoś był.

Dawletiarow zmarszczył brwi, potem najwyraźniej zrozumiał, co mam na myśli. Wstał, złapał mnie za ramiona, zmusił, bym wstała.

– Idziemy – rozkazał. Pokornie poczłapałam za nim. Gardło mnie paliło od dymu, w głowie kłębiła się mgła. Może tam nie było nikogo, a chłopakom chodziło o jakiegoś postronnego Sieriożę?

Opamiętałam się dopiero, gdy weszliśmy do pokoju Dawletiarowa, a on podsunął mi pod nos prawie pełną szklaneczkę. Zapachniało koniakiem.

– Pij – nakazał. – Do dna.

– No co pan, Igorze Georgiewiczu – próbowałam słabo oponować. – Od takiej dawki od razu padnę...

– To padniesz i będziesz leżeć – zbagatelizował. – Pij, do kogo mówię?

Musiałam wypić, ale nawet nie poczułam smaku. Myślałam, że alkohol od razu zwalił mnie z nóg, ale nic się nie stało, wręcz przeciwnie, w głowie mi pojaśniało, ręce przestały się trząść. Ciekawe, skąd Dawletiarow ma taki koniak...?

– Oduściło? – zapytał Igor Georgiewicz. Pokiwałam głową. – W takim razie słuchaj mnie uważnie, w samochodzie nikogo nie było.

– Jak to... – zająknęłam się. – Cały czas wspominali o jakimś Sierioży...

– To pewnie ten, który wysłał ich na robotę, ale nie uprzedził, że sprawa jest śliska – przerwał mi Dawletiarow. – Czernowa, zapamiętałaś? W samochodzie nikogo nie było. Koniec, kropka.

– Yhy... – powiedziałam. Nie miałam siły się kłócić, a poza tym, gdy Igor Georgiewicz mówił takim tonem, lepiej było się nie sprzeciwiać, tylko przyjąć jego stwierdzenia na wiarę. – Nie było...

– No i dobrze... – Kiwnął głową z zadowoleniem. – Na przyszłość rozglądaj się dookoła, zrozumiałaś, Czernowa?

– Zrozumiałam – odburknęłam.

– *Ř propos* – nieoczekiwanie wtrącił Dawletiarow. – Przy okazji zdobyłaś świetny materiał empiryczny. Jaki jest temat twojej pracy dyplomowej?

– „Dematerializacja dużych przedmiotów i jej zastosowanie w warunkach bojowych” – powiedziałam, nieco zbity z tropu.

– A ty, jak sądzę, do tej pory nie zdematerializowałaś nic większego od pustej butelki – uśmiechnął się Dawletiarow. – Samochód świetnie się nadaje, więc dopóki niczego nie zapomniałaś, usiądź i zapisz szczegółowo wszystkie parametry.

– Zapomnę, akurat... – Przewróciłam oczami.

– Jeszcze nalać? – zapytał Igor Georgiewicz z troską.

– Nie, nie trzeba! – odmówiłam zdecydowanie. – Bo zaraz się upiję...

Markę samochodu zapamiętałam, siłę jakiej użyłam też, tak że pozostało tylko ustalić szczegóły dotyczące danego modelu samochodu, a potem starannie wyliczyć wszystkie niezbędne parametry. Przykład wyszedł – cud, miód i orzeszki. Mimowolnie się uśmiechnęłam.

Nieznani wrogowie, sami tego nie podejrzewając, podsunęli mi wspaniały materiał badawczy.

I nikogo w samochodzie nie było. Nikogo. Nie było. I kropka.



O dziwo, do Moskwy wróciłam bez przygód, a i potem nikt mnie nie niepokoił. I nawet weekend minął spokojnie. W ciągu tygodnia akurat zakończyłam obliczenia dotyczące dematerializacji samochodu, pokazałam je Dawletiarowowi, który chyba był z nich zadowolony. W każdym razie nie rozniósł mnie swoim zwyczajem w proch i pył, a tylko kazał skorygować niezbyt zgrabne, jego zdaniem, sformułowania.

Pozostało mi tylko nadać pracy dyplomowej ostatni szlif, wytepić literówki i mogłam zabrać się za kreślenie plansz poglądowych na obronę. Niezbyt dobrze radzę sobie z programami graficznymi, postanowiłam więc przygotować je ręcznie, wciągając do tego zadania tatę, który jest świetnym kreślarzem. Ale najpierw trzeba było przygotować brudnopisy i zdobyć akceptację Dawletiarowa. Chciałam się z tym uporać w ciągu tygodnia.

We wspaniałym nastroju wybrałam się na seminarium, ale ostatnie zajęcia zostały odwołane, więc wróciłam z powrotem do akademika. (Starano się nas zaledwie nie męczyć, wychodząc z założenia, że piąty rok zaczął właśnie nerwowo pisać prace dyplomowe). Fałszywie nucąc pod nosem jakiś przebój i machając torbą schodziłam z szóstego piętra, planując, że po drodze zajrzę jeszcze do biblioteki.

– Naina, poczekaj proszę! – rozległ się znajomy głos, gdy szłam przez korytarz na parterze.

Odwróciłam się ze zdziwieniem: była to Larysa Romanowna, która jak na ironię od Nowego Roku została wyznaczona na opiekuna naszej grupy w miejsce Dawletiarowa. Osobiście dowiedziałam się o tym całkiem

niedawno, a i to przez przypadek. Nie prowadziła u nas zajęć, a starostą grupy była Małgorzata, dziewczę ambitne i energiczne, tak więc wszystkie kontakty z Larysą Romanowną spadały na nią.

– Muszę z tobą poważnie porozmawiać – powiedziała Larysa Romanowną, doganiając mnie i mocno łapiąc za łokieć. Pierwszorocznicy rozstępowali się przed nią, jak rybackie łódki przed lotniskowcem – wykladała przecież nie tylko nam, wybrańcom, ale także zwykłym studentom i wszyscy dobrze ją znali.

– O czym? – zainteresowałam się, gdy profesorka ciągnęła mnie po korytarzu. Rzeczywiście, o czym mogłybyśmy rozmawiać?

– Nie tutaj – nachmurzyła się Larysa Romanowną. Musiałam wytrzymać, aż dotarliśmy do jej gabinetu na szóstym piętrze. Oczywiście windą, bo Larysa Romanowną była już w tym wieku, gdy nie skacze się po schodach. Ja od pewnego czasu unikałam windy, gdyż ze smutkiem zauważyłam, że po niewielkim wysiłku fizycznym dostaję zadyszki. Powinnam nabrać kondycji. Kto wie, czy znowu nie będę musiała przed kimś uciekać?

Weszłam do gabinetu i zaczęłam się z ciekawością rozglądać: umeblowany surowo, nie po kobiecemu. Wszystkie rzeczy leżały na swoich miejscach, dokumenty w schludnych stosikach, na biurku panował idealny porządek, można zaprosić samego rektora – nie ma się czego wstydzić. Na biurku, obok komputera zauważyłam ramkę na fotografię. Ciekawe, kto był na zdjęciu? Szkoda, że z mojego miejsca nie było widać.

– Siadaj. – Larysa Romanowna wskazała mi krzesło dla gości. – Mam do ciebie delikatną sprawę...

Podeszła do okna, nie wiadomo po co odsunęła żaluzje, wyjrzała na ulicę. Czekałam w milczeniu. Co znowu za delikatna sprawa? Zresztą miałam jedno podejrzenie i okazało się ono całkowicie słuszne.

– Naina, jeździsz do sanatorium, do Igora Georgiewicza? – zapytała nieoczekiwanie Larysa Romanowna.

– No, jeżdżę – odpowiedziałam. Nie robiłam z tego specjalnej tajemnicy, bo wiem świetnie, że jeśli zacznie się coś ukrywać, to owo coś wyjdzie na jaw w trybie przyśpieszonym, zgodnie z prawem Murphy’ego. Ale też nie afiszowałam się ze swoimi sobotnimi podróżami, więc zdziwiło mnie, że jakieś słuchy dotarły do Larysy Romanowny. Plotki na mój temat? Dziwne. Gdyby dziewczęta zaczęły plotkować, na pewno w akademiku ktoś by mi przygadał, nie wytrzymałiby. Poza tym nie mieli się skąd dowiedzieć. Może któryś z wykładowców pojechał odwiedzić Dawletiarowa, a jakiś lekarz albo pielęgniarka mieli za długie języki? Znają mnie tam po imieniu, a imię mam dość rzadkie.

Ale nawet jeśli tak było, to co to obchodzi Larysę Romanownę?

– A co, nie wolno? – powiedziałam niezbyt uprzejmie po chwili zastanowienia.

– Nie, oczywiście nikt nie może ci zabronić, ale... – Larysa Romanowną zacięła się, unikając mojego wzroku. Zupełnie pogubiłam się w domysłach. Zacznie mi teraz opowiadać o reputacji? Na ulicy mamy dwudziesty pierwszy wiek, a ja jestem pełnoletnia. – Naina, chciałabym poprosić cię o przysługę.

Mściwie milczałam, nie pytając o jaką przysługę chodzi. Jeśli Larysa Romanowną ma ochotę snuć aluzje – proszę bardzo, niech próbuje, nienawidzę takich gier. Albo niech mi powie otwarcie, o co chodzi, albo będę milczeć i udawać idiotkę. Przecież Igor Georgiewicz zawsze powtarza, że moja mądro–głupia twarz może wyprowadzić z równowagi nawet kamiennego sfinksa, nie mówiąc już o żywym wykładowcy.

– Jednym słowem – Larysa Romanowną w końcu zdecydowała się mówić prosto z mostu – chcę cię poprosić, Naino, żebyś więcej tego nie

robiła. To znaczy, żebyś tam nie jeździła.

– A... – Zbiła mnie z tropu. – Czy coś się stało?

– No, wszystko, co się mogło stać, już się stało – uśmiechnęła się niewesoło, wyraźnie nawiązując do mojego uczestnictwa w awanturze zeszłej wiosny. Z drugiej strony nie czułam się szczególnie winna: kto gorąco namawiał mnie, bym wzięła udział w niebezpiecznym eksperymencie, czyż nie Larysa Romanowną? – Bardzo cię proszę, żebyś nie pogarszała sytuacji!

– Niezupełnie rozumiem – przyznałam się uczciwie. – Czy komuś przeszkadzam?

– Trudno jest mi to mówić, Naino. – Larysa Romanowna zrobiła zatroskaną minę. – Wiem, że kierowały tobą najlepsze pobudki, ale... masz rację, twoje wizyty bardzo źle wpływają na Igora Georgiewicza, potwierdził to jego lekarz prowadzący.

Milczałam ponuro. Ciekawe, co ma do tego Larysa Romanowna? To znaczy, dopuszczałam myśl, że troszczy się o Dawletiarowa, jako o... członka rodziny (choć, najprawdopodobniej byłego), ale nie do takiego stopnia! Przecież jest dorosły.

– Wiesz, że przeżył ciężki szok psychiczny – ciągnęła Larysa Romanowna. – Lekarze zalecają mu zupełny spokój. Najważniejsze, żeby nie przypominać mu o smutnym incydencie. – Westchnęła i usiadła za biurkiem. – A ty mimowolnie wywołujesz u niego myśli pogłębiające depresję. A on sam jest zbyt delikatny, żeby ci to powiedzieć, więc ja...

Mogłabym długo mówić o „delikatności” Dawletiarowa, ale chyba moment był nieodpowiedni. Przestałam zupełnie cokolwiek rozumieć, oprócz jednego: Larysa Romanowna wie o tym, co się dzieje w sanatorium, i niewykluczone, że sama też tam bywa. Z jednej strony mogę ją zrozumieć, z drugiej... coś było nie tak.

– Wiem, że jesteś rozsądną dziewczyną – zakończyła wywód Larysa Romanowna. – Wszystko rozumiesz, prawda?

– Tak, oczywiście – odrzekłam. A co innego mogłam powiedzieć? – Wszystko rozumiem.

– Obiecasz mi, że nie będziesz tam więcej jeździć? – spytała z naciskiem Larysa Romanowną. Och, jak w przedszkolu: „Obiecaj, że nie pójdziesz bawić się na sąsiednie podwórko, tam są niegrzeczne dzieci!”. – Może później, jeśli zechcesz... Naina?

– A? – opamiętałam się. – Tak, Laryso Romanowną, jeśli pani mówi, że nie trzeba jeździć, to nie będę.

Nie wytrzymałam, żeby nie dodać malutkiej złośliwości: – Tylko dlaczego wcześniej mi pani nie powiedziała? Minęło ponad pół roku!

– No... – Larysa Romanowną wyraźnie nie wiedziała co odpowiedzieć. Ciekawiło mnie, jak się wykręci, ale wtedy na jej szczęście zadzwonił telefon. – Tak, słucham. Oczywiście, oczywiście. Proszę przyjść, jestem teraz wolna. – Larysa Romanowną odłożyła słuchawkę i zwróciła się do mnie. – Zaraz ktoś do mnie przyjdzie, Naino, możesz już iść. Mam nadzieję, że ta rozmowa pozostanie między nami.

– Bez wątplenia – zapewniłam i wyskoczyłam na korytarz. – Do widzenia, Laryso Romanowną!

– Powodzenia, Nainoczko – odpowiedziała Larysa Romanowną i ciężkie drzwi zamknęły się bezszelestnie.

Jakbym dotąd miała mało kłopotów! Co robić?

Z jednej strony prośba Larysy Romanowny była osobliwa. W życiu bym nie uwierzyła, że Dawletiarow krępuje się powiedzieć mi otwartym tekstem, że ma mnie dość! Z drugiej strony, po katastrofie rzeczywiście nie wszystko ma w porządku z głową, a w każdym razie jego charakter stał się jeszcze bardziej odpychający niż przedtem, chociaż w to naprawdę trudno

uwierzyć. Może pojawiła się w nim nieznana dotychczas „delikatność”? Jeśli nawet lekarz prowadzący mówi... A dlaczego powiedział Larysie Romanownie, a nie mnie? Zabroniłby mnie wpuszczać i tyle! Czy może też jest nadmiernie „delikatny”?

Zrozumiałwszy, że zaplątałam się w tym wszystkim ostatecznie, doszłam do wniosku, że te dywagacje nic tu nie pomogą. Mogę zgadywać do końca świata, lepiej pojechać na miejsce i samej się wszystkiego dowiedzieć. W końcu obiecałam Larysie Romanownie, że nie będę jeździć do Dawletiarowa, ale o ordynatorze nie było mowy. Niech sam mi wszystko wyjaśni!

Po podjęciu decyzji wyrzuciłam całą historię z głowy aż do soboty i zajęłam się planszami. Podjęłam pewne środki ostrożności: pojechałam nie autobusem, ale kolejką, chociaż w ten sposób podróż trwa znacznie dłużej i nie jest tak wygodna, a do tego musiałam wyjść półtorej godziny wcześniej niż zwykle.

Gdy minęłam sanatoryjną bramę, skierowałam się nie jak zwykle do ogrodu, a do głównego budynku. Wiedziałam doskonale, gdzie znajduje się gabinet ordynatora i miałam nadzieję, że zgodzi się ze mną porozmawiać. Zawsze witał się ze mną i wesoło wypytywał o studenckie życie. Może była to tylko zwykła uprzejmość, ale pozwalała mi zachować nadzieję.

Miałam szczęście: w sanatorium był czas sjęsty, niektórzy pacjenci ucieli sobie drzemkę, ci bardziej energiczni spacerowali po alejkach, a większość personelu medycznego piła herbatę. Życie biegło tu spokojnym rytmem, ludzie przyjeżdżali nie po to, żeby się leczyć, a raczej żeby odzyskiwać siły, więc kataklizmy zdarzały się nadzwyczaj rzadko. Z drugiej strony, pracowników naszego ministerstwa, wśród których byli i magowie, trzeba było przez cały czas mieć na oku i byłam przekonana, że personel wcale nie jest taki wyluzowany, jak by się mogło wydawać. W każdym razie, kiedy

pewien miły starszy pan z ministerstwa postanowił odwiedzić pobliską wioskę i, mówiąc wprost, wynająć tam sobie panienkę, bardzo szybko go doprowadzono z powrotem i przemówiono do rozsądku, a ochroniarza, który wypuścił pacjenta poza teren sanatorium, zwolniono. Tę pikantną historyjkę słyszałam od pielęgniarek, a nie miałam powodu, żeby im nie wierzyć.

Niemniej jednak była to pora, gdy wszyscy pili herbatę, cieszyli się spokojem, a Lew Jewgieniewicz nie był pod tym względem wyjątkiem, wystarczyło więc, że wsunęłam głowę przez szparę w drzwiach i bąknęłam: „Dzień dobry”, a natychmiast pochwycono mnie i poczęstowano herbatą i tortem.

Lew Jewgieniewicz wyglądał jak doktor Dolittle, tyle że ważył ze sto kilo. A że wzrostem mnie nie przewyższał, przypominał kuleczkę na nóżkach. Do tego dobrodusznego wyglądu nie pasowało stanowcze, przenikliwe, czasem nawet okrutne spojrzenie błękitnych, młodzieńczo jasnych oczu. Najwyraźniej wiedząc o tym, Lew Jewgieniewicz nosił okulary z lekko przyciemnionymi szklarni. Oczywiście okrągłymi, tak że przypominały staromodne *pince-nez*. Jednym słowem, byłam gotowa przysiąc, że Lew Jewgieniewicz wcale nie był takim dobrodusznym misiem, jakiego udawał, lecz człowiekiem surowym i bardzo mądrym. Na pewno nie był magiem i już sam fakt, że udało mu się zejść tak wysoko właśnie przy naszym ministerstwie nie mógł nie budzić szacunku. Na pewno nie można było wątpić w jego profesjonalizm. W każdym razie natychmiast wziął Dawletiarowa pod swoje skrzydła, przez tydzień (jak mi potem powiedziano) dręczył milczącego pacjenta żarcikami, anegdotkami w tak uderzeniowych dawkach, że Dawletiarow w końcu nie wytrzymał, i zaczął się odszczekiwać. Był to niewątpliwy postęp w porównaniu z jego poprzednim tępym gapieniem się w ścianę i całkowitym brakiem reakcji na

otoczenie, a tak właśnie Igor Georgiewicz zachowywał się niemalże od chwili, gdy wyszedł ze śpiączki i jako tako zorientował w sytuacji.

Lew Jewgieniewicz rozmawiał ze mną, gdy po raz pierwszy zjawiłam się w sanatorium. Pogadaliśmy wtedy z pół godziny o jakiś głupotach, potem Lew Jewgieniewicz pogłaskał swą profesorską bródkę, zachichotał i zarządził, by wpuszczano mnie do jego „ciekawego przypadku” o każdej porze dnia i nocy, bez względu na sprzeciw zainteresowanego.

– A więc, Ninoczko, co się stało? – zapytał Lew Jewgieniewicz, gdy zakończyliśmy już obowiązkowy rytuał powitań i wymiany uprzejmości. Nie wiadomo dlaczego uparcie nazywał mnie Niną, a ja nie wytykałam mu pomyłki, żeby go nie urazić. – Zazwyczaj nie rozpieszcza mnie pani wizytami, w przeciwieństwie do niektórych, cha, cha...!

– Lwie Jewgieniewiczu... – Odstawiłam filiżankę na spodek i postanowiłam nie owijać niczego w bawełnę. – Proszę powiedzieć, czy to prawda, że moje wizyty szkodzą Igorowi Georgiewiczowi?

– Kto to pani powiedział? – Lew Jewgieniewicz zdziwił się niezmiernie. – Czyżby Igor miał kolejny niekontrolowany napad chamstwa? Nie zwracaj na to uwagi, aniele, on tylko tak, pod wpływem emocji, choć prawdę mówiąc mógłby być miłszy dla takiej uroczej dziewczyny!

– Nie, on nie ma tu nic do rzeczy – pośpiesznie ratowałam Igora Georgiewicza przed kolejnym umoralniającym kazaniem, w wygłaszaniu których Lew Jewgieniewicz był mistrzem. – Pytam ogólnie...

– No, jeśli ogólnie... – Lew Jewgieniewicz nałożył mi kolejny kawałek tortu. – Proszę jeść, Ninoczko. Z pani figurą nie ma się czego obawiać...! Jeśli ogólnie, to jest dokładnie na odwrót. Pani, aniele, złości mojego pacjenta, że tak powiem, aż wyłazi ze skóry. Dziwi się pani, skąd wiem? Całe sanatorium wie, Ninoczko, tu u nas nic się nie ukryje. Po każdej pani

wizycie do Igora lepiej się nie zbliżać, bo w nerwach może tak cię skłąć, że przez tydzień do siebie nie dojdiesz!

Parsknęłam. Lew Jewgieniewicz, z racji swego wieku, uparcie nazywał Dawletiarowa Igorkiem, świetnie wiedząc, że ten nienawidzi takiego traktowania. Ja denerwowałam Igora Georgiewicza nieświadomie, a Lew Jewgieniewicz robił to samo wyjątkowo profesjonalnie.

– A od kiedy zaczął dawać pani korepetycje... – Lew Jewgieniewicz pokiwał głową i zachwytem przewrócił oczami. – Przybiegli do mnie jego sąsiedzi, krzyk, mówią, taki, jakby kogoś zarzynano, a drzwi zamknięte, nie będziemy się przecież włamywać! Długo musiałem ich uspokajać...

Znowu się uśmiechnęłam. Wyobrażam sobie tę scenę! Lew Jewgieniewicz kontynuował: – To świetnie, Ninoczko, że namówiła go pani do powrotu do pracy. Początkowo chciał mnie przekonać, że mu zbrzydła, a widać, że łągał drań bez mrugnięcia okiem! Kocha swoją pracę, Ninoczko, nie wyobraża sobie pani, jak bardzo kocha! Nawet ja słyszałem, jakim był specjalistą i co stracił.

Lew Jewgieniewicz ze smutkiem pokiwał głową, zdjął okulary, spojrzał na mnie swymi przenikliwymi oczami, niepasującymi do stylizacji na „doktora Dolittle”.

– Na jego miejscu każdy by się załamał – powiedział bardzo poważnie. – W każdym razie na początku obawiałem się prób samobójczych. Teraz widzę, że niepotrzebnie. To nie ten typ człowieka.

– Lwie Jewgieniewiczu – powiedziałam. – Jeśli zaczął już pan o tym mówić, to na pewno pan wie, że to wszystko moja wina. Gdyby nie ja...

– Ninoczko! – Lew Jewgieniewicz pogroził mi palcem. – Nie może pani być wszystkiemu winna. Proszę uwierzyć mi na słowo, akurat pani Igorek nie wini za swe nieszczęście. Jest przecież dorosłym człowiekiem i to niegłupim, sam powinien to pani powiedzieć. To co zrobił, zrobił dlatego,

że sam podjął taką decyzję, co pani ma do tego? Równie dobrze można by obwiniać pani rodziców, że powołali panią na świat. Nie byłoby pani, nie byłoby problemu, tak wychodzi z pani logiki, nieprawdaż? – Lew Jewgieniewicz znowu zachichotał cichutko, napawając się moim zdezorientowanym wyrazem twarzy. – Tak więc, gdyby nie pani, Ninoczko, z Igorkiem byłoby jeszcze gorzej, niż jest w tej chwili. Niestety, nie potrafię wymyślić tylu różnych sposobów, by cały czas utrzymywać go, że tak powiem, w dobrej formie, a pani jakoś udaje się wyprowadzać go z równowagi tak, że zapachu starcza mu na długo. A jemu to dobrze robi. Pamięta pani, jaki był na początku?

Jak mogłabym nie pamiętać! Wiadomo, że na początku Dawletiarow z nikim nie rozmawiał, a już szczególnie z lekarzami, zamknął się w sobie i nikogo do siebie nie dopuszczał. Potem zaczął powoli reagować na otoczenie. Oczywiście, najpierw wspaniałą robotę wykonał Lew Jewgieniewicz, a mnie postanowił najwidoczniej zastosować w celach leczniczych do podtrzymania i utrwalenia uzyskanych wyników.

– Przypomniała sobie pani? O to chodzi. – Lew Jewgieniewicz chrząknął. – Muszę przyznać, że ten młody człowiek ma zadziwiająco wstrętny charakter, Ninoczko. Nigdy dotąd nie spotkałem się z czymś takim. Za to jeśli się go porządnie rozzłości, może góry przenosić, ale gdy zaczyna się nad sobą rozczulać – wszystko na nic. Tak więc pani, Ninoczko, pojawiła się w najlepszym momencie.

Lew Jewgieniewicz popatrzył na mnie z chytrym uśmiechem, jakby chciał powiedzieć: „A może, moja droga, przyznasz się, czego tak naprawdę chcesz od Dawletiarowa i po co do niego przychodzisz?”.

Udałam, że nie dostrzegam aluzji. A może wcale nie miał nic takiego na myśli. Prawdopodobnie i tak widział moje motywy jak na dłoni. Ech, gdyby jeszcze mnie samej o nich opowiedział!

– Kto by pomyślał... – powiedziałam. – Nigdy bym na to nie wpadła!

– Przecież to widać gołym okiem! – krzyknął Lew Jewgieniewicz. – To samo mówiłem pani Rozen. Przecież się znacie? Czarująca dama!

Zakrztusiłam się tortem. Jaka znowu pani Rozen? Czyżby Larysa Romanowna? Nie, ma na nazwisko Smirnowa... Coś za dużo ludzi się tu kręci!

– Dziękuję, Lwie Jewgieniewiczu – powiedziałam bohatersko, gdy dopiłam herbatę i wysłuchałam kolejnej porcji medycznych bajek. – Uspokoił mnie pan... Przepraszam, że zabrałam panu tyle czasu!

– Co też pani mówi, Ninoczko! – Lew Jewgieniewicz po prostu rozkwitł. – Zawsze miło mi panią widzieć!

Zamyślona wyszłam na zewnątrz i ruszyłam w stronę parku. Tak, pojawiają się coraz to nowe postaci. Jakaś pani Rozen nie wiadomo dlaczego interesuje się stanem Dawletiarowa... Nic z tego nie rozumiem!

Wyskoczyłabym pewnie zza zakrętu alejki jak z procy, gdyby nie rozwiązała mi się sznurówka. Przystanęłam, nachyliłam się i nagle usłyszałam znajomy głos: – Wybacz, Igorze, że ci to mówię... Chodzi o to, że ta dziewczyna więcej się tu nie pojawi. Myślę, że tak będzie lepiej dla was obojga. Jesteś zadowolony?

– I to jak!

Zamarłam i cała zamieniłam się w słuch. Był to głos Dawletiarowa, na sto procent, ale ten ton! Nigdy nie słyszałam, żeby mówił w ten sposób. Głos miał o pół oktawy wyższy niż zwykle, na granicy hysterii, tak mógłby mówić rozpieszczony dzieciak, ale nie ten Dawletiarow, którego znałam. Może wcale go nie znałam? A on ciągnął dalej: – Jestem pani bardzo wdzięczny. Ma pani rację... w końcu to stało się nieznośne!

– Oczywiście, ty sam nie zdecydowałbyś się tego powiedzieć. – W głosie kobiety brzmiały nuty pobłażliwego śmiechu, a ja w końcu go

rozpoznałam. – Nigdy nie rozumiałam tej twojej cechy: czasem mówisz prawdę prosto w twarz, a czasem... No dobrze, na mnie już czas, Igorze. Mam nadzieję, że teraz nikt nie będzie ci dokuczać.

– Dziękuję, Laryso – powiedział o pół tonu niżej. – Jest pani dla mnie za dobra. Nigdy nie będę w stanie odwdziżyć się za wszystko, co pani dla mnie robi.

– No coś ty...

Zrozumiałam, że gość Dawletiarowa zaraz pójdzie wzdłuż alei i natknie się na mnie, wskoczyłam więc w krzaki i o mało się nie zabiłam, nadepnąwszy na sznurówkę, której w końcu nie zawiązałam. Poczekiałam, aż odgłos kroków ucichnie, a potem postanowiłam ruszyć dalej, klucząc między krzewami. Martwiłam się, czy nie narobię za dużo hałasu i opamiętałam się dopiero wtedy, gdy usłyszałam głos rozlegający się niemal nad uchem: – Wyłaź stamtąd, Czernowa.

Odczepiłam od ubrania kłującą gałązkę i wylazłam na ścieżkę tuż obok ławki.

– To pan wiedział, że jestem tutaj? – burknęłam, odrywając rzepy od ubrania. – Ciekawe, że Larysa Romanowna mnie nie zauważyła?

– Tylko tego brakowało – powiedział Dawletiarow, z widocznym zadowoleniem zapalając papierosa. – Słysząc cię było już od bramy, tupiesz jak gwardzista na defiladzie. Zakładam, że wszystko słyszałaś?

Przytaknęłam.

– To co, mam więcej nie przyjeżdżać? – zapytałam, wpatrując się smętnie w ziemię.

– Myślisz, że nie powiedziałbym ci od razu? – odparł. – Siadź, co tak sterczysz jak słupek.

Posłusznie przysiadłam na brzegu ławki.

– W takim razie, dlaczego... – zaczęłam, ale przerwał mi: – Bardzo nie lubię, gdy ktoś próbuje mi wciskać kit, Czernowa. To, że jestem inwalidą, nie znaczy, że nie mam rozumu.

– Pan nie... – zaprotestowałam, ale Dawletiarow powstrzymał mnie gestem.

– Nie mam zamiaru tego roztrząsać. – Zamilkł na moment. – Nie chciałaś spotkać się z Larysą, z czego wnioskuję, że już z nią rozmawiałaś?

– Yhy... – Pogrzebałam w piasku czubkiem adidasa. – Powiedziała mi, żebym tutaj więcej nie przyjeżdżała, bo wyprowadzam pana z równowagi i nie daję wyzdrowieć. Że niby doktor tak powiedział. I pan też.

– A ty, oczywiście, i tak przyjechałaś – skonstatował Dawletiarow. – I jak sądzę od razu poszłaś do ordynatora.

– Oczywiście! – powtórzyłam drwiącym tonem. – Pomyślałam, że gdyby wszystko to było prawdą, Lew Jewgieniewicz sam by mi powiedział, a nie przekazywał informacje przez posłów. No i pan też z pewnością by się nie krępował.

– Szczera prawda – odparł. – Zresztą ja wysłuchałem jeszcze ciekawszej historii. Byłaś obecna tylko przy finale, więc opowiem ci pokrótce resztę. Rzekomo w przypiływie szczerości wyznałaś Larysie, że całkiem nie masz już siły jeździć tutaj. Męczyci cię, jakoby, poczucie winy, ale im dłużej to trwa, tym trudniej jest ci podołać obowiązkom, które sama na siebie nałożyłaś – wyrecytował z uczuciem Dawletiarow. W jego zazwyczaj ponurych oczach zalśniły niebezpieczne zielone iskierki, doprawdy nie wiem, co go aż tak wyprowadziło z równowagi. – I tak dalej, i tak dalej. Różne piękne słowa o zdradzie i temu podobne.

– Zwariować można – powiedziałam. – Nigdy nie opowiadam nikomu o swoich sprawach. W ogóle byłam przekonana, że nikt nie wie, gdzie jeżdżę. Igorze Georgiewiczu, po co ona oszukuje nas oboje?

– Też chciałbym to wiedzieć. Nie widzę żadnego sensu w tym kręactwie. – Dawletiarow zagryzł wargę.

– Wygląda na to, że ona po prostu nie chce, żeby pan się ze mną spotykał – powiedziałam w zamyśleniu. – Może rzeczywiście chce pańskiego dobra? Bo przecież... rzeczywiście, opowiadam panu o uczelni, i inne takie... Żeby nie jątrzyć...

– Czernowa, przestań wyrażać się jak uczeń technikum rolniczego albo w ogóle zamilcz. – Dawletiarow skrzywił się, a mnie kamień spadł z serca. Teraz na pewno nie udawał. – Jak myślisz, dlaczego ordynator otoczył cię opieką, zamiast przegnać na cztery wiatry? Przecież jesteś dla mnie nikim, Czernowa. Nieraz prosiłem, żeby cię do mnie nie puszczano, a i tak cię wpuszczali.

– Bo wpływam na pana pozytywnie – burknęłam, powtarzając słowa Lwa Jewgieniewicza, zdziwiona nieoczekiwaną szczerością rozmówcy. – Nie pozwalam zamknąć się w sobie i ogólnie wkurzam. A gdy pan się złości, czuje się pan zdecydowanie lepiej.

– To samo powiedział mnie, słowo w słowo. – Dawletiarow pokiwał głową.

– Chwileczkę, Lew Jewgieniewicz powiedział, że przyjeżdżała jakaś pani i jej też to samo mówił... – przypomniałam sobie. – Może to Larysa Romanowna ją wysłała?

– Powiedział, jak się nazywa?

– Powiedział: „Pani Rozen, czarująca dama” – naśladowałam ton ordynatora.

– Nikt jej nie wysłał – rzekł Dawletiarow. – To Larysa we własnej osobie.

– Przecież nazywa się Smirnowa.

– Smirnowa to nazwisko po mężu – wyjaśnił.

– W takim razie w ogóle nic nie rozumiem. Najpierw używa innego nazwiska, potem wymyśla historyjkę dla mnie, drugą dla pana... Po co?! A pan też coś nazmyślał, sama słyszałam!

– Prawie wcale nie kłamałem – oznajmił Dawletiarow. – To, że potrafisz doprowadzić mnie do białej gorączki, wie chyba cała uczelnia. Rzecz w tym, jak się przekaże tę informację.

– Aha, i przekazał pan... – burknęłam. – Słyszałam... można by pomyśleć, że przywiążuję pana do krzesła i zmuszam do wysłuchania streszczenia ostatnich odcinków mej ulubionej brazylijskiej telenoweli.

– Słuchać nowinek z uniwersytetu w twoim wykonaniu jest niewiele przyjemniej – mruknął Dawletiarow.

Oczywiście, nie udało mi się znaleźć celnej riposty, dlatego po prostu spytałam: – A po co udawał pan przed nią takiego no... hm...

– Już mówiłem, Czernowa, nie lubię, jak ktoś robi ze mnie idiotę.

– Za to ubóstwia pan robić idiotów z innych – podsumowałam kwaśno, kiwając głową. I tak nie powie, znałam ten jego ton. – Igorze Georgiewiczu, ale dlaczego Larysa Romanowna wymogła na mnie obietnicę, że więcej tu nie przyjadę? Przeszkadzam jej w czymś, czy co?!

– Wszystko jest możliwe – odparł Dawletiarow, a ja zamilkłam. Minęło kilka chwil i doznałam olśnienia.

– A może... może boi się, że powie mi pan coś takiego, czego nie powinnam... – Zaplątałam się we własnych słowach i zamilkłam, patrząc na Dawletiarowa w napięciu. – Ale przecież pan nigdy o niczym takim...

– Larysa o tym nie wie. – Uśmiechnął się krzywo, jednym kącikiem ust.

– A cóż pan takiego wie? – zapytałam ponuro.

– Wiem wiele rzeczy, Czernowa – odparł Dawletiarow kpiąco. – Gdybym jeszcze wiedział, co z tego nie powinno dotrzeć do twoich uszu i dlaczego...?

Zastanowiłam się ponownie. Dzisiejszy dzień był bogaty w olśnienia.

– Igorze Georgiewiczu, a czy może być tak, że ci bandyci ganiłi za mną z tego samego powodu? No, chcieli przestraszyć mnie tak, żebym bała się wytknąć nos z domu i nie pokazywała się tutaj. Nie pojawili się więcej po tej historii z samochodem. – Wzdrygnęłam się mimo woli.

– Nic mnie już nie zdziwi. – Dawletiarow wzruszył ramionami. – Jest to całkiem logiczna teoria. Widocznie zapłacono im za rozmowę z niedouczoną studentką a o tym, że jest ona bojowym magiem, przezornie nie wspomniano.

Zawstydziłam się.

– Jaki tam ze mnie bojowy mag... – machnęłam ręką. – Czernowa, nie udawaj idiotki – rzekł Dawletiarow. – Przypomnij sobie poligon.

– Nie chcę – burknęłam, a po chwili namysłu dodałam: – A może chcieli mnie wynająć? Tylko po co byłyby te gierki? Przyszliby, powiedzieli: słuchaj, tak i tak, chcesz dla nas pracować, płacimy tyle to a tyle, zrobić trzeba to i to. Może bym się zgodziła. A tak... normalnie jakiś podrzędny kryminał!

Dawletiarow fuknął ironicznie.

– Z czego pan się śmieje? – obraziłam się. – Założmy, że trzeba kogoś zabić... Za żadne pieniądze bym tego nie zrobiła, ale gdyby zaczęli grozić rodzicom... Nie rozumie pan?

– Aż za dobrze rozumiem. – Dawletiarow nieoczekiwanie wstał z ławeczki, włożył ręce do kieszeni, zgarbił szerokie ramiona. – Dobrze, Czernowa, nie ma co zgadywać. Jeśli zjawią się u ciebie z propozycją, wszystko stanie się jasne.

– Ale jaki ma z tym związek Larysa Romanowna? Pracuje dla nich?

– Być może. – Dawletiarow nadal stał odwrócony plecami do mnie. – A może nie. Nie jestem wyrocznią delficką, Czernowa.

Zamilkłam, urażona. No i masz... Pojawiły się aż dwie hipotezy. Pierwsza: Larysa Romanowna wynajęła drobnych opryszków, a może nawet nie bandytów, a zwykłych dresiarzy, ulicznych rozrabiaków i kazała im nastraszyć mnie tak, żebym nie odważyła się wytknąć nosa z domu i nie jeździła do Dawletiarowa. A gdy im się nie udało, postanowiła „szczerze” ze mną porozmawiać, uważając mnie widocznie za kompletną idiotkę. Co robić, skoro często rzeczywiście tak wyglądam, szczególnie gdy pogrążę się w rozmyślaniach?

I druga: Larysa Romanowna z jej rozmowami to jedno, a ludzie w samochodzie to drugie i przysłał ich ktoś, kto nie ma nic wspólnego z profesorką. Mówiąc szczerze, nie podobała mi się ani pierwsza teoria, ani druga.

– Długo jeszcze będziesz przebywała w innym wymiarze, Czernowa? – zapytał Dawletiarow. – Zdaje się, że miałaś dzisiaj przywieźć szkice plansz i plan wystąpienia na obronie?

– A, tak... – Ocknęłam się i zaczęłam grzebać w torbie. – Tutaj je mam.

– No to chodź – rozkazał Dawletiarow i posłusznie podreptałam za nim w kierunku głównego gmachu.

Minęło jeszcze pięć minut i wszystkie kryminałki wyleciały mi z głowy: Dawletiarow zaczął krytykować moje szkice. To będzie źle wyglądało z sali, to jest niekomunikatywne, to wygląda dziecinnie, a to w ogóle nędza. A gdy dorwał się do planu wystąpienia, miałam ochotę iść się utopić, bo nigdy przedtem nie słyszałam takich wyrażeń i nawet nie podejrzewałam, że mogą się odnosić do mnie. Krótko mówiąc, przepisywałam to nieszczęsne wystąpienie ze trzydzieści razy, a potem jeszcze uczyłam się wygłaszać je z ekspresją. A z czytaniem na głos u mnie krucho. Rodzice zbyt wcześnie nauczyli mnie czytać po cichu, ucieszyli się, że dziecko ma zajęcie, nie trzeba mu czytać i dali sobie spokój. W rezultacie źle akcentuję

pewne słowa i czytam na głos zupełnie bez intonacji, monotannie i nieciekawie. Za deklamację wierszy powinnam mieć same lufy, w szkole ratowała mnie tylko reputacja wzorowej uczennicy i nauczycielce literatury sumienie nie pozwalało postawić mi nic gorszego od czwórki.

A wygłosić przemówienie tak, by zabrzmiało porywająco... Dawletiarow długo ze mną walczył. Potem zostawił w spokoju deklamację i zaczął z prędkością karabinu maszynowego zadawać mi pytania na najrozmaitsze tematy, udając komisję egzaminacyjną. Nie bez dumy mogę powiedzieć, że byłam w stanie odpowiedzieć na większość podchwytliwych pytań, chociaż nad niektórymi musiałam się nieźle napocić.

Zupełnie nie rozumiałam, dlaczego Igor Georgiewicz tak się śpieszy. Przecież do obrony dyplomu został jeszcze miesiąc, zdążyłabym to nieszczęsne wystąpienie napisać jeszcze ze sto razy, dlaczego niby trzeba je szlifować właśnie dzisiaj? Ale wiadomo: jeśli opanowała go jakaś idea, nie było sensu się sprzeciwiać.

– Masz, Czernowa – powiedział na zakończenie, wyciągając w moją stronę ostateczną wersję pracy dyplomowej, którą w zeszłym tygodniu zostawiłam mu do przejrzania po raz ostatni. Przekartkowałam pracę i przeraziłam się, na marginesie nie było nawet skrawka czystego miejsca. Co on tam jeszcze znalazł?!

– Naniesiesz te poprawki i możesz mi się więcej na oczy nie pokazywać. Bądź uprzejma nauczyc się wystąpienia na pamięć, żeby ci czasem do głowy nie przyszło czytać z kartki. Jasne?

– Tajest – mruknęłam. Język zaplątał mi się już na supełek, a w gardle zaschło.

– W takim razie do widzenia. – Dawletiarow ostentacyjnie odwrócił się w stronę półki z książkami, wybierając kolejny tomik zagranicznej klasyki.

– Do widzenia – odpowiedziałam i wyniosłam się.

Oczywiście naniosłam poprawki i w następny weekend zabrałam ze sobą czystopis, inaczej Dawletiarow znowu mógłby zacząć narzekać, że się lenię i robię na odwal. Wystąpienie też opanowałam na pamięć, nawet kilka razy powtórzyłam, rejestrując swój występ na dyktafonie pożyczonym od sąsiadki (nie lubiła przemęczać się robieniem notatek, nagrywała wykłady na dyktafon, a potem odsłuchiwała potrzebne fragmenty). Mówiąc szczerze, brzmiało to strasznie, żaden ze mnie orator. Co prawda Igor Georgiewicz utrzymywał, że praca ucłowieczyła małpę, a ze mnie, w sprzyjających warunkach i przy odpowiedniej tresurze może wyjść znośny specjalista, ale jak nie umiałam ładnie mówić, tak nie umiem. Wypowiadać się w formie pisemnej mogę, ale ustnie – dziękuję, postoję!

Szykując się na miażdżącą krytykę, przebiegałam ogrodowe alejki, ale nie znalazłam tam nikogo. Zdumiona, poszłam do budynku sanatorium. Znajome drzwi były zamknięte, nikt nie reagował na pukanie. Złapana w korytarzu nieznaną pielęgniarką tylko wzruszyła ramionami – dopiero co przyszła na swoją zmianę i nie ma pojęcia, co się dzieje z Dawletiarowem. Jego sąsiad też nic nie wiedział. Nie było innego wyjścia, jak tylko znowu odwiedzić Lwa Jewgieniewicza. Na moje uzasadnione pytanie, a gdzie właściwie jest Igor Georgiewicz, i czy nie przytrafiło mu się coś złego, ordynator odpowiedział zdziwionym spojrzeniem znad spadających na czubek nosa okularów.

– Igorek wypisał się jeszcze w środę. Dziwne, Ninoczko, że nic pani nie powiedział.

– Jak to, wypisał się...?

– Zwyczajnie – wzruszył ramionami Lew Jewgieniewicz. – Fizycznie jest zdrowy, nie widzę też poważnych odchyłeń psychicznych, następstwa szoku ustąpiły, a wredny charakter, niestety, nie jest powodem, żeby trzymać go tu dłużej.

– I gdzie się podział? – zapytałam bezradnie.

– Pewnie pojechał do domu – odpowiedział Lew Jewgieniewicz. – Chociaż, kto go tam wie, Igorek jest młodzieńcem nieprzewidywalnym. Proszę się nie martwić, Ninoczko, myślę, że musi sobie to i owo przemyśleć w samotności, a potem się zjawi.

Nieprzewidywalny, pieska jego niebieska... Szkoda gadać. Więc to dlatego poprzednim razem tak mnie piłował z tą nieszczęsną prezentacją. Widocznie już wtedy wiedział, że w środę odpłynie z tej cichej przystani i śpieszył się, żeby zakończyć sprawę. Ale dlaczego nic mi nie powiedział?

– Dziękuję, Lwie Jewgieniewiczu – powiedziałam. – Chciałam pokazać mu wystąpienie...

– Jest pani promotorem, usłyszysz na obronie – uśmiechnął się lekarz.

– Nie jest moim promotorem – odrzekłam smętnie. – Mój oficjalny promotor jeszcze nie widział pracy. A nawet jak przeczyta, niewiele zrozumie. Tego tematu nie rozumie ani w ząb, proszę wybaczyć określenie.

– A więc to tak! – Lew Jewgieniewicz teatralnie uniósł brwi. – To z pani jest niezła aferzystka, Ninoczko! Nie spodziewałem się... Co się pani tak zawstydziła, przecież żartuję, żartuję!

– Nie zawstydziłam się – westchnęłam. – Ja tylko tak... Do widzenia, Lwie Jewgieniewiczu, pojedę rysować plansze.

– Powodzenia, Ninoczko. – Lew Jewgieniewicz skinął mi głową. – A jeśli spotka pani jeszcze Igorka, proszę przekazać mu ode mnie, że jest draniem i nieznośnym człowiekiem, jeśli pozwala sobie tak traktować dziewczęta.

– Z przyjemnością mu przekażę – uśmiechnęłam się. – Słowo w słowo!

Powoli szłam z powrotem na stację i myślałam. Dawletiarow, mimo podłego charakteru był jednak człowiekiem niezwykle skrupulatnym i wypełniał swe zobowiązania. Zmusił mnie do napisania pracy dyplomowej?

Zmusił, chociaż przysporzyło mu to wiele siwych włosów. Przecież nie napisał za mnie ani słowa, naniósł tylko ostatnie, kosmetyczne poprawki. A poza tym tylko rugał najgorszymi słowami, ostro krytykował, doprowadzał do łez i zmuszał do myślenia. W pewnym sensie jesteśmy do siebie bardzo podobni: jeśli uda się rozzłościć Dawletiarowa, rzeczywiście, może on góry przenosić, a gdy rozzłości się mnie, zaczynam myśleć dużo wydajniej.

A więc, do czego zmierzam... Jego nagłe zniknięcie z sanatorium musiało mieć jakąś przyczynę, a chwilowo mogłam wymyślić tylko jedną. Prawdopodobnie Igorowi Georgiewiczowi nie spodobało się to, co się wokół nas działo: wszystkie te dziwaczne zdarzenia, a do tego straszące mnie podejrzane typy. Pewnie skłaniał się do wersji, która w mojej klasyfikacji miała numer jeden: ktoś, być może nawet sama Larysa Romanowna, chce uniemożliwić nam kontakty. A ja, przez mój ośli upór, nie posłuchałam jej, ani nie przestraszyłam się chłopaków, których na mnie nasłano (w rzeczywistości miałam niezłego stracha, ale ona o tym przecież nie wiedziała!). Jakie kroki podejmie dalej? Bóg raczy wiedzieć... Dawletiarow nie mógłby mnie powstrzymać przed kolejnymi wizytami. Wiedział, że jeśli się uprę i tak zrobię wszystko po swojemu, więc postanowił się ulotnić. Byłam pewna, że nie pojawi się w swoim mieszkaniu, nie ma sensu tam jeździć. Mógł się udać w setki miejsc, kraj mamy wielki, a pieniędzy na początek ma pod dostatkiem. Przypadkiem usłyszałam, że nie zwolnił się z uniwersytetu, więc przez cały czas pobytu w sanatorium musiał otrzymywać pensję. A ministerstwo płaci nieźle.

Była jeszcze druga możliwość, ta bardziej melodramatyczna: ktoś zasugerował Dawletiarowowi, że jeśli nie przerwie ze mną kontaktów, zrobi się to za niego siłą, i nawet nie ma znaczenia, kogo zaatakują – jego czy mnie. Co prawda podejrzewam, że w takim przypadku ten ryzykant zbierałby połamanymi rękami zęby spod stołu. Próby zastraszenia

Dawletiarowa należą do przedsięwzięć raczej trudnych i niebezpiecznych. Do tej pory nie wspominałam, że podczas jednej z rozmów z Lwem Jewgieniewiczem dowiedziałam się, iż Igor Georgiewicz należał kiedyś do reprezentacji naszego uniwersytetu w modnej wtedy odmianie walki wręcz z niemożliwą do wymówienia nazwą i od tamtej pory cały czas utrzymuje formę, bez względu na wszystkie życiowe kataklizmy.

Trzeci wariant zupełnie mi się nie podobał, bo opierał się na następującym założeniu: hipotetyczny nieznajomy nie zawracał sobie głowy sugestiami, a prosto i przystępnie wytłumaczył Dawletiarowowi, dlaczego powinien wyjechać, być może nawet w towarzystwie owego nieznajomego. Magowi kule niestraszne, ale zwykły człowiek, sami rozumiecie... To była już jednak całkiem fantastyczna teoria. Nie sądzę, aby Dawletiarow był w posiadaniu jakiejś ogromnej tajemnicy, inaczej sprzątnięto by go już dawno – nie brakowało ani czasu, ani okazji. Najprawdopodobniej wiedział o czymś, co nie powinno dotrzeć do uszu niepowołanych – być może jakieś niemiłe szczegóły dotyczące magii bojowej, z gatunku tych, które starannie przemilczano, aby nie straszyć takich jak ja, młodych i pełnych zapału. A Dawletiarow mógł je ujawnić po prostu ot tak, z czystej złośliwości.

Tak czy inaczej, znikł bez śladu. Jeśli zrobił to dobrowolnie, tym samym jawnie dawał do zrozumienia, że nie należy go szukać. A jeśli nie... W takim razie i tak nic nie mogę zrobić. Nie pójdę przecież na milicję! Wyśmieją mnie: po pierwsze, nie jestem ani krewną, ani nawet bliską znajomą Dawletiarowa, a po drugie to dorosły, wolny człowiek, ma prawo wyjechać chociażby na koniec świata i nikogo o tym nie uprzedzić.

I tak oto, chcąc nie chcąc, przestałam zajmować się tym problemem, zaniósłam pracę dyplomową do Pała Iwanycza, z pomocą ojca przygotowałam plansze, nauczyłam się prezentacji na pamięć do ostatniego

przecinka i byłam gotowa do obrony na długo przed resztą grupy. Jak się mogłam spodziewać, Pał Iwanycz wypowiedział kilka mądrych uwag, dotyczących nie tyle treści, co formy pracy; przyrzekłam solennie wnieść sugerowane poprawki, przeciągnęłam sprawę i niczego, oczywiście, nie poprawiłam (zmieniać coś w tekście sprawdzonym przez Dawletiarowa wydawało mi się bluźnierstwem), a potem Pał Iwanycz i tak zapomniał, czego ode mnie chciał. Na to właśnie liczyłam.



Tygodnie leciały jeden za drugim. Grzecznie jeździłam w weekendy do rodziców na daczę, czym ich bardzo ucieszyłam, zdałam ostatnie zaliczenia i egzaminy, a potem nadszedł dzień obrony prac dyplomowych.

Wszyscy koledzy z roku byli kłębkami nerwów, a ja marzyłam tylko o jednym, żeby raz na zawsze skończyć z tym przeklętym dyplomem. Co jednak nie eliminowało lęku tak do końca.

W audytorium zebrało się sporo ludzi: doktoranci i studenci z naszego szóstego piętra, całe nasze grono pedagogiczne... Poza tym zauważyłam również wielu wykładowców ze „zwykłej” części uczelni. Okazuje się, że fakt istnienia naszego wydziału wcale nie był aż tak ścisłą tajemnicą i wiedziało o nim wcale niemało osób. Chociaż podejrzewam, że nikt nieupoważniony nie zdołałby się tu dostać. Komisji przewodniczył sam rektor.

To wystarczyło, żeby Swieta wpadła w histerię. Miałam ochotę powiedzieć jej, że powinna się cieszyć – w komisji nie było Dawletiarowa, który bez skrupułów mógłby rozetrzeć każdego absolwenta na proszek, ale nie zrobiłam tego. W ogóle starałam się o nim nie myśleć. Znikł to znikł, widocznie były po temu powody. I tyle.

Pierwsza była Małgorzata, a ja miałam być następna. Zdawało się, że wcale się nie denerwuje, odbębniła swoją mowę, dziarsko odpowiadała na pytania komisji i udało jej się nawet zażartować, gdy nie znalazła odpowiedzi na czyjąś uwagę. Nie miałam wątpliwości, że na jej tle wypadnę blado. Mało tego, nagle zaczęłam się bać, jak jakiś pierwszoroczniak, a do tego bardzo źle czułam się w nowej garsonce i w butach na wysokich obcasach. Miałam wrażenie, że wszyscy patrzą na moje trzęsące się kolana. O niebo lepiej czułabym się w spodniach, ale mama się uparła – „Skarbie, przynajmniej na obronę ubierz się przyzwoicie”, czyli w spódnice. I męczyłam się teraz w tej przeklętej garsonce...

Przypuszczam, że gdy przyszła moja kolej, wyglądałam jakby prowadzono mnie na egzekucję. Ale o dziwo, wystarczyło, że zobaczyłam znajome, starannie wykończone ręką ojca plansze (wyglądały wcale nie gorzej niż te wydrukowane na ploterze) i wzięłam do ręki wskaźnik, a natychmiast kolana przestały mi się trząść. Co prawda z głosem uporałam się nie od razu, łamał się na początku, ale potem wszystko wróciło do normy. W każdym razie świetnie wiedziałam o czym mówię i nie bałam się nawet podchwytliwych pytań. Komisja słuchała mnie z zainteresowaniem, nawet sala się uciszyła. I tak udało mi się bez przygód dotrzeć do końca przygotowanego wystąpienia. Tyle tylko, że upuściłam wskaźnik, ale takie drobiazgi zdarzają mi się co chwilę. Pełna energii nie zwróciłam nawet na to uwagi, mimochodem zmaterializowałam nowy, identyczny i dopiero potem pomyślałam, jak takie figle mogą wyglądać z boku. Ale chyba nikt nie zwrócił na to uwagi.

– Hmmm... dziękuję pani – powiedział rektor, gdy skończyłam mówić. – Czy są pytania?

Owszem, były. Większości z nich się spodziewałam, i co więcej, miałam przygotowane odpowiedzi – Igor Georgiewicz tresował mnie nie na darmo.

Pał Iwanycz tylko potakiwał, uśmiechając się z zadowoleniem. Na pewno uważał, że to jego czujna opieka pozwoliła mi osiągnąć sukces.

– Naino Jurijewna – odezwał się nagle jeden z gości z ministerstwa, gdy sądziłam, że pytania już się wyczerpały. – Chodzi mi o praktyczną część pani pracy dyplomowej. Rozpatruje pani duży obiekt o bardzo dokładnie określonych parametrach. Proszę powiedzieć, czy rzeczywiście przeprowadziła pani praktyczne doświadczenie?

Najwyraźniej dobry wujek z ministerstwa oczekiwał, że przyznam się jakobym wszystko wymyśliła, aby zrobić lepsze wrażenie.

– Oczywiście – odpowiedziałam.

– Hmm... – ciągnął dalej gość z ministerstwa. – A gdzież to udało się pani zdobyć materiał do doświadczenia?

Było to naprawdę podchwytliwe pytanie. Bo rzeczywiście, skąd niebogata studentka, taka jak ja, mogła wziąć prawdziwy samochód do dematerializacji? Przecież nie powiem im prawdy...

– O! – powiedziałam, próbując nerwowo coś wymyślić. – Aż wstyd się przyznać...

– Ależ... – podtrzymał mnie na duchu Pał Iwanycz. – Proszę się nie wstydzić, Naino, są tu sami swoi.

– No... tak naprawdę... na złomowisku – wypaliłam w nagłym natchnieniu.

– Sądzę, że pracownicy byli pani bardzo wdzięczni! – zachichotał ten z ministerstwa, a ja zaczerwieniłam się jak rzodkiewka.

Na szczęście nie było więcej pytań, rektor z aprobatą skinął mi głową i pozwolił wyjść. Po mnie mieli się bronić jeszcze Swieta i Alosza Kowalow, a także trójka studentów z innych uczelni. Przetrzepali ich jak pies starą ścierkę, aż obserwowałam to z mimowolnym zaciekawieniem.

Przed ogłoszeniem ocen zarządzono przerwę.

Zabrałam plansze, zniosłam je na wydział i wyszłam na zewnątrz. Obrona odbywała się w nowym budynku, noszącym dumną nazwę centrum biznesowego. Miał tylko trzy kondygnacje, za to sale były w nim luksusowe, z najnowocześniejszym wyposażeniem. Można było w nich urządzać nawet konferencje międzynarodowe. Zresztą, po to właśnie go zaprojektowano.

Na dworze świeciło słońce, było wręcz gorąco. Po raz kolejny przeklełam spódnice, gdyż musiałam w taki upał włożyć rajstopy oraz eleganckie szpilki, na których mogłam poruszać się z oszalamiającą prędkością zółwia.

– Można ci pogratulować – usłyszałam znajomy głos i aż podskoczyłam z wrażenia.

– T-to pan?

Z boku stał oparty o barierkę Dawletiarow we własnej osobie. Jak zwykle palił.

– W-wrócił pan?! – wyjąkałam, nie wierząc własnym oczom.

– Nie rozumiem twego zdziwienia, Czernowa. Zasadniczo pracuję tutaj. W każdym razie nikt mnie nie poinformował, że zostałem zwolniony. – Wyciągnął w moją stronę paczkę papierosów. – Wydaje mi się, że znowu musisz się uspokoić.

Chciałam odmówić, pamiętając jaki samobójczy gatunek pali, ale potem mimo wszystko wzięłam jednego.

– Czy to znaczy, że był pan na mojej obronie? – zapytałam niepewnie.

– Byłem, Czernowa. – Dawletiarow uśmiechnął się niemiło. – Muszę ci powiedzieć, że wyglądałaś okropnie. Drżące ręce, uginające się kolana, spojrzenie jak u wystraszonego królika. Osobiście miałem ochotę cię zastrzelić, żebyś się tak nie męczyła.

– Dziękuję, Igorze Georgiewiczu, jest pan bardzo uprzejmy – wymamrotałam z sarkazmem. – Jak zwykle...

– Dobrze chociaż, że nie zapomniałaś wystąpienia – kontynuował bezlitośnie. – Ze wskaźnikiem też wyszło nieźle, ale sądzę, że był to przypadek, prawda?

– Yhy... – burknęłam. – Nie wiedziałam nawet, co robię.

– To jedna z twoich najgorszych cech – stwierdził. – Najpierw robisz, a potem myślisz. Co prawda, nie mogę zaprzeczyć, że tym razem wyszło dobrze. Subtelny gest. Ze złomowiskiem też się nieźle wykręciłaś.

– Musiałam coś wymyślić – westchnęłam. – Nie sądziłam, że zapytają o coś takiego.

– Czasem nie rozumiem, po co straciłem na ciebie tyle czasu, Czernowa – powiedział Igor Georgiewicz jak zwykle sympatycznie, poprawiając wyłogi jasnej letniej marynarki. – Mam wątpliwości, czy nauczyłaś się myśleć.

Milczałam. Nie miało sensu się obrażać, słyszałam to od niego ze sto razy, jeśli nie więcej. A poza tym... poza tym cieszyłam się, że go widzę i już chociażby dlatego nie mogłam się na niego obrazić.

– Naprawdę było tak źle? – zapytałam w końcu.

– Z mojego punktu widzenia: tak – padła bezwzględna odpowiedź. – Ale komisji się podobało. Lubią jąkające się ze strachu dziewczątka z dobrych domów. – Igor Georgiewicz uśmiechnął się nieoczekiwanie. – Przestań się dąsać, Czernowa, masz zagwarantowane miejsce doktoranta.

Westchnęłam. Pewnie powinnam teraz powiedzieć, że gdyby nie on, nic by mi się nie udało, nie wybiłabym się ponad przeciętną – obroniłabym się tak jak wszyscy, nic ponadto. Zresztą sam o tym świetnie wiedział, więc po co strzępić język po próżnicy?

– A pan... – odważyłam się w końcu zapytać. – A pan... wrócił na zawsze?

– Czernowa, twoje wyszukane sformułowania zadziwiają mnie za każdym razem, nieraz już ci to mówiłem – odpowiedział Dawletiarow. – A jeśli tak ci się bardziej podoba, to proszę bardzo: tak, na zawsze. Nadal nadaję się do pracy administracyjnej. To lepsze niż pokrywać się kurzem.

Ze złością zmarszczył brwi, w oczach błysnęła znana mi już iskra. Aha, wszystko jasne. Praca administracyjna – to znaczy, że Dawletiarow będzie mógł wyszukiwać projekty takie jak ten, który dwukrotnie go okaleczył. To dobrze, ma nowy cel! Och, nie zazdroszczę studentom! Jeśli nawet Igor Georgiewicz nie będzie wykładać, to i tak znajdzie sposób, żeby pokazać wszystkim, gdzie raki zimują.

Przyłapałam się na tym, że uśmiecham się głupio i przybrałam poważny wyraz twarzy. Warto by spytać, dlaczego Dawletiarow znikł tak nieoczekiwanie. Nie wiadomo, co odpowie, ale spróbować można...

Dopiero wtedy zauważyłam, że mój papieros prawie zgasł i pośpiesznie się zaciągnęłam. Zbyt pośpiesznie – kaszlałam potem długo.

– Co za świństwo pan pali... – wykrztusiłam w końcu.

Z pewnością Igor Georgiewicz zrobiłby komentarz w rodzaju: „Po prostu nie umiesz palić, Czernowa”, ale wtedy właśnie trzasnęły drzwi i oboje popatrzyliśmy w tamtą stronę.

Z centrum biznesowego wyszła Larysa Romanowna, widocznie miała ochotę odetchnąć świeżym powietrzem, zobaczyła nas stojących razem, spokojnie palących papierosy, i osłupiała. Nadal nie mogłam pojąć, dlaczego tak bardzo stara się przeszkodzić w moich kontaktach z Igorem Georgiewiczem (a może na odwrót?), ale fakt pozostawał faktem.

– Naina... – zaczęła, ale Dawletiarow wszedł jej w słowo: – Czernowa, wydaje mi się, że na ciebie już czas. Lada chwila ogłoszą wyniki.

– A... tak, dziękuję. – Ocknęłam się i dałam nogę, wymijając Larysę Romanównę. Nie próbowałam nawet podsłuchiwać, o czym będzie rozmawiać tych dwoje. Ze strachu udało mi się mimo obcasów rozwinąć całkiem przyzwoitą prędkość i nie przewrócić się przy tym na schodach.

Wchodząc na salę, obejrzałam się jeszcze i zauważyłam na końcu korytarza znajomą sylwetkę Dawletiarowa, a więc sądzę, że rozmowa raczej się nie przeciągnęła.

Podczas ogłaszania wyników, wszystkich, którzy się dziś bronili, ustawiono równo w szeregu, jak na defiladzie. Osobiście czułam się z tym źle, nie lubię, gdy gapi się na mnie tyle osób.

Obcych, tak jak podejrzewałam, usadzili. Tylko jeden dostał czwórkę, reszta – naciągane trójki. Nasza grupa obroniła się równo. Swieta i chłopcy na czwórki, Małgorzata na pięć, mnie rektor zostawił sobie na koniec.

– Chciałbym zwrócić szczególną uwagę na wystąpienie Nainy Czernowej – oznajmił. – Hmm... Cóż mogę powiedzieć? To nawet nie piątka, a piątka z dwoma plusami. Jeśli można by postawić szóstkę, należałoby to zrobić [*w Rosji nadal obowiązuje odziedziczona po ZSRR skala ocen od 2 do 5*]. Wspaniała praca. – Zwrócił się w moją stronę. – Czy myśli pani o studiach doktoranckich?

– T-tak... – wydukałam, czerwieniąc się i czując na sobie kpiące spojrzenie Dawletiarowa.

– Pani praca wygląda jak punkt wyjścia do przyszłego doktoratu, czy dobrze zrozumiałem? – zapytał rektor.

Nie mogłam już bardziej się zaczerwienić, pokiwałam tylko głową.

– W takim razie jesienią czekamy na panią na egzaminach wstępnych – powiedział przyjaźnie i oznajmił: – Dziękuję wszystkim, jesteście państwo wolni!

Żeby się uspokoić, powiedziałam w myśli kilka niecenzuralnych słów i wyszłam. Marzyłam o tym, żeby dotrzeć do mojego pokoju w akademiku, paść na łóżko i nie wstawać do rana. Nie zamierzałam uczestniczyć w oblewaniu. Nie zaprzyjaźniłam się aż tak z ludźmi z roku, żeby z nimi pić.



Trzeci tydzień oddawałam się słodkiemu nieróbstwu, zaglądając od czasu do czasu na uczelnię, żeby sprawdzić, czy nie pojawił się spis pytań na egzaminy wstępne na studia doktoranckie. Oczywiście, był to tylko pretekst, naprawdę chodziło mi o to, żeby posłuchać plotek. Na wydziale mamy wiele laborantek, młóca językami bez przerwy, do mnie już przywykły i nie krępują się moją obecnością.

W głowie czułam dziwną lekkość i pustkę. Jakbym niosła na plecach ogromny ciężar, a kiedy w końcu go zrzuciłam, czegoś zaczęło mi brakować. Ale pewnie niebawem wrócę do równowagi, a do tej drzazgi, która tkwiła gdzieś w umyśle i od dawna nie dawała mi spokoju, w żaden sposób nie mogłam przywyknąć.

Uporać się z zadrą mogłam tylko w jeden sposób: zdobyć informacje. Mówiąc szczerze, miałam ogromną ochotę pójść do Larisy Romanowny i zapytać prosto z mostu, co też jej przyszło do głowy, by bawić się w intrygi, a przede wszystkim, po co?! Ale odpowiedziałyby mi pewnie, że z powodu przemęczenia nauką wymyślam androny. Mogłam się o to założyć.

Do Dawletiarowa też lepiej się teraz nie zbliżać, zresztą jeśli nawet coś wie, to i tak nie powie. Niech kto inny spróbuje, ale nie ja. Dawletiarow warknie: „Nie wasza sprawa” i życzę wielu miłych wrażeń przy próbie dowodzenia mu, że nie ma racji.

A jeśli... Usiadłam na łóżku, w którym wylegiwałam się już pół dnia. Jeśli kopię za głęboko? Któryś z filozofów powiedział: „Nie należy mnożyć

bytów”. Jak Boga kocham, nie pamiętam który, ale to mądra myśl. Cały czas coś kombinuję, wymyślam niemalże tajemnicze sekty, które uwiły sobie gniazdo w PUM i polują na tajemną wiedzę, której jedynym nosicielem jest Dawletiarow. Przedstawicielem sekty jest oczywiście Larysa Romanowna, a ja jestem wybrańcem, któremu Dawletiarow może przekazać mrozące krew w żyłach sekrety. Zachichotałam. Wyszedł z tego niezły scenariusz przygodowy, a narzekałam na brak wyobraźni!

A więc nie będę mnożyć bytów. Na razie w tajemniczą aferę na pewno zaangażowane są trzy osoby: Dawletiarow, Larysa Romanowna i ja, przy czym cała nasza trójka jest jakoś ze sobą powiązana. Być może jest w to zamieszany ktoś jeszcze, a może nie. Dla uproszczenia spróbujemy najpierw tańczyć od pieca, czyli zacząć od wersji, że nie ma żadnych postronnych osób i nigdy nie było... A mężczyźni w samochodzie? No cóż, pasują do obu wersji – i z postronnymi osobami, i bez, więc można o nich na razie zapomnieć.

Przewracałam się w łóżku jeszcze jakieś pół godziny, gapiłam się w sufit i intensywnie myślałam. Przez cały czas tkwiła mi w głowie teoria o sekretnych informacjach i nie pozwalała się skupić. „Dość tego!”, nakazałam sobie. „Wróć na ziemię!”. Najczęściej prawdziwe jest najprostsze rozwiązanie, przekonałam się o tym, przerabiając zadania z dematerializacji. A najprostszy wariant, w którym nie ma żadnej tajemnej wiedzy ani sekt, to stosunki międzyludzkie. Prawdę mówiąc, o stosunkach panujących między Dawletiarowem a Larysą Romanową nie wiem absolutnie nic. A kto wie... Jeszcze przez godzinę tworzyłam coś, co miało przypominać hipotezę. Dość kiepsko przypominało, ale nic innego nie miałam.

Kilka rzeczy trzeba wyjaśnić, wtedy moja hipoteza albo zawali się z hukiem, albo stanie całkiem prawdopodobna. Miałam pewien pomysł

wymagający sprawdzenia, a kto wie, może tam właśnie kryła się tajemnica dziwnego zachowania Larysy Romanowny? A nawet jeśli nie, było to intrygujące, a niezaspokojona ciekawość, jak wiadomo, jest strasznie męcząca!

Zastanowiłam się chwilę i doszłam do wniosku, że może mi pomóc tylko jedna osoba – ktoś kto przepracował na uniwersytecie wiele lat i dzięki wspaniałej pamięci może wymienić wszystkich studentów, jacy się tam kiedykolwiek uczyli. A była to Emma Germanowna Sztolc, bibliotekarka.

Oczywiście do wizyty u niej należało się odpowiednio przygotować. Dowiedziałam się, kiedy jej pomocnica Lenoczka Śliwina ma wolne i zjawiłam się właśnie tego dnia. Tym bardziej że i tak powinnam oddać książki poniewierające się u mnie od ponad roku. O tej porze w bibliotece nikogo nie ma. Sesję wiosenną zdali już prawie wszyscy, egzaminy wstępne właśnie się zaczęły, a abiturienti nie mają w bibliotece nic do roboty.

O aferze z magazynem książek i moim w niej udziale Emma Germanowna na szczęście nie wiedziała. Starszce nie powiedziano, że o mało co nie wysłano jej na zasłużoną emeryturę, a Lenoczka prawie wyleciała z pracy. I dobrze, że nie powiedziano, bo znacznie trudniej byłoby mi skłonić bibliotekarkę do rozmowy. (Lenoczki nie zwolnili za rażące zaniedbanie tylko dzięki wstawiennictwu kierownika katedry magii politycznej, który był w bardzo bliskich stosunkach z Lenoczka i nawet nie robił z tego specjalnej tajemnicy. Człowiek ten był od wielu lat żonaty i zupełnie nie miał ochoty tracić wygodnej przyjaciółki, która zawsze była pod ręką, dobroduszna, negadatliwa i niedomagająca się dużych pieniędzy. A że Lenoczka była głupia jak but... wszak nie o intelekt mu chodziło).

Odniosłam wrażenie, że Emma Germanowna ucieszyła się z mojej wizyty i nawet nie nakrzyczała na mnie za przetrzymanie książek.

– Słyszałam, że zamierzasz pisać doktorat? – zagaiła. – Aha – kiwnęłam głową. – Emmo Germanowna, nie było pani na naszym przyjęciu z okazji obrony, tak głupio wyszło, że pani nie zaproszono...

– No co też... – zaczęła, ale nie dałam jej powiedzieć ani słowa więcej, tylko położyłam na stole przygotowany prezent.

– Proszę... Przyniosłam pani przynajmniej coś słodkiego do herbaty!

– Oj, Nainoczko. – Emma Germanowna klasnęła w dłonie. Najwyraźniej zrobiłam jej przyjemność – torcik pachniał smakowicie, mnie samej ślinka ciekła, a Emma Germanowna była znaną miłośniczką słodczy. – Po co to wszystko...

Byłam gotowa wyrzucić lekki wpływ na staruszkę, ale okazało się to zupełnie zbyteczne, gdyż sama zaproponowała: – Nainoczka, może herbatki? Chyba się nigdzie nie śpieszysz?

– Gdzie mam się śpieszyć? – wzruszyłam ramionami. – Egzaminy są dopiero na jesieni, a więc... Z przyjemnością!

Emma Germanowna powiesiła na drzwiach tabliczkę *PRZERWA TECHNICZNA* i zaprowadziła mnie do pokoiku socjalnego. Było tam ciasno, ale przytulnie: mała kanapa, stolik, czajnik elektryczny – co więcej potrzeba do szczęścia?

Rozglądałam się, gdy staruszka rozstawiała filiżanki. Potem przez chwilę poplotkowałyśmy o ostatnich wydarzeniach na wydziale; było widać, że Emmy Germanowny nie rozpieszczano zbyt częstymi rozmowami, co znacznie uprościło moje zadanie.

– Emmo Germanowna, pani pracuje tu od dawna, prawda? – zapytałam mimochodem.

– Tak, niedługo będę obchodziła jubileusz czterdziestolecia pracy! – odpowiedziała z dumą.

– O, w takim razie na pewno pani wie... – zawiesiłam głos. Zrobiłam znaczącą pauzę i ciągnęłam dalej: – Pomagałam porządkować archiwum wydziału, oni też niedługo będą obchodzić jubileusz, więc postanowili zrobić gazetkę ścienną. Ileż tam jest starych fotografii! Wpadła mi w ręce jedna, podpisana „Lidia Smirnowa” i chciałabym zapytać, czy to przypadkiem nie jest córka Larysy Romanowny? Bardzo do niej podobna. Głupio mi jakoś ją samą zapytać...

Kłamałam tak beznadziejnie, że każdy by się połapał. Jaki znowu jubileusz? Miał być dopiero za dwa lata! Ale albo Emma Germanowna o tym nie wiedziała, albo puściła moje słowa mimo uszu, koncentrując się na wątku znacznie ciekawszym.

– Oj, Nainoczka, dobrze że nie spytałaś Larysy! – Załamała ręce. – To prawda, Lidoczka Smirnowa była jej córką, taka milutka dziewczyna, ładna jak z obrazka...

– A... coś się stało? – bąknęłam ostrożnie.

– Tak, umarła już dawno – westchnęła Emma Germanowna. – Coś strasznego, coś strasznego, Larysa nie mogła dojść do siebie...

– A co się stało? – zapytałam, wiedząc doskonale, że moja ciekawość wygląda nieprzyzwoicie, ale nie byłam w stanie się powstrzymać.

Emma Germanowna milczała chwilę, wspominając dawne wydarzenia, potem zaczęła mówić konspiracyjnym szeptem, jakby ktoś mógł nas usłyszeć: – O tym prawie nikt nie wie, ale myślę, że ty będziesz trzymać język za zębami... Lidoczka wyszła za mąż za Igora Dawletiarowa, znasz go...?

– Znam, i co? – powiedziałam tępo. Aha, wszystko się zgadza! Jednakże...

Plącząc się trochę w chronologii, Emma Germanowna opowiedziała następującą historię: Lida Smirnowa wyszła za mąż za Dawletiarowa przed

ukończeniem uniwersytetu, na trzecim albo czwartym roku, on był nieco starszy od niej. Wedle zapewnień staruszki, Larysa Romanowna przyjęła zięcia z otwartymi ramionami. Lida była obiecującym magiem iluzjonistą (Emma Germanowna twierdziła, że z całego kraju przyjeżdżano oglądać, jak pracowała) i już na trzecim roku osiągnęła takie wyniki, że wszyscy nie mogli się im nadziwić. Sama opracowała nową metodykę... Słowem – prawdziwy samorodny talent. No, a co sobą reprezentował w młodości Dawletiarow, dowiedziałam się już przedtem. Tak więc Larysa Romanowna zachowywała się tak, jakby Igor Georgiewicz był jej rodzonym synem, a to już całkiem wykraczało poza granice normalności...

Na ogół magowie mają trudne charaktery i rzadko dogadują się ze sobą, Ale tych dwoje, o dziwo, żyło w przyjaźni i otoczenie z niecierpliwością czekało, czym się to wszystko skończy. Zdolności magów są przekazywane przez dziedziczenie, a co mogłoby wyniknąć z tak rzadkiego połączenia magii bojowej i praktycznej nikt nie mógł przewidzieć. Generalnie: idylla.

I wszystko byłoby cudnie, gdyby nie fatalny przypadek. Pewnego razu, wieczorem, Dawletiarow zasiedział się na uniwersytecie zaabsorbowany jakimś eksperymentem. Lida czekała na niego kilka godzin, a w końcu poszła do domu sama. Jednak nigdy tam nie dotarła. Jej zniknięcie zauważono, niestety, dopiero rano: matka była przekonana, że została na uniwersytecie, a mąż – że szczęśliwie wróciła do domu. Żadne z nich nie wpadło na pomysł, żeby zadzwonić.

– Tu, za głównym budynkiem wcześniej był zwykły ugór – opowiadała szeptem Emma Germanowna. – To wszystko: kompleks sportowy, centrum biznesowe, zbudowali dopiero niedawno. A wtedy: pustka, do tego ciemnica, ani jednej latarni...

Lida poszła dziką ścieżką na przystanek, bo tak było najbliżej. Rankiem znaleziono ją na łąkach – jacyś dranie połaszczyli się na cieniutką obrączkę,

łańcuszek i pustawą studencką portmonetkę, uderzyli po głowie kawałkiem rury, obrabowali i porzucili. Znalezione ich, oczywiście, dla dobrego maga poszukiwacza złapanie śladu to żaden problem, ale Lidy nie udało się uratować.

– Na Larysę strach było patrzeć. Jedyna córka... – szeptała Emma Germanowna. – A Igor trochę schudł na twarzy i to wszystko, jakby nic się nie stało. Z kamienia jest, z kamienia... I zaraz zaczęło się gadanie, że gdyby odprowadził Lidoczkę, nic by się nie stało, ale nie, puścił dziewczynę samą po nocy... – Z wrażenia milczałam, a Emma Germanowna mówiła dalej: – Ale Larysa szybko wzięła się w garść i ukróciła wszystkie plotki. Oznajmiła, że według niej zięć nie ponosi winy za to, co się stało. Ileż razy powtarzała Lidoczce, żeby nie chodziła przez ugór, szczególnie wieczorem, ale nie posłuchała na swoje nieszczęście. Wtedy zaczęli plotkować o Larysie, różne rzeczy gadano... – Emma Germanowna machnęła ręką. – Ale oni oboje nie zwracali na to uwagi i stopniowo wszystko ucichło. Co prawda Igor drugi raz się nie ożenił. Wiele studentek na niego polowało, i doktorantek, przystojny był z niego chłopak, ale wszystkie przeganiał. Więc chyba jednak czuł się winny cały czas...

– Nie może być... – westchnęłam, chociaż końcówka opowieści wcale nie wydawała mi się logiczna.

Czyli to tak było...

Jeśli wierzyć Emmie Germanownie – a dlaczego miałabym jej nie wierzyć; jest plotkarą, ale nie fantastką – Larysa Romanowna bardzo dobrze odnosiła się do Dawletiarowa. Też odniosłam takie wrażenie, zawsze niepokoiła się o niego. Więc jak wyjaśnić jej dziwne zachowanie w ciągu ostatnich kilku tygodni?

Zdawało mi się, że coś już zaczyna się rozjaśniać, ale musiałam nad tym wszystkim zastanowić się w ciszy i spokoju, a nie siedząc obok gadatliwej

staruszki. Co prawda, musiałam jeszcze trochę wytrzymać, żeby nie obrazić Emmy Germanowny pośpieszną rejteradą.



Puściłam w ruch szare komórki, swoim zwyczajem rozmyślając na ulicy i znów nie wiedząc, co się dokoła mnie dzieje, a to, do czego doszłam, było porażająco melodramatyczne. Z drugiej strony, w życiu zdarzają się takie rzeczy, że niech się schowają wszystkie telenowe!e!

Początkowo, kiedy Dawletiarow wrócił do pracy, Larysa Romanowna jakby zapadła się pod ziemię. A potem wróciła i nagle zaczęła przejawiać ogromną troskę o byłego zięcia. Ileż razy w ciągu kilku ostatnich dni słyszałam od laborantek, a czasem nawet od wykładowców: „Nie trzeba niepokoić Igora Georgiewicza, to schorowany człowiek... dopiero co przeszedł ciężką operację... zdrowie ma kiepskie... poproś lepiej kogoś innego...”. Wszystko to w znacznym stopniu było dziełem Larysy Romanowny, co do tego nie miałam najmniejszych wątpliwości. Nikomu innemu coś podobnego nawet by do głowy nie przyszło: po powrocie z sanatorium Dawletiarow wyglądał znacznie lepiej niż przed wydarzeniami na poligonie, wręcz odmłodził, a jego władcze okrzyki słychać było piętro wyżej i piętro niżej. Na dźwięk jego głosu wiecznie senne laborantki zaczynały krzątać się jak mróweczki!

Owo gdakanie nieustannie zmartwionej Larysy Romanowny można by potraktować jako naturalną troskę o członka rodziny, nawet jeśli byłego, ale nie mogła nie wiedzieć, jak złoszczą go takie wypowiedzi! A nie było żadnych wątpliwości, że wszystko dotrze do Dawletiarowa, bo ludzie na uniwersytecie mają bardzo długie języki. W takim razie, dlaczego to robiła? Po co chciała pogłębiać w kimś poczucie braku wartości?

I w tym momencie mało nie przywaliałam czołem w latarnię. Czyli to tak... Ech, dziewczyno, dopiero co sama rozmyślałaś o tym, jak to się zawsze pakujesz w chaszcze, a rozwiązanie pewnie leży na wierzchu! Oczywiście, jeżeli dobrze to wszystko rozumiałam. Ale i tak powinnam podzielić się swoimi domysłami. Jak on mnie wyśmiej to wyśmiej, i tak nic na to nie poradzę, ale przynajmniej będę spokojna.

Szukać kogokolwiek na uniwersytecie w sobotni wieczór nie ma sensu, chyba że chodzi o Dawletiarowa. Jak sięgnę pamięcią zawsze tu przemieszkiwał. Jednak tym razem najwyraźniej postanowił zmienić obyczaje: nie znalazłam go ani w gabinecie, ani nigdzie indziej. A jeśli tak... gdzie jeszcze mógł być? Najprawdopodobniej w domu. Teraz nie ukrywa się już przed nikim. Trochę głupio zwałać mu się na głowę bez uprzedzenia, ale gdybym znalazła dobry pretekst...?

Pretekst znalazłam bez trudu i po półtorej godziny przebierałam już nogami pod znajomymi drzwiami, nie mogąc się zdobyć na odwagę, żeby zadzwonić. W końcu jednak nacisnęłam dzwonek, cofnęłam się o krok i czekałam.

Odniosłam wrażenie, że Igor Georgiewicz lekko się zdziwił, ujrawszy mnie na swym progu.

– Czernowa? – uniósł brwi. – Co tym razem?

– Proszę... – Wyciągnęłam w jego stronę reklamówkę z kilkoma grubymi teczkami. – Pomyślałam, że powinnam to zwrócić...

– A przynieść to na uniwersytet jest oczywiście znacznie trudniej niż taszczyć przez pół miasta – powiedział złośliwie.

– No, a potem pan by taszczył to przez pół miasta – nie pozostałam dłużna.

– A mnie co, zabroniono podnosić ciężary? – parsknął, jedną ręką biorąc ode mnie torbę. Nieźle się nadźwigałam, faktycznie była bardzo ciężka. –

Wchodźże...

Odetchnęłam z ulgą. Stać go było na to, żeby zatrzasnąć mi drzwi przed nosem. A jeśli nie zatrzasnął, to widać jest w niezłym humorze i można z nim porozmawiać.

Od czasu mojej wizyty wewnątrz prawie nic się nie zmieniło, tylko trochę bardziej widać było, że ktoś tu mieszka, głównie za sprawą silnego zapachu tytoniu i rozrzuconych wszędzie książek i papierów. Na stoliku migał ekran włączonego notebooka, telewizor ledwie dosłyszalnie bełkotał coś o polityce. Rzeczywiście, teraz Igor Georgiewicz nie ma żadnego powodu, żeby wysiadywać po nocach na uniwersytecie, musi gdzieś spędzać wolny czas, więc dlaczego by nie w domu?

– Wytrzymaj się, Czernowa, leje się z ciebie. – Ledwie zdążyłam przestąpić próg i zdjąć buty, a już w moją stronę poleciał ręcznik.

W odpowiedzi uśmiechnęłam się niepewnie – skąd taka troska? No cóż, istotnie ociekałam wodą, na dworze padał deszcz, a do tego wiał taki wiatr, że parasol nie dawał żadnej ochrony, po prostu wyrywało go z ręki. Wyglądałam też odpowiednio: zmokła kura, i tyle.

– Napijesz się herbaty? – Dziś Dawletiarow nie przestawał mnie zadziwiać.

– Nie, dziękuję – wydusiłam z siebie.

– Ach, zapomniałem, u mnie w gościach wolisz koniak. – Nie przegapił okazji, by wbić mi szpilę. – Wybacz, dziś koniaku nie mam.

Weszłam do pokoju i zatrzymałam się niezdecydowana. Nie chciałam siadać w mokrych dżinsach na kanapie, a sterczeć jak słup było jeszcze gorzej. W końcu znalazłam wyjście: stanęłam bokiem przy oknie i udawałam, że bardzo interesuje mnie szalejący na zewnątrz żywioł.

– Czernowa – odezwał się Igor Georgiewicz. – Sądząc po zagadkowo-idiotycznym wyrazie twarzy, coś ci się przydarzyło. Chcesz się zwierzyć?

– Chcę – burknęłam. – Tyle że nic się nie zdarzyło. To znaczy zdarzyło, ale nie teraz.

– Nic nie rozumiem, Czernowa. – Dawletiarow usadowił się w fotelu, założył nogę na nogę i spojrzał na mnie sceptycznie. – Spróbuj opowiedzieć wszystko po kolei.

– Spróbuję – zapewniłam. – Widzi pan, Igorze Georgiewiczu, wydaje mi się, że wiem o co chodzi... To znaczy, co się dzieje...

– Nie myl przyczyn i skutków, Czernowa – przerwał mi Dawletiarow. – A więc „o co chodzi” czy „co się dzieje”? Zdecyduj się!

– Zdecyduję się, jeśli pozwoli mi pan dojść do słowa! – rozzłościłam się. Igor Georgiewicz przybrał wyraz twarzy oznaczający uwagę, a ja zapomniałam, od czego chciałam zacząć. – No więc tak... Pamięta pan, jeszcze w Dąbkach rozmawialiśmy o tym, że dzieje się coś dziwnego? I co najważniejsze, z niewiadomych powodów! A teraz... wydaje mi się, że już wiem, jakie są te powody.

– No, no, bardzo ciekawe! – Igor Georgiewicz potarł brodę. – Kolejna sprawa wielkiego detektywa Czernowej... Słucham uważnie.

– Mówiąc wprost: wszystko zaczęło się... po prostu dawno. – Odwróciłam się, wcisnęłam głowę w ramiona w obawie, że po następnym zdaniu Dawletiarow czymś we mnie rzuci. – Po tym, jak zginęła pańska żona.

Za moimi plecami panowało milczenie, nie wiadomo, czy groźne, czy pełne zdziwienia. Potem rozległo się zgrzytnięcie zapalniczki.

– Skąd o tym wiesz? – zapytał Dawletiarow tonem luźnej konwersacji. Gdybym znała go trochę gorzej, mogłabym pomyśleć, że jest w tej chwili uosobieniem spokoju.

– O żonie? – Zacięłam się. – No... Igorze Georgiewiczu, to naprawdę niechący. Gdy przysłał mnie pan tutaj po teczki... no, fotografie same się

wysunęły, a jedna była podpisana...

– A ty nie wytrzymałaś, żeby nie wetknąć nosa, gdzie nie trzeba. – Głos nadal miał beznamiętny, ale wolałam się na wszelki wypadek nie odwracać.

– Co dalej?

– A dalej samo jakoś wyszło – powiedziałam skruszona. – Emma Germanowna...

– Już dawno trzeba było zwolnić tę chodzącą katarynkę – wycedził przez zęby Dawletiarow. – Emma wypaplała ci wszystko, co wiedziała, a wiedziała niemało; prawda, Czernowa?

– Uhm... – Pokiwałam głową. Może źle zrobiłam zaczynając tę rozmowę? – Igorze Georgiewiczu, ale może najpierw opowiem do końca, a dopiero potem pan może się wściekać hurtowo, dobrze? Bo gubię wątek.

– Wobec takiej groźby muszę skapitulować – chrząknął. – Nie wytrzymam twojego gubienia wątku. Dawaj, Czernowa, mów.

Zaczęłam mówić.

Mówiąc szczerze, wszystkie moje wnioski były palcem na wodzie pisane, opierały się wyłącznie na domysłach i kilku obserwacjach. Stworzyłam sobie taki obraz: Larysa Romanowna, chociaż demonstracyjnie opiekuje się byłym zięciem, w rzeczywistości nie darzy go ciepłymi uczuciami. Po co w takim razie, kilka lat temu, ucięła wszelkie spekulacje, jakoby to właśnie on ponosił winę za śmierć Lidy? Co jej to dawało? Długo nie mogłam znaleźć z tym sensu, aż w końcu mnie olśniło: po to, żeby sprawić mu jeszcze większy ból! Znała Igora Georgiewicza wystarczająco dobrze, żeby zrozumieć jedno: jeśli o winie (czy to prawdziwej, czy też wymyślonej) będzie mu się ciągle przypominać, sam sobie powie: „Tak, to moja wina” i dojdzie do ładu ze sobą i ze swym sumieniem. Ale gdyby tak postąpić na odwrót, przekonywać wszystkich wokół (w tym także jego), że nie jest niczemu winien, a wszystko zdarzyło się wyłącznie z powodu

głupoty Lidy, która poszła sama, w nocy przez niebezpieczną okolicę...? Dawletiarow należy do osób, którym łatwiej jest otwarcie przyznać się do winy niż chować się za cudzymi plecami, nawet jeśli ktoś go w pełni usprawiedliwi. Usprawiedliwi, ale niesłusznie – w tym sęk. Myślę, że Larysa Romanowna świetnie rozumiała, że w ten sposób kroi go tępym nożem. Dlaczego więc to robiła?

Przypuszczałam, że z chęci zemsty. Nie mogła przecież mieć tak niezachwianej pewności, że Dawletiarow jest absolutnie niewinny! To byłoby wbrew ludzkiej naturze. Wręcz przeciwnie. Chciała zmusić go, by żył z poczuciem winy – i wygląda na to, że jej się to udało.

Sądząc po grobowej ciszy panującej za moimi plecami, zgadłam.

Nadal stapałam po bardzo kruchym lodzie domysłów. Nie miałam żadnych dowodów, a nawet poszlak, ale mimo wszystko byłoby to jak najbardziej logiczną kontynuacją całej sprawy.

Gdy zaczęto mówić o udziale Dawletiarowa w projekcie „Demiurg”, Larysa Romanowna zainteresowała się tym nieprzypadkowo. W tym czasie była już doświadczonym magiem, chociaż może niezbyt potężnym. Śledziła najnowsze prace, znała wiele pionierskich teorii, chociaż nie zawsze się z tym afiszowała. Jednym słowem, miała niezłe wyobrażenie o tym, jak w przypadku niepowodzenia może skończyć się eksperyment. Wiedziała i zrobiła wszystko, by namówić Dawletiarowa do uczestnictwa. Zresztą, sam mi opowiadał, jak bardzo go prosiła. Co jak co, ale manipulować ludźmi potrafiła...

Sądzę, że po eksperymencie Larysa Romanowna była bardzo z siebie zadowolona. Śmierć Igora Georgiewicza nie dostarczyłaby jej takiej satysfakcji. Za to obserwowanie, jak człowiek, dla którego sensem życia była praca, z marnym skutkiem usiłuje podnieść z ruin swe umiejętności, było dla niej wyszukaną przyjemnością. Do tego traktowała go jak ofiarę,

wiedząc, że to doprowadza Dawletiarowa do białej gorączki. Pamiętam świetnie: wszyscy wykładowcy traktowali go jak ciężko chorego, którego nie można denerwować, wyprowadzać z równowagi i w ogóle przypominać o tym, co się zdarzyło. Po prostu stworzono dla niego prywatne piekło.

Dalej było jeszcze gorzej. Świętej pamięci Łodygin rozpoczął poszukiwania nowych kandydatów na uczestników eksperymentu. Z ogromnym trudem Dawletiarowowi udało się pozbyć z uniwersytetu Mariny Rogaczowej, ale ze mną ten numer nie przeszedł. Wygląda na to, że oboje mogliśmy startować w ogólnokrajowym konkursie na Uparciucha Roku, gdyby takowy się odbywał. I tak oto w rękach Larysy Romanowny znalazło się nowe narzędzie: z przyjemnością obserwowała jak Dawletiarow ze wszystkich sił stara się przeszkodzić Łodyginowi, ale nic mu z tego nie wychodzi. Teraz nie jestem pewna, czy nikt nie wiedział o tym, że Dawletiarow wcielił się w nieżyjącego Łodygina. Sądzę, że Larysa Romanowna odkryła prawdę, może nie od razu – pamiętam, że tuż po pogrzebie Igora Georgiewicza chodziła smutna (a jakże, udało mu się uciec!), ale potem jakoś poweselała.

Co prawda, na poligonie wesoło nie było. Kalkulacja profesorki opierała się na tym, że albo zginę, albo całkiem utracę zdolności magiczne, a wtedy Dawletiarow zyska kolejny powód, by nienawidzić samego siebie – jak to, nie mógł przekonać głupiej dziewczyny?! – ale tym razem rachuby zawiodły. Zamiast mnie o mało co nie zginął sam Dawletiarow. Co prawda okazał się nadzwyczaj żywotny i po raz kolejny uciekł grabarzowi spod łopaty, ale – cóż za szczęśliwy traf – tym razem stracił do reszty zdolności magiczne.

Podobnie jak ja, Larysa Romanowna jeździła do niego do sanatorium. Lecz o ile ja starałam się zachowywać jak gdyby nic nie zaszło, a ona odwrotnie – rozdrapywała świeże rany. Namawiała Igora Georgiewicza,

żeby porzucił to wszystko, co pozbawiło go zdrowia i normalnego życia – czyli uniwersytet i magię – zachęcała by żył tylko dla siebie, wypełnił czymś pustą egzystencję, bo przecież na uczelni wszystko poszło daleko naprzód, cóż robić... Z rozmysłem przedstawiała go jako bezwartościowego człowieka, a robiła to zarazem bardzo subtelnie. Dla kogoś takiego jak Dawletiarow – energicznego, aktywnego, a do tego skrajnie ambitnego, być niepotrzebnym i do niczego się nie nadawać, jest gorsze od śmierci! A być obiektem litości – jeszcze gorzej! Właśnie dlatego wtedy, w Nowy Rok pytał, czy przyjeżdżam do niego z litości. Pewnie dzień wcześniej Larysa Romanowna znów się nad nim użalała.

Szło jej ani dobrze, ani źle. Pewnie nic nie wiedziała o moich wizytach, a Dawletiarow nie miał najmniejszego zamiaru jej o nich informować. Wydaje mi się, że coś podejrzewał, przeczuwał instynktownie, dlatego w obecności Larysy Romanowny zachowywał się tak, jak tego oczekiwała. Ale potem zdecydowała się porozmawiać z ordynatorem, dla niepoznaki podając inne nazwisko, a ten, w najlepszych intencjach poinformował ją, że nie wszyscy o Dawletiarowie zapomnieli; przyjeżdża do niego jakaś dziewczyna, a po jej wizytach pacjent ze złości prawie chodzi po ścianach. Larysa Romanowna bez wątpienia miała pojęcie, jaki jest rozzłoszczony Dawletiarow i zrozumiała – jej wysiłki idą na marne. Gdyby wiedziała, że nie tylko go odwiedzam, ale jeszcze wyprosiłam u niego konsultacje, pewnie dostałaby zawału.

Pojawilo się więc pytanie: jak uniemożliwić Igorowi Georgiewiczowi spotkania ze mną. Najpierw chwyciła się najprymitywniejszej metody. Postanowiła mnie nastraszyć. Cóż może być prostszego niż wynajęcie kilku łobuzów – wszędzie ich pełno – być może Larysa Romanowna miała różne przydatne znajomości. Liczyła na to, że zabarykaduję się w akademiku i nosa nie wysunę za próg. A ja, wprost przeciwnie, zaczęłam bawić się w

konspirację, nie rezygnując z wizyt w sanatorium. Niby jak mogłam zrezygnować skoro właśnie kończyłam pracę dyplomową?!

Jednym słowem, nie zadziało, a po moim występie z samochodem chłopcy całkiem stracili zapał. Wyglądało na to, że Larysa Romanowna nie powiedziała im, jakiego rodzaju dziewczynę mają nastraszyć.

Musiała szukać innego sposobu, a okazał się całkiem prosty, jak wszystkie genialne pomysły: wymyśliła kilka kłamstw. Larysa Romanowna nie przewidziała tylko jednego: że taka posłuszna i skromna dziewczynina jak ja nie uwierzy jej, tylko od razu pogna do ordynatora! A i Dawletiarow sprytnie ją oszukał – myślę, że tym razem także intuicyjnie wyczuł, czego od niego oczekuje.

Jednym słowem, Larysa Romanowna osiągnęła efekt dokładnie odwrotny do zamierzonego: Dawletiarow nie tylko nie został uwolniony od mojego towarzystwa, lecz, co więcej, ostatecznie pokazał rogi i wrócił na uniwersytet. Pewnie i tak nie zamierzał kisić się w sanatorium do końca swoich dni, a do tego nie wiadomo, dlaczego nagle doszedł do wniosku, że szykuje się sequel tragicznej epopei „Demiurg” i rzucił się do boju.

Chyba domyślałam się, dlaczego tak sądził. Byłam przecież podstawowym zasobem energetycznym dla tej ich całej maszyny i mogli ponownie mnie namawiać, bym jeszcze raz wzięła udział w eksperymencie, albo nawet oszukać – pod warunkiem, że nic nie powiem Dawletiarowowi, on od razu zorientowałby się w czym rzecz. Zresztą sama bym się zorientowała, nie jestem przecież kompletną idiotką, chociaż wiele osób, w tym sam Igor Georgiewicz, ma o mnie taką opinię.

Projekt został jednak pogrzebany na długo – może nawet na zawsze – i Dawletiarow nie miał specjalnie z kim walczyć, ale było już za późno: wrócił i nie zamierzał odejść. A kiedy Larysa Romanowna przyłapała nas razem na tarasie przed centrum, doszczętnie straciła humor. Myślę, że w

tym momencie zrozumiała, że jestem jedyną osobą w otoczeniu Dawletiarowa, która może zniweczyć jej plany.

Nie wiem, co jeszcze mogła wymyślić i raczej nie chcę się dowiedzieć.

Mniej więcej to opowiedziałam Igorowi Georgiewiczowi, oczywiście jękając się, zacinając niemalże przy każdym słowie i chaotycznie przeskakując od jednej myśli do drugiej. Ale zrozumiał mnie aż za dobrze.

– Mówiłem ci już, Czernowa, że powinnaś iść na wydział kryminalny – powiedział cicho, a ja zorientowałam się, że od jakiegoś czasu stoi tuż za mną. – A jeszcze lepiej, gdybyś zajęła się literaturą. Pisałabyś same bestsellery.

– Czyli co, wymyśliłam straszne głupoty, tak? – spytałam, mając ogromną nadzieję, że odpowiedź będzie twierdząca.

– Akurat odwrotnie – odparł. – To wiele wyjaśnia. Z boku zawsze lepiej widać.

Odwróciłam się, żeby spojrzeć na niego. Miał nieprzenikniony wyraz twarzy, tylko usta zacisnął w wąską kreskę, a oczy... Gdyby wzrok mógł zabijać na odległość, na uniwerku pewnie znów odbyłby się uroczysty pogrzeb. Podobnie ożywione spojrzenie widziałam tylko na starych fotografiach Dawletiarowa, ale nie wyglądał na nich tak okrutnie jak w tej chwili.

– To wiele wyjaśnia – powtórzył.

– Może się mylę... – odezwałam się ostrożnie. – Nigdy nic nie wiadomo... Wymyślić można wszystko, więc...

– Nie mylisz się, Czernowa – przerwał mi Igor Georgiewicz. – Przez wszystkie te lata byłem ślepy. I słono za to zapłaciłem. W końcu wszystko zaczęło się ode mnie.

– Tak nie można... – Urwałam nagle, rozumiejąc, że czego jak czego, ale mojego pocieszania Dawletiarow zupełnie nie potrzebuje. Jeśli będzie

potrzebował, sam się świetnie pocieszy; samobiczowanie nie leży w jego naturze. Przeżyje. Pośpiesznie zmieniłam temat: – Nie rozumiem tylko, dlaczego tak nagle pan znikł.

– A co ci powiedział Lew Jewgieniewicz? – zapytał Dawletiarow.

– Ze pewnie musi pan coś przemyśleć i że nikt nie powinien w tym przeszkadzać – odpowiedziałam.

– I znowu miał rację. – Na twarzy Dawletiarowa pojawił się słaby uśmiech. – Tak właśnie było. Chociaż to nie był jedyny powód.

– A jaki był drugi?

– Nie twoja sprawa, Czernowa – odpowiedział Dawletiarow tonem nawet dość przyjaznym. – Nie mam obowiązku spowiadać ci się ze wszystkich swoich poczynań.

– Przepraszam... – wymamrotałam. – Po prostu pomyślałam... zresztą, nieważne. Aha, Lew Jewgieniewicz prosił, abym przekazała, że jest pan draniem i nieznośnym człowiekiem.

– Dziękuję, Czernowa – spokojnie powiedział Igor Georgiewicz. – Przyjemnie usłyszeć pozdrowienia od lekarza prowadzącego. A w związku z czym o to poprosił?

– Nieważne – burknęłam. – No, tak... I co dalej?

– Dalej, Czernowa, radzę ci dobrze rozglądać się na boki – rzekł sucho.

– Oczywiście, jesteś teraz dyplomowanym magiem z niebezpieczną specjalizacją, ale radzę nie zadzierać nosa. To w niczym nie pomoże.

Chyba zrozumiałam, co chciał przez to powiedzieć: jeśli Larysa Romanowna straciła równowagę psychiczną z powodu dręczącej jej *idée fixe*, a to całkiem prawdopodobne, może szykować dla mnie kolejną nieprzyjemną niespodziankę. Dawletiarow jest jej potrzebny żywy i cierpiący, a ja jestem po prostu zawadą. I chociaż na PUM jestem uważana za cenny nabytek, to czy będzie o tym pamiętała?

– Dobrze, nie będę zadzierała nosa – powiedziałam cicho. Z niejasnych powodów miałam uczucie, jakbym dusiła się kłębem waty. – I będę się rozglądać...

Nie wiem, dlaczego wzięłam Dawletiarowa za rękę. Nie wiem po co, może by przekonać się, że wszystko dzieje się naprawdę, a może z innego powodu. Tyle tylko, że nie powinnam tego robić, bo przypomniał mi się prawie taki sam, deszczowy dzień rok temu i coś ścisnęło mi gardło. A potem zrobiłam zupełnie niewybaczalną głupotę: wetknęłam nos w ramię Dawletiarowa i zapłakałam. Było mi żal wszystkich: Larysy Romanowny, która prawie dziesięć lat straciła na tę głupią zemstę, i jego, i samej siebie, że tak bez sensu wdepnęłam w tę historię, w której już nic nie można było naprawić... Było mi tak bardzo żal, że miałam złudzenie, jakby to uczucie wylewało się na zewnątrz i zatapiało całe mieszkanie. A może i potop na ulicy też zaczął się z mojej winy...?

„Czernowa, jeśli będę miał ochotę przemoknąć, wyjdę na ulicę, tam leje deszcz” – tak bardzo czekałam na takie słowa, że prawie je usłyszałam. Ale tylko mi się wydawało. Igor Georgiewicz nic nie powiedział. Nie ruszył się z miejsca, dopóki nie skończyłam siąkać nosem.

– To... – Nie wiedziałam, gdzie mam podziać oczy. Dawletiarow patrzył na mnie jakoś tak dziwnie, jak na eksponat z muzeum osobliwości. – To ja już sobie pójdę...

Nie doczekawszy odpowiedzi, wyskoczyłam do przedpokoju, zerwałam kurtkę z wieszaka, wsunęłam stopy w mokre buty i wybiegłam. Dawletiarow nie zatrzymywał mnie.

Na dworze lał deszcz, parasolka dożyła swoich dni, mogłam się nią co najwyżej nakryć jak grzyb kapeluszem, ale tak nisko jeszcze nie upadłam. Już lepiej zmoknąć, tym bardziej że moje ubranie i tak nie było suche.

– Czernowa! – usłyszałam za plecami, ale nie odwróciłam się. – Czernowa, mówię do ściany...?

Mimowolnie zerknęłam do tyłu, obiema rękami naciągając kaptur na głowę. Igor Georgiewicz stał w wejściu na klatkę schodową, nie ryzykując jednak wyjścia na ulewę.

– Wróć, nie skończyliśmy rozmowy – rozkazał.

– Powiedział pan wszystko, co chciał powiedzieć! – krzyknęłam w odpowiedzi. – Wszystko zrozumiałam! I... do widzenia, w ogóle!

– Czernowa! – wrzasnął wściekle za moimi plecami Dawletiarow, dodając do tego kilka niecenzuralnych słów. Wolałam udawać, że ich nie słyszę. Zignorowałam go, zajęta omijaniem kałuży o iście oceanicznych rozmiarach. W jego głosie wrzała wściekłość. A niech tam, niech się złości, co mi może zrobić? Nie będzie mnie przecież gonił!

Pomyślałam tak, przyśpieszając kroku, i natychmiast całym ciałem uderzyłam w ścianę. Niewidzialną ścianę, ściślej mówiąc. W dotyku przypominała mur z cegły.

Obejrzałam się.

Igor Georgiewicz nadal stał tam gdzie przedtem, a jego pobielełe policzki i rozdęte nozdrza świadczyły o okropnym wzburzeniu.

Miałam wrażenie, że w głowie raptownie wybucha mi fajerwerk, od razu wszystkie elementy układanki znalazły się na swoim miejscu: telefon z automatu z zablokowaną „ósemką”, i dziwna głuchota Larysy Romanowny, kiedy omal nie wpadłam na profesorkę w sanatoryjnym ogrodzie... Dotarło do mnie, że się głupio uśmiecham.

– Co pan wyrabia, Igorze Georgiewiczzu?! – krzyknęłam. – O mało sobie nosa nie rozkwasiałam!

– Musisz rozglądać się nie tylko na boki, Czernowa! – nie pozostał mi dłużny. – Pod nogi też patrz!

– Do licha! – Zostawiłam w spokoju kaptur, i tak już przemokłam do suchej nitki, i ruszyłam z powrotem, nie omijając już kałuż. Pantofle szlag trafił... – O czym jeszcze nie porozmawialiśmy?

– Po pierwsze, nie waż się uciekać bez pozwolenia – usłyszałam w odpowiedzi. – Po drugie, zapomniałaś torebki. Po trzecie... – podniosłam oczy i osłupiałam: Igor Georgiewicz uśmiechał się i to tak, jakbym się nigdy po nim nie spodziewała: arogancko i jakby niepewnie zarazem. – Po trzecie, po prostu: ani mi się waż uciekać!

– No dobrze... – fuknęłam, a zaraz potem kichnęłam donośnie; było zimno. Zmierzyłam go spojrzeniem od stóp do głów i zapytałam nie bez ciekawości. – Coś jeszcze pan powie?

– Powiem – obiecał Igor Georgiewicz. – Nie ma co dłużej moknąć, Czernowa. Przeziębisz się. Chodźmy do domu. Tym bardziej, że znalazł się koniak.

– Rozpija pan dorastającą młodzież – westchnęłam. – Dobrze. Jeśli taki sam, jak wtedy, w sanatorium, to chodźmy...

– Nie wydaje ci się, że głupio jest nadal mówić do mnie „pan”? – zapytał nieoczekiwanie, czym wprowadził mnie w niejakie oszołomienie. Bo niby dlaczego miałyby się ze mną spoufalać? No, popłakałam trochę, i tyle...

– Ale na „ty” mi nie wychodzi – powiedziałam uczciwie. – Jest pan starszy. Do tego wykładowca. I nie piliśmy brudzia.

– Mądrała – uśmiechnął się Dawletiarow. – I brudzia nie piliśmy, i starszy jestem, i wykładowca. Co prawda były.

– Dla kogo były, dla tego były – odparowałam. Było mi zimno, ale absurdalnie wesoło. – Zamierzam jeszcze napisać doktorat, nie pamięta pan?

– Pamiętam – skrzywił się. – Ale mam duże szanse przejść na emeryturę, zanim...

– Zanim co? – zapytałam. W tym czasie zdążyliśmy już dotrzeć do mieszkania, zdjęłam nawet mokre buty.

– Nieważne. Trzymaj. – Podał mi kieliszek. Rzeczywiście, koniak się znalazł, i to taki sam jak ten, którym Dawletiarow częstował mnie w sanatorium. Ciekawy zbieg okoliczności. Nawet butelka była identyczna, zapamiętałam, bo wcześniej nie widziałam takiej marki.

– Igorze Georgiewiczu – powiedziałam. – Czy mogę prosić, żeby był pan moim promotorem?

– Poprosić zawsze można. Tylko kto się na to zgodzi? Nie jestem już praktykującym magiem, za to ty jesteś bardzo obiecującą specjalistką.

– Myślę, że pozwolą – oznajmiłam z przekonaniem. – Obiecujące specjalistki chyba mogą mieć małe kaprysy? To jak, zgodzi się pan?

– Ja? Być może się zgodzę – po chwili namysłu pokiwał głową Igor Georgiewicz. – Praca z tobą, Czernowa, jest ciekawa. Pomijając twój okropny charakter.

– I kto tu mówi o charakterze! – zakrzyknęłam z oburzeniem, ale nie zwrócił na to uwagi.

– Ciekawe będzie przekonać się, co z ciebie wyrośnie... – powiedział powoli.

– Mnie też to ciekawi – powiedziałam szczerze, myśląc przy tym: „Tak, pod pańską czujną opieką!”. – A może wypijemy za to?

– Za co? – Igor Georgiewicz uniósł brwi.

– Za nas! – wypaliłam, od razu wypiałam pół kieliszka i natychmiast zaczęłam kaszleć tak, że o mało nie dotknęłam głową kolan. Ze też nigdy nie mogę ugryźć się w język. Miałam na myśli pracę, mówię to dla tych, którzy nie zrozumieli, a wyszło nie wiadomo co, jak zwykle...

– Zgoda – powiedział Dawletiarow, nie zwracając uwagi na moje konwulsje. – Podoba mi się twój toast, Czernowa... Tylko bądź uprzejma

wypić do dna.

– Czernowa! – rozległo się na pustej alejce. – Nie zostawaj z tyłu!

– Nie zostaję – odburknęłam. Kuśtykałam za Dawletiarowem w wilgotnych pantoflach, które boleśnie obtarły mi stopy. Jak zwykle dopiero w pół drogi na uniwersytet skojarzyłam, że mogę je wysuszyć. No to wysuszyłam. Tylko że nogi już starłam do mięsa. Taki drobiazg mogłabym wyleczyć, ale w tym celu trzeba by się zatrzymać i skoncentrować, a tego nie mogłam zrobić, bo Dawletiarow leciał przodem. Musiałam jakoś przecierpieć.

W końcu ulitował się, przystanął, poczekał aż go dogonię i podał mi ramię. Uczepiłam się go z wdzięcznością, tak iść było dużo łatwiej.

– Na przyszłość nie zakładaj butów na gołą stopę – pouczył mnie.

– A właśnie, że będę – odburknęłam.

– Nie dyskutuj ze mną, Czernowa!

– Nawet mi to przez myśl nie przyszło! – parsknęłam.

Trudno zgadnąć, co mógłby mi odpowiedzieć, na pewno coś miłego i delikatnego, ale właśnie wtedy naprzeciwko nas pojawiła się ostatnia osoba, jaką chciałabym teraz spotkać – Larysa Romanowna. Ta dostojna dama tradycyjnie już skamieniała, widząc mnie idącą pod rękę z Dawletiarowem, a ja aż nazbyt wyraźnie uświadomiłam sobie, jak nieświeżo wyglądam. Nocowałam u Dawletiarowa, bo znów usnęłam na kanapie (zdecydowanie nie powinnam pić koniaku na pusty żołądek). Nic dziwnego, że rankiem mój strój wyglądał jak psu z gardła wyciągnięty. A do tego zero makijażu – Dawletiarow najzwyczajniej w świecie odmówił czekania, aż doprowadzę się do porządku. Miałam wrażenie, że on ma grafik rozpisany nawet nie w godzinach, tylko w minutach. I dla mnie w tym grafiku miejsca nie przewidziano. Jednym słowem: w danej chwili wyglądałam jak dziecko wojny i tramwajarza.

– Dzień dobry. – Dawletiarow przywitał się jak gdyby nigdy nic.

– D–dzień dobry... – wykrztusiła Larysa Romanowna i znowu popatrzyła na mnie ze zgrozą. Staralam się uśmiechnąć uprzejmie, ale wypadło to chyba dość żałośnie.

– Bardzo się cieszę, że panią spotkałem – kontynuował Dawletiarow, zdejmując z rękawa moją dłoń. – Musimy porozmawiać i to im szybciej, tym lepiej.

– Ja też chciałam z tobą porozmawiać. – Larysa Romanowna kiwnęła sztywno głową, nie odrywając ode mnie wzroku. – Sam na sam.

– Cóż za szczęśliwy zbieg okoliczności – odparł Igor Georgiewicz, a potem zwrócił się do mnie. – A ty, Czernowa, idź już.

– Nie pójdę – burknęłam. Wyglądało na to, że Dawletiarow postanowił porozmawiać sobie szczerze z Larysą Romanowną, jakże więc mogłabym coś takiego przegapić?!

– Czernowa, mówię do ściany? – Twarz Igora Georgiewicza przybrała taki wyraz, że mimo woli zrobiłam kilka kroków. – Powiedziałem: zmykaj stąd!

Zrozumiałam, że opór nie ma sensu, zakłęłam w myślach i ruszyłam w stronę akademika. Ledwo oddaliłam się kawałek, zwolniłam w nadziei, że uda mi się coś usłyszeć. Schowałam się za rogiem budynku i zaczęłam bezczelnie podsłuchiwać. Tak, tak, to bardzo brzydko, wiem. Zakłęcie wyostrzające słuch jest bardzo łatwe, potrzeba tylko skierować je precyzyjnie na dany obiekt, inaczej można ogłuchnąć od kakofonii dźwięków, a tego nie miałam w planach. Bojąc się, że zostanę przyłapana, starałam się nie przedobrzyć, dlatego rozmowę słyszałam niezbyt wyraźnie, jak przez gruby koc, ale mogłam rozróżnić poszczególne słowa.

– Sam się domyśliłeś? – zapytała Larysa Romanowna bez specjalnego zdziwienia. Prawdopodobnie Dawletiarow od razu powiedział jej prosto w

oczy, że teraz wszystko rozumie.

– Niestety, nie – odpowiedział. – Zaprzeczy pani?

– Nie. Masz absolutną rację. A tobie, jak widzę, można pogratulować, Igorze – powiedziała Larysa Romanowna z ironią. Ton głosu był tak niepodobny do jej zwykłego sposobu prowadzenia rozmowy, że aż poczułam się jakoś dziwnie. – Znowu chcesz pojechać na czyichś plecach.

– Nie do końca rozumiem tę metaforę – podejrzanie beznamiętnym głosem powiedział Dawletiarow. – Proszę mi wyjaśnić.

– Nie udawaj, że nie rozumiesz. – Teraz Larysa Romanowna mówiła twardo, zdecydowanie. Bez wątpienia była wściekła. – Mówię o tej dziewczynie, Czernowej. Dostrzegłeś jej potencjał i przyczepiłeś się do niej jak rzep do psiego ogona. Sam się teraz do niczego nie nadajesz, ale dzięki niej możesz wyrobić sobie prestiż, nieprawdaż? Nie zaprzeczaj! – krzyknęła; widocznie Dawletiarow chciał coś powiedzieć. – Myślisz, że nie dostrzegłam twojego stylu w jej pracy? Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby okazało się, że większość sam za nią napisałeś! To by było do ciebie podobne...

Bardzo żałowałam, że nie widzę ich twarzy. Wreszcie wpadłam na pomysł, za pomocą najprostszej na świecie sztuczki – soczewki powietrznej – zobaczyłam rozmawiających jak na dłoni. Obraz wyszedł nieostry, bo bardzo się śpieszyłam, ale znośny. Tak, jak oczekiwałam, Larysa Romanowna przedwcześnie świętowała zwycięstwo, a twarz Dawletiarowa była nad wyraz spokojna, tylko wzrok miał taki, że mógłby nim roztopić żelazo.

– Proszę kontynuować – uprzejmie zaproponował Dawletiarow. Jego uśmiech nie wróżył nic dobrego.

– Nie ma po co, Igorze! – Larysa Romanowna skrzywiła się ironicznie. – Zawsze taki byłeś, nie zmienisz samego siebie. Gdy się tu zjawiałeś, byłeś

nikim, absolutnie nikim! A moja Lidka była dla ciebie jak wygrana na loterii, nie zaprzeczaj! Wiedziałeś, że wszystko dla niej zrobię, dlatego się z nią ożeniłeś, prawda? I dostałeś wszystko, czego chciałeś: i miejsce na studiach doktoranckich, i fundusze na badania... Jak myślisz, kto się za tobą wstawił? Za nikomu nieznanym chłopakiem?

Dawletiarow milczał. Słuchałam z ustami otwartymi ze zdziwienia.

– Nigdy nie przyszło pani do głowy, że po prostu ją kochałem? – nieoczekiwanie zapytał Igor Georgiewicz przyciszonym głosem.

– Nie, Igorze. Nie umiesz kochać nikogo oprócz siebie. – Larysa Romanowna pokręciła głową. – Idziesz do celu po trupach. Jesteś przerażającym człowiekiem, choć sam tego nie rozumiesz. Z Lidką ci się udało, zatrzymałeś wszystkie korzyści i byłeś wolny. A teraz znalazłeś kolejną młodą idiotkę, wyciśniesz z niej wszystko, co się da, a potem wyrzucisz... – Przerwała, żeby złapać oddech. – Nieważne, że nie jesteś teraz magiem, wystarczy, że będziesz promotorem jej pracy, żeby zajść wysoko. Tylko widzisz, Igorze, upadek z wysoka jest bardzo bolesny!

– Wiem. Chcę panią uprzedzić tylko o jednym: jeśli tej dziewczynie coś się stanie, nie zawaham się przed niczym. Wie pani doskonale, Laryso, że nie są to puste groźby.

– Znam cię aż za dobrze, Igorze. – Kiwnęła głową Larysa Romanowna. – Widzę, że wiążesz z nią szerokie plany. Z Lidką było tak samo?

– Chce pani wiedzieć, dlaczego nie odprowadziłem wtedy Lidy? – powoli spytał Dawletiarow, a nie doczekawszy się odpowiedzi, ciągnął dalej: – Tamtego wieczora powiedziała mi, że odchodzi z innym, z jakimś studentem historii, nie pamiętam nawet jego imienia. Pokłóciliśmy się, wyszła. Nie pobiegłem za nią, żeby namawiać ją do powrotu, chociaż pewnie tego oczekiwała. I to wszystko.

– Nie... – Larysa Romanowna zasłoniła usta dłonią. – Lida nie mogła...

– Czego nie mogła?! – Dawletiarow podniósł głos. – Nie mogła zrobić nic wbrew pani woli? Przecież pani tak bardzo chciała wiedzieć, co wyjdzie z naszego związku! Teraz niech pani nie zaprzecza, Laryso, to pani namówiła Lidę, żeby wyszła za mnie za mąż. Nigdy naprawdę mnie nie kochała, po prostu, pani zdaniem, byłem „dobrą partią”, nieprawdaż? – Uśmiechnął się chłodno. – Moje zdolności i ambicja oraz pani znajomości, z tego rzeczywiście mogło wyjść coś wielkiego.

– Co z ciebie za potwór, Igorze... – W głosie Larysy Romanowny nie było nic poza bezgranicznym zdziwieniem. – Nie podejrzewałam nawet do jakiego stopnia ty... – Odniosłam wrażenie, że chlipnęła cicho. – Dlaczego żyjesz do tej pory, a moja Lidka umarła?!

Odgadłam, co zamierza zrobić, poczułam niezwykle szybką koncentrację energii w jednym punkcie, ale spóźniłam się o ułamek sekundy. Gołym okiem nikt by niczego nie zauważył, co najwyżej dostrzegł drganie powietrza między dwojgiem ludzi, podobnie jak to bywa podczas silnych upałów.

Larysa Romanowna była niezbyt potężnym magiem, ale przy tak niewielkiej odległości uderzenie powinno zmieść pozbawionego wszelkiej ochrony Dawletiarowa jak pyłek. Wybiegłam z za rogu, jakby mnie ktoś gonił, ale krzyk uwiązał mi w gardle, bo Igor Georgiewicz stał, jakby nigdy nic i, gdybym go nie znała, pomyślałabym, że atak przeszedł bokiem. Ale nic z tego! Larysa Romanowna była gotowa uderzyć ponownie, a drugiego ataku Dawletiarow by nie wytrzymał. Niewiele myśląc, umieściłam między nimi „ściankę” i to taką, że aż asfalt popękał i zapadł się. Potok energii rozbił się o „ściankę”, rozplywając się nieszkodliwie.

– Nikt cię nie prosił, żebyś się wtrącała, Czernowa – powiedział Igor Georgiewicz lodowato, gdy dobiegłam do nich, dysząc jak zajeżdżony koń,

nie pamiętając nawet o bólu w obtartej nodze. – A tym bardziej podsłuchiwała za rogiem.

– A spadajże... na drzewo... – wysapałam i złapałam go za rękę. Była zimna i wyraźnie drżała. Kolejny już raz zadziwiło mnie opanowanie Dawletiarowa: wiem czym jest uderzenie energetyczne, raz mi się przytrafiło na ćwiczeniach. Rzecz jasna, trenowaliśmy, nie wykorzystując nawet połowy mocy, raczej około jednej dziesiątej, a i tak wrażenie utkwiło mi na długo w pamięci: wściekły ból, masz ochotę zwinąć się w kłębek gdzieś w kącie i cichutko jęczeć... Wolałam nie rozważać, co znaczy otrzymać cios pełną siłą.

Larysa Romanowna patrzyła na mnie i sama nie wiem, czego w jej spojrzeniu było więcej: zdziwienia czy nienawiści.

– Wie pan... – powiedziała do Dawletiarowa. – Podsłuchiwać, oczywiście, jest nieładnie, ale usłyszałam, że mówiliście coś o mnie. Tak więc ja też chcę uprzedzić. – Popatrzyłam w oczy Larysie Romanownie. – Jeśli Igorowi Georgiewiczowi przytrafi się coś... dziwnego, to na tym miejscu – machnęłam głową wskazując gmach uniwersytetu i otaczające go przybudówki – będzie szczere pole. Być może sama po tym zdechnę, ale to nikomu nie pomoże. To nie pogróżka, to obietnica.

Przez jakąś minutę panowała cisza, potem Larysa Romanowna odwróciła się w milczeniu i powoli poszła w kierunku budynku administracji. Miałam wrażenie, że nagle zestarzała się, zgarbione plecy i powolny krok pasowały do zgrzybiałej staruszki, a nie do kobiety w średnim wieku.

– Odczep się w końcu ode mnie, Czernowa! – Dawletiarow wyrwał dłoń z mojej ręki.

– Odczepię się. Pod jednym warunkiem – odparłam.

– Będziesz mi jeszcze stawiać warunki?!

– Będę – przytaknęłam. Niejasne domysły zmieniły się w zgrabną teorię, a ja miałam mocne postanowienie, aby doprowadzić do końca to, co zaczęłam.

– A co to za warunek, Czernowa? – Dawletiarow zmarszczył się nieprzyjemnie.

– Bardzo prosty... – powiedziałam. – Napisze pan pracę habilitacyjną albo monografię, nieważne co, ale pan napisze. O odzyskiwaniu całkowicie utraconych zdolności magicznych pod wpływem czynników zewnętrznych. No, tytuł pan wymyśli ładniejszy, w przeciwieństwie do mnie ma pan głowę do ładnych sformułowań... A kiedy pan napisze, odczepię się.

– Myślisz, że pracę habilitacyjną da się napisać tak raz–dwa? – Dawletiarow uniósł brwi.

– Nie mówiłam, że szybko – odparowałam. – Za to będzie pan miał bodziec do pracy. Im szybciej pan napisze, tym szybciej się odczepię. Tylko bez chachmętów, uczciwie!

Igor Georgiewicz obrzucił mnie długim spojrzeniem, najwyraźniej zastanawiając się, czy ma mnie zabić na miejscu, czy jeszcze trochę poczekać, potem nagle uśmiechnął się krzywo: – Niech będzie, Czernowa. Przybij piątkę.

– Przybij! – ucieszyłam się.

Ręka Dawletiarowa była ciepła i już ani trochę nie drżała.

– Chodźmy, Czernowa – powiedział rozkazująco. – Masz rację: wcześniej zaczniesz, wcześniej skończysz. I zabierz swoją „ściankę”, bo jeszcze ktoś się uderzy!

CZĘŚĆ TRZECIA

ZMIANA

Na szóstym piętrze było pusto, jak zwykle zresztą. Tylko czasem zza zamkniętych drzwi dobiegał czyjś głos – odbywały się zajęcia. Koło wydziału magii bojowej i obronnej dyskutowali o czymś półgłosem nasz kierownik i Dawletiarow.

– Dzień dobry – przywitałam się, przeciskając się bokiem obok nich.

Kierownik wydziału z roztargnieniem skinął mi głową.

– Dzień dobry – z identycznym roztargnieniem powiedział Dawletiarow i wrócił do dyskusji, nie zwracając uwagi na to, że otarłam się o niego ramieniem.

„Ożeż ty...”, pomyślałam, gdy znalazłam się bezpiecznie za drzwiami. „Nie, kochana, takie gierki są zdecydowanie nie dla ciebie! Wcześniej czy później wszystko się wyda...”.

Szkoda, że nie jestem tak opanowana jak Dawletiarow! Z mojej twarzy można wszystko wyczytać jak z otwartej książki, a jeśli staram się coś ukrywać, minę mam taką, że lepiej nie pokazywać jej publicznie, bo jeszcze otoczenie dojdzie do wniosku, że mam coś nie tak z głową.

Zresztą, że mam coś nie tak z głową, wiem i tak. Widocznie jest to zaraźliwe, jak wiadomo, z kim przestajesz, takim się stajesz. Gdzie była owa głowa, pytam, w pewnej ważnej chwili? Trudno powiedzieć, ale chyba nie na swoim miejscu, to całkiem pewne...

Historia tak naprawdę jest szalenie banalna, ale to, niestety, niczego nie ułatwia.

A było to tak: Dawletiarow nie zgodził się być moim oficjalnym promotorem, nie mam pojęcia, dlaczego. A mówiąc prawdę, domyślałam się, ale nie zaryzykowałam sprawdzania swoich domysłów. Inna sprawa, że nasza umowa nadał obowiązywała, więc Dawletiarow pomagał mi, udzielając regularnych konsultacji. Moim zdaniem chciał, żebym pracę doktorską napisała nie w trzy lata, a zaledwie w rok – przynajmniej wszystko na to wskazywało. Ja też miałam takie ambitne plany, nie protestowałam więc zbyt, tym bardziej że sprzeciw i tak nie miał sensu.

I tak oto pewnego pięknego dnia (choć zależy to od punktu widzenia) zasiedziałam się u Dawletiarowa do późna. Zresztą, nie tyle nawet późna, co do głębokiej nocy. Latem noce są jasne, co wprowadziło mnie w błąd. Poza tym, kiedy Dawletiarow się mądrzy, trudno nie stracić poczucia czasu. Zorientowałam się dopiero, gdy zobaczyłam na zegarku, że jest wpół do trzeciej i nie bardzo mam jak wrócić do domu. Oczywiście, Dawletiarow nie miał zamiaru wezwać mi taksówki, po prostu wzruszył ramionami i powiedział: „Zostań, Czernowa”. Nie protestowałam zbyt, bo zdarzyło się to nie po raz pierwszy. Pewnie z punktu widzenia ogólnie przyjętej moralności nie wypada, żeby studentka nocowała u samotnego wykładowcy, ale dopóki nikt o tym nie wiedział, dopóty można się było tym nie przejmować. No, spędziłam kilka nocy u niego na kanapie w dużym pokoju, i co z tego?

Ale tym razem chyba coś wisiało w powietrzu. Przez cały dzień było gorąco i duszno, wieczór nie przyniósł ochłody, wreszcie nocą rozszalała się burza ze straszliwymi grzmotami i oślepiającymi błyskawicami, jakby tuż nad miastem toczyła się bitwa gigantów. A burzy boję się od dziecka. Gdy byłam jeszcze całkiem mała, miałam siedem albo osiem lat, rodzice zostawili mnie na daczce, a sami poszli do znajomych na szaszłyki. Założyli, że będąc mądrym dzieckiem, nie wywołam pożaru i spokojnie prześpię noc;

dookoła pełno sąsiadów, nie ma się czego bać. A w nocy rozszalała się burza, pioruny biły w słupy wysokiego napięcia z takim hukiem, jakby te ażurowe wieże miały lada moment przewrócić się na nasz maleńki domek. W ulewnym deszczu pobiegłam do sąsiadki, tak się wystraszyłam... Od tej pory nie lubię burzy.

Nic więc dziwnego, że nie mogłam usnąć. Poszłam do kuchni napić się wody. Jak się okazało, Dawletiarow także nie spał. Zadumany, palił, wydmuchując dym przez lufcik, nawet się nie odwrócił, gdy weszłam. Nic by się nie stało, gdyby w tej chwili za oknem nie błysnęło tak, że z przestachu upuściłam szklankę i oblałam się wodą, a od huku gromu aż przysiadłam. Zapewne wyglądałam idiotycznie, jak wystraszona kura. Ale tym razem Dawletiarow nie wyśmiał mnie, nie powiedział ani słówka, w milczeniu wyrzucił papierosa przez lufcik, wziął mnie za ramiona i zaprowadził do pokoju, gdzie za grubymi zasłonami błyskawice były nie takie straszne i jakby nieprawdziwe.

Nic nie stało na przeszkodzie, żebym wróciła do salonu, na kanapę, ale nie wróciłam, świetnie wiedząc, co będzie dalej, potem nie powiedziałam „nie”, chociaż mogłam. Jednym słowem wyszło tak, że „zostałam” na długo...

Oczywiście, ani ja, ani Igor, nie zamierzaliśmy informować nikogo o tym wstrząsającym zdarzeniu. Co więcej, podczas krótkiej narady wojennej (a raczej instruktażu, bo nikt mnie o zdanie nie pytał) postanowiliśmy, że jakiegolwiek przecieki są niedopuszczalne, bo wszelkie plotki nie tylko cieszą tych, którzy je kolekcjonują i rozprzestrzeniają, ale także szkodzą tym, których dotyczą. W pełni się z tym zgadzałam. I tak oto mogłam być pewna, że o tym kontrowersyjnym związku nikt nie wiedział, a nawet się nie domyślał. Rodzicom tym bardziej nie odważyłam się nawet napomknąć o sprawie: nie wyobrażam sobie nawet, co by się z nimi stało, gdyby

dowiedzieli się, ile Dawletiarow ma lat. A do tego poglądy mają żywcem ze starego reżimu i w żaden sposób nie mogą zrozumieć, że jestem już pełnoletnia.

Oprócz oczywistych niewygód, cała sytuacja miała też niewątpliwą zaletę: teraz Igor mógł tresować mnie o każdej porze dnia i nocy. Sąsiedzi już dwa razy wzywali milicję, a przecież tylko omawialiśmy plan mojej przyszłej pracy doktorskiej! Wyobrażałam sobie, co będzie, gdy zabiorę się za pisanie i z góry współczułam sąsiadom. Sobie też współczułam, ale mniej, bo wiedziałam, czego mogę oczekiwać.

A tak poza tym, wszystko układało się nadspodziewanie łatwo. Być może dlatego, że niezbyt często zdarzało nam się bywać w mieszkaniu jednocześnie. W domu Igor zjawiał się zazwyczaj późno, a jeśli nawet przychodził wcześniej, to zaraz chciał zapoznać się z moimi osiągnięciami na polu przygotowań do studiów doktoranckich, co najczęściej kończyło się głośnym sporem. W weekendy jeździłam do rodziców i taka sytuacja odpowiadała nam obojgu. W każdym razie mnie, a skoro Igor nie wyrażał głośno niezadowolenia, mogłam wnioskować, że jemu także jest całkiem dobrze. Kto jak kto, ale on nie cierpiałby w milczeniu, jestem tego pewna.

Gdybyśmy tylko nie spotykali się co rusz na uniwersytecie i gdybym nie musiała na siłę przybierać obojętnego wyrazu twarzy!



Przez pół dnia pracowałam na poligonie, doprowadzając do perfekcji chytrą sztuczkę, łączącą w sobie standardowe zakłęcie bojowe i coś z dziedziny dematerializacji, cholernie się zmęczyłam i marzyłam o tym, żeby jak najszybciej oddalić się z uniwersytetu. Musiałam się tylko przebrać: na dworze lało, przezornie zabrałam ze sobą stare džinsy i sweter, włożyłam je na poligon, a teraz ociekały wodą.

Na nieszczęście złapał mnie po drodze prodziekan, znany mi głównie z widzenia.

– Czernowa! Zapraszam na chwilę do siebie.

Zdusiłam ciężkie westchnienie i weszłam za nim do gabinetu, zostawiając za sobą mokre ślady. Mój Boże, jak on się nazywa, przecież wiedziałam...? Znowu wyleciało mi z głowy. Czasem zdaje mi się, że pamięć mam dziurawą jak sito!

– Co się stało? – zapytałam.

– Zaraz, zaraz... – Prodziekan rył w leżących na biurku papierach. – Tak... Naino Jurijewna, mamy tu zaproszenie na międzynarodową konferencję młodych naukowców. Zacznie się za dwa tygodnie, w planie są seminaria prowadzone przez wybitnych specjalistów z różnych dziedzin, a także coś w rodzaju stażu...

– Czy to znaczy, że proponuje mi pan wyjazd? – przestraszyłam się. Tego tylko brakowało... Jeśli konferencja odbędzie się w Moskwie, to okej, a co, jeśli w innym mieście? Ja naprawdę z całego serca nienawidzę podróży!

– Nie proponuję, ale nalegam! – krzyknął prodziekan dramatycznie. – Na pani miejscu łapałbym taką okazję obiema rękami. Pojechać na konferencję do Paryża...

– Gdzie?! – przerwałam mu, oszołomiona.

– Do Paryża – powtórzył. – Mówiąc dokładniej, konferencja odbędzie się nie w samym Paryżu, a gdzieś na przedmieściach, ale to nieważne. Warunki świetne, zakwaterowanie, wyżywienie... To co, jedzie pani?

– Ja... tak w ogóle... – Miałam wielką ochotę odmówić, ale... Co powie Igor? – Czy mogę się zastanowić?

– Nie rozumiem, nad czym tu się można zastanawiać! – rzekł prodziekan ze złością. – Dobrze, teraz mam przerwę obiadową, a za godzinę czekam na

pani odpowiedź. Bardzo proszę nie przeciągać sprawy, zgłoszenie trzeba wysłać jak najszybciej!

Wysłałam na korytarz i westchnęłam ciężko. Jechać czy nie jechać? Nie chce mi się straszliwie, ale jednak trzeba znaleźć Igora i poprosić go o radę. Kto go tam wie – a nuż powie, że cała ta konferencja to tylko niepotrzebna strata czasu? Będę wtedy mogła z czystym sumieniem odmówić uczestnictwa w tym idiotycznym spędzie!

Była duża przerwa, więc Igora należało szukać w gabinecie i tam właśnie skierowałam kroki. Ale na poszukiwany obiekt natknęłam się na korytarzu, był w towarzystwie ślicznej studentki, chyba z czwartego roku. Dziewczyna wlepiła pełne rozpaczony spojrzenie w Igora i często trzepotała rękami wyraźnie gotowa, by się rozplakać. Obrąła dość głupią metodę, takim sposobem na pewno nie uda jej się wzbudzić w Dawletiarowie litości, za to może go dosyć skutecznie nastawić przeciwko sobie.

– Ależ Igorze Georgiewiczu, bardzo proszę... – usłyszałam.

– Gradowa, mówiłem już dwa razy i powtarzam po raz trzeci: zaliczenia zdasz w wyznaczonym czasie. – Głos Dawletiarowa był zimny jak lód. – Harmonogram znajdziesz na wydziale. I proszę nie przeszkadzać mi więcej w pracy. Czy wyrażam się jasno?

Dziewczyna kiwnęła głową i chyba, mimo wszystko, rozplakała się. Co ona wyrabia, nie zdała czegoś i teraz próbuje wyprosić od Igora zaliczenie? Ale numer... W mojej grupie nikt by się na coś takiego nie odważył, a wygląda na to, że owa długonoga ślicznotka nie pierwszy raz to robi. Jeśli przesadzi i wnerwi Igora jeszcze bardziej, szybciej zobaczy ucho od śledzia niż zaliczenie!

– Ależ Igorze Georgiewiczu... ja tak bardzo proszę... – jęknęła studentka żałośnie i tak popatrzyła na Igora, że doznałam olśnienia: przecież nie chodzi jej tylko o zaliczenie!

Rozbawiło mnie to: dziewczuszka robiła słodkie oczy do Igora, i to tak naiwnie... Ciekawe, czy zauważył? A jeśli zauważył? Poczułam lekkie ukłucie niepokoju i pośpiesznie odegnałam głupie myśli. Co też mi się roi...

– Gradowa, koniec rozmowy! – uciął Igor i znikł za drzwiami gabinetu.

Poczekaliśmy aż studentka odejdzie, a w korytarzu nie będzie żadnych postronnych osób i ostrożnie zapukałam, a potem nacisnęłam klamkę.

– Proszę wejść – powiedział Igor z rozdrażnieniem, zobaczył mnie i spochmurniał jeszcze bardziej. – Co się stało?

– Na razie nic. Chodzi o to...

Powtórzyłam w skrócie to, co usłyszałam od prodziekana. Jakżeż on się nazywa? A niech to, mogłam sprawdzić w dziekanacie skoro już tam byłam! Ech, jestem mądra po szkodzie, nie ma co.

– No i co? – zapytałam, gdy dobrnęłam do końca.

– Nie rozumiem, nad czym tu się można zastanawiać! – powiedział Igor, powtarzając słowa bezimiennego prodziekana. – Powinnaś jechać. Czyżbyś sama nie wpadła na to, że rezygnacja z takiej możliwości to po prostu zbrodnia?

Zrozumiałam, że nie uda mi się wykręcić. Chociaż...

– Ale to we Francji! – miauknęłam żałośnie.

– I co z tego? – nie zrozumiał Igor.

– Przecież ja nie umiem ani słowa po francusku! – przypomniałam. Może chociaż ten poważny argument zadziała? Bo rzeczywiście, po co jechać gdzieś na kraj świata, jeśli i tak nic się nie rozumie?

– Naina, nie udawaj głupszej niż jesteś – prychnął Igor. – To jest konferencja międzynarodowa, będziecie porozumiewać się w języku, który zna większość obecnych. Czyli po angielsku. A po angielsku rozumiesz, a nawet mówisz, o ile mnie pamięć nie myli, a ty nie kłamałaś.

– Jesteś pewien? – zapytałam smętnie. – Znaczy czy na pewno po angielsku...?

– Naina, nie każ mi dwa razy powtarzać. Nieraz uczestniczyłem w takich konferencjach i wiem, o czym mówię.

Niech diabli wezmą tę studentkę, rozmowa z nią wyprowadziła Igora z równowagi, a wszystko skrupiło się na mnie!

– Jasne... – westchnęłam i nagle wypaliłam z uczuciem tryumfu: – Przecież nie mam paszportu!

– Mam wrażenie, że po prostu nie chcesz jechać i wynajdujesz dziwne przeszkody. – Igor jak zwykle zgadł, znał mnie już wystarczająco dobrze. – To żaden problem. Powiedz Spicynowi, on ci to szybko załatwi. Jeszcze jakieś problemy?

– Nie... – burknęłam. Mimo wszystko będę musiała pojechać. Może szybko zachorować? Kurczę... To nie przejdzie. Powiedzieć, że po prostu boję się lecieć diabli wiedzą gdzie i mieszkać tam sama? Aha... W odpowiedzi usłyszę, że nie jestem małą dziewczynką i nikt mnie nie będzie prowadził za rączkę. To prawda, ale...

– Świetnie – przerwał mi Igor. – A teraz idź i nie zwracaj mi głowy. Jestem zajęty.

Skapitulowałam. Zamknęłam za sobą drzwi, westchnęłam ciężko i powlokłam się do Spicyna. Muszę się tylko dowiedzieć, jakie ma imię i patronimik, bo jakoś tak głupio...

Igor, jak zwykle, miał rację – paszport dostałam w rekordowo krótkim czasie. I zaczęło się latanie do ambasady, tam, siam... Jednym słowem, dwa tygodnie minęły jak z bicza strzelił i nawet nie zauważyłam, kiedy znalazłam się na lotnisku.

Wolałabym teleport, ale na otwieranie go dla jakiejś tam jednej doktorantki nie zdobyli się (a raczej po prostu postanowili zaoszczędzić)

organizatorzy nawet tak prestiżowej konferencji. Igor zlitował się i postanowił odwiedzić mnie osobiście, za co byłam mu ogromnie wdzięczna. A ile wysiłku musiałam włożyć, żeby zniechęcić rodziców do odprowadzania!

– Pasażerów rejsu... – rozległo się z głośników.

– Idź, Naina. Twój lot – powiedział Igor rozkazującym tonem. Czuł się tu jak ryba w wodzie, swego czasu nie mała najeździł się po świecie. A pod mną nogi się ugiwały ze strachu.

– Bądź grzeczna i postaraj się niczego nie zawalić.

– Aha... – westchnęłam.

– Idź, bo się spóźnisz – powiedział nieco delikatniejszym tonem, rozejrzał się, sprawdzając na wszelki wypadek, czy ktoś nie widzi, i szybko pocałował mnie w policzek. – Szczęśliwej podróży.

Odprowadziłam wzrokiem jego oddalającą się postać, jeszcze raz westchnęłam i ruszyłam do odprawy. Powiedziano mi, że strona zapraszająca wyśle kogoś na spotkanie i zagwarantuje transfer do hotelu. Dobrze by było...



Na szczęście organizatorzy konferencji stanęli na wysokości zadania, odebrano mnie na lotnisku, zawieziono gdzie trzeba, zakwaterowano w luksusowym pensjonacie i wręczono program konferencji.

Oczywiście na początku wszystko było trudne. Kto na moim miejscu nie czułby się zagubiony, znalazłszy się w obcym mieście, gdzie nie ma nawet jednej znajomej osoby! Ale z czasem wszystko się unormowało, ludzie wokół byli życzliwi i dość szybko zapoznałam się z moimi sąsiadkami z pensjonatu, Francuzkami bliźniaczkami Mireille i Sophie. Były naprawdę niezłymi iluzjonistkami i pracowały razem. Na jednym z seminariów

zaprezentowały swe umiejętności, pokaz wypadł bardzo efektownie i ręczę, że nie tylko ja byłam zachwycona. Po francusku znałam jakieś trzy i pół słowa, Mireille i Sophie oczywiście rosyjski znały jeszcze gorzej niż ja język Balzaka, rozmawiałyśmy więc po angielsku – wszystkie trzy równie kulawo. Najważniejsze, że rozumiałyśmy się nawzajem, a troskę o piękno wypowiedzi i poprawność konstrukcji gramatycznych miałyśmy w głębokim poważaniu.

Mireille i Sophie, chociaż były rdzennymi paryżankami, wolały mieszkać w pensjonacie, żeby oszczędzić sobie codziennych męczących dojazdów. Poza tym lubiły urozmaicenia, łatwo nawiązywały kontakty z ludźmi, a na konferencję przyjechały nie po to, żeby nauczyć się czegoś nowego, a raczej po nowe wrażenia. Wzięły mnie od razu pod swoje skrzydła, co, trzeba przyznać, było jak najbardziej na miejscu. Być może dotąd nie wspominałam o tym, ale w nieznanym miejscu zawsze czuję się nieco zdezorientowana, dlatego obecność osób, które mogły podpowiedzieć, gdzie iść i co robić, była mi bardzo na rękę.

Sama konferencja była interesująca, chociaż nie mogę zaprzeczyć, że początkowo miałam niejaki problem. Dobrze rozumiem angielski, ale z braku praktyki mówię dość kiepsko, a gdy mam z kimś porozmawiać, z głowy wylatują mi nawet najprostsze zwroty.

Nie jestem w stanie opisać, co się ze mną działo, gdy organizatorzy, kierując się jak najlepszymi pobudkami, wprowadzili do planu konferencji nowy element: każdy z uczestników powinien wygłosić wykład o swych osiągnięciach. Oczywiście, nie bez uprzedniego przygotowania, ale mimo wszystko był to horror. Rok temu z pewnością odmówiłabym udziału w takim przedsięwzięciu, a i teraz miałam ogromną ochotę poprosić kogoś o pomoc. Ale kogo? Oczywiście, jak zwykle pierwszy przyszedł mi na myśl Dawletiarow. Na nieszczęście był oddalony ode mnie o kilkaset

kilometrów. Niby jest telefon, jest poczta elektroniczna, ale wcześniej umówiliśmy się, że nie będę do niego dzwonić ani pisać. Nie mieliśmy najmniejszych wątpliwości, że rozmowy są podsłuchiwane, a poczta elektroniczna – przeglądana. W chwili wyjazdu te konspiracyjne posunięcia wydawały mi się rozsądne i słuszne, ale teraz zaczęły budzić wątpliwości. Z drugiej strony, co mądrego można powiedzieć przez telefon? Poza tym znałam Dawletiarowa wystarczająco dobrze, by sobie wyobrazić, jakich rad mi udzieli. A może wcale nie będzie tak źle i sama sobie dam radę?

Podjąwszy taką decyzję, poświęciłam kilka wieczorów na naszkicowanie planu wystąpienia, byłam całkiem zadowolona ze swego dzieła i nawet próbowałam spojrzeć na nie obiektywnie. Bez wątpienia Dawletiarow znalazłby coś, do czego mógłby się przyczepić, ale mnie się podobało. Nie znaczyło to, że spodoba się również słuchaczom, ale... W końcu po co ja jednak przyjechałam na tę całą konferencję? Żeby nie wysuwać nosa z pokoju? Jeśli tak, to trzeba było siedzieć w domu...! Chwila, a tak naprawdę to czemu pojechałam? Przecież nie chciałam!

I to nie chciałam dość mocno... Z natury jestem raczej domatorką i nie cierpię wycieczek do kompletnie nieznanych miejsc, nawet jeżeli nie brać pod uwagę odległości! Ale... Gdy naprawdę nie chcę czegoś zrobić, to żadne siły na ziemi i niebie nie są zdolne mnie zmusić – upór osiołka może i nie jest najlepszą z moich cech, ale jak najbardziej obecną. A jednak pojechałam. Oczywiście doskonale rozumiałam, że konferencja to sprawa prestiżowa i na pewno pożyteczna, więc w końcu się zgodziłam... Czy zgodziłam się, bo byłam tego pewna, czy po prostu pozwoliłam się przekonać, wiedząc że i tak nie wygram z Igorem ani niczego mu nie wyjaśnię? Przecież nie mogłam jak małe dziecko złapać obiema rękami za stół i krzyknąć: „Nie pojadę!”. To stanowczo byłaby przesada.

Myśl ta pojawiła się tak nieoczekiwanie, że musiałam usiąść i się nad nią dłużej zastanowić. Wnioski były niewesołe.

Czego zawsze chciałam? Chciałam sama decydować, jak żyć i co robić, i na ogół to mi się udawało. Uparta jestem (czy może byłam) jak osioł. Wcześniej nie bałam się nigdy samodzielnego podejmowania decyzji i, jak wspominałam, jeśli stawiałam sobie cel to niechybnie go osiągałam, nawet jeśli nie przynosiło mi to nic poza rozczarowaniem. A potem... potem nagle okazało się, że zepchnięcie podejmowania decyzji na kogoś innego, starszego, mądrzejszego i bardziej doświadczonego, jest bardzo wygodne. Na kogoś, kto wytłumaczy, dlaczego tak postąpić nie wolno, a tak można (a nawet trzeba) i malowniczo opiszcie ci wszystkie możliwe warianty rozwoju wydarzeń. I liczyć na to, że ktoś na czas wskaże ci twe błędy albo wyjaśni, gdzie masz rację, też jest bardzo wygodnie. Tylko gdzie podziła się samodzielność, do której zawsze dążyłam? A może wcale do niej nie dążyłam, tylko sama siebie oszukiwałam? Ot, problem...

Po półgodzinnej autopsychoanalizie doszłam jednak do pocieszającego wniosku, że jeśli chodzi o pragnienie samodzielności, nie oszukiwałam się. Wygodnictwa nauczyłam się później i robiłam to tak dobrze, że nawet nie zauważyłam, jak straciłam wszystko, co osiągnęłam samodzielnie. Co ze mnie koniec końców zostanie? Jeżeli już teraz nie mogę jednoznacznie określić, czy sama podjęłam decyzję o wyjeździe czy nie – a to mimo wszystko jest zupełny drobiazg! – to dalej będzie tylko gorzej. Ta myśl bardzo mi się nie spodobała, ale zamykanie oczu na tak ewidentną sprawę byłoby głupotą.

Bo wyszło na to, że ostatnimi czasy za bardzo zaczęłam liczyć się z cudzymi opiniami – to odkrycie wcale nie było dla mnie przyjemne, bo wcześniej niespecjalnie rozglądałam się dookoła. To znaczy, oczywiście starałam się w miarę możliwości unikać skandali i zazwyczaj to mi się

udawało. W każdym razie większość znajomych do tej pory uważa, że jestem skromną, cichą i posłuszną dziewczyną, a jeśli nawet czasem coś nabroję... każdemu może się zdarzyć! Co ciekawe, w tym błędzie do tej pory tkwią moi rodzice, choć są przekonani, że znają mnie jak zły szeląg.

Ale jeśli się głębiej zastanowić, czy rzeczywiście przejmuję się tak zwaną opinią publiczną? A tym bardziej opinią ludzi, których dopiero co poznałam i których pewnie nigdy nie zobaczę po zakończeniu konferencji? Pomyślą, że jestem zbyt pewna siebie, i co z tego? Katastrofa na skalę światową?

A przecież taki lekceważący stosunek do innych też przejęłam od Dawletiarowa, uświadomiłam sobie nieoczekiwanie. „Całkiem się pogubiłaś w tym wszystkim”, przyznałam, podziwiając idylliczny pejzaż za oknem. „Spróbuj się z tego wykręcić, póki nie jest za późno, koleżanko...”.

„Naina, byłaś głupia”, powiedziała do siebie, „i nic się nie zmieniłaś. Mogłabyś przewidzieć i to, jak to wszystko się skończy. Ale nie, sukces ci oczy przesłonił. Zastanów się, co jesteś warta, że tak powiem, w pojedynkę? Czy w ogóle jesteś coś warta?”.

Niewątpliwie ciekawe pytanie...

„Wyjaśnij to sobie przy okazji”, pomyślałam. „Zrób eksperyment”.

Zrobiłam test i nie mogę powiedzieć, że był nieudany. Czy trzęsłam się ze strachu na myśl o wystąpieniu przed widownią składająca się z prawie nieznanymi mi ludźmi? Mało powiedziane. W końcu Mireille zauważyła, że czymś się martwię i zapytała z troską: – Co z tobą?

Musiałam wyjaśnić, że nie lubię występować publicznie i denerwuję się z tego powodu. Co prawda, wątpiłam, że iluzjonistka, dla której występy przed publicznością to chleb powszedni, będzie w stanie mnie zrozumieć. I miałam rację.

– A czego tu się bać? – ze zdziwieniem zapytała Mireille i spojrzała na Sophie. – Nikt cię nie zje. A jeśli coś pójdzie nie tak, jak planowałam, po prostu udawaj, że tak miało być.

– No właśnie, to nasza ulubiona sztuczka – poparła siostrę Sophie, a mnie nagle zachciało się śmiać. To prawda, nie zjedzą mnie przecież ani nie wygonią.

W rezultacie wystąpienie nie poszło mi co prawda jak po maśle, ale całkiem przyzwoicie, w końcu nieźle się przygotowałam. Wybrałam temat, który znałam najlepiej ze wszystkich. W klasycznej magii bojowej wcale nie ma aż tak wielu destrukcyjnych zaklęć; po pierwsze: na ich opracowanie od zawsze istniała masa zakazów wszystkich możliwych rządów (co było dosyć zrozumiałe), a po drugie: siła ich oddziaływania ograniczona była możliwościami maga jako takiego. Oczywiście, badania i tak prowadzono, czasami w ukryciu i tajemnicy, czasami z błogosławieństwem władzy. Ale wielu z tych starożytnych zaklęć w dzisiejszych czasach po prostu nie dało się zastosować – brakło ludzi do tego zdolnych! Może Dawletiarow w swoich najlepszych latach by potrafił, a ja... Ja może też bym potrafiła, tylko kto mi pozwoli spróbować? Tak więc wszystkie te starożytne zaklęcia (jak również najnowsze techniki na nich bazujące) stawiają na zastosowanie brutalnej siły, skąd logicznie wynika, że zaklęcie powinno być rzucane przez wyjątkowo silnego maga. A mnie udało się natrafić w jakichś księgach na wzmiankę o tym, że używać można nie tylko własnych sił. Pomysł ten nałożył się na wspomnienie wydarzeń na poligonie, podczas których posłużyłam się cudzą energią. Można było spokojnie założyć, że o takiej możliwości wiedziano już wcześniej. I na tym oparłam coś na kształt teorii, którą musiałam teraz udowodnić – i właśnie to robiłam w swoim doktoracie.

I mniej więcej tyle miałam zamiar wyłuszczyć zebranych. Na początku trochę się zacinałam, ale potem wszystko szło dobrze, do czego bez wątpienia przyczyniło się też życzliwe nastawienie widowni. W końcu ludzie zebrali się tu nie po to, żeby przyłapać kogoś na błędzie i udowodnić, że jest do niczego, ale żeby dowiedzieć się czegoś ciekawego. Nikogo nie obchodziła moja, powiedzmy szczerze, daleka od doskonałości angielszczyzna. (Ostatecznie, w grupie było trzech Chińczyków, których wymowa była tak okropna, że mało kto ich rozumiał – w porównaniu z nimi mój angielski był po prostu idealny. Niestety, jak dotąd wszystkie próby stworzenia zaklęcia pozwalającego komunikować się z drugim człowiekiem niezależnie od tego, w jakim językiem mówi, kończyły się fiaskiem. I na razie nikt nie wpadł na optymalne rozwiązanie problemu). Jeśli ktoś czegoś nie rozumiał, to po prostu pytał i w rezultacie wystąpienie nieco się przeciągnęło. Gdy skończyłam, zaczęła się burzliwa dyskusja, która okazała się nadspodziewanie ciekawa.

Jednym słowem, nie taki diabeł straszny, jak go malują. Do tego stopnia przyzwyczaiałam się traktować wystąpienia jako ciężki obowiązek, że po prostu nie rozumiałam, jak można znaleźć w tym jakąś przyjemność. Okazało się, że można, a w dodatku bardzo przyjemnie łąchce miłość własną, gdy dwadzieścia osób słucha cię z otwartymi ustami. Na konferencję przyjechało tylko trzech magów bojowych, byłam wśród nich jedyną dziewczyną, do tego Rosjanką. Wyglądało na to, że początkowo nie traktowali mnie poważnie, ale moje wystąpienie dało im do myślenia.

Mireille i Sophie przyznały się uczciwie, że nie mają bladego pojęcia o magii bojowej, ale wystąpienie było super i niepotrzebnie się denerwowałam, a żeby uczcić sukces misji, jak to określiły, zaproponowały wycieczkę do Paryża i buszowanie po sklepach.

– Po co? – zaproponowałam. – Niczego nie potrzebuję. I nie mam za dużo pieniędzy.

– Nie martw się – powiedziała Mireille. – Znamy kilka miejsc, gdzie akurat są wyprzedaże sezonowe, więc można nieźle się ubrać za niewielkie pieniądze! Jedziemy, Nain!

Nazywały mnie Nain, tak było im łatwiej wymawiać moje imię. Brzmiało to, moim zdaniem, dość zabawnie.

– Po co...? – broniłam się ostatkiem sił. – Mam ubrania!

– Nain! – Siostry popatrzyły na mnie z identycznym wyrzutem w jednakowych oczach. – To, co nosisz, to nie są ubrania!

Ostatecznie straciłam rezon. Nie przyjechałam przecież w łachmanach. Mam niezbyt wiele strojów, ale są porządne i dobrej jakości. A na wyjazd wzięłam, rzecz jasna, najlepsze.

– Dlaczego? – zapytałam oszołomiona i natychmiast tego pożałowałam, bo siostry w zgodnym duecie zaczęły krytykować moją garderobę.

– Tak nie można, Nain – wytknęła mi Mireille. – Cały czas chodzisz w tych idiotycznych džinsach! Cała w czerni, jak własna babcia! Zresztą, co ja gadam. Jaka babcia... Pojedziemy do Paryża, to zobaczysz jak ubierają się nasze emerytki!

– Naprawdę nie chcesz nosić jaśniejszych rzeczy? – wtórowała jej Sophie. – Jesteś ładna, masz dobrą figurę, gdybyś założyła o taką spódnicę – gestem pokazała jaką konkretnie – wyglądałabyś po prostu ślicznie!

– Nie lubię spódnic! – broniłam się resztkami sił. – Nie umiem ich nosić i głupio się w nich czuję!

– Dobrze – Sophie poszła na kompromis. – Nie lubisz to nie lubisz, ale dlaczego zaraz džinsy i do tego takie nijakie? Kup sobie spodnie, takie frrrr!
– Znowu pokazała rękami coś latającego i zwiewnego. – A nawet i džinsy, teraz są takie modele... Oczy ci wyjdą na wierzch!

– Postanowione – powiedziała Mireille, widząc, że jestem gotowa do kapitulacji – jedziesz z nami!

Byłam zmuszona do poddania się. Nie chciałam obrazić fajnych dziewczyn, a poza tym byłoby głupio pojechać do Francji i ani razu nie być w Paryżu.

Paryż spodobał mi się, co prawda Mireille i Sophie nie pozwoliły mi zbyt długo zachwycać się zabytkami, zaciągnęły mnie do jakiegoś ogromnego sklepu i zaczęły szczebiotać ze sprzedawczyniami po francusku. Postanowiłam zdać się na przychylność losu, zrelaksować i cieszyć życiem. W końcu mam powrotny bilet, w pensjonacie dają jeść, a wydać więcej niż mam i tak się nie uda.

– Czemu się garbisz! – oburzyła się Mireille, chodząc dookoła mnie. – Oczywiście, że nie będzie się na tobie układać, jeśli tak wygniesz plecy! Wyprostuj się! Jak ty chodzisz?

– Jak? – parsknęłam. Pamiętam, że sami–wiecie–kto któregoś razu określił mój chód „jak żołnierz na defiladzie”. I co z tego? Inaczej nie potrafię.

– Boże! – Mireille złapała się za głowę. – Nie wymagam, żebyś poruszała się jak modelka! – Przesadnie kręcąc biodrami, zademonstrowała jak poruszają się modelki. – Ale chociaż tak nie tup...! I stawiaj mniejsze kroki!

W tym momencie, jak najbardziej *à propos*, przypomniał mi się wspaniały film *Służbowy romans* [bardzo popularna radziecka komedia romantyczna z roku 1977] i nie mogłam powstrzymać się od śmiechu. Mireille i Sophie, oczywiście, chciały wiedzieć co mnie tak rozbawiło i musiałam, w miarę możliwości, opowiedzieć im znaną scenę.

– Bardzo słusznie, bardzo – zupełnie poważnie powiedziała do mnie Sophie. – Dawaj, głowa do góry, wyprostuj plecy i nie tłucz obcasami o

podłogę.

– Posłuchajcie, a po co to wszystko? – zapytałam zgnębiona, przyglądając się swemu odbiciu w lustrze. To, w co zamieniły mnie paryżanki, wyglądało rzeczywiście miło, nie podejrzewałam nawet, że w tak śmiałym zestawieniu kolorów będzie mi do twarzy. Dobrze chociaż, że udało mi się obronić przed błyskotkami i cekinami, w czymś takim nie wpuszczono by mnie na uniwersytet, a nigdzie indziej nie chodzę.

– Jak to, po co? – Mireille i Sophie popatrzyły na siebie z niedowierzaniem. – Nie chcesz podobać się swojemu facetowi?

– A...? – Myślałam, że się przesłyszałam.

– No, masz przecież jakiegoś faceta – oznajmiła Sophie bez cienia wątpliwości w głosie.

– Jakiegoś mam – powiedziałam. Taaak... ale jemu jest zupełnie wszystko jedno, co mam na sobie, a przynajmniej ani razu nie usłyszałam od niego chociażby jednego słowa na temat tego, jak wyglądam, co zresztą bardzo mi odpowiadało.

– A tam gdzie jest jeden, są i pozostali – autorytatywnie oznajmiła Sophie. – I twarz, twarz! No już, uśmiechnij się! Uśmiechnij się tak, jakbyś była gwiazdą filmową i cały świat leżał u twoich stóp.

Spróbowałam spełnić żądanie, spojrzałam na siebie w lustrze i aż mnie skręciło ze śmiechu.

– Ćwicz – przykazała Mireille. – Kto jak kto, ale ty powinnaś! A jeśli podoba ci się to, co widzisz w lustrze, to znaczy, że wszystkim innym też się spodoba. Najważniejsze: przekonać samą siebie, że jesteś czarująca!

Popatrzyłam na wesołe siostrzyczki. Delikatnie mówiąc, trudno byłoby je nazwać pięknosciami, a już całkiem szczerze, były po prostu nieładne, a i figury miały takie sobie. Tylko, nie wiadomo dlaczego, nikt tego nie zauważał. Wokół wesołych, hałaśliwych, ubranych ekstrawagancko

Francuzek zawsze tłoczyło się mnóstwo wielbicieli i zwykłych przyjaciół. Pełne energii siostrzyczki miały rację. Jeszcze raz popatrzyłam na swoje odbicie. Rzeczywiście, coś z nim było nie tak, nawet gdy wyprostowałam plecy i zrobiłam zadowoloną minę.

– Masz rację – zauważyła Sophie, gdy pochwyciła moje spojrzenie. – Z głową też trzeba coś zrobić...

Mój słaby sprzeciw i próby wyjaśnienia, że zapuszczam włosy, żeby przywrócić im normalną długość nie dały żadnego efektu, zostałam pojmana, unieruchomiona, wepchnięta do taksówki i zawieziona do fryzjera. Prawdę mówiąc, po całej operacji bałam się spojrzeć w lustro, z obawy, że nie rozpoznam samej siebie.

Na pewno nie wszyscy poznali mnie następnego dnia. Mireille i Sophie wesoło chichotały i z daleka pokazywały mi gestami, że wszystko jest okej. Co prawda czułam się trochę nieswojo, ale zdziwienie szybko minęło. Upłynęło jeszcze kilka dni i doszłam do wniosku, że to wszystko mi się podoba. Lubię chodzić z dumnie podniesioną głową, uśmiechać się i nosić owe niemożliwe spodnie „frrr”, a nawet buty na obcasie. (Po długiej walce Mireille zmusiła mnie do założenia tych narzędzi tortur).

Doprawdy, nie sądziłam, że stosunek do świata zależy od takiego drobiazgu jak wygląd zewnętrzny. Nieoczekiwanie przyłapałam się na tym, że przestałam kryć się przed towarzystwem, a jeśli ktoś do mnie zagadał, nie próbowałam zbyć go i uciec jak najprędzej. Zaczęłam nawet zadawać pytania na seminariach, co mi się nigdy w życiu nie zdarzyło. Dotąd zawsze siedziałam cicho, a jeśli czegoś nie rozumiałam, próbowałam to wyjaśnić po zajęciach. Albo i nie wyjaśniałam, tłumacząc sobie, że ta cała magia iluzji nie jest mi kompletnie do niczego pogrzebna, więc nie ma po co sobie nią zaśmiecać głowy. Ale nie tym razem. Sama się dziwiłam, co mnie tak nagle naszło...

Ale najbardziej lechtało moją próżność to, jak, widząc moje osiągnięcia na poligonie, widzowie zbierali szczęki z ziemi. Pozostali bojowi magowie byli znacznie słabsi ode mnie, a już mało który radził sobie z dematerializacją dużych przedmiotów, w której ja się specjalizowałam. Oczywiście, takie zadzieranie nosa nie było szczególnie miłe z mojej strony, ale kiedy jednym ruchem ręki dematerializujesz przedmiot o rozmiarach i współczynnikach czołgu bojowego, podczas gdy twoi koledzy muszą się napocić już z czymś wielkości roweru... Zdecydowanie można było popaść w grzeszną pychę!

Pewnego pięknego dnia przysiadł się do mnie jeden z magów bojowych, Irlandczyk imieniem Sean. Zaczął niezobowiązującą rozmowę. Uczciwie przyznał, że nie dorasta mi do pięt i poprosił, żebym mu wyjaśniła pewne rzeczy. Jeśli trzeba komuś coś wyjaśnić, nigdy nie odmawiam. Natomiast drugi chłopak zaczął rozmowę na tematy ogólne, nie prosił o konsultacje zawodowe, tylko otwarcie oznajmił, że mu się podobam. Był Amerykaninem, miał na imię Mickey, więc od razu zaczęłam go nazywać Myszka Miki, co wszystkich bardzo bawiło: budową ciała Mickey przypominał nie myszkę, a raczej trzydrzwiową szafę.

Pod wpływem stereotypów zawsze uważałam, że Amerykanie są tępi i naiwni, ale okazało się, że zdarzają się wśród nich całkiem normalne jednostki. Co prawda na niektóre sprawy Mickey miał bardzo dziwne poglądy, ale potrafił tak szczerze śmiać się z samego siebie, gdy korygowałam jego przekonania o życiu w Rosji, że trudno było zwracać uwagę na takie drobiazgi. On z kolei wybaczał mi błędy w angielskim i cierpliwie podpowiadał słowa, gdy jakiegoś zapomniałam albo po prostu nie znałam.

Oczywiście Mireille i Sophie nie mogły stać z boku i w rezultacie stworzyliśmy bardzo fajną paczkę. A w grupie, jak wiadomo, zawsze jest

weselej. Kilka razy robiliśmy wypad do Paryża, siostry brały na siebie obowiązki przewodniczek i wspaniale spędzaliśmy czas.



Wieczorami pisałam szczegółowe sprawozdania z przebiegu konferencji, żeby niczego nie zapomnieć, bo tak się szczęśliwie złożyło, że wszystkie pokoje były wyposażone w komputery. Nie dowiedziałam się niczego specjalnie cennego ze swej dziedziny, ale zapoznałam się z nowymi prądami w innych specjalnościach. Seminaria prowadzili bardzo ciekawi ludzie i doskonali specjaliści, a ja szczerze się cieszyłam, że wykorzystałam okazję i tutaj przyjechałam.

Ale konferencja powoli dobiegała końca, już niedługo powinnam wrócić do Moskwy i... A co „i” na razie nie wiedziałam. W ciągu minionych kilku tygodni nieoczekiwanie przekonałam się, że wcale nie jestem głupsza od większości moich rówieśników, a w pewnych dziedzinach orientuję się nawet lepiej. Kilka razy na seminariach i „okrągłych stołach” prezentowałam pomysły, które potem długo i burzliwie omawiano, a dotyczyły one nie tylko magii bojowej. Znalazłam nawet coś ciekawego do mojej pracy doktorskiej! O dziwo, okazało się, że zasada działania iluzji i magii bojowej jest dosyć podobna – tam i tu mag musi wkładać wiele wysiłku. Ale iluzjoniści muszą przez długi czas podtrzymywać działanie o stałej mocy, ponieważ w przeciwnym razie iluzja zniknie, a mag bojowy najczęściej potrzebuje krótkiego, ale bardzo mocnego impulsu. Połączenie jednego i drugiego mogło okazać się ciekawe – to po pierwsze. A po drugie – do moich celów potrzebowałam właśnie przez dłuższy czas utrzymywania impulsu na odpowiednim poziomie. Teraz musiałam tylko wymyślić, jak zgrabnie dodać ten element do przemyślanego już planu.

A właściwie, dlaczego uważam ten plan za zatwierdzony raz na zawsze? Przecież to moja praca doktorska i jeśli zechcę, mogę w niej zmienić wszystko. Już od dawna mnie korciło, żeby wyrzucić jeden rozdział, który osobiście uważam za zbędny, ale przy pozostawieniu go upierał się Dawletiarow, utrzymując, że robi dobre wrażenie. A może tak posłać to dobre wrażenie do diabła?

Takie buntownicze myśli były dla mnie czymś nowym i wsłuchiwałam się w nie z zainteresowaniem. Przyzwyczaiłam się traktować zdanie Dawletiarowa jak wyrok ostatniej instancji. Było to zresztą zrozumiałe – jeśli chodzi o doświadczenie zawodowe i erudycję nie mogłam się z nim równać. Tylko że... Dobrze, gdy zajmowaliśmy się pracą dyplomową, mógł rozkazać: „Masz robić tak jak powiedziałem, bez dyskusji”, bo wtedy rzeczywiście byłam zielona i głupia. Przez rok nie stałam się wybitnym specjalistą, ale uczciwie mogłam powiedzieć, że coś osiągnęłam. Jak długo jeszcze będę się bała zrobić coś samodzielnie?

„Przecież sama się wpędziłaś w tę pułapkę”, uczciwie przyznałam się sama przed sobą, pakując walizkę. „Normalka, chciałaś jak najlepiej, a wyszło jak zawsze. Dlaczego sądzisz, że nie dasz rady napisać sama pracy doktorskiej? Świat się nie kończy na Dawletiarowie, masz do dyspozycji cały wydział magii bojowej i obronnej, cackają się tam z tobą jak z jajkiem, każdy z przyjemnością udzieli ci konsultacji. A i twój oficjalny promotor jest całkiem rozsądnym magiem, pracuje w ministerstwie, poza tym ma znajomości, pomoże ci znaleźć wszystkie materiały”.

Usiadłam na łóżku i zamyśliłam się.

„Tak, moja droga, jak by na to nie patrzeć, wychodzi, że szukałaś łatwej drogi. Znowu schowałaś się za plecami Igora, trochę cierpliwości i przy jego pomocy nawet z gówna zrobisz cukierek. I co z tego wynikło?”.

Nie wynikło nic dobrego. Chociaż to bardzo przykre, ale wypowiedziane dawno, w gniewie słowa Larysy Romanowny były czystą prawdą – wpływ Dawletiarowa na mój dyplom był jaskrawo widoczny. Co będzie z pracą doktorską? Igor pokona mnie w każdej dyskusji, przytłoczy autorytetem, przekonałam się już, że nie ma sensu z nim dyskutować. Nie mam argumentów dość dobrych, by je uznać, a sprzeciwów niepopartych argumentami w ogóle nie słyszy.

„I w rezultacie, Czernowa”, odpowiedziałam, o dziwo, zupełnie spokojnie, wkładając do walizki kolejne spodnie „frrr”, „wyjdzie z ciebie świetny klon Igora Georgiewicza Dawletiarowa. Nieważne, że innej płci. Na razie w tym układzie jest ci wygodnie i komfortowo, ale jeśli znudzisz się Igorowi? A przecież znudzisz się, jak dwa razy dwa cztery, gdy w końcu zorientuje się, co może z ciebie wyjść. Zobaczysz, że nic nadzwyczajnego i straci jakiegokolwiek zainteresowanie twoją osobą. I co wtedy zrobisz, koleżanko?”. Spojrzałam w lustro. Moja twarz, o dziwo, nie wyglądała na udręczoną. „Otóż wtedy, moja droga, sama nic nie będziesz mogła zrobić, bo do tego czasu Igor tak przerobi ci mózg, że nie będziesz w stanie myśleć inaczej. Już teraz starasz się patrzeć na wszystko z punktu widzenia Dawletiarowa. Komu będzie potrzebny klon Dawletiarowa, niezdolny do formułowania żadnych cennych myśli bez jego aprobaty i pomocy? Kiepsko to wygląda, musisz to przyznać, prawda?”.

Czernowa z lustra zgodziła się.

– I co teraz zrobimy? – zapytałam odbicia. Razem ze mną wzruszyło ramionami. – Nie ma co udawać zagubionej. Bo świetnie wiesz, koleżanko, co trzeba zrobić, tylko że to ci się wcale nie podoba.

Oczywiście, że się nie podobało, bo do głowy przyszło mi radykalne rozwiązanie. A następstwa były nieprzewidywalne, bo nie podejmowałam się przewidzieć reakcji Dawletiarowa na mój wyskok.

Na jakiś czas oderwałam się od tych myśli, jako że należało pożegnać się ze wszystkimi, wymienić adresy, telefony i wziąć udział w przyjęciu na zakończenie konferencji. Oczywiście, było trochę smutno i nie miałam ochoty wyjeżdżać.

Sean cały czas był bardzo podniecony pomysłem, który mu podsunęłam, i żądał solennej obietnicy, że będę z nim korespondować i pomogę mu, jeśli przypadkiem zabrnę w ślepią uliczkę. Obiecałam, bo naprawdę nie chciałam tracić z nim kontaktu. Sean nie miał wielkiego potencjału, ale potrafił w zastraszającym tempie generować oryginalne pomysły.

Mireille i Sophie obejmowały mnie, płakały i obiecały odwiedzić kiedyś Moskwę, jeśli nie z występami, to po prostu jako turystki. Mickey był smutny, a ja świetnie wiedziałam w czym rzecz: między nami nie doszło do niczego poważnego, nie miałam na to ani czasu, ani ochoty. Okazał się całkiem fajnym chłopakiem, chociaż nie zamierzałam wchodzić z nim w bliższe kontakty, to jednak nie zdecydowałam się powiedzieć mu tego wprost.

Konferencja trwała prawie dwa miesiące, a wydawało się, że nie minął nawet tydzień. I dlaczego, głupia, wcześniej odmawiałam udziału w takich zjazdach, nawet gdy odbywały się na macierzystym uniwersytecie? Uważałam, że to bardzo nudne imprezy. Może czasami tak było, a jeśli nie? W takim przypadku wiele straciłam. Ale można to jeszcze naprawić.

Weźmy chociażby tę konkretną konferencję. Na początku było trochę ciężko, ale za to ilu nowych rzeczy się dowiedziałam, nie mówiąc już o tym, że poznałam wspaniałych ludzi! A do tego bardzo podciągnęłam się w angielskim, potrafiłam teraz mówić całkiem swobodnie; zasób leksykalny mam całkiem przyzwoity, brakowało mi tylko praktyki. Zaczęłam nawet trochę rozumieć po francusku, bo podczas ożywionej dyskusji Mireille i

Sophie od czasu do czasu przechodziły na ojczysty język, gdy brakowało im angielskich słów, tak że chcąc nie chcąc musiałam się przystosować.

A swoją drogą, dlaczego miałabym nie nauczyć się francuskiego? Jeśli dałam sobie radę z „magogwarą”, to czy nie poradzę sobie z francuskim? Niemiecki wyleciał mi z głowy całkowicie, gdyż nie był mi do niczego potrzebny, ale francuski zdecydowanie może się przydać. Mimowolnie się uśmiechnęłam: ale masz plany, dziewczyno! Najpierw napisz dysertację! Z drugiej strony, jedno drugiemu nie przeszkadza, mózg trzeba ćwiczyć, inaczej przestanie pracować.

Pewnie zmiana otoczenia podziałała na mnie tak, że w końcu doszłam do ładu sama ze sobą. Trzeba było dwóch miesięcy wolności, żebym zrozumiała jak trudne było moje życie ostatnimi czasy. Nie pod względem fizycznym, oczywiście, ale ciągłe dążenie by „odpowiadać” standardom Igora nieźle mnie zmęczyło. A w zasadzie, dlaczego mam do tego dążyć? On jest samodzielną osobą, i ja jestem. On ma swoje sprawy i poglądy, a ja swoje. A dalej to już będzie co będzie. Nie da się ze mnie zrobić geniusza, to oczywiste, ale mogę spróbować osiągnąć coś samodzielnie.

Świetnie wiedziałam, że taka śmiała jestem tutaj, w Paryżu, a wystarczy mi tylko przekroczyć próg Dawletiarowa, by cała odwaga natychmiast ze mnie wyparowała. Do tej pory nawet nie podejrzewałam, jaką władzę ma nade mną Igor, a gdy to sobie uświadomiłam, aż się przestraszyłam. Najwyższy czas coś z tym zrobić, natychmiast, inaczej będę odwlekać sprawę i się w końcu nie zdecyduję.

Wszystko to przemyślałam, siedząc w samolocie, a gdy znalazłam się na moskiewskim lotnisku, miałam już opracowany szczegółowy plan działań. Z lotniska pojechałam do rodziców, czym ich ogromnie ucieszyłam, wręczyłam prezenty, podzieliłam się wrażeniami, doprowadziłam się do porządku po podróży, a potem oznajmiłam, że muszę pojechać zameldować

się na uniwersytecie. Mogłam to zrobić także następnego dnia, tym bardziej że sprawozdanie miałam już gotowe, ale rodzice kupili tę bajkę i nie protestowali.

Oczywiście, zamiast na uniwersytet pojechałam do mieszkania Dawletiarowa. Zawsze używałam tej nazwy, nigdy nie nazywałam tego mieszkania „domem” – nawet w myślach. Igora, oczywiście, nie zastałam, był wtorek, a we wtorki zawsze siedzi na uczelni do nocy, co znaczyło, że nie będzie mi przeszkadzał.

Działalam szybko, nie dlatego, że bałam się rozmyślić – nie zmieniam raz podjętych decyzji – lecz dlatego, że bałam się wcześniejszego powrotu Igora. Nigdy nic nie wiadomo... Może i postępowałam niezbyt ładnie, ale inaczej w ogóle bym się nie zdobyła na decydujący krok.

Swoje rzeczy zebrałam bardzo szybko, nie mam ich znowu tak wiele, a u Igora trzymałam ich jeszcze mniej.

Wszystkiego raptem dwie torby: jedna z ubraniami, druga z książkami. Rozejrzałam się po mieszkaniu: na oko nie został żaden ślad mojego pobytu. Dobrze, że Igor zabronił mi przywozić tutaj mój rozsypujący się komputer, „ten złom”, bo nieźle bym się teraz z nim namęczyła. Dawletiarow miał dwa komputery, stary stacjonarny i nowy notebook, pozwolił mi korzystać z tego starego. Oczywiście, wszystkie swoje materiały przegrałam i skasowałam z twardego dysku. Tak. Z tym też zrobiłam porządek.

Stojąc na progu, rzuciłam ostatnie spojrzenie na mieszkanie, które pewnie widziałam ostatni raz w życiu. Nigdy nie udało mi się polubić tego miejsca, było jakieś... bezbarwne? Nawet w uniwersyteckim gabinecie Igora jego obecność była bardziej wyczuwalna niż tutaj. Potoczyłam wzrokiem po przedpotopowych meblach, ciężkich i niewygodnych – gdy byłam mała, mieliśmy w domu takie same. Ale teraz nawet moi rodzice,

kochający wszelkie kłamoty, z bólem serca wyrzucili ten okropny zestaw (na szczęście nie zmieścił się w domku na daczce) i wymienili go na nowe meble: lekkie, delikatne i wygodne. Nie wiem, skąd Igor wykopał to wyposażenie; sam, z jego gustem, wybrałby na pewno coś prostszego. Z kilku aluzji domyśliłam się, że jest to pozostałość z czasów krótkiego małżeństwa, ale dlaczego potem nie pozbył się tych zakurzonych potworów zagrających pokoje? Pewnie z początku było mu wszystko jedno, potem nie miał kiedy... Prawdę mówiąc, nigdy go o to nie pytałam. Zresztą, po co teraz się nad tym zastanawiać, nie będę tu już mieszkała.

Włożyłam buty, nawykowym ruchem sprawdziłam kieszenie i wtedy zorientowałam się, że o czymś zapomniałam. Wyjęcie karty SIM z nowej komórki, którą podarował mi Dawletiarow zajęło mi tylko chwilę. Dobrze, że nie wyrzuciłam starego telefonu, ponieważ gdzieś w akademiku, nie zostanę więc bez łączności ze światem. Położyłam na stole śliczną zabawkę i zamknęłam za sobą drzwi. Klucze wrzuciłam do skrzynki na listy. Teraz to już naprawdę wszystko...

Targać torby przez pół miasta wcale nie było łatwo, ale nie wzięłam taksówki, nie jestem hrabiną. Jednak to dobrze, że nie afiszowaliśmy się z naszym związkiem, a ja zachowałam pokój w akademiku. To nic, że przez jakiś czas tam nie mieszkałam, wiele osób tak robiło. Ciekawskim mówiłam, że na razie mieszkam u rodziców, bo na jakiś czas sprowadzili do siebie babcię, której trzeba doglądać. Była to niemal sama czysta prawda, tyle tylko, że pilnować babci nie było potrzeby (ona sama mogłaby jeszcze kimś się zaopiekować), a do nas przeprowadziła się tylko dlatego, że w jej mieszkaniu trwał remont. Nikt nie zamierzał tego sprawdzać, a mnie nic więcej nie było potrzeba do szczęścia.

A oto i mój dom. Nie mieszkanie rodziców, nie cudzy apartament, a właśnie ten pokój w akademiku. Zdążyłam się do niego przyzwyczaić, w

sprawach bytowych mam bardzo małe wymagania, nie odczuwałam więc niewygod. A najważniejsze, że tutaj sama sobie jestem panią i nie muszę nikomu „odpowiadać”.

Nie, nie będę kłamać, że decyzja przyszła mi łatwo, wręcz przeciwnie. Ale świetnie wiedziałam, że nie było innego wyjścia z zaistniałej sytuacji. Nie mogłabym zostać z Dawletiarowem i oznajmić mu, że nie będę pracować pod jego dyktando, nie wyzwoliłam się jeszcze na tyle spod jego wpływu. Jeszcze długo będę go odczuwać, byłam tego pewna na sto procent. „Ale”, uśmiechnęłam się, „nie z takimi problemami sobie radzono, prawda? Mnie też wszystko się jakoś ułoży...”.

A jeśli chodzi o tak zwane „życie osobiste”... Gdybym była naprawdę zakochana w Igorze, byłoby mi pewnie znacznie trudniej. Ale, jak już mówiłam, miłość nie przychodzi mi łatwo, a zakochać się bez pamięci w ogóle nie jestem w stanie. Owszem, spędziliśmy razem kilka miesięcy i czasami nawet wydawało mi się, że czuję do niego coś więcej niż tylko przywiązanie, ale nic ponadto.

„Gdyby twoi rodzice wiedzieli, jak się rozpuściłaś, Naino”, skarciłam się w myślach, „wpadliby w przerażenie. Jak nisko upadłaś! Żyć z mężczyzną, do którego jesteś po prostu »przywiązana«, normalnie koszmar! I nie zaprzeczaj, podobało ci się to!”.

Co prawda, to prawda... Gdy Igor był w dobrym nastroju, a to, nie ma co oszukiwać, zdarzało się całkiem często, było mi z nim naprawdę wspaniale. Takich chwil będzie mi żal...

„Czego tu żałować?”, pomyślałam. „Bądź lepiej wdzięczna losowi za to, że był z tobą taki mężczyzna! Nie mieszaj dwóch różnych rzeczy”.

Wspaniała życiowa zasada, którą wyłożyły mi bliźniaczki. Rozstałaś się z kimś, no cóż, czy to wystarczający powód, by go nienawidzić do końca życia? Tym bardziej, że nie żywiłam do Igora zbyt wielu negatywnych

uczuć, a poza tym dużo dla mnie zrobił i za wiele rzeczy byłam wdzięczna. Chociaż może się zdarzyć, że zmusi mnie do zmiany uczuć, to akurat wychodzi mu dobrze.

Jaki z tego wniosek? Ano taki, że sądząc po uldze, jaką poczułam, podejmując decyzję o rozstaniu z Dawletiarowem nie tylko na polu naukowym, ale także w życiu osobistym, nie żywię i nigdy nie żywiłam do niego żadnych romantycznych uczuć. Chciałabym poznać jego poglądy w tej materii, ale przecież go nie zapytam, a on sam nigdy nic na ten temat nie mówił. Tak... jeśli spojrzeć na to z boku, byliśmy bardzo dziwną parą! Tym lepiej, że nikt o niczym nie wiedział.

Najbardziej niepokoiła mnie konieczność wyjaśnienia sytuacji twarzą w twarz. Dlatego właśnie postanowiłam małodusznie zabrać rzeczy z mieszkania pod nieobecność Igora. Nie chciałam, by rozmowa odbyła się na jego terytorium, byłabym wtedy na z góry przegranej pozycji.

„Oho, do tego jeszcze kombinujesz, jak wyplątać się z całej sytuacji z jak najmniejszymi stratami? A więc nie jesteś jeszcze całkiem stracona dla społeczeństwa!”, skomentowałam złośliwie.

Na uniwersytecie Dawletiarow na pewno nie urządzi mi awantury, bo nie będzie chciał, żeby inni dowiedzieli się o naszych relacjach. Jest mi to jak najbardziej na rękę.



Następnego dnia pojawiłam się w pracy jak gdyby nigdy nic, odebrałam należną mi porcję ochów i achów od laborantek oraz milczącą akceptację obecnych wykładowców płci męskiej i przekonałam się, że postąpiłam słusznie, wkładając paryskie nabytki.

Efekt, jaki wywarłam, sprawił mi przyjemność. Dużo mniej podobały mi się pełne zawiści spojrzenia niektórych dziewcząt. Nie należało zbytnio

przeciągać rytuału powitalnego, nadużywając życzliwości pracowników wydziału. Na szczęście mama nauczyła mnie, żeby nigdy nie zjawiać się z pustymi rękami i z podróży zawsze przywozić drobne upominki. Miałam nadzieję, że nie pomyliłam się w rachunkach i nakupiłam tyle drobiazgów, różnych statuetek i breloczków, by starczyło dla wszystkich.

Zdałam raport z pobytu, porozmawiałam z promotorem – szczęśliwie dla mnie zjawił się dziś na wydziale, choć zazwyczaj trudno było go tu dopaść. Nikołaj Jefimowicz zapytał, jak posuwa się praca nad dysertacją, a ja uczciwie powiedziałam, że plan, który mu wcześniej przedstawiałam, prawdopodobnie ulegnie zmianie, bo podczas konferencji zrodziły mi się w głowie nowe pomysły, które chciałabym wykorzystać.

Nikołaj Jefimowicz nie zmartwił się tym ani trochę, co więcej, wyraźnie się ucieszył, że wyjazd do Francji nie był tylko ciekawą wycieczką, ale przyniósł także korzyści zawodowe. Oczywiście w tym momencie nie mogłam nie opowiedzieć mu przynajmniej pokrótce moich pomysłów na temat wykorzystania w opracowywanej przeze mnie technice metod stosowanych w magii iluzji. Muszę przyznać, że jego reakcja sprawiła mi przyjemność – udało mi się go zadziwić. Oczywiście rozmowa w przelocie na korytarzu nie była zbyt wygodna, tak więc umówiliśmy się na spotkanie i rozeszliśmy każde w swoją stronę, całkiem zadowoleni.

No cóż, część oficjalna dobiegła końca, została tylko, że tak powiem, nieoficjalna. Ciekawe, jak będzie lepiej – zacząć samej czy tchórzliwie poczekać, aż pierwszy krok zrobi druga strona? Nie musiałam długo nad tym łamać głowy, gdyż, idąc niespiesznie korytarzem, prawie natychmiast natknęłam się na Dawletiarowa. Czyżby specjalnie na mnie czekał? Niewykluczone.

– Dzień dobry, Igorze Georgiewiczu – powiedziałam, jak zwykle. Co prawda serce podeszło mi do gardła, ale szybko wygnałam je stamtąd i

zmusiłam do powrotu na właściwe miejsce.

– Dzień dobry, Czernowa. – Igor też odpowiedział jak zwykle. A właściwie, jak dawniej, gdyż znowu zwracał się do mnie po nazwisku. Ciąg dalszy był w pełni przewidywalny: – Bądź tak dobra i wpadnij do mnie, do gabinetu.

Jasny gwint, dobrze chociaż, że nie powiedział: „Musimy porozmawiać”, bo wyszedłby z tego kompletny melodramat.

– Widzę, że wyjazd się udał – zagaił całkiem zwyczajnym tonem, gdy zamknęły się za nami drzwi do gabinetu.

– Bardzo – przytaknęłam. – Mam mnóstwo wrażeń.

– To dobrze.

Nagle zaskoczona zrozumiałam: on po prostu nie wie, od czego zacząć! Igor?! Gdy zdałam sobie z tego sprawę, zdenerwowanie całkiem ze mnie opadło. Właściwie dlaczego się trzęsę jak galareta...?

– W takim razie mam do ciebie tylko jedno pytanie, Czernowa. Domyślasz się, jakie?

– Czy to konkretne pytanie czy retoryczne? – palnęłam nieoczekiwanie i aż się sama zdziwiłam.

– Jak mam to wszystko rozumieć? – Dawletiarow nie zwrócił uwagi na moją bezczelność.

Nie zapytałam, co miał na myśli, mówiąc „wszystko”, przeciąganie tej rozmowy nie miało sensu, w końcu sama się o to prosiłam.

– Według mnie, można to zrozumieć tylko w jeden sposób. Postanowiłam odejść, to wszystko.

– A mogę wiedzieć, z jakiego powodu? – spytał cicho.

Po prostu nie poznawałam Dawletiarowa. Oczekiwałam awantury, być może wyszukanych oszczerstw, ale nie takiego spokoju... Nie, nie był

spokojny – nagle do mnie dotarło. Teraz się trzyma w ryzach, ale strach pomyśleć co będzie, jeśli nie wytrzyma.

– Oczywiście – odpowiedziałam. – Widzisz...

Zacięłam się. Jak mam mu to wyjaśnić? Zawsze miałam kłopoty z wyrażaniem myśli. „Trzeba było zawnoczu przygotować sobie konspekt”, podpowiedział mi złośliwie głos wewnętrzny.

Igor czekał w milczeniu, a z wyrazu jego twarzy nie mogłam nic wywnioskować. Co się z nim dzieje? Przecież zwykle przypomina skrzynkę dynamitu – wystarczy przyłożyć zapalnik i wybucha, a teraz jakby nałykał się prochów.

– Widzisz – zaczęłam znowu – dużo myślałam przez te dwa miesiące. Musiałam znaleźć się setki kilometrów od Moskwy, żeby zrozumieć, jak bardzo jestem od ciebie uzależniona.

„A właściwie, dlaczego się tak męczę?”, pomyślałam. „Powiem co myślę i niech to interpretuje, jak chce!”.

– I nie... znaczy, nie chcę tak dłużej. Chciałam coś w życiu osiągnąć, to prawda, ale sama. A jak wyszło?

Igor nadal milczał, do tego stopnia nie pasowało to do niego, że czułam się nieswojo. Ale nie mogłam teraz przerwać.

– Nie chcę być twoim cieniem, Igorze, a jak dotąd wszystko do tego prowadzi. Oto przyczyna.

– Ale... – podjęłam po krótkiej chwili milczenia. – Nie chcę, żebyś pomyślał, że... no, że cię wykorzystałam. Chociaż to pewnie tak wygląda, prawda? Najpierw dyplom, potem praca doktorska... Naprawdę nie sądziłam, że tak wyjdzie. Nie wiem, co mam powiedzieć, żebyś mi uwierzył.

– Nie trzeba nic mówić, Czernowa. – Ku memu wielkiemu zdziwieniu Igor uśmiechnął się nieznacznie. Inna sprawa, że z jego oczu nadal nic nie

mogłam wyczytać. – Świetnie wiem, że nie umiesz kłamać. I dlaczego uważasz, że pozwoliłbym ci się wykorzystać? Pochlebiasz sobie.

Prawdę mówiąc, taki argument w ogóle nie przyszedł mi do głowy.

– Nie będziemy się licytować, Czernowa – dodał Igor. – Równie dobrze można by powiedzieć, że to ja cię wykorzystalem.

Przemilczałam to, chociaż w tej sprawie miałam własne zdanie. Podejrzewałam, dlaczego Igor nie zgodził się być moim promotorem – najwyraźniej nie dawały mu spokoju słowa wypowiedziane w gniewie przez Larysę Romanownę, nawet jeśli nie chciał się do tego przyznać sam przed sobą. Ale nadal nie zrezygnował z możliwości rozsławienia swego imienia – moją propozycję przyjął bez chwili namysłu. Ambicji Dawletiarow miał w sobie za dziesięciu.

Co do „wykorzystania”, miał wspaniałą wymówkę, przecież sama złożyłam mu propozycję. A jak można zrezygnować z czegoś, co samo pcha ci się w ręce? No i w końcu, jego zdaniem, dokonaliśmy wymiany korzystnej dla obu stron: ja dostałam świetną dysertację, on – to, co uważał za stracone na zawsze oraz ogromne pole dla rozwoju nowej teorii. Co w tym złego? Przecież ja też tak uważałam i nie widziałam nic zdrożnego w powstałej sytuacji.

– Nie będziemy się licytować – kiwnęłam głową. – Chciałam tylko powiedzieć, że gdyby nie ty, naprawdę nic rozsądnego bym nie zrobiła. Ty, mówiąc w przenośni, nauczyłeś mnie pływać. Ale dalej chcę płynąć sama.

– Dopłyniesz? – Dawletiarow uniósł brew.

– Spróbuję – prychnęłam. Miałam wrażenie, że wszystko dzieje się nie tak jak powinno. – A potem zobaczymy. Tylko że twoja monografia...

– Materiału starczy mi na kilka takich prac – zauważył Dawletiarow. – A co zamierzasz robić ze swoją pracą doktorską?

– A co mam z nią zrobić? – zdziwiłam się. – Będę pisać. Być może nie skończę jej w ciągu roku, jak planowałeś, a poświęcę na to trzy lata, albo i więcej, zobaczymy. Ale ją napiszę. I może nie będzie zachwycająca, ale za to moja własna.

– Rozumiem, Czernowa. – Dawletiarow wstał zza biurka i podszedł do okna. – Powiedz mi jeszcze tylko jedno...

– Co?

Igor odwrócił twarz w moją stronę, a mnie aż przeszły dreszcze: takiego spojrzenia nigdy jeszcze u niego nie widziałam.

– Odchodzisz do kogoś innego?

Milczałam, zbita z tropu. Dopiero wtedy dotarło do mnie, że dziesięć lat temu, prawdopodobnie w tym samym pomieszczeniu, podobne słowa skierowała do Igora jego żona. I... co? „Nic”, pomyślałam. Ona to ona, a ja to ja!

– Nie – odpowiedziałam po prostu. – Nie odchodzę do kogoś. Odchodzę od ciebie.

– W takim razie odejź, Czernowa. – Dawletiarow znowu odwrócił się do okna. – Odejź.

Wyszłam i ostrożnie zamknęłam drzwi. Wrażenie nierealności tego, co się wokół mnie dzieje, wróciło z nową siłą. Cóż to było? Niby rozmowa dwojga cywilizowanych ludzi, bez awantury i mordobicia, wszystko niezwykle kulturalnie. Ale właśnie to było nienormalne! Igor, który potrafił zrobić karczemną awanturę z powodu źle, jego zdaniem, użytego słowa, teraz ani razu nie podniósł głosu!

Ktoś obcy mógłby sądzić, że jest mu po prostu wszystko jedno. Ale ja doskonale go znałam i wiedziałam jak bardzo została zraniona jego miłość własna. A jednocześnie nie na tyle dobrze, żeby wyobrazić sobie, co teraz przeżywa. I czym to się może skończyć dla mnie.

Jeśli Igor uzna, że został obrażony, będzie to mój koniec. Nie będzie musiał nawet podejmować żadnych specjalnych kroków, zniszczy moją karierę zupełnie legalnie. Na razie nie jestem w stanie dyskutować z nim jak równy z równym, a to znaczy, że w rozmowie na każdy temat, czy to o teorii, czy praktyce, może mnie po prostu zmiażdżyć. I co będę mogła zrobić, wciągnąć w te rozgrywki pozostałych wykładowców? Wtedy wojna ogarnie cały uniwersytet i tak czy siak będę zmuszona odejść. Przebiegł mnie zimny dreszcz.

A z drugiej strony... Skąd wziął mi się ten głupi nawyk: zawsze przewidywać najgorsze? Tak, ani doświadczeniem, ani wiedzą nie mogę się równać z Igorem, to oczywiste. Ale jeśli chodzi o ogólny potencjał, mogę bez trudu go przeskoczyć, nawet biorąc pod uwagę fakt, że jego potencjał prawie całkowicie się zregenerował. Przecież ja też nie stoję w miejscu, w ciągu ostatniego roku bardzo się rozwinęłam, a nie osiągnęłam jeszcze górnej granicy swych możliwości, to pewne. Tak więc jeszcze nie wiadomo, po czyjej stronie stanie kierownictwo. Nie będę na razie się tym martwić. Zobaczymy, co będzie.

Jednego byłam absolutnie pewna: jako człowiek, jako osobowość zupełnie Dawletiarowa nie interesowałam. Ciekawiło go, co można zrobić z takiego „surowego materiału”, jaki wielobarwny motyl może wykluć się z szarej gąsienicy, a poza tym – wygodnie było mieć mnie pod ręką, to wszystko. A, że tak powiem, „w sferze niezawodowej”... Co mogliśmy mieć wspólnego poza pracą? Igor jest o dwanaście lat starszy ode mnie, to śmieszne, słowo daję. Tak więc chyba postąpiłam słusznie, że nie uparłam się, by ratować nasze relacje. I tak nic dobrego by z tego nie wyszło.



Przez pewien czas chodziłam podminowana, ale potem uspokoiłam się, widząc, że moje obawy okazały się bezpodstawne. Nie udawaliśmy z Dawletiarowem, że się nie znamy, nadal witaliśmy się uprzejmie, gdy spotykaliśmy się na korytarzu, ale nic ponadto. Nie próbował do mnie zagadywać, ani ja do niego, oczywiście, też nie. Gdy pojawiał się na posiedzeniach, zwracał na mnie akurat tyle uwagi, co na powietrze. Było to u niego zwykle zachowanie, więc nikt się niczemu nie dziwił. A nigdzie indziej poza uczelnią się nie widywaliśmy. Najprawdopodobniej Dawletiarow uważał, że robienie mi jakichkolwiek drobnych świństw jest poniżej jego godności. Podejrzewałam, że szykował okropną zemstę, licząc na to, że dobierze mi się do skóry na obronie pracy doktorskiej. Ale do tego było jeszcze daleko, a ja nie sięgałam myślami w tak odległą przyszłość.

Sama byłam zdziwiona, jak bardzo przedtem koncentrowałam się na Igorze. Przecież pracowało u nas tylu ciekawych ludzi, weźmy chociażby mojego promotora!

Przedtem starałam się jak najmniej z nim kontaktować, ale teraz spróbowałam ułożyć jakoś nasze stosunki i nawet kilka razy poprosiłam go o radę, ostatecznie zaplątawszy się we własnym pomysle. Wskazówki otrzymałam, i to całkiem mądre, a do tego Nikołaj Jefimowicz zaproponował mi pracę na pół etatu w jednym z departamentów w ministerstwie magii. A departament ten miał związek ze służbami bezpieczeństwa.

Mówiąc szczerze, oczekiwałam tego, naiwnością byłoby założenie, że nie zwrócą na mnie uwagi. To znaczy uwagę zwrócili już dawno, po tej zadymie, którą wywołałam jeszcze na czwartym roku, a potem długo obserwowali, zastanawiając się, czy warto sobie mną zawracać głowę. Widocznie moja praca dyplomowa przekonała ich, że warto, stąd zaproszenie na konferencję. Podczas pobytu we Francji nasłuchiwałam się od

uczestników, jak trudno było się tam dostać, a mnie wypchnięto prawie siłą, bez względu na moje sprzeciwy! Jakże mogą tu być wątpliwości? A teraz, jak sądzę, nasze wspaniałe „organy” chciały zobaczyć, czy będę się dalej rozwijać, czy też można mnie wykorzystać tylko do dematerializowania czołgów potencjalnego przeciwnika znajdujących się w zasięgu kontaktu wzrokowego. (Przyszło mi nawet do głowy, czy ci śmieszni bandyci, którzy starali się przestraszyć mnie pamiętnej wiosny, nie zostali przysłani specjalnie po to, żeby sprawdzić, jak zachowam się w sytuacji krytycznej. No cóż, wszystko jest możliwe!). Tak czy owak znalazłaby się dla mnie praca, ale Nikołaj Jefimowicz dał mi jednoznacznie do zrozumienia, że jeśli pokażę się z dobrej strony, to czekają na mnie bardzo ciekawe zadania. A to, że propozycja ta padła prawie natychmiast po tym, jak wyłożyłam mu moje pomysły, było tylko dodatkowym dowodem potwierdzającym moją wersję.

W każdym razie propozycja pracy przyszła w samą porę, bo po pierwsze: wydział Nikołaja Jefimowicza zajmował się właśnie tą problematyką, którą opisywałam w dysertacji, a po drugie: dodatkowe pieniądze zawsze się przydadzą.

A i pozostali wykładowcy z naszego wydziału żywo się mną interesowali. Jak mogłam wcześniej sądzić, że odnoszą się do mnie podejrzliwie i niechętnie? Mogłam ruszyć głupim łbem, domyślić się, że trudno jest paść sympatią do ponurej dziewczyny, która stroni od wszystkich i wiecznie chowa się po kątach!

No, tak. Albo coś mi przeskoczyło w głowie, albo rzeczywiście trening paryskich siostrzyczek przyniósł efekty, ale wystarczyło tylko, że trochę zmieniłam swój stosunek do innych, a i oni zaczęli zachowywać się wobec mnie zupełnie inaczej. Przecież naprawdę nie jestem ponurą Buką. Po prostu nie lubię pustej gadaniny, dlatego nigdy nie przyjaźniłam się z

ludźmi z roku. Ale tutaj pustej gadaniny nie było, była za to poważna praca! Jakże mogliby nie okazać mi pomocy: uważano mnie teraz niemalże za wizytówkę uniwersytetu, czemu nie ma się co dziwić, magów z moim potencjałem można policzyć na palcach jednej ręki.

„Żeby ci tylko woda sodowa nie uderzyła do głowy, Czernowa. Przecież dobrze wiesz, czym to się może skończyć!”, powiedziałam do siebie pewnego razu, podziwiając swe odbicie w lustrze i starając się zgadnąć, jaka będzie reakcja, jeśli jutro na zebranie włożę paryską spódnicę. Nie za krótką, całkiem przyzwoitej długości, ale mimo wszystko odsłaniającą kolana... Mężczyźni, jak sądzę, zaakceptują w mgnieniu oka, ale damom zagraniczny ciuszek stanie ością w gardle.

Co do dysertacji, przez pewien czas nie mogłam się za nią zabrać. Mówiąc szczerze, bałam się rozpocząć pracę. Potem jednak zebrałam się w sobie, przysiadłam fałdów i radykalnie przerobiłam plan.

Aż do tej pory nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak głęboko Dawletiarow nasączył mnie swoim sposobem myślenia. Mimowolnie zastanawiałam się, co powiedziałyby na temat tego czy innego sformułowania, jak kazałyby przerobić zdanie, jak skrytykowałyby moje podejście...

Musiałam wyrwać z siebie Dawletiarowa z korzeniami, a muszę przyznać, że nie było to łatwe.

Nie, nie chciałam dłużej ślepo podążać za jego wskazówkami. Może jestem niedoświadczona, ale mam głowę na karku i do tego nie całkiem pustą. Utwierdził mnie w tym przekonaniu Nikołaj Jefimowicz, któremu, po dwóch dniach niepewności, pokazałam jednak zmodyfikowany plan. Ku memu nieukrywanemu zadowoleniu plan mu się spodobał, a jeden z moich pomysłów wręcz wprowadził go w zachwyt. Być może nie był tak całkiem

szczery – najważniejsze, że w końcu uwierzyłam we własne siły i wzięłam się do pracy.

Nie mogę powiedzieć, że posuwałam się szybko do przodu. Początkowo często a to wpadałam w panikę, a to znów w stan kompletnego ośpienia. Zawsze z tego samego powodu: pisanie samodzielne, bez niczyjej pomocy, nie przychodziło mi łatwo. Pierwsze strony kosztowały mnie niemało trudu, ale potem wszystko się jakoś ułożyło. Teraz sama bezlitośnie poprawiałam tekst, nie z punktu widzenia osoby postronnej, ale tak, jak sama uważałam za konieczne.

Ponadto stanowisko własnego recenzenta okazało się bardzo korzystne, siebie zawsze krytykowałam surowiej niż innych. I tak oto mogłam już myśleć o Dawletiarowie nie ze złością, a nawet z jakimś rodzajem wdzięczności: jakkolwiek by na to patrzeć, on jako pierwszy popchnął mnie w dobrym kierunku. Chociaż, prawdę mówiąc, wspominałam go coraz rzadziej, a podczas spotkań na uniwersytecie wydawał mi się kimś zupełnie obcym. Chciałam wierzyć, że on o mnie myślał tak samo...

Jeszcze jedna sprawa budziła mój niepokój. Obawiałam się, że mogę nie wytrzymać i zacznę udowadniać Dawletiarowowi, że naprawdę mogę coś osiągnąć bez jego pomocy, będę wyłazić ze skóry, by osiągnąć coś zupełnie niepotrzebnego... Tak też bywa, słyszałam niejedną taką historię. Na razie nic się nie stało. Właściwie, po co miałabym mu coś udowadniać? Kim on dla mnie jest? Nikim.

Oczywiście, w głębi duszy chciałam mu utrzeć nosa, ale było to uczucie nieokreślone i do końca niezdefiniowane.

„Nie rób z siebie idiotki”, nakazałam sobie, po raz kolejny łapiąc się na tego typu myślach. „Jeśli chcesz coś komuś udowodnić, udowadniaj sobie. Trenuj, a może kiedyś uda ci się zaspokoić tę swoją rozbuchaną ambicję. A że jest to na razie pieśń przyszłości, zajmij się lepiej robotą. Marzyć

będziesz jak pójdziesz na emeryturę!”. I tak to gadałam sama ze sobą, bo nikogo innego do szczerych rozmów nie miałam. Ciekawe, co by na ten temat powiedział psychiatra.



Jednym słowem, mój stan ducha był zadziwiająco dobry. Zarabiałam teraz całkiem nieźle, więc mogłabym wynająć mieszkanie na mieście, zamiast cisnąć się w akademiku, ale po prostu nie chciało mi się ruszać z miejsca, do którego zdążyłam się przyzwyczaić. No i na uniwersytet miałam rzut beretem. Poza tym wiecie, jak to jest mieszkać w cudzym mieszkaniu: tego nie ruszaj, tam nie wchodź... Dzięki, już próbowałam. O, kiedy będzie mnie stać na własne, wtedy to co innego, a na razie nie ma co szpanować.

Po zastanowieniu kupiłam nowy komputer, notebook, który mogłam zabierać ze sobą do biblioteki. Do tego czasu nasz akademik wyremontowano i podłączono do Internetu, dzięki czemu mogłam komunikować się z paryskimi znajomymi. Z Mireille i Sophie nawet dzwoniłyśmy do siebie od czasu do czasu. Nie wybierały się na razie do Moskwy, ale nadal miały tę podróż w planach. Z Irlandczykiem Seanem prowadziliśmy ożywioną korespondencję na temat jego kolejnego genialnego pomysłu. O ile dobrze zrozumiałam, nie myślał o poważnej karierze, był „niezależnym konsultantem”.

Utrzymywałam też kontakty z Mickeyem, który uparcie zapraszał mnie do siebie, a nawet namawiał, abym przeniosła się na stałe do USA. Obiecałam przyjechać z wizytą, gdy tylko obronię pracę, ale o przeprowadzce nawet nie chciałam słyszeć. Czego niby mam tam szukać? Sądzę, że naszą korespondencję czytali szczegółowo tak zwani „kuratorzy” naszego uniwersytetu, czyli panowie z „organów” i myślę, że mieli z tego

powodu wiele uciechy. Najwyraźniej zachowywałam się prawidłowo, bo naszej korespondencji do tej pory nie przzerwano. Zresztą ani trochę nie oszukiwałam, bezwzględnie nie miałam zamiaru emigrować do obcego kraju. Nic mnie tam nie ciągnęło.

I tak, nie wiadomo kiedy, minęła zima.



Latem nieoczekiwanie objawiła się moja stara przyjaciółka, Katarzyna, i zaproponowała, żebym wyjechała z nią na wakacje. Prawdopodobnie potrzebowała mnie w charakterze „ściany płaczu”, by wylać wszystkie swe żale związane z ostatnim ukochanym, który później okazał się naturalnie bydlakiem i męską szowinistyczną świnią. Gdyby Katarzyna zaprosiła mnie gdzieś za granicę, nie pojechałabym, ale zaproponowała odpoczynek w Adlerze, więc złamałam się. Nie byłam nad morzem od ładnych paru lat. Od czasu do czasu mam chyba prawo do urlopu?

Odpoczynek udał się nadzwyczajnie. Katarzyna szybko zapomniała o swych smutkach i świetnie się bawiłyśmy. Ze stanowczością, która mnie samą zdziwiła, dałam odpór dwóm miejscowym miłośnikom wakacyjnych przygód, za to z trzecim, petersburskim prawnikiem, nawiązałam prawdziwy romans, który trwał dokładnie do dnia wyjazdu mojego i Katarzyny. Prawnik obiecał pisać i nie zapominać, ale było dla mnie jasne, że ten wakacyjny romans nie będzie miał żadnego ciągu dalszego – przecież właśnie dlatego nazywane są wakacyjnymi romansami. Zupełnie mnie to nie zmartwiło, wspaniale spędziliśmy czas, czegoż chcieć więcej?

Przez resztę lata pisałam dysertację, praca posuwała się naprzód w całkiem przyzwoitym tempie i chociaż na pewno nie wyrobię się w półtora roku, nie miałam powodów do narzekania. Ostatecznie nie muszę się zarzynać, lepiej zrobić wszystko w normalnym terminie, ale porządnie.



Jesienią uszczęśliwiono mnie zajęciami ze studentami – musiałam je prowadzić jako doktorant studiów dziennych. Bardzo zabawne, szczególnie jeśli weźmie się pod uwagę, że wepchnięto mi piąty rok! Dobrze chociaż, że miałam wykładać jeden z kierunków magii obronnej, który dobrze znam, a przynajmniej byłam w stanie surowo odpytywać tych nicponi.

Przypadła mi w udziale dość liczna grupa, w porównaniu z tą, do jakiej sama kiedyś należałam, a studenci, jak jeden mąż, okazali się nieźle utalentowani. Co prawda byli też kompletnie niezorganizowani i jacyś tacy... chyba nadaktywni. Prawdę mówiąc, początkowo obawiałam się, jak potraktują „profesorkę” raptem o półtora roku starszą od nich. tym bardziej że nie wyglądałam na swoje lata. Zastanawiałam się też, kogo ze znanych mi wykładowców powinnam naśladować. W końcu doszłam do wniosku, że nikogo. Małpowanie kogoś z kadry byłoby najlepszym sposobem, żeby znaleźć się w głupiej sytuacji. Studenci przyjęli mnie nie najgorzej, więc chyba się nie pomyliłam. Rzeczywiście, idiotycznie by wyglądała taka świszczypała jak ja, puszająca się i udająca władczą Larysę Romanową albo stukająca linijką w biurko jak rozsypująca się ze starości, zupełnie nie panująca nad językiem Lolita Stanisławowna.

Ogólnie moje stosunki ze studentami ułożyły się nieźle, niektórzy chłopcy próbowali nawet mnie podrywać. (Półtora roku nie jest tak dużą różnicą wieku, żeby zwracać na nią uwagę). Było to bardzo zabawne, ale oczywiście nawet nie pomyślałam o nawiązywaniu jakiegoś szkolnego romansiku. Po prostu nie miałam do tego głowy. Praca, dysertacja, a do tego jeszcze prowadzenie ćwiczeń – wszystko to pochłaniało lwią część mego czasu, a przecież chciałam jeszcze wykroić kilka godzin w tygodniu dla przyjaciół.

Jedynie dziewczęta z grupy niezbyt mnie lubiły. Nie wymagałam od nich więcej niż od chłopców, w ogóle starałam się traktować wszystkich jednakowo, ale fakt pozostawał faktem. Szczególną antypatię czuła do mnie jedna z prymusek (było ich w grupie trzy i wszystkie ostro rywalizowały ze sobą) Natasza Gradowa. Ta sama, która jakiś rok temu próbowała wyprosić zaliczenie u Igora. Pamiętam, że wtedy byłam nawet troszeczkę zazdrosna, a teraz tylko się z tego śmiałam: byłby niezły cyrk, gdyby wtedy osiągnęła to, czego chciała! A co, nie ma rzeczy niemożliwych: Natasza była bardzo ładną dziewczyną, nawet nasza Małgorzata nie dorastała jej do pięt. Prócz urody, natura nie poskąpiła jej też talentu, a Dawletiarow – warto o tym wspomnieć przy okazji – wcale nie był mnichem. Mogłoby być ciekawie, daję słowo...

Tak czy inaczej, starałam się ograniczać kontakty z Gradową. Nie podobał mi się ton jej głosu, jakby brzmiało w nim ukryte szyderstwo. Chociaż pod względem nauki nie mogłam mieć do Nataszy żadnych zastrzeżeń.

Pewnego pięknego dnia strasznie nie chciało mi się odpytywać studentów z kolejnego tematu, nieoczekiwanie przypomniała mi się konferencja i postanowiłam przeprowadzić niewielki eksperyment. Pamiętałam, że często organizowano tam współzawodnictwo między grupami, co było bardzo zajmujące. Postanowiłam więc spróbować. Studentów było akurat tylu, by ich podzielić na trzy grupy. Każda z nich dostała zadanie do wykonania i po pięciu minutach w audytorium panował taki rejwach, że nie słyszałam własnych myśli. Musiałam tylko pilnować, aby dyskusja nie przeistoczyła się w osobiste wycieczki.

Gdy hałas osiągnął apogeum, drzwi sali otworzyły się nieoczekiwanie i na progu stanął Dawletiarow we własnej osobie. Z pewnością doszedł do wniosku, że nie radzę sobie ze studentami i postanowił zajrzeć, żeby

porządnie nawtykać mi za brak profesjonalizmu. Z drugiej strony, mógł też chcieć wypomnieć mi, że jak zwykle zapomniałam aktywować osłonę audytorium, która powinna skutecznie wytłumić cały hałas w środku. „Czernowa, ty się nigdy nie zmienisz”, powiedziałam sobie, „przecież znasz tę grupę i mogłaś przewidzieć, jaki tu będzie raban”.

– Co tu się dzieje? – zapytał całkiem normalnym tonem.

– Omawiamy pewne sporne zagadnienie. – Wzruszyłam ramionami. – Czy mogę w czymś pomóc?

Nie doczekałam się odpowiedzi, usłyszałam tylko trzask zamykanych drzwi.

– Proszę państwa, proszę trochę ciszej, żeby nie przeszkadzać pozostałym – poprosiłam dla przyzwoitości. – Inni też mają tu zajęcia.

Moi podopieczni szczerze starali się prowadzić ciszej burzliwą dyskusję, ale nic z tego nie wyszło, co było do przewidzenia.

Zresztą ćwiczenia prowadziłam niedługo, raptem kilka tygodni, potem kierownictwo widocznie doszło do wniosku, że spełniłam swój obywatelski obowiązek i uwolniono mnie od tej nielekkiej powinności. Z jednej strony ucieszyło mnie to, z drugiej strony kontakty ze studentami były całkiem interesujące.

Ciekawe, jak postrzegali wykładowcy mój rocznik? Wydaje mi się, że nie byliśmy tak hałaśliwi i ciekawscy, a moja grupa generalnie składała się z wyjątkowych odludków. Dopiero pod koniec piątego roku nawiązaliśmy jakieś kontakty towarzyskie, ale właśnie wtedy nadszedł czas rozstania. Z naszej grupy na uniwersytecie zostałyśmy tylko ja i Małgorzata Bałaszowa. Ona także zdawała na studia doktoranckie, z tym że na zaoczne. Spotkałam ją kilka razy, gdy przyjeżdżała na konsultacje, ale nasze kontakty ograniczały się tylko do tego. Dlatego bardzo się zdziwiłam, kiedy któregoś

razu, gdy mijaliśmy się na korytarzu, Małgorzata nie ograniczyła się do dyżurnego „cześć”, a ni z tego ni z owego zapytała: – Jesteś teraz zajęta?

– Nie – odrzekłam i przytoczyłam znany cytat z filmu o Kubusiu Puchatku: – Do piątku jestem zupełnie wolna. A co?

– Chciałam z tobą porozmawiać. – Małgorzata zaszokowała mnie kompletnie.

– No... mów – powiedziałam ostrożnie.

– Chodźmy może do bufetu, nie będziemy przecież stały na środku korytarza. – Małgorzata zdawała się jakby trochę zmieszana. Wzruszyłam lekko ramionami i zeszyliśmy na parter, gdzie był całkiem przyzwoity bufet.

Zamówiliśmy kawę, a potem siedziałyśmy w milczeniu nad filiżankami. Nie zamierzałam zaczynać rozmowy, wolę kiedy rozmówca odzywa się pierwszy. Jeśli Małgorzata czegoś ode mnie chce, niech sama powie.

– Jak ci tam leci? – zapytała w końcu.

– Powolutku. Piszę doktorską. A co u ciebie?

– Też nic nowego – odpowiedziała. – Tylko, że teraz wcale nie mam głowy do doktoratu...

– A czemuż to? – zdziwiłam się uprzejmie. – Masz jakieś kłopoty?

– Nie, wychodzę za mąż – uśmiechnęła się. – Za miesiąc.

– Gratuluję! – powiedziałam zupełnie szczerze. – A za kogo, jeśli to nie tajemnica?

– Jaka tam tajemnica... – Małgorzata się roześmiała. – Wasia jest biznesmenem, nawet nieźle mu idzie. Mówi, że przez całe życie marzył o małżeństwie z wiedźmą i żeby obowiązkowo miała na imię Małgorzata, więc pasuję mu jak ulał. I w ogóle świetny z niego gość. Na miesiąc miodowy lecimy do Miami – dodała.

– Nieźle – stwierdziłam tonem uznania. Osobiste życie Małgorzaty nie interesowało mnie ani trochę, ale musiałam jakoś podtrzymać rozmowę.

– Bardzo się zmieniłaś – zauważyła w końcu. – Nabrałaś stylu i pewności siebie.

– Zaprosiłaś mnie tutaj, żeby mi to powiedzieć? – spytałam.

– Nie, to tak... – machnęła ręką. – Słuchaj... Usłyszałam dzisiaj coś, co być może cię zainteresuje.

– Małgorzato, trafiłaś pod zły adres – pokręciłam głową. – Nie zbieram plotek.

– Nie o to chodzi! – fuknęła Małgorzata. – Gdybym cię dziś nie zobaczyła, nic bym nie mówiła, ale skoro już się spotkałyśmy... Mówiąc krótko, przyjechałam dzisiaj na konsultacje do mojego Nazarowa, a gdy na niego czekałam zauważyłam, że poszło mi oczko w rajstopach. Zapasowe mam zawsze ze sobą, więc poszłam się przebrać do toalety, a tam akurat paliły dziewczyny, chyba z piątego roku. – Małgorzata zrobiła przerwę, na pewno po to, żebym mogła sobie wyobrazić tę scenę. – No i te dziewczyny... szkoda słów!

– A co z nimi nie tak? – zapytałam. Co sobą reprezentują dziewczęta z piątego roku, wiedziałam i bez Małgorzaty.

– Nic specjalnego... Jedna rozmowa bardzo mnie zaciekała. – Małgorzata uśmiechnęła się ironicznie. – Stoję sobie w kabinie, rozumiesz, zakładam rajstopy, a tu jedna ślicznotka na całe gardło peroruje o planie poderwania szanownego Dawletiarowa, a pozostałe dają jej rady, jak najlepiej się za to zabrać, z której strony go podejść.

– Poczekaj, Małgorzato. – Zaczęło mnie to bawić. – Po co mi o tym wszystkim mówisz?

– To między wami nic nie ma? – Oczy Małgorzaty zrobiły się okrągłe jak dwa ruble.

– Dlaczego tak myślisz? – zapytałam zupełnie naturalnie. No, nieźle!

– Słuchaj, nie musisz udawać! – parsknęła. – Myślisz, że nikt nie zauważył? Szczególnie gdy na niego patrzysz?

Zamyśliłam się. Zabawne...

– A kiedy widziałaś nas ostatni raz? – zapytałam wesoło.

– No... – Małgorzata zastanowiła się. – Będzie już spory kawałek czasu, ciebie od czasu do czasu spotykam, ale jego nie widziałam od dawna. Po raz ostatni spotkaliśmy się wszyscy razem chyba podczas egzaminów na studia doktoranckie...?

Zrobiło mi się jeszcze weselej.

– Posłuchaj, Małgorzato – powiedziałam. Musiałam podnieść głos, bo do bufetu wpadł tłum studentów i zrobiło się głośno. – Znasz ten dowcip...? Ojciec przyszedł do syna i mówi: „Synku, jesteś już duży, masz osiemnaście lat, pozwalam ci zapalić papierosa”. A syn na to: „Dziękuję, tato, ale rzuciłem trzy lata temu”.

– Aaa... – Małgorzata nagle roześmiała się dźwięcznie. – No jasne! Naina, mówisz serio?

– Zależy, co masz na myśli – powiedziałam.

– No, w ogóle...

– Jeśli w ogóle – westchnęłam – to „rzuciłem trzy lata temu”. Dziękuję ci, Małgorzato, że mi powiedziałaś, ale ten temat już od dawna mnie nie interesuje.

– Całkiem nie interesuje? – Małgorzata podejrzliwie zmrużyła oczy.

– Nie – odpowiedziałam zdecydowanie. – Widzisz, rozeszliśmy się jak statki na morzu. I dzięki Bogu.

– Tak, mogę to sobie wyobrazić. – Wzruszyła ramionami. – Jeśli nawet ty, z twoją cierpliwością... Naina, może być ciekawie, jeśli tej małej się uda, nie?

– Aha – burknęłam. – Nie zazdroszczę dziewczynie. Ani odrobinę.

– Po co jej to potrzebne? – ciągnęła Małgorzata w zamyśleniu. – Świetna z niej laska, naprawdę. A ciuchy ma takie, że chłopaki powinni za nią stadami biegać. Znam się na tym, nie myśl sobie. Sama jej fryzura kosztowała niezłą kasę, widać, że nie byle kto ją robił. Może zwróciłaś uwagę, że teraz modne są pasemka w kilku odcieniach tak, żeby wyglądało jakby od włosów odbijało się słońce.

– Nie, jakoś nigdy się takimi rzeczami nie interesowałam – pokiwałam głową. Ech, Małgorzata, cały czas próbuje zainteresować mnie tą nieznaną... Jak to nieznaną, przecież to Gradowa! Ja się dziwiłam, że nawet w pochmurny dzień włosy jej błyszczą, a to okazuje się taka modna farba. Ha!

– No dobrze... – westchnęła Małgorzata. – Zabawnie wyszło.

– Tak, to prawda – uśmiechnęłam się.

– No to na razie. – Małgorzata wstała. – Jak wrócimy z Miami, pokażę ci zdjęcia.

– To jesteśmy umówione. – Kiwnęłam głową, chociaż wcale nie miałam ochoty oglądać zdjęć Małgorzaty. – Do zobaczenia.

Odeszła, a ja jeszcze przez chwilę posiedziałam w bufecie, rozmyślając o tym, że Małgorzata wcale nie jest taką złą dziewczyną. Trochę zoła, to prawda, a kto nie ma wad? Przecież wcale się nie przyjaźniłyśmy, nawet nie udawałyśmy, a jednak przyszła i opowiedziała... Chciała jak najlepiej. Wyszło jak wyszło, nieszczególnie, ale nie przejęłam się tym zbyt. Niby czemu miałabym się przejąć? Mówiąc szczerze, chętnie obejrzałabym osobliwe show pod tytułem „Łowy na Dawletiarowa”, tylko obawiam się, że do realizacji nie dojdzie, chyba że obiekt polowania zmienił się diametralnie w ciągu ostatniego roku, a o to raczej go nie podejrzewam. Biedna Gradowa, nie ma pojęcia, na co się porywa...

Podumałam tak przez chwilę, po czym wyrzuciłam całą tę historię z głowy i kompletnie o niej zapomniałam.

CZĘŚĆ CZWARTA

MAG BOJOWY

Od rozmowy z Małgorzatą minęło sześć tygodni. Zjawiłam się na uniwersytecie w świetnym humorze. Ostatnio doskonały nastrój mnie nie opuszczał, a były po temu powody. W ministerstwie, gdzie pracowałam na pół etatu, poznałam pewnego pana. Służbowo, ale... Stosunki służbowe jakoś tak niezauważalnie zaczęły zmieniać się w osobiste i nie mogę powiedzieć, by sprawiało mi to przykrość. Sasza był trzy lata starszy ode mnie, lecz o magii, a tym bardziej bojowej, miał bardzo mętne pojęcie, wiedział tylko to, co było mu niezbędne do pracy. A stanowisko miał w dziale planowania, więc nie musiał zbyt głęboko wnikać w niuanse mojej specjalności. Tym lepiej, bo rozmów o pracy mieliśmy dość w ministerstwie i po godzinach zdecydowanie woleliśmy gawędzić o czymś innym.

Saszka okazał się fajnym gościem, wesołym i nad podziw dobrym. Miał mnóstwo przyjaciół – w ciągu miesiąca zdążył poznać mnie z przeróżnymi oryginałami, od didżeja w klubie poczynając, a kończąc na jakimś specnazowcu. Mówiąc szczerze, nawet nie podejrzewałam, że można tak wesoło spędzać czas. Przedtem, gdy mnie gdzieś zapraszano, starałam się odmówić pod byle pretekstem, bo „gdzieś” oznaczało zazwyczaj dyskotekę, pub albo nocny klub, a ja nie znoszę hałasu, ogłuszającej muzyki i tłumów nietrzeźwych ludzi. Ale Sasza znał mnóstwo przytulnych miejsc, gdzie nie tak łatwo było się dostać i gdzie koncertowały niezbyt znane (ale wcale niezłe, o ile mogę ocenić) zespoły, a czasami organizowano wieczory tematyczne. Jednym słowem, było tam ciekawie i takie rozrywki wcale

mnie nie męczyły. A największą przyjemność sprawiało mi to, że Saszka nie narzucił szybkiego tempa i nie starał się zaciągnąć mnie do łóżka już na pierwszej randce. Kto wie, może nawet bym nie odmówiła, ale sam fakt, że szanował mnie chociaż odrobinę i traktował jak osobę, a nie numerek do zaliczenia, sprawiał, że robiło mi się ciepło na duszy.

Poprzedniego dnia, w poniedziałek, miło spędziliśmy wieczór, słuchając młodej jazzowej śpiewaczki w klubie na Miasnickiej. Zupełnie nie znam się na jazzie – to Sasza jest znawcą – mnie muzyka albo się podoba, albo nie. Ta akurat się podobała, a Sasza obiecał, że na pewno zabierze mnie jeszcze raz na koncert, gdy artystka znowu odwiedzi Moskwę.

Dzięki temu z rana miałam wyśmienity humor, wpadłam na wydział z zamiarem podzielenia się wrażeniami z zaprzyjaźnionymi laborantkami, ale zamiast zwykłego rozgwaru w sali panowało grobowe milczenie.

– Czy coś się stało? – zdziwiona zapytałam Żannę, najstarszą i najbardziej rozgarniętą z tutejszych dziewczyn.

– Aha... – Nieznacznie pokiwała głową. – Oj, Naina, ty jeszcze nie wiesz... Takie nieszczęście!

– Mów po kolei! – rozzłościłam się. – Co za nieszczęście?!

– Zabili studentkę od nas... – wykrztusiła Żanna. Jak na dłoni było widać, że strasznie chce poplotkować na ten temat, ale coś jej nie pozwala.

– Z piątego roku... Wyobrażasz sobie?!

– Szczerze mówiąc, nie – odparłam. – A swoją drogą, gdzie są wszyscy?

– Ojej – przypomniała sobie Żanna. – Powiedzieli, że jeśli jeszcze ktoś przyjdzie... Przyjechała milicja, wszystkich przesłuchują, w tej małej sali konferencyjnej, ty też tam idź.

– Dużo jest ludzi? – zapytałam. Może jest tam także Nikołaj Jefimowicz? I tak powinnam z nim porozmawiać.

– Skądże, niedużo. Normalne, że nasi jak nie mają zajęć, to nie zjawia się przed dwunastą, a jest dopiero dziesiąta – machnęła ręką Żanna. – Z innych wydziałów chyba ktoś już był, przesłuchiwali też studentów, ale od nas na razie jesteś pierwsza. No, i nas przesłuchiwali. Idź już, potem nam wszystko opowiesz!

Hm, ciekawe... Co ja mogę powiedzieć o jakiejś tam studentce? Nie przyjaźniłam się z nimi, więc pożytku ze mnie będzie raczej niewiele.

Policjant w średnim wieku, który się mną zajął, najwyraźniej uważał inaczej. Przedstawił się jako kapitan Selezniow, a ja w swej głupocie nie wiedziałam nawet, czy jest to wysoka ranga, niska czy taka sobie.

Na początek wyciągnięto ze mnie wszystkie dane personalne, zażądano dowodu osobistego i tak dalej. Cierpliwie odpowiadałam na głupie pytania – co robić, mus to mus. Ale dalszy rozwój wydarzeń był nadzwyczaj interesujący.

– Proszę powiedzieć, czy znała pani zamordowaną? – zapytał Selezniow, przeglądając notatki.

– Ee, przepraszam bardzo... Ale kogo zamordowano? – powiedziałam ostrożnie.

– Chce pani powiedzieć, że nie wie? – Zaskoczony Selezniow poderwał głowę.

– A skąd mam wiedzieć? – burknęłam, trochę już zirytowana. – Nie było mnie na uczelni od piątku, przyszłam dzisiaj rano, ledwie zdążyłam zajrzeć na swój wydział i od razu przysłano mnie tutaj.

– Yhy... – wymamrotał Selezniow, bazgrząc coś w notesie. – Dobrze... To znaczy niedobrze. Zamordowano Natalię Gradową, znała pani taką dziewczynę?

– Oczywiście, że znam... yhm, znałam – powiedziałam, lekko zbita z tropu. – Studentka piątego roku, prowadziłam u nich ćwiczenia na początku

semestru.

– Aha! – ucieszył się kapitan. – I co może pani powiedzieć o zamordowanej? Charakter, może jakieś przyzwyczajenia?

– W zasadzie nic. – Wzruszyłam ramionami. – Studentka jak studentka, bardzo zdolna, prymuska... Miałam z nimi do czynienia raptem przez trzy tygodnie, a i to nie codziennie, skąd miałabym znać jej przyzwyczajenia?

– A jej koledzy utrzymują, że Gradowa pani nie lubiła – oznajmił Selezniow, wbijając we mnie przenikliwe spojrzenie. – Czy miała po temu powody?

– Nie mam pojęcia – odpowiedziałam uczciwie. – Nie stawiałam jej dwójek, bo nie było za co. A dlaczego jeszcze miałyby mnie nie lubić? Jak Boga kocham, nie mam pojęcia.

– Jasne... – Selezniow zacisnął wargi i położył ręce na stole. – A więc tak, Naino Jurijewna, wyjaśnijmy sobie pewne sprawy. Nie wiedziała pani o zabójstwie Gradowej?

Skinęłam głową w milczeniu. Selezniow nie podobał mi się, był jakiś taki wymięty i niechlujny. Chociaż pewnie przez całą noc pracował z powodu śmierci tej studentki, trudno żeby wyglądał jak spod igły! – skarciłam się w myślach. Biorąc pod uwagę, jak Gradowa ubierała się i zachowywała, jej rodzice musieli należeć do kręgów uprzywilejowanych i na pewno pociągnęli za niejeden sznurek.

– Czyli nie wie pani o jednym drobnym, ale ważnym szczególe – z zadowoleniem zauważył Selezniow. – Bo widzi pani, Naino Jurijewna, Gradowej nie zabiły jakieś drobne rzezimieszki, by ją obrabować, o nie... Zabił ją mag, a biorąc pod uwagę wyniki ekspertyzy, właśnie mag bojowy. Użyto techniki... Selezniow zaszeleścił papierami. – Zaraz... O, tu jest. Specjaliści mówią na to „Asz–klinga” albo „Igła Sztilmana”. Rozumie pani, do czego zmierzam?

– Nie – powiedziałam szczerze, starając się poukładać w głowie wszystko, co do tej pory usłyszałam. Mój Boże, jaki mag mógł mieć coś do Gradowej...?! – Chwila, przecież jeśli mordercą jest mag, to można go znaleźć w try miga, nieprawdaż? – ocknęłam się.

– I tu się pani myli, Naino Jurijewna. – Selezniow rozłożył ręce. – Bo ten mag nie tylko zabił Gradową, ale jeszcze, że tak powiem, pozamiatał po sobie, i to dosyć solidnie. Eksperci twierdzą, że strefa oddziaływania miała średnicę od kilometra do półtora. Jak wy to nazywacie? Coś z wiatrem...

Ponownie zaszeleścił papierami, próbując chyba odnaleźć potrzebną kartkę.

– „Suchowiej” – podpowiedziałam automatycznie. Mówiono nam na wykładach o tym zaklęciu powodującym wypalenie śladów energetycznych w promieniu kilku metrów. Ale tu była niezła skała, niezła... Nie da się ukryć, musiał to być silny mag, bardzo silny! I niegłupi – bo trzeba jeszcze wpaść na ów niekonwencjonalny pomysł, że suchowiej nadaje się nie tylko do tego, żeby zapewnić sterylność doświadczenia w warunkach polowych. Faktycznie, dobry sposób na zatarcie śladów!

– O, właśnie! – Selezniow uniósł palec ku górze. – I co mamy? Ano, wychodzi na to, że magów bojowych na takim poziomie, żeby mogli zastosować ten wasz „Suchowiej” można policzyć na palcach jednej ręki, a do tego większość z nich pracuje na PUM, gdzie studiowała świętej pamięci Gradowa. Teraz pani rozumie?

– Nadal nie. To znaczy częściowo rozumiem. Szuka pan pewnie podejrzanych na PUM, bo są oni chociaż trochę związani z Gradową, tak?

– Właśnie! – Selezniow wprost rozkwitł. – A jeśli już do tego doszliśmy, to spróbujmy teraz popatrzeć na sprawę z drugiej strony. – Znowu zaszeleścił swoimi papierami, a potem zapytał: – Naino Jurijewna, czy to

prawda, że jest pani w intymnym związku z niejakim Dawletiarowem Igorem Georgiewiczem?

Milczałam zgnębiona. Skąd mógł się o tym dowiedzieć? I dlaczego pyta w czasie terazniejszym? Kto mógł mu powiedzieć? Oczywiście, któryś z tych, co przyszli przede mną, ale kto? Trzeba potem wypytać laborantki, na pewno coś wiedzą, ale teraz trzeba odpowiedzieć na pytanie. I nie ma sensu kłamać, jeśli kapitan i tak wie wszystko.

– Niezupełnie – odpowiedziałam ostrożnie.

– Jak to?

– Rozstaliśmy się prawie rok temu – oświadczyłam sucho.

– Z czyjej inicjatywy? – spytał kapitan jakby od niechcienia.

– Z mojej – odparłam z satysfakcją.

– A jaki był powód rozstania? – Selezniow nie popuszczał. Zaczynałam mieć tego dość.

– Proszę wybaczyć, ale czy prowadzi pan śledztwo w sprawie zabójstwa Gradowej, czy wyjaśnia pan szczegóły mojego życia osobistego?

– Proszę mimo wszystko odpowiedzieć. – Selezniow spoważniał. – Dlaczego rozstała się pani z Dawletiarowem?

– A dlaczego ludzie się rozstają? – westchnęłam, rozumiejąc, że prościej będzie odpowiedzieć niż dyskutować. – Mieszkaliśmy razem przez kilka miesięcy, a potem zrozumiałam, że popełniłam gruby błąd i odeszłam od niego. To wszystko.

– A na czym polegał ten błąd?

Czego tak się mnie uczepił?!

– Dawletiarow panią zdradzał?

– Nie mam pojęcia – odpowiedziałam szczerze. – Nie śledziłam go przecież.

– W takim razie, dlaczego?

– Dlatego, że nie da się z nim długo wytrzymać – westchnęłam zrezygnowana. – Zrozumie pan, gdy nadejdzie jego kolej na przesłuchanie. Być może przy panu trochę się będzie hamował, ale z innymi zazwyczaj się nie cacka.

– Czyli, jak rozumiem, była pani przez niego obrażana, być może dochodziło nawet do rękoczynów...?

– Nic takiego nie powiedziałam! – przerwałam zdecydowanie milicjantowi, który zbyt szybko zaczął się podniecać. – Proszę nie przekręcać moich wypowiedzi.

– No dobrze... – Selezniow odłożył długopis i popatrzył na mnie uważnie. – Czyli rozstaliście się, i...?

– I...?

– Tak po prostu pozwolił pani odejść i nadal pracowaliście razem, jakby nigdy nic?

– A co w tym dziwnego? – zapytałam spokojnie, ale w środku aż wrzałam. – Jesteśmy dorosłymi ludźmi, sycylijskie namiętności nas nie bawią. A co do pracy, to prawie wcale się nie spotykamy. Może już dość gadania na ten temat?

– Będzie dość, gdy ja tak powiem – sucho odparł Selezniow. – Czyli nie spotykaliście się. A czy wie pani coś o jego nowej sympatii?

– Nie – odpowiedziałam.

– I nie dowiadywała się pani?

– Nie. Po co?

– Kobiety zazwyczaj chcą wiedzieć, kto zajął ich miejsce – chrząknął kapitan.

– Nie interesuje mnie to – oznajmiłam z godnością. – Nie mam czasu biegać po uniwersytecie i plotkować. Ani też ochoty.

– A jak układa się pani życie osobiste? – zapytał Selezniow.

– Normalnie – odpowiedziałam, powtarzając sobie w duchu, że nie ma sensu się złościć. – Powiedziałabym nawet, że dobrze.

– Innymi słowy chce pani powiedzieć, że nie była pani zazdrosna o nową namiętność Dawletiarowa?

– Co się pan tak przyczepił do jakiejś jego namiętności? – rozzłościłam się, chociaż dopiero co postanowiłam, że nie będę tego robić. – Co to ma do rzeczy?

– A to, Naino Jurijewna, że mamy podstawy panią podejrzewać – powiedział Selezniow cicho, a nawet jakoś tak delikatnie, wprawiając mnie w stan pełnego osłupienia. – Nie rozumie pani? Naprawdę pani nie rozumie?

W milczeniu pokręciłam głową. Oszalał?

– W takim razie wyjaśnię. – Selezniow wstał i przespacerował się po pokoju. – Widzi pani, koleżanki zamordowanej wszystkie jak jedna utrzymują, że ostatnio nawiązała burzliwy romans z nieraz już tutaj wspomnianym Dawletiarowem. Chce pani powiedzieć, że o tym nie wiedziała? No dobrze... I nagle, Naino Jurijewna, ku naszemu wielkiemu zdumieniu dowiadujemy się, że pani też była w związku z tym kochliwym panem. Jaki z tego wniosek?

Milczałam. Tak, zdecydowanie zwariował...

– A wniosek jest prosty: Dawletiarow wolał Gradową, a pani zabiła ją z zazdrości. Tym bardziej, że jest pani przecież bojowym magiem. Niezła wersja wydarzeń, prawda?

– Bzdura – powiedziałam. – Jak mógł woleć Gradową ode mnie, jeśli odeszłam od niego już rok temu?

– To pani tak mówi – zauważył Selezniow – według naszych informacji spotyka się pani z Dawletiarowem do tej pory.

– I któż to udzielił wam takich rewelacyjnych informacji? – zapytałam lodowatym tonem.

– A tego, proszę mi wybaczyć, nie mogę powiedzieć. Zresztą, nawet gdybyście się rozstali, to o niczym nie świadczy. Rozstanie nie wyklucza zazdrości. Być może liczyła pani na to, że będzie prosił, by pani wróciła, a on tego nie zrobił...

Zrozumiałam, że za chwilę wybuchnę, a to do niczego dobrego nie doprowadzi.

– Tak więc, Naino Jurijewna – Selezniow wycofał się nieoczekiwanie – proszę zapoznać się z tym dokumentem. To zakaz opuszczania miejsca pobytu. Proszę nie wyjeżdżać z miasta, będzie pani jeszcze nieraz wzywana. Na razie jest pani wolna, proszę zawołać kolejną osobę, jeśli ktoś się pojawił.

Wybiegłam na korytarz, marząc tylko o jednym: dowiedzieć się, kto Selezniowowi nawcisnął głupot i zrobić z niego mokrą plamę. Sądziłam, że o moim związku z Dawletiarowem nikt nie wie, a wygląda na to, że się myliłam. On nie mógł się wygadać, za to daję głowę. Ja tym bardziej. Więc kto? Larysa Romanowna mogła się domyślać, ale już pół roku tkwi w szpitalu, nie było jej na uniwersytecie od dawna. Kto jeszcze? Nagle mnie olśniło – Małgorzata! Przecież ona też się domyśliła i była przekonana, że cały czas spotykam się z Igorem. Ale Małgorzata, jeśli wierzyć jej słowom, napawa się właśnie pobyt w Miami ze swoim Wasią, tysiące kilometrów od uniwersytetu. Z drugiej strony, jeśli ona się domyśliła, równie dobrze ktoś jeszcze mógł coś spostrzec i z jak najlepszych pobudek podzielić się informacjami z Selezniowem. Tego tylko brakowało!

Jedyne, co mnie pocieszało to fakt, że Selezniow do tej pory nie miał jeszcze przyjemności porozmawiania z Dawletiarowem. Dużo bym dała, żeby zobaczyć to spotkanie!

Przez cały dzień wszyscy na uniwersytecie byli przybici, rzucali spojrzenia spode łba i szeptali po kątach.

Szczególnie podejrzliwie patrzono na ludzi z wydziału magii bojowej i obronnej. Jak dowiedziałam się od laborantek, wszystkim pracownikom „bojówki” bez względu na pozycję zabroniono opuszczać miejsce zamieszkania. Mówiono jeszcze, że Selezniow niemalże każdego zdążył oskarżyć o zabójstwo Gradowej, wskazując na najróżniejsze motywy. A więc przyczepił się nie tylko do mnie, czyli ma taki sposób prowadzenia przesłuchania. Całkiem logiczne: liczył na to, że winnemu puszcza nerwy i zacznie popełniać błędy. No to niech sobie liczy...



Przez następne dwa tygodnie po uniwersytecie kręcili się milicjanci, przesłuchiwali wszystkich jeszcze po kilka razy, co prawda teraz robił to nie tylko Selezniow, a jeszcze kilku innych funkcjonariuszy. Słowo daję, nie mogłam rozróżnić, którzy z nich to kryminalni, którzy eksperci z laboratorium, a którzy byli z innych wydziałów. Nie czepiali się zbytnio, nie szafowali oskarżeniami, ale i tak było nieprzyjemnie. Dobrze chociaż, że nigdzie nas nie ciągali, być może bali się wzywać bojowych magów do siebie – tam, mówiąc szczerze, mogliby sobie nie dać z nimi rady.

Po kolejnym takim przesłuchaniu wracałam na wydział, ponura i zła na cały świat. Z naprzeciwka szedł Dawletiarow.

– Dzień dobry, Igorze Georgiewiczu – powiedziałam jak zwykle, nie patrząc nawet na niego.

– Dzień dobry, Czernowa – padła odpowiedź i Igor minął mnie, ledwie zauważalnie muskając ramieniem.

Nieoczekiwanie poczułam w dłoni znajome drżenie zmaterializowanego przedmiotu i tylko ogromnym wysiłkiem woli powstrzymałam się, by

odruchowo nie popatrzyć w ślad za Igorem. A jeszcze trudniej było nie sprawdzić od razu na korytarzu, co mam w ręku. Cóż to znowu za zabawa w konspirację?

Liścik od Igora przeczytałam dopiero w swoim pokoju.

Musimy porozmawiać. Dzisiaj, po 19:00, w moim gabinecie.

Ledwie doczytałam do końca, a karteczka natychmiast rozsypała się w pył. Kurczę, do czego to doszło...

Robiło się coraz ciekawiej. Czego Igor chce ode mnie i po co taka tajemnica? W każdym razie ja też chciałabym zadać mu kilka pytań, więc rzeczywiście muszę do niego zajść. Tym bardziej, że zamierzałam tego dnia popracować w bibliotece, więc moja obecność wieczorem na uniwersytecie nikogo nie powinna zdziwić.

Na szóstym piętrze zjawiłam się koło wpół do ósmej wieczorem. Na innych piętrach odbywały się jeszcze zajęcia dla studentów z wieczorówek, ale na naszym, jak zwykle, było pusto. Mamy mało studentów, więc wykłady odbywają się tylko za dnia.

Nie zapukałam do drzwi, jeśli już bawić się w szpiegów, to na całego.

– Jeszcze raz dzień dobry. – Igor kiwnął głową na mój widok. Zaszła w nim jakaś nieuchwytna zmiana, ale nie potrafiłam jej określić.

– Mhm. – Kiwnęłam głową, z przyzwyczajenia zajmując miejsce w fotelu dla gości. – Co chciałeś mi powiedzieć?

– Nie powiedzieć, a zapytać. – Igor wstał zza biurka, podszedł do okna. Nie wiem, dlaczego odniosłam wrażenie, że chce być jak najdalej ode mnie. Mówiąc szczerze, miałam podobne odczucia. – Bardzo chciałbym wiedzieć, Czernowa, kto wypaplał panu... hmm... Selezniowowi o pewnych szczegółach naszych wzajemnych relacji.

– Ciekawe, mogłabym cię o to samo zapytać – burknęłam.

– Czy mam przez to rozumieć, że informacje uzyskali nie od ciebie? – Igor uniósł brwi.

– Masz mnie za kompletną idiotkę? – westchnęłam z politowaniem. – Oczywiście, że nic mu nie powiedziałam. Ty, jak sądzę, też nie.

– Tego możesz być pewna. – Igor wrócił za biurko, popatrzył mi prosto w oczy, jednak potem odwrócił wzrok. – Nie ty, nie ja. A więc ktoś trzeci.

– Już się nad tym zastanawiałam – powiedziałam niechętnie. – Pierwsza przyszła mi na myśl Larysa Romanowna, ale przecież jej od pół roku nie ma na uczelni... W każdym razie, to któraś z osób, które przesłuchiowano na początku, czyli albo student, albo ktoś z innego wydziału.

– Interesujące. – Dawletiarow parsknął ledwie dosłyszalnie. – W takim razie, Czernowa, to rzeczywiście studenci, bo z tymi trzema wykładowcami, których przesłuchiowano przed tobą, już rozmawiałem. Muszę ci powiedzieć, że uważają oni całą tę historię za wstrętny wymysł ograniczonych milicjantów i oszczerstwo rzucone na nasze, moje i twoje, dobre imię.

– A nie kłamią? – spytałam zwięźle, chociaż wiedziałam, że w rozmowie z Dawletiarowem nikt by się nie ośmielił kłamać.

– Nie sądzę – odpowiedział sucho, zapalając papierosa. A niech mnie, zaczął palić jakiś inny gatunek, nie tak zjadliwy jak poprzednio. Ciekawe, dlaczego raptem zmienił mu się gust?

I w ogóle to śmieszne, siedzimy, rozmawiamy, jakby nigdy nic. Igor jest bardzo opanowany... Po prostu marzenie.

– Słuchaj... – powiedziałam. – Niedawno miałam ciekawą rozmowę z Bałaszową, pamiętasz ją?

– Oczywiście, że pamiętam – parsknął. – Pannica z twojej grupy.

– No więc złapała mnie w korytarzu...

Zreferowałam Igorowi szczegółowo moją rozmowę z Małgorzatą, pamiętając, by dodać, że teraz wygrzewa swe wdzięki na plaży w Miami.

– Sprawdzić, czy jest w Moskwie będzie łatwo – powiedział. – Wtedy stanie się jasne, czy to jej robota, czy nie. Zresztą, niewykluczone, że mogła jeszcze z kimś rozmawiać.

Przez chwilę panowała cisza.

– Igorze, a dlaczego mnie tutaj wezwałeś? – zapytałam. Pytanie to dręczyło mnie od dawna. – Jeśli chciałeś powiedzieć, że mam trzymać język za zębami, to już za późno, ten cały Selezniow wszystkim powiedział.

– Czernowa, naprawdę jesteś taką idiotką, czy tylko dobrze udajesz? – No, w końcu widzę znanego mi Dawletiarowa. Wargi zaciśnięte w cienką kreseczkę, nozdrza mu drgają... Boże, jak ja się tego kiedyś bałam! – Nie rozumiesz?

– Nie – odpowiedziałam zdawkowo, tak jak poprzednio. – Co powinnam rozumieć?

Igor hałaśliwie wypuścił powietrze i zagasił papierosa. To coś nowego, przedtem nie widziałam u niego takich gestów.

– Selezniow wcale nie żartował, Czernowa – powiedział w miarę spokojnie – naprawdę jesteś główną podejrzaną w tej sprawie. *Ř propos*, czy sprawdzali już twoje alibi?

– A jakże. – Kiwnęłam głową. – Pytali mnie ze sto razy, jak nie więcej. Zabójstwa dokonano w weekend, a w weekendy jeżdżę do rodziców, przecież wiesz.

– Wspaniale! – krzyknął ironicznie Dawletiarow. – A czy wiesz, Czernowa, że alibi dostarczone przez najbliższą rodzinę można zakwestionować?

– A ty skąd to wiesz? – zapytałam złośliwie. – Doświadczenia osobiste?

– Czernowa, nie denerwuj mnie – uprzedził niebezpiecznie beznamiętnym tonem. Zrozumiałam, że niechcący trafiłam w czuły punkt.

– Przepraszam – powiedziałam. – Po prostu mam już tego po dziurki w nosie.

– Świetnie rozumiem. – Gdy Igor mówi krótkimi zdaniami, znaczy to, że się uspokoił. – Czernowa...

– Tak?

– Nawet nie spytałaś, czy to co Selezniow powiedział o mnie i o Gradowej to prawda?

To pytanie niebotycznie mnie zdumiało. Od kiedy to Dawletiarow przejmuje się moją opinią?

– Uważam, że to nie moja sprawa – odpowiedziałam uczciwie.

– Nie oczekiwałem po tobie takiej delikatności – zauważył Igor jadowicie. – Wcześniej ciągle wtykałaś nos tam, gdzie nie trzeba.

– Wyrosłam już z dziecinnych rozrywek – burknęłam. – Ale jeśli bardzo tego chcesz, mogę się zainteresować.

– Nie chcę. – Igor zapalił kolejnego papierosa. – Po prostu nie podoba mi się wersja Selezniowa i nie rozumiem, skąd się wzięły te głupie plotki. A nie lubię czegoś nie rozumieć.

– To akurat wiem... A skąd głupie plotki? Gradowa naprawdę robiła do ciebie słodkie oczy, nawet omawiała swoje plany z koleżankami. Słowo do słowa i powstanie taka plotka, że do końca życia się od niej nie uwolnisz. Wróblem wyleci a wróci wołem, jak to mówią.

– Co innego, gdy głupia studentka przymila się do mnie – przerwał mi Dawletiarow – a co innego, gdy przez to uważają ją za moją... hmmm... miłośćkę.

– Posłuchaj, dlaczego się denerwujesz? – Wzruszyłam ramionami. – Chcesz inną wersję? Co prawda jej się podobałeś, ale nic z tego nie wyszło.

Bo przecież ją spławiłeś? No właśnie. Więc z powodu urażonej dumy rozpuściła plotki. A wszyscy uwierzyli, bo Gradowa rzeczywiście była bardzo ładna. Trzyma się to kupy?

– Jak na podejrzaną o morderstwo z premedytacją, jesteś bardzo spokojna, Czernowa – stwierdził Dawletiarow chłodno.

– To się tylko tak wydaje – zapewniłam. Rzeczywiście, do tej pory nie mogłam na serio uwierzyć, że naprawdę mnie podejrzewają. – A swoją drogą, ciekawe, dlaczego od razu zaczęli podejrzewać mnie, a nie ciebie?

– A jaki mógłbym mieć powód, żeby ją zabić? – Chyba lekko zbiłam go z tropu.

– Hmm... Proszę cię bardzo... Na przykład, tak: rzuciłam cię, ty oczywiście cierpiełeś, ale nie pokazywałeś tego po sobie, choć cały czas miałeś do mnie żal. Poczekaleś jakiś czas, a tu jak raz nawinęła się Gradowa i zaczęła za tobą latać. A ty ją zabiłeś, żeby mnie wrobić, twoja specjalność to przecież magia bojowa. Jak ci się podoba taka wersja?

– Cudna, naprawdę cudna – westchnął Igor. – Nie zapomnij jutro przedstawić jej śledczym.

No tak... Chyba jednak przegięłam. Drażnić Dawletiarowa – to już przekracza wszelkie granice. Przedtem nigdy bym się na coś takiego nie odważyła, a teraz mnie coś wciąż kusilo. Może to nie z nim, a ze mną było coś nie tak?

– Dobrze – powiedział w końcu. – Jeśli ani ja, ani ty nie zabiliśmy Gradowej, to pojawia się uzasadnione pytanie: kto to zrobił?

– Igorze, przecież to ja lubię bawić się w detektywa, a nie ty – przypomniałam ironicznie, nie zdążywszy ugryźć się w język.

– Przestań się wygłupiać! – wybuchnął Dawletiarow. – To nie są żarty! Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co się dzieje?

– Co? – zapytałam cierpliwie.

– A to, że ktoś próbuje cię zrobić, nie zauważyłaś? – zapytał fałszywie przymilnym tonem.

– Mnie?! – Mimowolnie zachichotałam. – Żartujesz?

– Jestem poważny jak nigdy dotąd. – Na twarzy Igora rzeczywiście nie było nawet śladu uśmiechu. – Czernowa, rusz głową, podobno teraz wychodzi ci to już całkiem nieźle. No już, wysił się!

Oho! Czyżbym doczekała się komplementu, chociaż w zawołowanej formie?! No dobrze, Igorze Georgiewiczu, jeśli pan tak bardzo nalega... Bo rzeczywiście, co mamy? Załóżmy, że Gradową zabił jakiś zupełnie postronny bojowy mag, różnie przecież w życiu bywa. Ale milicjanci z jakiegoś powodu uczepili się PUM, a konkretnie – mnie. Taka wersja jest zgrabna i banalna do bólu: zabójstwo z zazdrości, żadnej polityki i mało roboty. Tym bardziej że robota z magami bojowymi jest dosyć skomplikowana i niebezpieczna. Może sami to wymyślili? Raczej nie, musieliby mieć choć ogólne pojęcie, co się dzieje na uniwersytecie, a niby skąd? A to znaczy, że dowiedziawszy się o morderstwie, ktoś szybciotko się zakręcił i zasugerował komu trzeba, jakie to pikantne plotki krążą po uniwersytecie. A może nawet sam tę plotkę wymyślił. A gdyby tak na chwilę założyć, że Gradową zabiła ta sama osoba, która rozpuszczała plotki, to...

Poczułam się jakoś dziwnie. Kto i po co miałyby mnie wrabiać?

– To jest właśnie najciekawsze – zauważył Igor, a ja zorientowałam się, że ostatnie pytanie zadałam na głos.

– Igorze, wybacz, proszę... – Nie wytrzymałam. – Ale jesteś najlepszym kandydatem: miałeś i motyw, i możliwości.

– Dobrze o mnie myślisz, nie ma co... – Dawletiarow zdusił cichy chichot. – Gdyby to była prawda, po co bym cię zapraszał i zaczynał szczerą rozmowę?

– Aby uśpić czujność i stworzyć pozory – burknęłam. – Dobrze... to był głupi dowcip.

– Bardzo głupi – przytaknął. – Do tego zupełnie nie w moim guście.

– Tak? – Straciłam nieco rezon, zdziwiona takim rozwojem sytuacji. – A co jest w twoim guście?

– Czernowa, jeśli do tej pory cię jeszcze nie zabiłem, to uwierz, tym bardziej nie będę urządził przedstawień – rzekł Igor posępnie, znowu pstrykając zapalniczką. No tak, to już trzeci papieros, a w gabinecie można było zawiesić siekiere. Albo przynajmniej scyzoryk...

– No cóż, w takim razie dogadaliśmy się, że nie będziemy się nawzajem podejrzewać – westchnęłam. – Sęk w tym, że nie ma innych podejrzanych. Przynajmniej mnie nie przychodzi nikt do głowy.

– No, dobrze. – Igor wstał i otworzył okno. Do środka wpadł zimny jesienny wiatr. Chyba zaczęło padać... – Zobaczmy, jak się rozwinie sytuacja. Mam do ciebie tylko jedną prośbę, Czernowa.

– No?

– Gdy wrócisz do siebie, przeszukaj starannie pokój. – Spojrzenie Igora było poważne, nie miał najmniejszego zamiaru żartować. – Jeśli to nie jest jakiś głupi dowcip, mogą się wziąć za ciebie na serio. Jeśli znajdziesz jakąś nieznaną rzecz, chociażby szpilkę albo skrawek papieru, masz to natychmiast zniszczyć. Czy wyrażam się jasno?

– Jak najbardziej – powiedziałam. – Myślisz, że wrogowie mogą mi coś podrzucić? Notes Gradowej albo jej skarpetki?

– Wcale bym się nie zdziwił – burknął Dawletiarow. – Zapamiętaj, Czernowa, to nie jest żadna moja fanaberia.

– Wcale bym się nie zdziwiła – zdołałam dość wiernie skopiować jego intonację.

– Dość już na ten temat. – Igor wyrzucił niedopałek przez lufcik i znowu odwrócił się w moją stronę. – Jak ci idzie z dysertacją?

Nagła zmiana tematu tak mnie zaskoczyła, że odpowiedziałam nie od razu. A co to go obchodzi?

– Piszę... – odpowiedziałam w końcu. – Powolutku, nie tak szybko jak planowałam, ale... systematycznie.

– I jak ci się to podoba, Czernowa? – Zimne, zielone oczy patrzyły na mnie z ironią i z zainteresowaniem. – Męczyć się w pojedynkę?

– Całkiem, całkiem. Jest ciekawie – odpowiedziałam zupełnie poważnie. – W każdym razie mnie się podoba. I Nikołajowi Jefimowiczowi też. – Umilkłam na chwilę, Dawletiarow przygryzł wargę; wzmianka o moim promotorze nie spodobała mu się z jakiegoś powodu. – Chociaż na obronie, oczywiście, nie zostawisz na mnie suchej nitki.

– Chcesz przez to powiedzieć, że odważysz się zaprosić mnie na obronę? – zapytał ironicznie. – Może jeszcze wybierzesz mnie na recenzenta?

– To akurat nie – burknęłam. – Nie zwariowałam do tego stopnia. A jak tobie idzie z monografią?

Po raz kolejny dopadło mnie wrażenie nierealności tego, co się wokół mnie dzieje. Jakbyśmy to nie my – ja i Dawletiarow – siedzieli w mrocznym gabinecie i prowadzili błahą rozmowę o bieżących sprawach jak zupełnie obcy sobie ludzie. Z jakiegoś nieznanego powodu miałam straszną ochotę wrzasnąć albo porwać stojącą na biurku Dawletiarowa ciężką ceramiczną popielnicę i rzucić o podłogę tak, żeby rozprysła się w drobne kawałki.

– Kończę – krótko odpowiedział Igor i znowu zapanowało milczenie.

Był najwyższy czas, żeby wyjść – niedługo miał dzwonić Sasza, a ja zostawiłam komórkę w akademiku, bo nigdy nie biorę jej ze sobą do

biblioteki. Ale było jakoś niezręcznie, nie mogłam przecież po prostu wstać i wyjść?

– Igorze, a czy to naprawdę jesteś ty? – zapytałam nieoczekiwanie dla samej siebie.

– A co, nie jestem do siebie podobny? – udał zdziwienie.

– Nie bardzo – powiedziałam zgodnie z prawdą. – Na pewno cię nie podmienili?

– A co konkretnie cię niepokoi? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Przez ostatnie pół godziny ani razu na mnie nie krzychałeś, chociaż dałam ci wystarczającą ilość powodów – wyjaśniłam. – I nawet zdenerwowałeś się raptem dwa razy. Nie poznaję cię.

– Może zajmuję się samodoskonaleniem, Czernowa. – Uśmiechnął się, ale w oczach miał arktyczny chłód. Nie, na pewno coś było z nim nie tak.

– Oczywiście – burknęłam, wstając. Lepiej się wynosić. – Pójdę, późno już.

– Siadaj, Czernowa. – Teraz był to ten Dawletiarow, którego pamiętałam. – Nie skończyliśmy jeszcze rozmowy.

– Wydaje mi się, że już wszystko omówiliśmy – zauważyłam. – Czego jeszcze chcesz ode mnie?

– Od ciebie nic. Bądź tak miła i wysłuchaj mnie, nie przerywając.

Dostrzegłam w oczach Igora coś dziwnego, przez co poczułam się niepewnie.

– Dobrze. – Wzruszyłam ramionami. Nawet gdybym chciała mu przerwać i tak tego nie zrobię, jeszcze mi życie miłe.

– Chciałbym, żebyś wiedziała jedno... – powiedział powoli.

– Kiedyś chciałeś, żebym wiedziała dużo – jednak nie wytrzymałam.

– Zdaje się, że prosiłem, żebyś mi nie przerywała? – Igor obrzucił mnie przeciągłym spojrzeniem, upewnił się, że zostałam dostatecznie skarcona,

potem ciągnął dalej, a mnie wydawało się, że słowa przychodzą mu z trudem. – Tak więc, Czernowa, chcę, żebyś wiedziała, że nie jestem twoim wrogiem.

Miałam wrażenie, że się przesłyszałam.

– Nie jestem twoim wrogiem – powtórzył Dawletiarow, tym razem bez wysiłku. – Chociaż niewątpliwie myślisz, że jest akurat na odwrót.

– Dlaczego tak są... – zaczęłam, ale nie pozwolił mi dokończyć.

– Czernowa, znam cię wystarczająco dobrze, więc nie zaprzeczaj, gdy coś jest oczywiste. Gdybyś mogła zobaczyć w lustrze, jak wygląda twoja twarz, gdy na mnie patrzysz!

„Tak, Czernowa, najwyraźniej nieźle cię tąpnęło, szczególnie na początku”, stwierdziłam w duchu. „Jeśli nawet Dawletiarow zauważył, a przecież nigdy nie zwracał uwagi na wyraz twojej fizjonomii!”

– Dobrze wiem, co ci zawdzięczam – Igor stanął naprzeciwko mnie. – I żadne... hmm... godne pożałowania epizody w naszych życiorysach tego nie zmieniają. Czy wyrażam się jasno?

Zrozumiałam. Nie chodziło teraz ani o monografię, ani o nic takiego, co pozwoliłoby się bić w piersi i krzyzczeć, że, widzicie, też jestem ci zobowiązana za dyplom i w ogóle za naukę. Nie, Igor mówił teraz o swych zregenerowanych zdolnościach i to takim tonem, że...

– Nie chcę, żebyś mi cokolwiek zawdzięczała! – powiedziałam ze źle skrywaną pasją. I w ogóle nie chciałam, żeby nas cokolwiek łączyło!

– Pozwól, że sam o tym zadecyduję – przerwał mi Igor.

Zamilkłam. Co się dzieje, do diabła? Przecież miałam nadzieję, że nigdy już nie będę miała z nim do czynienia, a jeśli już, to co najwyżej w pracy... Po co te rozmowy? Diabli nadali...

Z drugiej strony... To wcale nie tak mało wiedzieć, że ten człowiek nie żywi wobec mnie wrogich zamiarów. Bo jeśli masz takiego wroga, to lepiej

od razu przygotuj sobie grób i łyknij cyjanek. Nie mogę zaprzeczyć, że cały czas dręczyło mnie jedno pytanie: co Igor o mnie myśli, czy jest na mnie bardzo zły, a jeśli tak, to co z tego może wyniknąć.

Nie, to niemożliwe, żeby nie miał ani trochę żalu... Z drugiej strony minął już ponad rok, więc emocje zdążyły ostygnąć. Wygląda na to, że nie kłamie, zresztą wcześniej też, o ile pamiętam, rzadko się zniżał do kłamstwa. Niby dlaczego miałby teraz wyciągnąć rękę na zgodę? I to pierwszy! Nawet jeśli coś ode mnie chce, w co szczerze wątpię... Mogłabym dać głowę, że to niemożliwe, prędzej świnię zaczną latać!

„No, powiedz coś, dziewczyno”, próbowałam podtrzymać się na duchu. „A najlepiej rozplącz się i daj nogę, to tak bardzo nie w twoim stylu, że zbijesz przeciwnika z tropu”.

A poważnie... Jaka różnica, co tak zmieniło Igora? Może uderzył się w głowę, to jego słaby punkt, wiem o tym od dawna! Nie zniży się do drobnych podłości, tego jestem pewna, urządzić chytrych pułapek też nie będzie, to nie w jego stylu. Tak więc założenie, że odwleka atak, aż stracę czujność, jest po prostu głupie. Inna sprawa, że on nigdy nic nie robi ot, tak sobie, a to znaczy, że i teraz ma w tym jakiś tajemniczy cel, niekoniecznie altruistyczny.

Ale bynajmniej nie chciałam znowu psuć sobie z nim stosunków, szczególnie teraz, gdy tylko patrzeć jak zostanę oskarżona o morderstwo, którego nie dokonałam... Stop, co ja robię, znowu chcę się chować za jego plecami? „Nie”, zdecydowałam po namyśle. „Ukrywanie się za szerokimi, męskimi plecami to już przeszłość. Teraz nazwiemy to »silnym zapleczem«. To co, uwierzysz mi na słowo, czy nie?”.

– To co, Czernowa? – powiedział Igor, wyraźnie zmęczony czekaniem, aż coś powiem. – Zgoda?

– Przecież w zasadzie nigdy się nie pokłóciliśmy... – Uśmiechnęłam się, zdecydowanie ściskając wyciągniętą do mnie rękę.

Mimowolnie zerknęłam w okno za Igorem. Żadna świnia nie przeleciała.



Na PUM praca szła dawnym trybem, starano się nie wspominać ani o Gradowej, ani o śledztwie i – to najbardziej mnie cieszyło – o tym, co mogło ofiarę łączyć ze mną lub Dawletiarowem. Gdyby nie ciągle przesłuchania, można by pomyśleć, że zupełnie nic się nie stało.

Teraz wzywano na nie wszystkich po kolei. Miałam już serdecznie dość odpowiadania w kółko na te same pytania. Dobrze chociaż, że prowadzący śledztwo, w przeciwieństwie do Selezniowa, był uprzejmy, nie naciskał na mnie i nie uważał *a priori* za winną. Jak wiadomo z filmów kryminalnych, taka metoda nazywa się „dobry i zły gliniarz”. Selezniow był tym złym, a śledczy Szamonin – dobrym, choć wyglądał bardzo niesympatycznie. Szczerze mówiąc, przypominał wychudzonego chomika o spojrzeniu podstarzałego bulteriera. Na oko miał koło czterdziestki.

Zgodnie z wezwaniem, zjawiłam się koło wpół do drugiej po południu. Już z daleka widziałam, że przed gabinetem zajęтым przez Szamonina nikogo nie było, za to ze środka dobiegały czyjeś głosy. Nie mogłam rozróżnić słów, mimo że drzwi były niedomknięte, za to ton dyskusji nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości: trafiła kosa na kamień. Zauważyłam już wcześniej, że Szamonin, w przeciwieństwie do Selezniowa nie był nachalny. Usypiał czujność przesłuchiwanego, licząc na jego błąd. Wczepiał się w przeciwnika i metodycznie, po odrobinie wyciągał z niego potrzebne zeznania. Mnie akurat trudno było w ten sposób zbić z tropu, dłuższe kontakty z Dawletiarowem każdego albo doprowadziłyby do szaleństwa, albo uodporniły. Wyglądało na to, że teraz u

Szamonina znajduje się ktoś, kto nie tylko jest niepodatny na jego sposoby, ale jeszcze ośmiela się stawać okoniem. Kto z naszych pracowników jest zdolny do czegoś takiego, oczywiście jeśli to rzeczywiście jest ktoś z PUM, a nie świadek w jakiejś innej sprawie?

Rozwiązanie zagadki było oczywiste, szkoda tylko, że dosłownie nic nie mogłam zrozumieć z tej awantury.

Oczywiście, można było spróbować podsłuchiwać, ale istniała szansa, że ktoś mnie wykryje, a na dokładkę poinformuje o całej sprawie Szamonina. Chyba jednak skórka niewarta wyprawki...

Nim dotarłam na miejsce, drzwi otworzyły się na całą szerokość i mogłam sobie pogratulować domyślności. Dawletiarow wypadł na korytarz i przeleciał obok, chyba nawet mnie nie zauważył – zapewne Szamoninowi udało się doprowadzić go do białej gorączki. Ciekawe, czym?

Rozmowa z milicją była tym razem krótka.

– Naino Jurijewna, mam dla pani dobrą wiadomość – zwrócił się do mnie Szamonin. – Pani alibi zostało w pełni potwierdzone. Oprócz rodziców widziało panią kilkoro sąsiadów, a także sprzedawcy w sklepie koło domu.

– No i chwała Bogu. Bo już zaczęłam sobie szykować suchary na drogę do ciupy – burknęłam. Nareszcie! Rodzice kolejny już dzień histeryzowali z powodu tego, że znowu zainteresowała się mną milicja, i co więcej jeszcze wplątywała w sprawę wszystkich sąsiadów, wywołując niewielki skandal.

– To wcale nie jest śmieszne, Naino Jurijewna – skarcił mnie Szamonin. – Mimo że pani alibi zostało potwierdzone, nadal nie wolno pani opuszczać miejsca zamieszkania.

„Ciekawe, kto jest teraz waszym głównym podejrzanym”, przeszło mi przez myśl, ale oczywiście o to nie zapytałam, i tak przecież by nie powiedział. Jediną cenną informacją, jaką udało mi się wydobyć od

Szamonina było potwierdzenie, że Małgorzaty rzeczywiście nie było w Moskwie i w ogóle w Rosji. Poleciała do USA ponad dwa tygodnie temu, czyli w żaden sposób nie mogła puścić w obieg plotki o mnie i Dawletiarowie. Ale jeśli nie ona, to kto?

Pytanie to długo nie dawało mi spokoju, a jeszcze bardziej niepokoiło mnie, że o niczym nie mogłam powiedzieć Saszy. Po co obarczać człowieka swoimi problemami? Nawet do głowy mi nie przyszło, że Sasza mógłby mi w czymś pomóc. Chociaż nie, skłamałabym, raz pomyślałam, czy nie ma wśród znajomych jakiegoś milicjanta, a jeśli nawet nie, to może znalazłby się znajomy znajomego... ale na tym zakończyłam rozważania. Po pierwsze, okropnie nie lubię mieć zobowiązań, tym bardziej że w tym przypadku zobowiązana byłabym nie ja sama, lecz Sasza; a po drugie, gdyby nawet znalazł prywatną wtyczkę w wydziale zabójstw, to co by nam to dało? Nawet ja, całkowity laik w sprawach milicyjnych wiedziałam, że informacji związanych ze sprawą o morderstwo nie udziela się na prawo i lewo – zresztą, gdy się nad tym zastanowić, do czego mogłabym je wykorzystać? W obecnej sytuacji zupełnie nie miałam ochoty bawić się w prywatnego detektywa.

Jednak Saszka nie mógł nie zwrócić uwagi na to, że zrobiłam się nerwowa i zła, i coraz częściej nie chciałam spędzać z nim wieczorów. W końcu, jak można było oczekiwać, miał tego dość i urządził mi burzliwe przesłuchanie. Nie jest łatwo coś ze mnie wydobyć, ale tym razem stawiałam jedynie symboliczny opór i w rezultacie opowiedziałam Saszce smutną historię o śmierci Nataszy Gradowej i o tym, że przez jakiś czas podejrzewano mnie o dokonanie tej zbrodni. Prawdę mówiąc, byłam zawstydzona nie tyle podejrzaniem o morderstwo, ile związkiem z Dawletiarowem. Było to dość dawno, ale...

Trzeba przyznać Saszce, że potraktował to wszystko rozsądnie, oznajmił, że dawno trzeba było mu o wszystkim powiedzieć, a nie strugać bohatera, a wstydić się zupełnie nie ma czego. Oczywiście, byłam wzruszona jego szlachetnością, nawet trochę sobie popłakałam, Sasza zaczął mnie pocieszać, a wszystko zakończyło się, jak nietrudno zgadnąć, u niego w domu. I to także nie dawało mi spokoju.

Świetnie rozumiałam, że nie ma w tym nic szczególnego i jeśli planuję rozwijać dalej związek z Saszą, nie da się przed tym uciec. Wcześniej czy później musiało się to zdarzyć, ale... Prawdę mówiąc, byłam porządnie zła. Nie na Saszkę, bo pokazał się z jak najlepszej strony, ale na siebie. Okazało się, że lubię z nim spędzać wolny czas, po prostu rozmawiać, ale jeśli chodzi o życie intymne, zupełnie mnie nie zadowalał. Albo coś było nie tak ze mną, albo po prostu kompletnie do siebie nie pasowaliśmy: tak czy siak nie poczułam nic, poza lekkim rozczarowaniem. „Dobrze, dziewczyno”, powiedziałam do siebie cynicznie, „potem znajdziesz sobie chłopaka, z którym będzie odłotowo. A odrzucać takiego jak Saszka, to po prostu grzech. Poza tym nie masz nawet specjalnie z czymś porównywać, być może inni są jeszcze gorsi”.

– Naina, może przeprowadzisz się do mnie? – zaproponował rano Sasza. Popatrzyłam na niego uważnie. Sasza był miły, zadziwiająco sympatyczny nawet z wyglądu. Tak, świetny chłopak, świetny... Ale na wspólne zamieszkanie było zdecydowanie za wcześnie.

– Nie, Sasza, dojazd na uniwersytet jest stąd fatalny – szczęśliwie znalazłam dobrą wymówkę. – Ty jeździsz samochodem, a ja komunikacją miejską.

– To będę cię odwoził – zaproponował natychmiast.

– Nie możesz być moim osobistym kierowcą! Przecież zdarza się, że idę na uniwersytet nawet trzy razy dziennie.

Saszka zgodził się ze mną, ale mam wrażenie, że mimo wszystko trochę się obraził. Cóż począć, od niedawna odczuwałam daleko idącą niechęć do cudzych mieszkań, do pełnego „szczęścia” brakowało mi tylko przeprowadzki. Ale jak mam to wytłumaczyć Saszy? Nie zrozumiałby i poczuł się jeszcze bardziej urażony.

Nie zaprzętałam sobie zbyt długo głowy dąsami Saszy, z czego wysnułam wniosek, że nie żywię do niego szczególnie czułych uczuć. Wygląda na to, że całe życie będzie mnie prześladował chłód uczuciowy. Ale co zrobić, skoro mam kłopoty ze sferą emocjonalną i nie jestem zdolna do uczuć głębszych niż zwykłe przywiązanie? A jeśli już o tym mowa, to najlepiej czuję się w samotności, sama ze sobą, tylko z jakiegoś niepojętego powodu wszyscy dokoła uważają, że to okropnie dziwaczne, wręcz nieprzyzwoite nie mieć pary. No proszę, okazuje się, że działałam pod wpływem opinii publicznej... Nie spodziewałam się tego po sobie.

W czwartek odbyłam kolejny seans łączności z moimi zagranicznymi przyjaciółmi. Niedawno kupiłam sobie kamerę internetową. Wszyscy moi rozmówcy dawno już takie mieli, więc teraz mogliśmy komunikować się, widząc nawzajem swe twarze. Oczywiście nie wytrzymałam i podzieliłam się z nimi ostatnimi nowinkami, nie pomijając zabójstwa Gradowej. Ich reakcje były zgodne z oczekiwaniami: Mirelle i Sophie „ochały” i „achały”, a w końcu kazały mi nie denerwować się i zaufać milicji. Wtórował im Mickey, który twierdził, że „policja wie co robi”, a więc nie ma się czym denerwować, wcześniej czy później znajdą prawdziwego przestępcę. Osobiście patrzyłam na sytuację nieco bardziej pesymistycznie, o czym nie omieszkałam powiedzieć. Z głośniczka popłynęła kolejna porcja współczujących okrzyków, po czym Mickey nieoczekiwanie spoważniał i zapytał, czy mógłby mi w czymś pomóc.

– A w czym możesz mi pomóc, przecież jesteś za oceanem! – roześmiałam się.

– Ale przecież powiedziałaś, że twoja znajoma, Margaret – Mickey przerobił imię Bałaszowej po swoim – pojechała w podróż poślubną do USA. Mógłbym jej poszukać...

– Po co? Przecież w chwili morderstwa nie było jej w Moskwie, a więc nie mogła przekazać milicji plotek na mój temat!

– Nan, przecież jesteś mądra – zmęczonym głosem powiedział Mickey (nazywał mnie „Nan”, „Naina” było dla niego nie do wymówienia) – ale czasami, wybaczyć, tak głupia... Nie pamiętasz, że teraz wszyscy mają telefony komórkowe? Wasi policjanci nie zastali Margaret w domu, zadzwonili do niej na komórkę – i hop! – odpowiedziała, nawet będąc poza Moskwą. Tylko nie mów, że ma tanią taryfę, bez roamingu!

Musiałam przyznać, że Mickey ma rację. Ciekawe, dlaczego taka prosta myśl nie przyszła mi wcześniej do głowy?

– Tak, jakoś o tym nie pomyślałam – westchnęłam. – Mickey, ale nawet jeśli ją znajdziesz, to co jej powiesz? Będziesz udawać prywatnego detektywa, czy co?

– A dlaczego by nie? – Mickey wzruszył potężnymi ramionami. – Udam, że pracuję w Interpolu i na tej podstawie zadam twojej Margaret kilka pytań.

– Mickey! – przeraziłam się. – Przecież jesteś praworządnym Amerykaninem, jak możesz nawet myśleć o czymś takim?!

– Masz dziwne wyobrażenie o Amerykanach, Nan – odparł. – W końcu nie jestem gospodynią domową tylko pracownikiem poważnej organizacji; wybaczyć, nazwa i tak nic ci nie powie, ale uwierz mi, to jest znacznie lepsze niż policja.

Milczałam pod wrażeniem tego, co usłyszałam. Byłam przekonana, że Mickey to cichy i skromny chłopak, a tu takie rzeczy wychodzą na wierzch!

– No dobrze – powiedziałam w końcu. – I o co ją zapytasz? Czy dzwoniли do niej milicjanci z Rosji i czy opowiedziała im plotkę o mnie i tym wykładowcy? Skłamię, łatwo jej to przyjdzie.

– Nan, nie denerwuj się, nie skłamię. – Mickey machnął ręką. – Uwierz mi na słowo! A przy okazji, jeśli okaże się, że nie dzwonił do niej z Rosji, dowiem się też, czy nie opowiadała komuś tej historii, a jeśli opowiadała, to komu.

– Jak zamierzasz jej szukać? – zapytałam z rezygnacją. – W Miami Rosjan wcale nie jest mało! A ja nawet nie znam nazwiska jej męża.

– Żaden problem – zbagatelizował Mickey. – Margaret, panięskie nazwisko Ba-la-sho-va – wymówił starannie jej nazwisko – i Basil, rosyjscy turyści, nowożeńcy. Masz może zdjęcie Margaret?

Zdjęcie się znalazło, co prawda z uroczystości zakończenia studiów, ale Małgorzata, w przeciwieństwie do mnie, nie zmieniła się zbyt przez te dwa lata.

– Świetnie – powiedział Mickey z zadowoleniem. – Wystarczy. Zadzwoń, gdy tylko się czegoś dowiem.

– Mickey, dlaczego to robisz? – zapytałam smętnie. – Po co ci to?

– Podobasz mi się – powiedział Mickey otwarcie. – I masz kłopoty. Moim zdaniem to wystarczy.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Mickey przerwał połączenie, Mireille i Sophie, które były mimowolnymi świadkami tej osobliwej rozmowy, z wrażenia siedziały cicho (albo nie wiedziały co powiedzieć, albo były dubeltowym uosobieniem taktu), a wtedy odezwał się Sean, milczący do tej pory jak ryba.

– Nan, chciałem cię o coś zapytać.

– Dawaj – powiedziałam w nadziei na zmianę tematu. Pewnie Sean ma kolejny pomysł, którym chce się ze mną podzielić. Jednak pytanie, które padło, mówiąc delikatnie, oszołomiło mnie.

– A dlaczego wasza policja uważa, że mordercą musi być bojowy mag?
– Nieładna, pokryta piegami twarz Seana wyglądała niezwykle poważnie, a błękitne oczy przypominały kawałki lodu.

– Ale... – zaczęłam. – A jak inaczej? Dziewczynę zabito w taki sposób, a do tego suchowiej...

– Nan, przecież to jeszcze o niczym nie świadczy – przerwał mi. – Pomyśl o nas, jesteśmy magami bojowymi, a nie zawodowymi iluzjonistami, ale przy odrobinie chęci możemy stworzyć całkiem przyzwoite iluzje, nieprawdaż? Sama przecież mówiłaś, że was tego uczyli.

– Nain, Sean ma rację – odezwała się Mireille. – Silny mag, nawet jeśli nie specjalizuje się w magii bojowej, jest w pełni zdolny wysłać mocny impuls. Te techniki, o których mówiłaś należą przecież do najbardziej podstawowych, „Iglę Sztilmana” to nawet ja dam radę rzucić, jak się postaram. A opanować „Suchowiej” nie jest tak trudno, jak się może wydawać.

Milczałam, wstrząśnięta. Ich słowa miały sens: przecież rzeczywiście uczono nas wielu rzeczy. Na przykład to, że mam ubogą wyobraźnię wcale nie znaczy, że nie umiem tworzyć iluzji! Więc i czyjaś potencjalnie pokojowa specjalizacja wcale nie oznacza, że ta osoba nie jest w stanie opanować elementów magii bojowej!

– Sean, tylko nie mów, że pracujesz w firmie „lepszej niż policja”!

– Nie, robię w prywatnym biznesie. – Sean uśmiechnął się krzywo. – Ale tam też nie siedzą matolki. I jak ci się podoba ten pomysł?

– Sama nie wiem... – przyznałam. – Mnie by nawet do głowy coś takiego nie przyszło, a już naszej milicji na pewno. Tylko teraz okazuje się,

że podejrzane jest pół uniwersytetu, a jeśli wziąć pod uwagę ludzi spoza uczelni to...

– W takim razie zastanów się, kto odniósł z tego korzyść – poradził Sean.

– Jaką korzyść?

– Jakąkolwiek! – odpowiedział niecierpliwie. – Z zabicia tej dziewczyny, z wrobienia ciebie... *Ř propos*, jeśli, jak rozumiem, oczyszczono cię z podejrzeń, to kogo teraz uważają za mordercę? Może chciano zrobić właśnie tę osobę?

– Teraz mogę już we wszystko uwierzyć! – parsknęłam. – Nasz uniwersytet to istne gniazdo żmij...

– Nain, tak jest wszędzie! – roześmiała się milcząca do tej pory Sophie. – Nie myśl, że tylko u was! Wiesz... jeśli zrobi się całkiem kiepsko, przejeżdżaj do nas. Zawsze będziesz mile widziana.

– Przyłączam się do propozycji – powiedział Sean. – Tacy jak ty są potrzebni wszędzie, więc jeśli dojdiesz do wniosku, że na twoim uniwersytecie nie masz nic więcej do roboty, przyjeżdżaj. Załatwimy ci azyl polityczny.

– Dziękuję, moi drodzy – roześmiałam się. – Co ja bym bez was zrobiła!

Zakończyliśmy połączenie, ale słowa Seana jeszcze długo nie dawały mi spokoju. Faktycznie, ściągnięci przez milicję eksperci poszli najbardziej oczywistym tropem: zabójcą był mag bojowy. Ale założmy, że nie bojowy, a zwykły. Trzeba przyznać, że silni iluzjoniści albo medycy też mają duże możliwości, tyle tylko, że się specjalnie nie uczą zaklęć ofensywnych. Ale krąg podejrzanych zawęził fakt, że morderca musiał dobrze wiedzieć, co się dzieje na szóstym piętrze... A co jeżeli morderstwo to jedno, a próba wrobienia mnie (a może kogoś innego) – drugie? Przecież są magowie, którzy, jak to określił Sean, pracują w „prywatnym biznesie”.

Pogubiłam się w tym wszystkim dokumentnie i doszłam do wniosku, że powinnam się z problemem przespać. Musiałam to dobrze przemyśleć, a najlepiej – naradzić się z kimś. A może poczekać, aż zadzwoni Mickey? Ale na to mogę czekać długo: zanim dotrze do Miami, zanim znajdzie Małgorzatę, jeśli w ogóle ją znajdzie... Mówiąc szczerze, moje wyobrażenie o metodach poszukiwania ludzi jest dość mętne, dlatego nie miałam bladego pojęcia, ile czasu może potrzebować na to Mickey. Niech szuka Małgorzaty, a ja w tym czasie spróbuję ogarnąć to, co dzieje się tutaj. Na milicję raczej nie ma co liczyć, przyczepili się do jednej wersji i dążą w tym kierunku z oślim uporem. A jeśli spróbuję podpowiedzieć im, że mordercą nie musi wcale być mag bojowy, pewnie mnie wyśmieją i tyle.



Następnego dnia mieliśmy zebranie. Zwykle jest to nawet całkiem interesujące wydarzenie, ale tym razem zupełnie nie miałam głowy do omawianych zagadnień. Nikołaja Jefimowicza nie było, zresztą konsultowałam się z nim na temat dysertacji w godzinach pracy, więc jego nieobecność nie była dla mnie szczególnie bolesna. Ponury jak listopad Dawletiarow siedział dokładnie naprzeciwko mnie, pogrążony we własnych myślach, nie uczestniczył nawet w omówieniu pewnego istotnego zagadnienia i ledwie reagował na otoczenie. W ogóle był jakiś niepodobny do siebie. W końcu dotarło do mnie, na czym polega zmiana: Igor po prostu był u fryzjera! Nowe, nieco niedbałe uczesanie bardzo go odmłodziło, więc gdyby postronny obserwator nie przyglądał się zbyt uważnie, nie zauważyłby, że Dawletiarow ma skronie przyprószone siwizną. Skąd ta nagła rewolucja estetyczna...?

Zresztą, nieważne. Musiałam z nim porozmawiać, i to jak najszybciej, ale przecież nie wtargnę bez zaproszenia do jego gabinetu. Nie wiadomo,

czym może być zajęty... Materializację karteczki z pewnością ktoś tu zauważy – w końcu na zebraniu są sami magowie, i to nie byle jacy, dlatego postanowiłam nie stosować jakichś wyszukanych metod, a po prostu kopnęłam Igora pod stołem. Drgnął i ze zdziwieniem podniósł wzrok znad notatnika, w którym coś rysował. Zorientował się, że nikt z obecnych oprócz mnie nie mógł go szturchnąć i pytająco uniósł brwi. „U Ciebie”, powiedziałam, bezgłośnie poruszając wargami. „Po zebraniu”. Igor leciutko kiwnął głową na znak, że zrozumiał i natychmiast z marszu włączył się do dyskusji, chociaż przed chwilą wydawało się, że kompletnie się nie interesuje bieżącym tematem. Wielki konspirator się znalazł...

Udało mi się niepostrzeżenie dotrzeć do gabinetu Dawletiarowa. Zebranie przeciągnęło się akurat do obiadu, a profesorowie i docenci jedzą posiłki z godnością i powagą, nie rozpraszając się głupstwami. Jak pamiętałam, Igor najczęściej zapominał o obiedzie, więc moja wizyta w niczym mu nie powinna przeszkodzić, o ile w ciągu roku nie zmienił przyzwyczajień.

– Co się stało? – zapytał, ledwie zdążyłam przekroczyć próg. – Swoją drogą, mogłabyś delikatniej obchodzić się z moim nowym garniturem.

– Przepraszam – powiedziałam z udawaną skruchą.

– No dobrze, o co chodzi?

– Wyklęła się nowa wersja wydarzeń. Jestem ciekawa twojej opinii.

– Opowiadaj, Czernowa. – Igor patrzył na mnie z uprzejmym zainteresowaniem.

Co prawda, w miarę jak ciągnęłam opowieść, uprzejme zainteresowanie zmieniło się w zainteresowanie szczere.

– Wygląda na to, że postanowiłaś wrócić do, jak to kiedyś określiłaś, „dziecinnych rozrywek”? – zapytał, gdy skończyłam. – Sama na to wpadłaś?

– Nie, przyjaciel mi podpowiedział – przyznałam się. – Sama byłam w szoku.

– Co za przyjaciel? – Dawletiarow spochmurniał.

– Poznałam go na konferencji – zbagatelizowałam. – Co za różnica?

– Masz rację, to nie ma żadnego znaczenia... – warknął. – Dobry pomysł. Masz zamiar podzielić się nim ze śledczym?

– Myślisz, że mnie nie wyśmiej? – spytałam z z troską. – Może nie być zachwycony. Teraz ma nie więcej niż dwudziestu podejrzanych, a tak... Magów o szerokim profilu jest o rząd wielkości więcej niż bojowych. Przecież zdajesz sobie z tego sprawę: sprawdzić wszystkich to po prostu koszmar!

– Ze im się to nie spodoba, jestem pewien – burknął Igor. – Tym bardziej, że mają już świetną kandydaturę na mordercę.

– Kogo tym razem? – zapytałam. – Wygląda na to, że ode mnie się odczepili...

– Zgadnij, Czernowa – zaproponował Igor. – Wersja, którą zaproponowałam poprzednim razem, przyszła do głowy nie tylko tobie.

– Zaczekaj... – Nagle zrozumiałam. – Chcesz powiedzieć, że... podejrzewają ciebie?!

– Skąd takie zdziwienie? Przecież sama powiedziałaś: miałem i możliwość, i motyw. Za to nie mam alibi.

– Jak to nie masz...? – byłam zaskoczona.

– Po prostu, nie mam. – Igor wzruszył ramionami. – Gdybym wcześniej wiedział, że będzie mi potrzebne, spędziłbym tamten weekend w miejscu pełnym ludzi.

– A ty, oczywiście, tkwiłeś w domu i pracowałeś – westchnęłam.

Wyciągnąć Igora gdziekolwiek graniczyło z cudem; był samowystarczalny i doskonale obywatel bez towarzystwa, w najlepszym

wypadku je tolerował. Dopiero teraz przyszło mi do głowy, że nie tylko ja czułam dyskomfort, mieszkając u Igora. Przywykł żyć samotnie, więc pewnie z trudem znosił moją obecność. No tak... Zdecydowanie nie powinniśmy byli się zejść. Mogliśmy spotykać się na neutralnym gruncie, ale mieszkać razem...

– Igorze, a kto mógłby odnieść z tego korzyść? – zapytałam w końcu, przypominając sobie słowa Seana.

– Co masz na myśli? – Uniósł brwi. – Wydawało mi się, że zaczynasz już mniej więcej rozumiale wyrażać swoje myśli, ale widzę, że się myliłem.

– Zachowaj swoje złośliwości dla studentów, dobrze? – burknęłam. – Chciałam powiedzieć, komu przyniosła korzyść śmierć Gradowej, o którą oskarżona zostanie ja, ty albo ktoś z naszego wydziału? Nie mówię teraz o samym zabójstwie, być może zabito ją przez pomyłkę, albo dla pieniędzy, albo z jakiegoś innego powodu...

– Myślałem już o tym – przyznał się Dawletiarow. – Na razie nie widzę kandydata poza jedną znaną ci osobą.

– Chodzi o Larysę Romanownę? – upewniłam się. – Przecież jest chora.

– Jesteś tego pewna? Kto może zaręczyć, że zwolnienie nie jest tylko przykrywką? O ile pamiętam, Larysa zawsze cieszyła się nadzwyczaj dobrym zdrowiem.

– Wiesz, to już paranoja – westchnęłam. – Pewnie, że cię nie lubi, ale chyba nie do tego stopnia! Chociaż... można sprawdzić.

– A jak niby zamierzasz to zrobić? – zainteresował się Igor.

– Zwyczajnie – odpowiedziałam. – Dowiem się, kto jest jej lekarzem prowadzącym i zajrzę do niego. Znajdę jakiś pretekst... O, choćby że niby Larysa Romanowna za nic na świecie nie poprosi nikogo o pomoc, a może czegoś jej potrzeba, więc my, wdzięczni uczniowie...

- Czernowa... – Igor roześmiał się. – W końcu cię poznaję!
- A wcześniej nie poznawałeś? – parsknęłam.
- Nie – odpowiedział, czym mnie mocno zdziwił. – Poprzednim razem powiedziałaś mi, że nie jestem do siebie podobny. Ty też nie jesteś zbyt do siebie podobna. Bardzo się zmieniłaś.
- Na lepsze czy na gorsze? – zapytałam z zaciekawieniem.
- Trudno powiedzieć. – Igor spojrzął na mnie ironicznie. – Z jednej strony to, że nauczyłaś się rozmawiać, nie zacinasz się na każdym słowie i dość zrozumiale formułujesz myśli, może tylko cieszyć. Z drugiej strony, sama rozmowność o niczym nie świadczy.
- Umiesz człowieka podtrzymać na duchu – powiedziałam z przekąsem.
- *Ř propos...* – Dawletiarow nagle zmienił temat. – Zrobiłaś to, o co cię prosiłem?
- Mówisz o pokoju? – upewniłam się. – Tak, zrobiłam.
- Po naszej poprzedniej rozmowie jeszcze tego samego dnia przeprowadziłam w domu staranną rewizję. Jak można było oczekiwać, nie znalazłam niczego podejrzanego, oprócz kilku papierków, które najprawdopodobniej wypadły z wypożyczonych książek, a należały do poprzednich czytelników. Zniszczyłam je, tak jak kazał Igor, a nic innego nie znalazłam.
- I...?
- Nic nie znalazłam – odpowiedziałam. – A poza tym już mnie nie podejrzewają.
- Mimo wszystko zabezpiecz drzwi, najlepiej na wszelki wypadek okna też – powiedział Igor z trudną do zinterpretowania intonacją.
- Sposępniałam.
- Igorze, cały czas mam wrażenie, że wiesz więcej niż mówisz. Po co nakładać zabezpieczenia? Czego się boisz?

– Gdybym wiedział na pewno, nie trzymałbym tego w sekrecie, możesz mi wierzyć – odparł z przygnębieniem. – To nawet nie są podejrzenia. Jeśli chcesz, możesz uważać te środki ostrożności za objaw mojej paranoi.

Milczałam, chociaż mogłam powiedzieć, że wcale nie chcę. O Dawletiarowie można wiele powiedzieć, ale na pewno nie to, że jest paranoikiem. Okropny charakter nie oznacza jeszcze choroby psychicznej, nawet Lew Jewgieniewicz o tym wspominał. Tak... gdyby nie charakter, Dawletiarow byłby po prostu skarbem.

Tym optymistycznym akcentem zakończyliśmy rozmowę.



Miałam o czym myśleć. To, że zamiast mnie podejrzewano Dawletiarowa można było wyjaśnić w pełni logicznie. Plotka łączyła go z Gradową, do tego wszyscy wiedzieli o jego wybuchowym charakterze i z pewnością nie omieszkali powiadomić o tym śledczego. A co on mógł pomyśleć? Nawet nie trzeba zgadywać: albo Dawletiarow pokłócił się z Gradową i zabił ją w amoku, albo zrobił to w sposób przemyślany, a przyczyn można wymyślić z tuzin.

Musiałam odpowiedzieć sobie na jedno ważne pytanie: czy wierzę w to, że Dawletiarow nie jest w żaden sposób zamieszany w morderstwo, czy też nie wierzę? Wątpliwości ogarniały mnie z powodu nieoczekiwanego odkrycia: oto miałam z tym człowiekiem częste i bliskie kontakty, przeżyłam z nim kilka miesięcy, a zupełnie go nie znam. Nie znam i już! Igor jest skryty, nie pozwala włączyć sobie w sprawy prywatne z butami i zupełnie niemożliwe było nakłonienie go do otwartości. Te cechy jego charakteru, o których wiedziałam z pewnością, odkryłam drogą prób i błędów, kilku rzeczy się domyśliłam i, jak się okazało, trafiłam w dziesiątkę. Rysowałam mapę Igora jak geograf, a co do geologii... Głębiej

nigdy mnie nie wpuszczał (choć trzeba przyznać, że nie naciskałam za bardzo, bo uważam, że każdy człowiek ma prawo zachować pewne rzeczy tylko dla siebie). Co mogło nim powodować, jakie miał motyw – nie miałam bladego pojęcia.

Wiedziałam tylko tyle: Igor to człowiek bardzo ambitny, oddany swej pracy i nienawidzi wszelkich przejawów bylejakości. Poza tym jest niezwykle dumny i nigdy w życiu nie schowa się za czyimiś plecami. Bardzo dużo! Gdyby był po prostu moim wykładowcą, rzeczywiście by wystarczyło, ale jeśli wziąć pod uwagę, że przez pewien czas byliśmy parą (a raczej usiłowaliśmy być) to wręcz katastrofalnie mało. No, a jeśli już o tym mowa, to i ja nie rozpieszczałam Igora nadmierną otwartością. Z drugiej strony, jak już wspominałam, nie przejmował się mną zbyt, więc nie zadał sobie trudu, żeby poznać moje motywacje i zasady życiowe.

Wracając do meritum... Nie mogłam z całą pewnością twierdzić, że Igor jest lub nie jest zdolny do morderstwa. Zresztą, czegoś takiego nie może stwierdzić nikt, nawet w stosunku do najbliższych sobie osób... I niby co miałam teraz zrobić? Uwierzyć mu na słowo, czy wręcz przeciwnie, zachować daleko idący sceptycyzm? Ten dylemat nie dawał mi spokoju.

Czemu Igor miałby martwić się tym, że w moim pokoju mogą znaleźć się jakieś rzeczy należące do Gradowej? Może on też ma jakieś teorie? No dobrze, nawet jeśli ma, dlaczego miałby się przejmować moimi problemami?

Do tego zachowanie Dawletiarowa nieco zbiło mnie z pantofelku. Jak już mówiłam, w codziennych kontaktach bywał po prostu nieznośny, bez względu na to z kim miał w danej chwili do czynienia. W dobrym nastroju Igor potrafił rozmawiać całkiem normalnie – oczywiście prawil drobne złośliwości, ale w granicach normy, nikogo nie obrażał. Natomiast wyprowadzony z równowagi stawał się tak nieludzko uprzejmy, że aż

graniczyło to z chamstwem. No, a jeśli wpadł w prawdziwy gniew, co zresztą zdarzało się wcale nierzadko, to... Ale powtarzam się. Moim zdaniem dawno już zapomniał jak prowadzi się szczerą rozmowę, a przynajmniej takie odnosiłam wrażenie. A może po prostu nie chciał, żeby inni wiedzieli, jaki jest naprawdę, bez maski...

Ostatnio wydawało mi się, że Igor nie tyle zmiękł, co... Trudno to określić, ale mimo wszystko jakoś się zmienił. A przyczyny tej zmiany były całkiem niezrozumiałe. Mogłam jedynie podejrzewać, że w życiu Igora zdarzyło się coś, co wywarło na nim ogromne wrażenie. Nie miałam bladego pojęcia, co mogło wchodzić w grę, bo wszystkie kataklizmy życiowe znosił ze stoickim spokojem i raczej się z ich powodu nie zmieniał, a jeśli już, to na gorsze.

Oczywiście, jako romantyczne dziewczę nie mogłam nie pomyśleć o ogromnej miłości. Co prawda szczerze wątpiłam, czy Igor w ogóle jest zdolny do takich płomiennych uczuć, ale wszystko jest możliwe. Nawet najbardziej zatwardziali cynicy i mizantropi czasem się zakochują... A czy ową wielką miłością mogła być Gradowa? Właściwie czemu by nie? Prawdę mówiąc, nie mogłam sobie wyobrazić, cóż takiego mogła mieć w sobie ta dziewczyna, co zwróciłoby uwagę Igora, ale nie znałam jej przecież zbyt dobrze. Być może Gradowa była idealna pod każdym względem, więc nawet Dawletiarow się poddał! To mogłoby wyjaśnić mniej więcej zmiany, jakie w nim zaszły, chociaż była to teoria szyta grubymi nićmi. A jeśli miałam rację, to zupełnie nie wiadomo, czego teraz można się spodziewać po panu Igorze Georgiewiczu.

I co? I nic. Jeśli nawet między Dawletiarowem i Gradową rzeczywiście coś było, to z Igora nie wyciągnę tego nawet na torturach. A jeśli nie było, to całkiem pogubię się w domysłach. Tak czy siak, nie dawało to odpowiedzi na najważniejsze pytanie: wierzyć mu czy nie wierzyć?

W takiej sytuacji zazwyczaj mówi się: „Posłuchaj serca”. Niestety, moje serce milczało złośliwie, jeśli zaś chodzi o emocje, to organ ów mam całkowicie niesprawny, mogłam więc polegać jedynie na rozumie.

Od tych ponurych rozważań oderwał mnie sygnał komórki. Dzwonił, o dziwo, Mickey i, sądząc po jego radosnym tonie, miał dla mnie dobre wieści.

– Cześć, Nan! – wrzasnął, najwyraźniej bojąc się, że nie usłyszę go zza oceanu.

– Cześć – odpowiedziałam. – Jak leci?

– Świetnie, Nan! – padła dziarska odpowiedź. – Możesz teraz rozmawiać? Nikt cię nie podsłuchuje?

– Co najwyżej służby specjalne – zażartowałam. Skoro byłam pracownicą ministerstwa, choć tylko półetatową, służby faktycznie mogły się pofatygować.

– Daj spokój – powiedział Mickey. – Tylko tego nam brakowało! Chociaż... mnie na pewno też podsłuchują. Nieważne, i tak nie znam tajemnic państwowych, a gdybym nawet znał, to i tak ich nie zdradzę. Hej, wy tam, słyszycie?

Mimowolnie się roześmiałam.

– Dobrze, przejdźmy do rzeczy – Mickey spoważniał. – Znalazłem twoją Margaret!

– Tak szybko? – zdziwiłam się. – Jak ci się to udało?

– A to już mój sekret! – zaśmiał się Mickey. – Uwierz mi, to nic trudnego jeśli się ma znajomości w policji. Margaret nie nazywa się już Ba-la-sho-va, tylko... – Zaszleścił czymś, pewnie musiał odczytać z kartki. – Li-san-ska... Boże, co za nazwiska, język można połamać...

– Rozmawiałaś z nią? – przerwałam to biadolenie na temat trudności języka rosyjskiego.

– Oczywiście – odpowiedział Mickey. – Margaret zarzeka się, że rosyjscy policjanci do niej nie dzwonili. Sprawdziłem informacje u operatora telefonii komórkowej i wykaz rozmów telefonicznych w hotelu; nie kłamie, rzeczywiście nie dzwoniono do niej z Rosji.

– Aha... – mruknęłam. Do diabła, a to była taka piękna wersja!

– A poza tym twierdzi, że nikomu oprócz ciebie nie mówiła o swoich domysłach na temat ciebie i tego mężczyzny – dodał Mickey. – Oczywiście, nie sprawdzałem jej na wykrywaczu kłamstw, ale moim zdaniem mówiła prawdę. Swoją drogą wygląda na bardzo szczęśliwą, ona i jej men są piękną parą, a jak rozumiem on jest do tego bogaty. Ta Margaret nieźle się ustawiła. Więc nie ma żadnych powodów, żeby robić ci świństwa!

– Mickey... – westchnęłam. – A czy świństwa robi się tylko dla pieniędzy albo pozycji?

– A niby po co innego? – zdziwił się.

– Z wewnętrznej potrzeby, dla sportu... – uśmiechnęłam się smutno. – Dziękuję, Mickey, bardzo mi pomogłeś!

– Nie ma za co – odpowiedział. – Informuj mnie na bieżąco, okej?

Na tym skończyliśmy rozmowę.

No, tak... Nie można całkiem skreślić Małgorzaty z listy podejrzanych, mogła wygadać się jeszcze przed wyjazdem za granicę, a teraz nie przypomni sobie tego, choćby nawet bardzo chciała.

Nieźła afera... Czego się nie dotknę, wszędzie same zagadki! Postanowiłam nie planować nic ze zbytnim wyprzedzeniem i zacząć od tego, co miałam zrobić już dawno – odwiedzić Larysę Romanownę. A właściwie nie tyle ją, co jej lekarza.



Larysę Romanownę znalazłam bez większego trudu. Leczyła się oczywiście nie w rejonowej, a w przychodni ministerstwa, gdzie dostałam się bez problemu. Moją bajkę o wdzięcznych uczniach zaniepokojonych długą nieobecnością wykładowcy kupiono bez mrugnięcia okiem i po krótkiej chwili rozmawiałam już z młodą, poważną lekarką, Eleną Władysławowną. Kiedyś bardzo się bałam takich kobiet, przypominały moją wychowawczynię, damę surową i wredną, ale od tamtego czasu zdążyłam się już nieźle zahartować.

– Nie oczekiwałam takiej wizyty – powiedziała lekarka. – Dlaczego nie zapyta pani o stan zdrowia samej Larysy Romanowny?

– Widzi pani... – Zrobiłam niepewną minę. – Próbowaliśmy, dzwoniliśmy wiele razy, ale ona zawsze mówi, że wszystko w porządku, że czuje się świetnie, niczego nie potrzebuje, i tyle. A zjawić się u niej po prostu tak, bez zaproszenia, jakoś nie wypada... Dlatego postanowiliśmy najpierw dowiedzieć się co i jak.

– Rozumiem. – Elena Władysławowną zacisnęła cienkie wargi. Widać było, że z jednej strony ma do mnie pretensje o tak późną wizytę – przecież minęło już pół roku odkąd Larysa Romanowna zachorowała – a z drugiej strony cieszy się, że jednak ktoś pamięta o leciwej profesorce. – Cóż ja mogę pani powiedzieć... W rzeczywistości wcale nie jest tak dobrze, jak mogłoby się wydawać. Rozumiem pacjentkę, nie każdy lubi opowiadać o swych chorobach.

– Och... – Wytrzeszczyłam oczy i nawet zakryłam usta dłonią. – Coś poważnego, prawda?

– Powiem tak: pani Smirnowa, niestety, nie reaguje na terapię – mgliście wyraziła się Elena Władysławowna. – Chociaż z taką diagnozą ludzie żyją latami, o ile chcą żyć, ale w tym przypadku wszystko jest znacznie bardziej skomplikowane. Tego nie da się wyleczyć nawet magicznymi metodami.

– Co? – zdziwiłam się. Cóż takiego przyplątało się do Larysy Romanowny? Czego nie da się wyleczyć magią? Raka? Od dawna leczy się go zwykłymi sposobami... A w nowo odkrytych chorobach zupełnie się nie orientuję.

– Pani Smirnowa jest obecnie w głębokiej depresji – sucho odpowiedziała lekarka – dlatego stan jej pozostawia wiele do życzenia. Niestety, uparcie odrzuca pomoc psychologa, więc nie jest do końca jasne, skąd taki spadek nastroju. Wygląda na to, że uważa swoją chorobę za karę... Zresztą tego nie musi pani wiedzieć – westchnęła. – Powiem tylko, że z takim nastrojem zamiast się leczyć, ona się szykuje do pogrzebu. Jeśli pacjentki nie uda się pobudzić i przekonać do terapii, obawiam się, że skutki mogą być fatalne.

– Mój Boże... – jęknęłam. Przyczyna depresji Larysy Romanowny była mi chyba znana, ale nie to mnie interesowało. – To znaczy, że źle się czuje?

– Na pewno niedobrze. – Elena Władysławowną znowu zacisnęła wargi, widocznie poirytowana moją naiwnością. – Ostatni miesiąc spędziła w klinice, nie ma przecież żadnych bliskich krewnych, nie miałby się nią kto zająć.

Przynajmniej jeden element układanki znalazł swe miejsce. Jeśli Larysa Romanowna od miesiąca leży w szpitalu, to znaczy, że w żaden sposób nie mogła zabić Gradowej. Nieładnie cieszyć się z takiego rozwoju sytuacji, ale przynajmniej miałam o jednego podejrzanego mniej.

– A czy można ją odwiedzić? – zapytałam.

– Proszę zostawić numer telefonu – odparła Elena Władysławowną. – Zadzwońię do pani, jeśli się zgodzi.

– Dobrze. – Skinęłam głową, skrobiąc długopisem po kartce do notatek. – Bardzo dziękuję. Do widzenia...

Co dalej? Czy powinnam odwiedzić Larysę Romanownę, jeśli ni z tego, ni z owego zgodzi się ze mną zobaczyć? A właściwie nie ze mną, Nainą Czernową, a z Maszą Kucką, która nieoczekiwanie postanowiła odwiedzić starą nauczycielkę. Na wszelki wypadek w klinice przedstawiłam się imieniem i nazwiskiem starosty grupy, którą Larysa Romanowna uczyła w zeszłym roku. Nikt mnie nie pytał o dokumenty, choć w razie czego wymyśliłam sobie wiarygodną historyjkę. Sądziłam, że Larysa Romanowna raczej nie zechce mnie widzieć, a słyszałam, że owa Masza Kucka była aktywistką, więc dlaczego teraz nie miałoby jej wpaść do głowy, że wypada iść w odwiedziny. Chyba jednak powinnam pójść. Nic mi się złego nie stanie, a może dowiem się czegoś ważnego...?

O dziwo, nie musiałam długo czekać, pani doktor zadzwoniła do mnie już po dwóch dniach, z informacją, że zamówiła dla mnie przepustkę, więc mogę przyjść, ale tylko w godzinach odwiedzin.

Nie lubię szpitali, ale ta klinika na szczęście bardziej przypominała centrum naukowo-badawcze. Nie czuło się tu typowych szpitalnych zapachów, wszystko lśniło czystością, a w korytarzach pyszniły się palmy w donicach i inna tropikalna flora. Ciekawe, dlaczego we wszelkich urzędach tak dobrze rosną tego rodzaju zielska? Mam wrażenie, że żywią się złą energią... Hmm... Może coś w tym jest?

Przez chwilę wahałam się, stojąc pod drzwiami wskazanej mi sali, ale wzięłam się w garść i delikatnie zapukałam.

– Proszę – rozległo się ze środka.

Weszłam, zasłaniając twarz bukietem, i przystanąłam zaraz za progiem. Ale manewr się nie udał, Larysa Romanowna natychmiast mnie rozpoznała.

– Naina? – powiedziała ze szczerym zdziwieniem. – To ty?

– Dzień dobry – odrzekłam z zakłopotaniem i zamknęłam za sobą drzwi. Muszę przyznać, że Larysa Romanowna faktycznie robiła koszarne

wrażenie. Pamiętałam ją jako zadbaną, elegancką damę, której w żaden sposób nie można było nazwać „starą”. Teraz nie zostało nic z dawnej świetności Larysy Romanowny. Schudła, posunęła się w latach, jej włosy, niegdyś ufarbowane i starannie ułożone, odrosły i było widać, że jest niemalże całkiem siwa.

– Zadziwiająca... – powiedziała. – Zachodziłam w głowę, dlaczego Masza nagle postanowiła mnie odwiedzić, a tu okazuje się, że to twoja sprawka... Chodź, siadaj.

Wstawiłam bukiet do pustego wazonu na parapecie, przysiadłam na brzeżku krzesła. Nie bardzo wiedziałam od czego zacząć rozmowę.

– Nikt więcej do pani nie przychodzi? – zapytałam w końcu.

– Nie informuję nikogo o moim stanie – sucho odpowiedziała Larysa Romanowna. – A ty, jak sądzę, postanowiłaś jak zwykle dokopać się do sedna sprawy?

– Dowiedziałam się przypadkiem. Więc... postanowiłam zajść, zobaczyć, co z panią...

– Jak widzisz, nie za dobrze. – Larysa Romanowna z trudem uniosła się i siadła na łóżku. – Zresztą, to nieważne. Jeśli już przyszłaś, to lepiej opowiedz, co nowego na uniwersytecie...

„Widocznie taki już mój los: odwiedzać wykładowców w szpitalu i opowiadać im nowinki”, pomyślałam ironicznie. „Najpierw Igor, teraz ona...”.

Uczciwie opowiedziałam o wszystkim, co, moim zdaniem, mogło zainteresować Larysę Romanownę – o kilku nowych projektach i podobnych sprawach.

Wydawało mi się, że chciała ode mnie usłyszeć coś zupełnie innego; podejrzewałam nawet o co, a właściwie o kogo chciała zapytać, ale ja udawałam, że nic nie zauważam.

– Laryso Romanowna, czy przychodziła do pani milicja? – zapytałam w końcu, zmęczona krążeniem wokół tematu.

– Milicja? – zaniepokoiła się. – Nie. A co się stało?

– Ktoś zabił jedną ze studentek – odpowiedziałam. Trzeba będzie sprawdzić u Eleny Władysławowny jak było naprawdę, pod pretekstem, że u pacjentki mogą zjawić się brutalni milicjanci z pytaniami, mogą ją przestraszyć i zdenerwować, a to jej oczywiście zaszkodzi. Jeśli już tu byli, lekarka na pewno mi o tym powie. – Wiele wskazuje na to, że zrobił to mag bojowy, więc wszyscy jesteśmy podejrzani. To znaczy ludzie z mojego wydziału. Najpierw mnie chcieli przyszyć tę sprawę, a teraz Igorowi...

Zrozumiałam, że za późno ugryzłam się w język.

– Igorowi? – Larysa Romanowna uniosła brwi. – A więc jednak nie pomyliłam się co do was dwojga...

– Niestety, nie pomyliła się pani – westchnęłam. – Ale, tak w ogóle... To już przeszłość.

– Aż tak? – zdziwiła się Larysa Romanowna. – W takim razie gratuluję: masz szczęście, udało ci się urwać z haczyka. Oczywiście, jeśli nie oszukujesz.

– A po co miałabym kłamać? – uśmiechnęłam się melancholijnie. – Kłamstwo ma krótkie nogi.

– Ostrożnie, Naina – ostrzegła Larysa Romanowna. – Od miłości do nienawiści jest tylko jeden krok... A potem... Wyjdzie jak ze mną.

Odwróciła twarz w stronę okna. Chyba zrozumiałam, co chciała przez to powiedzieć. Kiedyś, dawno temu, pewnie na swój sposób kochała Igora, a po śmierci córki znienawidziła go i poświęciła wszystko, by uczynić jego życie nieznośnym. I w końcu przekonała się, że nie dało jej to satysfakcji, a tylko same nieszczęścia. Teraz Larysa Romanowna z pewnością żałowała

straconego czasu, ale nie potrafiła wybaczyć byłemu zięciowi... Ale ja nie miałam powodów, by nienawidzić Igora, bo i za co?

Porozmawialiśmy jeszcze chwilę o głupstwach, potem Larysa Romanowna powiedziała, że jest zmęczona i chce odpocząć, więc wyszłam, obiecując, że ją jeszcze kiedyś odwiedzę. Nie jestem pewna, czy ta obietnica ją ucieszyła, ale nie zabroniła mi przychodzić. Być może jednak samotność ją zmęczyła.

Do domu wracałam zamyślona. Plotki nie pochodziły od Larysy Romanowny – spytałam Elenę Władysławownę, czy chorej nie nagabywała milicja i otrzymałam zapewnienie, że nie, a gdyby nawet przyszli, to nie pozwoliłaby męczyć pacjentki. Nie miałam powodu nie wierzyć surowej lekarce.

Wyglądało na to, że wróciłam do punktu wyjścia. A może, jak radzili moi zagraniczni przyjaciele, rzeczywiście „zaufać policji” i poczekać, aż znajdzie mordercę? A jeśli nie uda im się odkryć, kto zabił Gradową?

Będziemy do końca życia patrzeć na siebie spode łba i myśleć: a może to poczciwy Nikołaj Jefimowicz, albo, powiedzmy, Lolita Stanisławowna jest morderczynią? I co z tego, że babcia Lolita ma prawie sto lat, gdyby przyszło co do czego, może młodego przegonić! Milutka perspektywa... A jeśli Gradową zabił któryś ze studentów? Razem z nią na roku było wielu młodych magów o całkiem sporym potencjale...

A może jest w to jednak zamieszana Małgorzata? Co prawda nie było jej w Moskwie, ale nigdy nie miała problemów z pieniędzmi, więc mogłaby kogoś wynająć. Tylko, u licha, po co?! Teoretycznie powodów mogło być wiele... Może chciała mi dokuczyć? Niby czemu nie... Na przykład, z zazdrości, że mnie udało się wybić, a jej kariera naukowa nie jest sądzona. Kto wie, co jej mogło przyjść do głowy! Niestety, ten sposób myślenia

prowadzi do paranoi, można podejrzewać każdego i życia nie starczy żeby wszystkich sprawdzić.

Koncepcją, że zabójcą wcale nie musi być mag bojowy, podzieliłam się z Szamoninem, a on, jak można było oczekiwać, nie wykazał szczególnego entuzjazmu. Miał wręcz wypisane na twarzy, co myśli o dyletantach, pchającym się tam, gdzie ich nikt nie zapraszał. Ale mimo wszystko moje słowa musiały trafić mu do przekonania, bo niedługo potem milicjanci zaczęli buszować nie tylko na wydziale magii bojowej, ale także na pozostałych, w tym także wśród medyków, iluzjonistów i innych, którzy w życiu nie widzieli Gradowej na oczy. Milicjanci mieli teraz pracy po uszy, a przecież przetrząsali nie tylko nasz uniwersytet, w Moskwie było poza tym mnóstwo „prywatnego biznesu”, magów oficjalnie niepraktykujących i przyjezdnych... Jednym słowem, szanse na znalezienie mordercy były raczej nikłe.

Ale co tam morderca... Nie można było ustalić nawet źródła plotek. Muszę ze wstydem przyznać, że pomyślałam nawet o naszej bibliotekarce, Emmie Germanownie, „chodzącej katarynce” jak to określił Dawletiarow, ale cóż – ona też dowiedziała się o wszystkim od Selezniowa. Gdyby wredny kapitan chociaż zasugerował, kto przekazał mu taką informację, co nieco by się wyjaśniło, lecz on, naturalnie, nie zamierzał dzielić się cenną wiedzą.

Nie było innego wyjścia, jak tylko udawać, że nic się nie stało. Dalej się uczyć i pracować, co też zrobiłam.



Pewnego pięknego dnia czekałam na Nikołaja Jefimowicza, siedząc przy biurku, które zazwyczaj zajmowała laborantka Żanna i z nudów bezmyślnie przeglądałam listę studentów, którzy mieli zaległości. Było ich

zadziwiająco dużo – albo oni mieli problemy z nauką, albo ostatnio drastycznie wzrosły wymagania. Chociaż wątpiłam w to, bo pamiętałam jak nas gnano do galopu! Widocznie obecny piąty rok był po prostu aż tak roztrzepany i wrazenie, które odniosłam podczas mojego krótkiego z nimi obcowania, było jak najbardziej słuszne. Tylko patrzeć, jak połowę wyrzuca... Tym bardziej – tu uśmiechnęłam się w duchu – że zaległości mieli głównie z przedmiotów prowadzonych przez Dawletiarowa. Sądząc z tego, ostatnio był w podłym nastroju i szalał na zajęciach jak nigdy dotąd.

Zatrzymałam spojrzenie na jednym z nazwisk. „Biedaczka”, pomyślałam mimowolnie. Dziewczyna do tej pory nie zaliczyła znacznej części magii obronnej, aż dziw, że jej jeszcze nie skreślono z listy studentów. Może ma bardzo duży talent? Obiegowa opinia głosi, że to właśnie największe talenty często są leniwe i niepozbierane... Nazwisko wydało mi się dziwnie znajome. Eugenia Astachowa... Gdzieś już wcześniej je słyszałam, ale gdzie? No tak, na zajęciach, prowadziłam u nich ćwiczenia, pamiętam nawet tę Żenię. Milutka, kędzierzawa brunetka, bardzo zdolna, tylko trochę leniwa jak i reszta ludzi z tego roku. Miałam też niejasne wrazenie, że z tym nazwiskiem wiąże się coś ważnego.

„Astachowa, Astachowa...”, męczyło mnie to przez cały wieczór. „Któż to taki, dlaczego to nazwisko tak się do mnie przyczepiło?!”.

Właśnie miałam zasnąć, gdy nagle z otchłani pamięci wypłynęły na wierzch słowa, wypowiedziane starczym, skrzekliwym głosem: „Tylko że rok już minął jak nazywa się Astachowa”. Zamarłam, bojąc się, by ruch nie spłoszył wspomnienia. „Rok już minął jak nazywa się Astachowa”. Jaka ona? Nie Żenia, to pewne, nikt mi nic takiego o niej nie mówił, ręczę za to. Więc co to za druga Astachowa? Kim jest? Dlaczego to wydaje mi się takie ważne?

Nagle aż podskoczyłam na łóżku. Boże, cóż ze mnie za idiotka i sklerotyczka! Astachowa, no oczywiście! Nie Żenia, tylko Marina! Marina Astachowa, z domu Rogaczowa! Wychodzi na to, że...

Zdjął mnie irracjonalny lęk. Bardzo się bałam, bo pomysł, który przyszedł mi do głowy był zbyt szalony... Życie jednak zdążyło mi udowodnić, że czasami najbardziej szalone hipotezy mogą być słuszne.

Marina Rogaczowa, teraz Astachowa... Wbiłam wzrok w ciemny sufit i wspominałam tamten dzień. Wydaje się, że było to tak dawno, od tamtego czasu tyle się wydarzyło, że nawet mi do głowy nie przyszło, by wracać myślami do tego drobnego epizodu. Byłam wtedy na czwartym roku i szukałam kogokolwiek, kto wiedziałby coś o rzekomo zmarłym Dawletiarowie. I znalazłam ją – tę dziewczynę, którą kiedyś zaszczuł i zmusił do odejścia z uniwersytetu. Pamiętałam, że mówiła o Igorze z zadziwiającą nienawiścią, jakby rana była wciąż świeża, jakby nigdy mu nie wybaczyła. Ale...

„Od miłości do nienawiści jest tylko jeden krok”, przypomniały mi się słowa Larysy Romanowny. Pomyślałam wtedy, że nie znienawidziłam Dawletiarowa dlatego, że go nigdy nie kochałam, ale czy po to, by nienawidzić trzeba zawsze najpierw kochać? Któż to wie?!

Zrozumiałam, że nigdy już nie zasnę spokojnie, jeśli nie sprawdzę swoich domysłów. A jak mogłam to sprawdzić? Tylko rozmawiając z naocznymi świadkami dawnych wydarzeń, a znałam ich troje: samą Marinę, Dawletiarowa i Larysę Romanownę. Z Mariną spotkałam się raz, a na drugie spotkanie nie miałam najmniejszej ochoty; i jeszcze nie zwariowałam, by iść z takim pytaniem do Igora, tak więc została mi tylko Larysa Romanowna. Tym bardziej że obiecałam przecież ją odwiedzić.



Zdaje się, że Larysa Romanowna zdziwiła się na mój widok. Tym razem wyglądała jakby nieco lepiej, miała siły, by wstać z łóżka i wyjść razem ze mną do holu. Nawet uczesana była inaczej, miejsce starowinkowatego niechlujnego koczka zajęło coś w miarę przyzwoitego.

Ale jak bardzo była zdziwiona moją wizytą, jej zdumienie jeszcze wzrosło, gdy poprosiłam: – Laryso Romanowna, proszę opowiedzieć mi o Marinie Rogaczowej.

– Po co ci to?

– Proszę mi wierzyć, że to bardzo ważne – powiedziałam stanowczo. – Muszę wiedzieć, jakim jest człowiekiem, od tego może wiele zależeć.

Przypomniałam sobie, jak Igor kiedyś wspominał, że Marina dysponowała ogromnym potencjałem, była ambitna i do przesady dumna, a do tego łatwo ją było zranić. Zestawienie takich cech trudno sobie wyobrazić, ale jeśli Larysa Romanowna to potwierdzi, będę musiała uwierzyć.

– Marina... – Larysa Romanowna zamyśliła się, wracając pamięcią do przeszłości. – To była świetna dziewczyna, jesteście trochę do siebie podobne, tylko ty jesteś zamknięta w sobie, a u niej wszystkie uczucia było widać jak na dłoni. Natura poskąpiła jej cierpliwości... – westchnęła. – O ile pamiętam, Marina zawsze była najlepsza, nie miała wątpliwości, że zdobędzie sławę. Z pewnością wiesz, że miała wziąć udział w tym projekcie...

Kiwnęłam głową twierdząco.

– A do tego zakochała się po uszy w Igorze, było to widać na pierwszy rzut oka. – Larysa Romanowna uśmiechnęła się smutnie. – Wprost wyłaziła ze skóry, żeby zwrócić na siebie jego uwagę, a on albo naprawdę tego nie zauważał, albo udawał, że nie widzi, znasz go przecież. Wiesz, Naino,

zawsze się dziwiłam, co kobiety w nim widzą, większego egoisty i sobka ze świecą szukać. A studentki i tak za nim latają...

Milczałam. Jakoś nie zauważyłam, żeby jakaś dziewczyna z mojego roku przejawiała fascynację profesorem „bojówki” – wszystkie jednakowo go nienawidziły. Chociaż Gradowa niby snuła jakieś plany matrymonialne...

– Osobiście uważam, że Marina zgodziła się na udział w eksperymencie tylko dlatego, żeby się pokazać z jak najlepszej strony – dodała Larysa Romanowna. – A Igor zachowywał się po prostu strasznie. Teraz wiem dlaczego, ale wtedy, mówiąc szczerze, miałam ochotę spoliczkować go przy wszystkich za to, co wyrabiał.

No tak, mogę sobie wyobrazić, jakie przedstawienia dawał Igor, jeśli do tego stopnia wyprowadził z równowagi nawet przyzwyczajoną do jego wybryków Larysę Romanownę!

– Rozumiesz, ja, dojrzała kobieta miałam go dość! – Larysa Romanowna jakby czytała w moich myślach. – To co mówić o Marinie? Naina, spróbuj sobie przez chwilę wyobrazić, że człowiek, którego kochasz bez pamięci, przy pełnej sali nazywa cię miernotą, chałturnicą, radzi zmienić zawód na fryzjerkę, póki jeszcze nie jest za późno, a tu cytuję najdelikatniejsze z jego wypowiedzi! Co byś czuła na jej miejscu?

– Nie wiem – odpowiedziałam szczerze. – Nigdy nie byłam zakochana bez pamięci. Na pewno byłoby mi przykro.

– Przykro... – Larysa Romanowna uśmiechnęła się gorzko. – Zawsze zadziwiała mnie twoja cierpliwość. Marinę dotknęło to do tego stopnia, że rzuciła uniwersytet.

– Od miłości do nienawiści... – powiedziałam w zamyśleniu.

– Właśnie. – Larysa Romanowna popatrzyła na mnie z zaciekawieniem. – Cała miłość przeszła jak ręką odjął, Marina dostawała drgawek na samą

wzmiankę o Igorze. Nie byliśmy w stanie zatrzymać jej na uczelni, powiedziała, że z nim nawet na stadionie byłoby jej ciasno... hm... Wybacz, właściwie to wyraziła się bardzo brzydko, ale nie wypada tego powtarzać.

Tak, tę historię znałam wystarczająco dobrze. Igor osiągnął to, czego chciał, utracił projekt, a o urażonych uczuciach Mariny Rogaczowej nawet nie pomyślał. Zupełnie nie obchodziło go, co czują inni, tej nieszczęsnej Marinie wyrzucił duszę na lewą stronę, wytarł w nią nogi i poszedł dalej. Pobudki może i miał jak najlepsze, ale fakt pozostanie faktem!

– Po co chcesz odgrzebywać przeszłość? – zapytała Larysa Romanowna, widząc, że nie zamierzam nic wyjaśnić.

– Jakoś tak się składa, że wszystkie odpowiedzi można znaleźć właśnie w przeszłości – odpowiedziałam mgliście i zaczęłam się żegnać.



No cóż, wyglądało na to, że przypadkowa hipoteza znalazła dobre potwierdzenie. Musiałam jednak jeszcze coś sprawdzić: czy Żenia Astachowa przypadkowo nosi takie samo nazwisko jak mąż Mariny Rogaczowej, czy też istnieją między nimi jakieś powiązania rodzinne? Bo jeśli tak, to dołożę nowy element do układanki, a jeśli nie – w moim ślicznym i logicznym wywodzie, pojawią się ogromne dziury.

Oczywiście nie zamierzałam śledzić Żeni jak jakaś podrabiana Mata Hari, po prostu zajrzałam do jej akt osobowych. Oczywiście, nikt mi nie wydał na to zgody, ale świetnie wiedziałam, gdzie przechowywane są te dokumenty, więc mogłam w nich dyskretnie poszperać. Studentom z naszego, szóstego piętra kompletowano możliwie jak najpełniejsze *dossier*. Kiedyś zajrzałam do własnej teczki i bardzo zdziwiłam się, gdy znalazłam tam informacje nie tylko o sobie, ale też o rodzicach i nawet dalszych krewnych, których widziałam może ze dwa razy w życiu. Akta Żeni

Astachowej nie były pod tym względem wyjątkiem. Dość szybko odkryłam, że Żenia ma dalekiego kuzyna, niejakiego Siergieja Astachowa, którego miejsce zamieszkania także było podane. O ile mnie pamięć nie zawodziła, pod tym właśnie adresem kiedyś znalazłam Marinę Rogaczową. Wygląda na to, że po ślubie mąż przeprowadzi się do niej, co przecież często się zdarza.

„To niemożliwe, żeby wszystko okazało się aż takie proste”, pomyślałam. „Chociaż... wcale nie takie proste! Gdybym nie przypomniała sobie, skąd znam nazwisko Astachowa, w życiu bym się nie domyśliła!”.

Mogłam być dumna ze swej pamięci.

Jedyne, co nie pasowało do tej układanki, to rozpuszczane przez kogoś plotki o moim bliskim związku z Dawletiarowem. W żaden sposób nie mogłam ich wtłoczyć do wersji z Mariną Astachowa. Musiałam przyjąć, że plotki nie mają z nią nic wspólnego i pochodzą z jakiegoś innego źródła.

Ciężki wysiłek umysłowy przerwał mi dzwonek telefonu. Był to Sasza, którego akurat naszła ochota na pogawędkę. Mówiąc szczerze, nie miałam nastroju do rozmów, ale nie mogłam przecież rzucić słuchawką! Cóż Saszka jest winien? Chociaż... Przynajmniej sprawdzę czy moja wersja jest zupełnie bzdurna, czy nie!

– Sasza, posłuchaj, opowiem ci coś, a ty powiesz, czy to jest prawdopodobne. Tylko mi nie przerywaj, dobrze? – poprosiłam.

– Dawaj! – Sasza zgodził się chętnie. – Opowiadaj, a ja będę słuchać.

– A więc tak... Żyła sobie pewna dziewczynka – zaczęłam. – Bardzo ładna i zdolna, mądra i dobra studentka.

– Mówisz o sobie? – parsknął w słuchawkę Sasza.

– Prosiłam, żebyś nie przerywał! – rozzłościłam się.

– Dobrze, dobrze, przepraszam – powiedział wesoło. – Dawaj dalej.

– Tak więc... – kontynuowałam opowieść. – Uczyła się, uczyła, niedługo miała skończyć studia, aż tu nagle zakochała się w wykładowcy i to na zabój... A on, wyobraź sobie, na tę mądrą i piękną dziewczynę w ogóle nie zwracał uwagi, a ona go przez to jeszcze bardziej kochała. – Złapałam oddech. Sasza uważnie słuchał i więcej nie przerywał. – A potem zwrócił na nią uwagę, tylko zupełnie nie tak, jak by chciała. Wyobraź sobie, że zaczął ją przy wszystkim obrażać i poniżać. A było to tak: chciano, aby dziewczyna wzięła udział w pewnym niebezpiecznym eksperymencie, a ona się zgodziła. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że to się może dla niej tragicznie skończyć, ale ten wykładowca wiedział świetnie, bo sam przez to przeszedł i o mało nie zginął. Więc robił wszystko ze szlachetnych pobudek, tylko że dziewczyna nic o tym nie wiedziała...

– A dlaczego nie powiedział jej wszystkiego otwarcie? – zdziwił się Sasza. – Wyjaśniłby co i jak, po co takie komplikacje?

– Nie wiem, Saszeńka... – powiedziałam. No właśnie, dlaczego? – Może bał się, że mu nie uwierzy? Dziewczyna była bardzo ambitna i marzyła o sławie. Może nie chciał nagłaśniać sprawy? Jednym słowem po prostu zmusił ją do odejścia z uczelni, osiągnął cel, dziewczyna rzuciła uniwersytet, trzasnęła drzwiami i oznajmiła, że noga jej tam więcej nie postanie.

– Okrutne – skomentował Sasza. – Musiał ją strasznie poniżyć, żeby doszło do czegoś takiego! A po pysku mu przypadkiem nie dała?

– O tym historia milczy – odparłam. – Najważniejsze, że znenawidziła swoją byłą miłość całym sercem, a gdy dowiedziała się, że umarł, była po prostu szczęśliwa...

– A... – zaczął Sasza, ale przerwałam mu: – Poczekaj, to jeszcze nie koniec. W rzeczywistości wykładowca wcale nie umarł, to zupełnie inna historia, prawdziwy kryminal, ale to teraz nieważne. Najważniejsze, że

przez jakiś czas ta dziewczyna była przekonana, że nie ma go już wśród żywych. Jeszcze zanim dotarła do niej ta nowina, zrobiła wszystko, żeby o nim jak najszybciej zapomnieć: zmieniła zawód, wyszła za mąż, urodziła dziecko... Jednym słowem żyła jak wszyscy normalni ludzie. – Westchnęłam. – Jej mąż miał kuzynkę, która, co za zbieg okoliczności, uczyła się na tym samym uniwersytecie. Oczywiście ta studentka spotykała się z krewniakiem i jego żoną, i opowiadała im rozmaite nowinki.

– Aha, chcesz powiedzieć, że nagle dziewczyna dowiedziała się, że ten wredny wykładowca żyje? – domyślił się Sasza. – Słuchaj, nadaj im jakieś imiona, bo już się całkiem zaplątałem w tych twoich dziewczynach!

– Dobrze – zgodziłam się. – A więc tamta dziewczyna to Marina, a krewniaczka jej męża: Żenia. Tak więc Żenia opowiadała ze szczegółami wszystkie nowinki i Marina ze zdziwieniem dowiedziała się, że jej profesor nie tylko żyje, ale co więcej ma się dobrze. Do tego między nim a koleżanką Żeni z roku, też ładną i mądrą dziewczyną, rozkwita niesamowita miłość...

Można się było tego bardzo łatwo domyślić: Małgorzata powiedziała mi przecież, że Gradowa ochoczo dzieliła się z dziewczętami swoimi planami. A ponieważ plany, jak sądzę, nie doczekały się realizacji, Gradowa chciała wyjść z całej historii z twarzą i wymyśliła piękną bajkę. Przecież i tak nikt nie mógł tego sprawdzić. Być może nie wszyscy jej uwierzyli, ale Żenia Astachowa najwyraźniej historyjkę kupiła: bo rzeczywiście, czy ktoś taki jak Nataszka Gradowa może nie postawić na swoim? Trzeba być kompletnym idiotą, żeby zrezygnować z takiej cudownej dziewczyny! Jednym słowem, Żenia wiernie przekazywała wymysły Marinie Gradowej.

Nie wiem, jak zareagowała Marina, mogę to sobie tylko z grubsza wyobrazić. Wygląda na to, że była dotknięta do żywego: cóż to za bajkowa piękność złowiła Dawletiarowa?! Zapomniany, zdawałoby się, gniew

wrócił z nową siłą. Myślę, że znaleźć Gradową nie było trudno. Żenia Astachowa wiedziała, gdzie dziewczyna mieszka, rok był zgrany, studenci odwiedzali się nawzajem. Wydobyć tę informację z Żeni Marina mogła bez trudu, pamiętam, do czego była zdolna. A co stało się potem...? Pewnie Marina chciała po prostu popatrzeć na szczęśliwą rywalkę. A gdy ją zobaczyła...

– I co dalej? – zainteresował się Sasza.

– A dalej, Saszka, Marina odszukała tę studentkę – powiedziałam smutno. – I nie wiem, czy umyślnie, czy nie, ale zabiła ją...

– Nieźle... – mruknął Sasza. – Dlaczego ją, a nie jego? Przecież to jego tak nienawidziła?

Też mnie to nurtowało. Jeśli morderstwo było przypadkowe, to wszystko jasne, a jeśli wprost przeciwnie, prawdopodobnych jest kilka wariantów: być może Marina bała się, że nie pokona Dawletiarowa w magicznym pojedynku. Być może nadal go kochała i obawiała się, że nie zdoła zrobić tego, co zaplanowała. A może uwierzyła w romantyczną bajkę, że Igor naprawdę kocha Gradową i postanowiła sprawić mu ból nie mniejszy niż ten, który był kiedyś jej udziałem.

To mniej więcej opowiedziałam Saszy.

– No, w takim razie wszystko ma sens – powiedział. – Posłuchaj, jakże trzeba kogoś nienawidzić, żeby mścić się na nim w ten sposób? I nawet nie pomyśleć o dziecku, że o mężu nie wspomnę!

– Bardzo mocno, Saszka – powiedziałam cicho. I jak mocno trzeba kochać, żeby miłość mogła zmienić się w tak wielką nienawiść...? – Bardzo.

– Tak... to ci historia... – powiedział Sasza powoli. – Całkiem prawdopodobna. Naina, a ty co, postanowiłaś napisać kryminał?

– Gdyby tak było... – westchnęłam. – To nie kryminał, Sasza, to historia z życia wzięta. Chcesz, wierz, nie chcesz, nie wierz.

– No, a tę Marinę w końcu złapali? – zapytał Sasza rozsądnie.

– Na razie nie – odparłam.

– Co to znaczy „na razie”? – sądząc po tonie głosu, Sasza przestraszył się. – Poczekaj... Naina, to ma związek z zabójstwem tej waszej studentki, o którym mi opowiadałaś?

– Mhm – mruknęłam twierdząco. – Owszem.

– A ty w to się wmieszałaś?! – Sasza był wprost personifikacją oburzenia. – Oszalałaś!

– Nie denerwuj się – powiedziałam. – To tylko moje domysły, nikomu o nich nie mówiłam.

– I nawet nie próbuj! – Saszka wyraźnie się rozzłościł. – Co najwyżej milicji, rozumiesz? Nigdy nic nie wiadomo...

– Co nie wiadomo? – zapytałam.

– No... – Saszka zaciął się. – Opowiadałaś przecież jakie krążą plotki o tobie i tym facecie. A jak dotrą do tej całej Mariny? Zdajesz sobie sprawę z tego, w co się wplątałaś?

Słowa Saszki miały sens. Teraz, gdy emocje wokół morderstwa nieco opadły, studenci zajmą się innymi plotkami i wtedy Marina na pewno usłyszy o mnie. A może już usłyszała...?

– Może pomieszkasz na razie u mnie? – zaproponował z troską. – Dopóki wszystko się nie uspokoi...

– Sasza, tego tylko brakowało, żebym ciebie w to wciągnęła. Nie martw się, potrafię o siebie zadbać. A gdyby coś się stało... Wiesz, lepiej nie wchodzić między dwóch bojowych magów, nawet jeśli jeden z nich jest trochę niedouczony.

Sasza milczał, najwidoczniej dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, że moja specjalizacja nie jest zbyt pokojowa.

– A do tego ciut choruję – olśniło mnie. Na dowód zakaszlałam demonstracyjnie. – Nie chcę cię zarazić, lepiej na razie się nie spotykać.

– No tak, oczywiście! – w głosie Saszy, który bardzo poważnie traktował swoje zdrowie, zabrzmiał ton ulgi. – Lecz się jak należy, zadzwonię do ciebie jutro. I bądź ostrożna!

– Jasne – powiedziałam. – Na pewno.

Rzuciłam komórkę na stół. Bateria prawie całkiem się rozładowała, trzeba było nie skąpić i kupić nowy telefon, aż wstyd chodzić z takim złomem... Położyłam się i jak zwykle patrzyłam w sufit. No tak... A przecież Sasza wyraźnie ucieszył się, że nie musi przyjeżdżać i że to ja powiedziałam.

„A ty pewnie chciałabyś, żeby przyleciał jak na skrzydłach, staranował recepcjonistę i zaczął się tobą opiekować?“, zakpiłam sama z siebie. „A może, jeszcze lepiej, zabrał do siebie, ustawił na wszelki wypadek ochroniarzy i tam się tobą zajmował?“.

Być może tego właśnie chciałam. Ale widocznie nasze stosunki nie były aż tak bliskie, a łóżko nie jest wystarczającym powodem do wielkich oczekiwań, to prawda...

„Tak, Nainoczka“, parsknęłam kpiąco w duchu. „Wygląda na to, że jeden mężczyzna nie jest w stanie cię zadowolić. Trzeba będzie założyć harem. Jeden pan będzie się o ciebie troszczył, drugi dostarczy rozrywki, a trzeci... hmmm...“.

Nagle przypomniałam sobie o czymś: gdy zachorowałam na anginę, a temperatura podskoczyła mi prawie do czterdziestu stopni (w takim stanie raczej nie można samemu o sobie zadbać) Igor natychmiast zagonił mnie pod kołdrę i zaczął leczyć. Medyk był z niego, jak i z każdego innego

bojowego maga, po prostu nędzny, a jeśli dodać do tego, że oprócz leczenia zafundował mi godzinny wykład na temat szkodliwości nadużywania lodów i chodzenia w niezapiętej kurtce, to aż dziw bierze, że ta opieka mnie nie zabiła. „A przecież naprawdę się tobą opiekował, dziewczyno”, dotarło do mnie nagle. „Tak jak umiał, a że umiał kiepsko, to już nie jego wina...”.

Nieprzyjemnie było o tym myśleć. Po co sobie teraz tym głowę zawracać...

Wstałam i wyjęłam z szafki paczuszkę zdjęć, których jakoś nie mogłam wyrzucić, chociaż nie miałam też ochoty ich przeglądać. Ciekawe jaka byłam raptem rok temu, przed tą konferencją, która wszystko zmieniła. O, proszę... Twarz blada, bez makijażu, złe spojrzenie, a do tego jeszcze ten szary sweter, którego Igor nie wiedzieć czemu nienawidził i pewnego dnia po prostu wyrzucił. A to był taki fajny sweter, ciepły, miły... Fotografie Dawletiarowa miałam tylko dwie, może trzy. Bardzo nie lubił fotografowania, a złapać go z zaskoczenia było prawie niemożliwe. Tu pali papierosa na balkonie, tu siedzi przy komputerze, na obu zdjęciach widać, że jest całkiem nieobecny duchem – o czym myśli, nie wiadomo. A wspólną fotografię mieliśmy tylko jedną. O ile pamiętam, na ulicy prowadzono jakąś akcję reklamową, pstryknęli nas polaroidem, a potem długo męczyli, żebyśmy wypełnili ankietę. Igor szybko pozbył się ankietarów, ale fotografię zabrałam. Jeśli tak popatrzeć z boku, trudno byłoby znaleźć ludzi bardziej niepasujących do siebie. Wysoki, wyprostowany, dobrze ubrany Igor i ja, zawsze w tych samych idiotycznych (Mireille miała rację!) wytartych dżinsach, kompletna abnegatka. A jeśli dodać do tego, że oboje byliśmy zamknięci w sobie i nie mieliśmy łatwych charakterów, to w ogóle trudno pojąć, jak nam się udało spędzić ze sobą tyle czasu.

„Jeśli prawdą jest, że kobiety są podobne do kwiatów”, z pamięci wypłynęło na wierzch zdanie, wypowiedziane znajomym głosem, „to ty najbardziej przypominasz kaktus. Każdy, zanim go dotknie dziesięć razy zastanowi się, czy warto”. I rzeczywiście, była to szczerza prawda.

„Dobra jesteś”, powiedziała sama do siebie. „Potrafisz narzekać, że nikt się tobą nie zajmuje, a jak sama dotąd postępowałaś? Tylko nie udawaj, że się bałaś, krępowalaś i nie miałaś czasu, żeby o coś zapytać! Po prostu tak ci było najwygodniej, i tyle. Z Saszką postępujesz dokładnie tak samo i cieszysz się, że nie nalega za bardzo na szczerze rozmowy, bo to znaczy, że i ty możesz nie interesować się jego sprawami. Hmmm... A co się tak nagle zaczęłaś nad tym zastanawiać?”, zapytałam surowo sama siebie. „Przecież niby podjęłaś już decyzję, raz na zawsze? Podjęłaś, prawda? Więc bądź tak dobra, wywal te fotki do śmieci, a jeśli nie możesz, to schowaj głęboko i wyrzuć z głowy głupie myśli!”.

Zadzwoiła podłączona do ładowarki komórka. Komu zebrało się na rozmowy o tej porze? Czyżby Saszka postanowił wykazać się jednak szlachetnością i przyjechać do „chorej” przyjaciółki? Ale numer na wyświetlaczu był nieznany...

– Halo? – powiedziałam.

– Naina! – rozległ się znajomy głos. – Cześć! Nie śpisz jeszcze?

– Małgorzato, to ty? – zdziwiłam się. – Co się stało? Skąd masz numer do mnie?

– Oj, myślałby kto, że twój numer to tajemnica państwowa! – zaśmiała się Małgorzata. – Byłam starostą grupy, miałam wszystkie wasze telefony, a ty nie zmieniłaś numeru! Słuchaj, dzwonię bo... Wasia, troszkę ciszej, nic nie słyszę! – krzyknęła gdzieś obok słuchawki i wyjaśniła: – Mamy tu imprezkę na plaży.

– Rozumiem – bąknęłam. Pewnie Małgorzata wciąż jest jeszcze w Miami.

– Gdy przyjechał ten facet z Interpolu, wielki taki jak goryl, i zaczął wypytywać, okropnie się przestraszyłam, pomyślałam, że coś się stało – ciągnęła Małgorzata. Niewątpliwie Mickey wywarł na niej niezapomniane wrażenie. – Wasia w ogóle wpadł w panikę, potem dwa dni na mnie warczał, nie mógł się uspokoić... Jednym słowem, wszystko uczciwie opowiedziałam temu Amerykańcowi!

– Wiem – odpowiedziałam. – Zadzwoił do mnie.

– No proszę! – zdziwiła się Małgorzata. – Niezłe masz znajomości, Naina! A w ogóle to fajny z niego gość, uprzejmy, przynajmniej wyjaśnił, o co mu chodzi... No więc naprawdę nikomu nie mówiłam o tobie i Dawletiarowie, słowo honoru! Ale dopiero teraz sobie taką rzecz przypomniałam... Siedzieliśmy z Wasią w kawiarni i wtedy mnie olśniło!

– No...? – zachęciłam ją.

– Pamiętasz, jak rozmawialiśmy? – zapytała Małgorzata. – W bufecie? Ludzi tam było niewiele... No więc za tobą siedziała jakaś dziewczyna, i widzisz, pomyślałam, że mogła słyszeć o czym rozmawialiśmy, przecież mówiłam normalnie, nie szeptałam!

– To prawda... – zgodziłam się.

– A potem do bufetu wpadł tłum ludzi, zrobił się hałas – przypomniała Małgorzata. – Mogła nie usłyszeć reszty i dlatego opowiedziała tę historię tak, jak ją zrozumiała! Co o tym sądzisz?

– Całkiem możliwe – powiedziałam. – A pamiętasz może jak wyglądała?

– Oczywiście, że pamiętam – parsknęła Małgorzata. – Niewysoka, szczuplutka blondynka, włosy kręcone, w okrągłych okularach, wypisz wymaluj podobna do owcy!

Małgorzata potrafiła opisywać niezwykle obrazowo, trzeba jej to przyznać, więc od razu domyśliłam się, że chodzi o Likę Lebediewą, z tego samego, nieszczęsnego piątego roku. No cóż, teraz wszystko stało się jasne. Nie ma wątpliwości, że historię o moim związku z Dawletiarowem przekazała milicji właśnie ona. A i z koleżankami na pewno podzieliła się nowiną.

– Dziękuję, Małgorzato! – powiedziałam ze szczerą wdzięcznością. – Gdyby nie ty...

– Daj spokój – zaśmiała się. – To tyle, na razie, bo wydam na telefon wszystkie pieniądze i Waśka mnie zabije!

Pożegnałyśmy się, a ja powróciłam do rozmyślań. Tak, teraz cała historia wyglądała bardzo logicznie. Tylko co mam z nią zrobić? Opowiedzieć Szamoninowi? A czy nie pośle mnie do wszystkich diabłów? Powie: „Naczytała się dziewczyna kryminałów”, a do tego musiałabym mu wyjaśniać, skąd znam szczegóły wydarzeń sprzed lat!

Wyjrzałam przez okno. Akademik stał akurat naprzeciwko głównego budynku uniwersytetu, a tam, na szóstym piętrze, jaśniały dwa prostokąty oświetlonych okien. Zmrużyłam oczy i policzyłam, które to od brzegu. No tak, wyglądało na to, że dziś wieczorem jeszcze ktoś nie może spać...



Miałam tak wielką ochotę podzielić się z kimś swymi domysłami, że ubrałam się i poszłam do głównego budynku. Wejście było jeszcze otwarte, to dobrze. W przeciwnym razie zawsze mogłam przejść przez ścianę, ale naturalnie włączyłby się alarm, a ja musiałabym usprawiedliwiać się nie tylko przed ochroną, lecz również naszą ukochaną milicją i dowodzić, że nie miałam żadnych złych zamiarów! W świetle moich „ciepłych” stosunków z władzami wolałabym jednak sobie to darować...

– Czernowa? – Słyszając szczęknięcie klamki Dawletiarow podniósł wzrok i popatrzył na mnie z lekkim niedowierzaniem. – Co się stało?

– Nic się nie stało – powiedziałam. – Wydaje mi się, że rozwiązałam zagadkę morderstwa.

– Cała ty! – parsknął Igor. – Czy to nie mogło poczekać do rana?

– Mogło – westchnęłam. – Tylko...

– Tylko zaczęło cię nosić. – Igor pokiwał głową. – Skoro już przyszedł, to opowiadaj.

Popatrzył na mnie sceptycznie. Jak zawsze, zresztą, gdy miałam powiedzieć coś, do czego doszłam sama.

Opowiedziałam wszystko, niczego nie ukrywając. Początkowo na twarzy Igora gościł wyraz uprzejmego zainteresowania, ale potem przestał udawać. Było widać, że opowieść jest dla niego nieprzyjemna, a wspomnienia sprawiają ból. Dziwne, a myślałam, że Igora nic nie rusza...

– No i co, wygląda to prawdopodobnie? – zapytałam w końcu.

– Do obrzydzenia. – Igor wzruszył ramionami. – Jak na to wpadłaś?

– Przypadkiem – odpowiedziałam. – Gdybym nie zwróciła uwagi na nazwisko i nie przypomniała sobie, gdzie je wcześniej słyszałam, do tej pory błądziłabym we mgle... Jak myślisz, warto o tym powiedzieć Szamoninowi?

– Oczywiście – powiedział sucho Igor, pstrykając zapalniczką. W żaden sposób nie chciała się zapalić, w końcu Igorowi się znudziło, odłożył ją i zapalił papierosa zakłębem. – A może wolisz zachować to dla siebie?

– Tak tylko spytałam, pro forma – bąknęłam. – Jak to zwykle mawiasz...

Igor popatrzył na mnie dziwnym wzrokiem, ale nic nie powiedział.

– Chciałam tylko o jedną rzecz zapytać... – powiedziałam.

– Jak chciałaś, to pytaj – burknął, marszcząc brwi. Z jakiegoś powodu nie lubił wyrażen typu „chciałabym zrobić”, „chciałabym powiedzieć”.

– Zupełnie nie było ci jej żal? – zapytałam cicho. – Mam na myśli Marinę...

– Zrozumiałem. – Igor odwrócił wzrok i zaczął wpatrywać się w ścianę.
– Czy było mi jej żal...? Czernowa, lubisz zadawać pytania, na które nie wiadomo jak odpowiedzieć.

– Sam mnie tego nauczyłeś – odparłam, ale puścił moje słowa mimo uszu.

– Było żal, czy nie było, to nie ma teraz najmniejszego znaczenia – powiedział powoli. – Pamiętam tylko, że czułem wtedy wstręt do samego siebie. Ale wtedy uważałem, że robię to, co jest konieczne.

– Chciałeś jak najlepiej – pokiwałam głową ze zrozumieniem. – A wyszło... Posłuchaj, dlaczego nie powiedziałeś jej prawdy?

– O ile pamiętam, tobie akurat powiedziałem – warknął Igor. – I co, posłuchałaś mnie? Nie przypominasz sobie czasem?

Musiałam przyznać mu rację. Założenia, że Igor mógłby zagrać na uczuciach zakochanej dziewczyny i, powiedzmy, postawić warunek: będzie tak jak chcesz, ale musisz zrezygnować z udziału w eksperymencie, nawet nie rozpatrywałam. Do czegoś takiego by się nie zniżył.

– No tak, to chyba rzeczywiście było jedyne wyjście – powiedziałam w zamyśleniu. – Tylko bardzo okrutne.

– Bądź tak uprzejma i oszczędź mi moralizowania. Sam sobie z tym poradzę.

– Aha, poradzisz! – rozzłościłam się nieoczekiwanie. – Tak sobie poradzisz, że lepiej byś w ogóle nie zaczynał sobie radzić.

– Powiedziałaś już, co miałaś do powiedzenia? – odparł arogancko. – Świetnie. A teraz lepiej idź do domu, już późno.

– A ty po co tu siedzisz o tej porze? – zapytałam, nieco już spokojniej. Nie, Igora nie da się zmienić...

– Nocuję – odrzekł niechętnie.
– To znaczy? – nie rozumiałam.
– To znaczy, Czernowa, że zamieniłem mieszkanie. W nowym na razie mam tylko gołe ściany i pudła z książkami, więc nie da się tam mieszkać – wyjaśnił cierpliwie.

– A meble? – zapytałam głupio, zbita z tropu.
– Zostawiłem nowym właścicielom, niech robią z tymi gratami co chcą.
– Machnął ręką, a ja zdziwiłam się jeszcze bardziej. – Na razie pewnie wynajmę pokój...

– Co z tobą? – zapytałam. Nie, zdecydowanie nie poznawałam Dawletiarowa! Tak po prostu wynieść się z miejsca, do którego człowiek przywykł...

– Pewnie kryzys wieku średniego – westchnął. – Idź już, zaraz zamkną i będziesz się użerać z ochroną.

– No dobrze. – Poszłam do drzwi. Telepatia? Też właśnie pomyślałam o ochroniarzach. – Dobranoc.

Nie było odpowiedzi.

Wyszłam na ulicę, obeszłam główny budynek i postanowiłam wracać na skróty. Droga koło centrum biznesowego, przez boisko do piłki nożnej, jest prawie dwa razy krótsza niż po chodniku. Co prawda teren jest bardzo nędznie oświetlony, ale to nic, sto razy już tamtędy chodziłam.

No cóż, jutro odwiedzę Szamonina. A może lepiej poczekać na kolejne wezwanie? Nie, lepiej tego nie przeciągać... Ciekawe, co będzie z Mariną? Ma małe dziecko, może wezmą to pod uwagę?

Kiedy doszłam do boiska, zrozumiałam, że zrobiłam błąd. Wyleciało mi z głowy, że parę dni temu rozpoczęto wymianę murawy i zrobiło się tu cokolwiek błotniście. Spacerok tędy nawet za dnia stanowił wątpliwą przyjemność. Postanowiłam pójść bieżnią – będzie dalej ale ocalę buty. I

wtedy odniosłam wrażenie, że ktoś za mną idzie. Zatrzymałam się, nasłuchując – cisza. Ruszyłam dalej – znowu usłyszałam kroki. „Co za bzdura!”, rozzłościłam się i ostrożnie zeszałam ze żwirowej dróżki na oszronioną trawę. A jednak to prawda, ktoś za mną szedł, żwir skrzypiał cicho w rytm ostrożnie stawianych kroków. A to co znowu? Na terenie uniwersytetu nie powinno być osób postronnych, szczególnie w nocy. Odwróciłam się, by zobaczyć, kto mnie szpieguje...

Nie na darmo całe dni spędzałam na poligonie ćwicząc z tarczą i „odbojnikami”. W ostatniej sekundzie zdążyłam się uchylić. Gdyby nie błyskawiczny refleks, impuls o ogromnej mocy rozniósłby mnie na strzępy. Ale zdążyłam zareagować, wystrzelić kontrę i w ten sposób dwa potężne potoki energii zderzyły się nad błotnistym boiskiem, sypiąc deszczem iskier i rozwijając się w klasyczne tęczowe „skrzydła” efektu Lafferty’ego. Poczułam gwałtowny ucisk w uszach, jakbym wjeżdżała gdzieś wysoko szybkobieźną windą.

Przeciwnik, choć zakradł się w ciemnościach i zaatakował nieoczekiwanie, nie był w stanie mnie pokonać. Był niezwykle silny, ale brak mu było subtelności – wałnął niczym młotem, jak gdyby chciał mnie rozpylić na atomy. Uderzył po raz drugi, z pełną siłą, ale byłam już przygotowana i osłonięta. Padłam na plecy, by stanowić jak najmniejszy cel.

Nie powstrzymałam się tym razem, nie tłumiłam swojej siły, wyuczone elementy najnowszych technik bojowych tkwiły w mej głowie, tylko sięgnąć i zastosować... Gdybym przezornie zawczasu nie zmrużyła oczu, na pewno bym oślepla od błysku kolejnego wyładowania, co zresztą przytrafiło się mojemu przeciwnikowi. A raczej przeciwniczce – w nienaturalnie białym świetle ujrzałam zgrabną kobiecą sylwetkę. Marina!

Nie traciłam czasu na namysły: lewą ręką wysłałam „Paralizator” o ogromnej sile, jednocześnie prawą już splatając „Siatkę” – bez tego nie dam rady, Marina jest bardzo silna, przy czym atakuje, by zabić, a ja ciągle jeszcze mam opory. Oba zaklęcia trafiają celnie, a dla pewności przykrywam wszystko kloszem „Pseudosnu”.

Marina zastygła w magicznym kokonie – unieruchomiona i zapewne lekko ogłuszona. Opalizująca błona zaklęcia, po której leniwie pełzały jasne fale energii, kotwiczące co chwila w ziemi, oświetlała lekko twarz Mariny – jej oczy obracały się bezmyślnie w oczodołach, wargę opadła.

Na wszelki wypadek dorzuciłam jeszcze dokoła „Kwadrościankę”. W tym stanie Marina nie zdoła jej sforsować, chyba że ocknie się i przekopie pod ziemią, ale tylko wtedy, jeśli zdoła zrzucić wszystkie pozostałe zaklęcia, w co wątpiłam.

Serce mi waliło jak młotem, oddychałam szybko, ale ze zdziwieniem stwierdziłam, że to tylko emocje, nie byłam w najmniejszym stopniu zmęczona. Na chwilę zapaliłam dodatkowo chłodny błękitny ogień „świętojańskiej kuli”, by skontrolować teren. Kto wie, może Marina ma tu gdzieś współnika?

Wyglądało na to, że dotarły jednak do niej plotki o moim „wielkim romansie”, zrozumiała, że pomyliła się co do Gradowej i z pewnością postanowiła skorygować błąd. Musiała całkiem oszaleć... Jak mnie wyśledziła? Pewnie z pomocą Żeni Astachowej... Zresztą, teraz to nieważne.

Pokręciłam głową ze smutkiem, gasząc „kulę”. Trzeba pewnie wezwać milicję, niech sami dochodzą do ładu z Mariną. Do głównego budynku jest bliżej niż do akademika, pójdę i zadzwonię od ochroniarzy.

Znowu pokręciłam głową – mogłam sobie wyobrazić, jak dostało się Marinie, skoro ja uszy miałam zatkane od huku własnego pocisku i nadal

mi w nich dzwoniło. Ruszyłam z powrotem. Do licha, czemu tu nie świeci ani jedna latarnia?

Po rozbłysku wydawało się jeszcze ciemniej, przed oczami latały mi kolorowe kropki, więc nieźle się wystraszyłam, gdy raptem wpadłam na coś twardego.

– Naina! – Ktoś schwycił mnie w objęcia. – Jesteś cała?!

– Postaw mnie na ziemię, proszę – poprosiłam z lekka skołowana. – Połamiesz mi wszystkie żebra, a wtedy na pewno nie będę cała...

– Ty... – wysapał Igor tuż przy moim uchu. – Ty i to twoje... śledztwo! Nie waż się robić tego więcej, wyrażam się jasno?!

– Jasno, jasno, nie musisz mi rozkazywać – rzekłam pojednawczo. – Szybki jesteś... Przez ściany biegłeś czy jak?

Usłyszałam parsknięcie, ale nie nastąpił po nim żaden złośliwy komentarz.

– Trzeba wezwać milicję – powiedziałam. – Puść mnie już, to boli...

Okazało się, że milicję wezwał już ochroniarz, który zauważył podejrzaną światła i dźwięki na boisku, pozostało więc tylko czekać na przyjazd odpowiednich służb.

W gabinecie Igor bez zbędnych słów wyjął z szafy pękatą butelkę i dwa kieliszki. W milczeniu siedziałam na kanapie i patrzyłam, jak próbuje tę butelkę otworzyć. W końcu jakoś mu się udało.

Ręce Igora trzęsły się strasznie, szyjka butelki rozpaczliwie stukała o brzeg kieliszka – jak sięgnę pamięcią, nigdy nie widziałam go w takim stanie. A tym bardziej ani razu nie widziałam, żeby tak pił koniak – jednym haustem.

– Masz... – Podał mi drugi kieliszek, nalał sobie kolejną porcję, zapalił papierosa i z nim również rozprawił się dwoma zaciągnięciami. Minę miał jakąś... dziwną.

– Igor, co z tobą? – spytałam niepewnie. Martwiłam się, ale nie bałam, szczerze mówiąc, nie było czego.

– Nic. – Usiadł na kanapie niebezpiecznie blisko mnie. – Nic...

No tak... To już niemalże tradycja – w trudnych sytuacjach pić koniak z Dawletiarowem.

Nie wiem już, kto pierwszy wyciągnął rękę, po prostu nagle okazało się, że siedzimy objęci i Igor tak mocno mnie do siebie przytula, że nawet gdybym chciała się odsunąć, nie dałabym rady – jest bardzo silny. Ale wcale nie miałam ochoty się odsuwać. Zapach tytoniowego dymu i drogiej wody kolońskiej był do tego stopnia znajomy, że do oczu mimowolnie napłynęły mi łzy.

– Naina... – cicho powiedział Igor.

– Tak...? – szepnęłam. – Co...?

– Nie, nic...

– No, mówże – zażądałam. Boże, co mi przyszło do głowy, przecież i tak nie powie. Nie przeskoczy samego siebie...

– Czy ty masz dobry gust?

– C-co...? – Całkiem zbił mnie z tropu.

– Czy masz dobry gust? – cierpliwie powtórzył Igor. – W sensie: artystyczny.

– Taki sobie – przyznałam uczciwie. – A nawet raczej kiepski. A co?

– Szkoda – westchnął. – Mówiłem przecież, mam w mieszkaniu gołe ściany...

– A... – Nie wiedziałam co powiedzieć. Pomyślałam chwilę. Tak... Widocznie sądzone mi wiele guzów nabić sobie na czole tymi samymi grabiami. Ale w końcu to moja głowa i mój wybór. – No... myślę, że jeśli spróbujemy razem je urządzać, może coś rozsądnego z tego wyjdzie... A ty jak sądzisz?

– Zgadzam się z tobą – odpowiedział Igor z powagą.
– Tylko obiecaj, że nie będziesz palił w mieszkaniu – zażądałam.
– A ty obiecaj, że nie będziesz nosić takich krótkich spódniczek. – Igor nie pozostał mi dłużny.

– Dlaczego? – zapytałam. – Nie podobają ci się moje nogi?
– Nie podoba mi się, gdy na twoje nogi gapią się inni – padła natychmiast odpowiedź.
– Chwileczkę... – Odchyliłam się, żeby popatrzeć Igorowi prosto w oczy.
– Ty jesteś... zazdrosny?!

Igor nie odpowiedział, tylko jeszcze mocniej zacisnął wargi i widać było, że nic więcej nie powie. Zachciało mi się śmiać. Dobre sobie, oto do jakiego stanu trzeba było doprowadzić Igora, żeby wycisnąć z niego takie wyznanie!

– No dobrze – powiedziałam. – Nie będę nosić krótkich. Będę nosić długie. – Poczekajłam, aż Igor uśmiechnie się z zadowoleniem i dodałam mściwie: – Z rozcięciem...

W dole na ulicy zawyły syreny. Teraz trzeba będzie rozmawiać z milicjantami, zdejmować z Mariny zakłęcia... A może lepiej nie zdejmować? Może nieźle narozrabiać.

A niech idą do wszystkich diabłów... Niech sobie sami radzą!
– To może jeszcze mi powiesz, jak zwykła milicja ma sobie radzić z twoją „ścianką”? – zapytał Igor z łagodną kpina, a ja zorientowałam się, że znowu myślałam na głos.

– Chyba jednak trzeba będzie im pomóc... – westchnęłam.
Rozmowy z milicją Igor chciał wziąć na siebie, ale zaprotestowałam. Ostatecznie to mnie napadnięto, ja sama się obroniłam i to ja znalazłam rozwiązanie tej kryminalnej zagadki; a jeśli uważa, że nie potrafię w sposób zrozumiały opowiedzieć całej historii, to niech posłucha i przekona się, że

też czasem może się mylić. Jak łatwo się domyślić, Igor wyraził wątpliwości co do moich zdolności oratorskich, ale oznajmił, że jeśli mam ochotę to mogę rozmawiać z kim chcę, on posłucha, a potem podzieli się wrażeniami... Krótko mówiąc, było prawie tak samo jak za starych dobrych czasów. (Tak naprawdę, trochę się pośpieszyłam z buńczucznym zapewnieniem, że świetnie umiem „zrozumiale opowiedzieć całą historię”. Musiałam to wybiegać do przodu, to znów cofać w przeszłość, ale najważniejsze, że śledczy zrozumieli o co mi chodzi).

Tak z pewnością powinno być: gdzieś ja trochę ustąpię, w innym miejscu Igor... W sprawach zasadniczych oczywiście może dojść nawet i do awantur, ale jeśli obu stronom zależy, to przecież mogą znaleźć jakiś kompromis?

Wyglądało na to, że czekają mnie rzeczy trudniejsze niż pisanie dysertacji, ale czy ktoś obiecywał, że będzie lekko?

EPILOG

Oddałam palto do szatni i podeszłam do dużego lustra, żeby poprawić włosy. Przy okazji przyjrzałam się sobie z zadowoleniem: długa spódnica z rozcięciem, prowokacyjnie rozchylającym się przy każdym kroku, wyglądała całkiem nieźle. Widocznie odbiciu też się spodobała, bo mrugnęło do mnie wesoło.

Winda, jak należało się spodziewać, nie działała (podejrzewam, że bierze wolne we wtorki i piątki), musiałam więc iść na szóste piętro na piechotę, ale już dawno się do tego przyzwyczaiałam. Oczywiście, wszyscy żalowaliśmy, że w naszym uniwersytecie regulamin zabraniał posługiwania się teleportem albo lewitacją. Ale z drugiej strony, to jednak magiczna uczelnia. Kto tam wie, z czym się można przeciąć po drodze. (Jak we wszystkich instytucjach, tu też krążyły różne legendy, na przykład ta o nieostrożnym magu, który „wteleportował się” w ścianę i „tak, o, nogi mu sterczały!”). No dobrze, w najlepszym razie powylatują szyby we wszystkich oknach. A co jeśli się zawali jakaś ściana nośna? Mieszanie lewitacji z przenikaniem przez ściany też jeszcze nikomu na dobre nie wyszło. Tak więc pozostawały metody tradycyjne. Idąc długim korytarzem, witałam się z napotkanymi osobami; dzisiaj miało być zebranie, więc ludzi zjawilo się mnóstwo.

Ukloniłam się leciwej Lolicie Stanisławownie. Bóg jeden raczy wiedzieć, jak dostała się tutaj, skoro winda strajkuje. Chociaż z drugiej strony akurat ona jak najbardziej mogła zlekceważyć zasady. Babcia Lola, najstarsza pracownica naszej uczelni (chodziły słuchy, że pracowała tu jeszcze przed rewolucją) w ogóle nie stosowała się do żadnych reguł. Tuż

przy drzwiach spotkałam jeszcze kilku pracowników. Zrobił się mały tłumek, a w tym czasie przybył jeszcze jeden spóźnialski.

– Dzień dobry – przywitał się od razu ze wszystkimi i zwrócił do mnie: – Naino, znowu zapomniałaś telefonu. Może spróbuj przypiąć go sobie kajdankami, a nuż pomoże? Trzymaj.

– Masz rację, Igorze. Powinnam tak zrobić – westchnęłam potulnie i wzięłam komórkę. Zobaczyłam wyraz rozczarowania na twarzach kolegów, więc natychmiast dodałam ze złośliwym uśmiechem: – Jak tylko znajdziesz do nich kluczyk, odgrażasz się już od tygodnia...